

# CHRIS STEWART

Świat stoi w obliczu zagłady. Głęboko pod ziemią  
w sercu pustyni rozpoczęło się odliczanie...

  
AMBER



OGNISTY PTAK

# CHRIS STEWART

PILOT WOJSKOWY, AUTOR TECHNO- I MILITARY THRILLERS  
O TEMATYCE LOTNICZEJ

Chris Stewart, major sił powietrznych Stanów Zjednoczonych,  
w 1995 roku pobił światowy rekord prędkości i długości lotu bombowcem.

Jego trzydziestosześciodzinny lot dookoła świata nazwano  
„największym wyczynem lotniczym ostatnich dziesięciu lat”.

Chris Stewart jest również autorem znakomitych technothrillerów i *military thrillers*.

Wartka akcja, brawurowe sceny walk powietrznych i niezwykła obalność  
o szczegóły techniczne sprawiają, że jego książki  
porównywane są z powieściami Toma Clancy'ego.

## OGNISTY PTAK

Air Force One, którym podróżuje z Kuwejtu wiceprezydent USA, rozbija się  
na amerykańskim wybrzeżu. Specjalna komisja odkrywa, że wszyscy przebywający  
na pokładzie zmarli na kilka godzin przed katastrofą, a przyczyną śmierci był  
nieznany wirus. Ameryce zagraża przerażające niebezpieczeństwo – straszliwa broń  
biologiczna. Charlie McKay, kapitan amerykańskich sił powietrznych, otrzymuje  
zadanie zniszczenia laboratorium ukrytego głęboko pod pustynią w samym sercu  
Iraku. Ma jedną szansę na milion, że powróci ze straceńczej akcji...

*Masz wrażenie, że siedzisz obok pilota w kabynie samolotu wykonującego misję  
bojową nad terytorium wroga.*

„Flint Michigan Journal”

*Brawurowa akcja, prawdopodobny scenariusz geopolityczny, znakomita znajomość  
technologii wojskowej.*

„Kirkus Reviews”

Cena det. zł 19,80



FENSACTA

ISBN 83-7245-034-X



CHRIS  
STEWART  
OGNISTY  
PTAK

Przekład

Krzysztof Bednarek



Tytuł oryginału THE KILL BOX

Redakcja stylistyczna

MIECZYŚLAW REMUSZKO

Redakcja techniczna

ANNA BONISŁAWSKA

Korekta

JOANNA OŻÓG

Opracowanie graficzne okładki

WYDAWNICTWO AMBER

Skład

WYDAWNICTWO AMBER

Copyright © 1998 by Chris Stewart.

All rights reserved.

For the Polish edition © Copyright by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o. 1998

ISBN 83-7245-034-X

WYDAWNICTWO AMBER Sp, z o.o.

00-108 Warszawa,

ul. Zielna 39,

tel. 620 40 13, 620 81 62

Warszawa 1999.

Wydanie I

Druk:

Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza

*Moim Rodzicom,  
z wdzięcznością*

# Prolog

21 lutego 1991  
Pustynia w południowym Iraku

Szturmowy śmigłowiec wychynął z mroku i wzniosł się nad odległym o dwa kilometry od konwoju wzgórzem. Niewidoczny z daleka, zawisł w powietrzu na minutę. Dwuosobowa załoga obserwowała wycofujące się pojazdy irackie. W ciemność pomknęła pierwsza rakietka Hellfire. Jadący na czele kolumny samochód eksplodował w burzy ognia. Tymczasem nadlatywały już następne rakiety. Kilka sekund później ostatnia z nich uderzyła w wyznaczony cel. Z osmalonego wraku ciężarówki wydostał się samotny żołnierz i usiłował uciec spod ostrzału.

Dwaj mężczyźni ze śmigłowca obserwowali go na ekranach. Kapitan niedostrzeżalnym ruchem pochylił drążek sterowy w przód i śmiercionośny Apache, ruszył ponad pustynią. Irakijczyk biegł, niczym wystraszony pies. Kapitan zmniejszył kąt natarcia łopaty wirnika, ponownie zawieszając śmigłowiec w powietrzu. Nie było powodu podlatywać bliżej - z tej odległości Apache jest równie skuteczny jak trzydziestka ósemka z dystansu pół metra.

Kapitan przyglądał się biegnącemu człowiekowi, widocznemu na ciemnozielonym ekranie noktowizora. Mógł dokładnie widzieć sylwetkę uciekiniera. Pilot dostrzegł nawet pistolet w dłoni żołnierza. Irakijczyk potknął się i upadł. Odwrócił się i trzykrotnie wystrzelił w stronę Amerykanów. Z krótkiej lufy jego broni trzy razy błysnął żółty płomień. Mężczyzna podniósł się i znowu zaczął biec.

Kapitan położył palec na spuście i przesunął umieszczony na drążku sterowym przełącznik, odbezpieczając działko. Siedzący w przedniej części kabiny chorąży krzyknął.

- Niech pan tego nie robi, Rayberg. Pobiegnie sobie i już.

Dziób śmigłowca uniósł się odrobinę.

- Kapitanie, niech pan pozwoli mu żyć. To tylko jeden Arab więcej, który nie chce umierać za swój kraj. Podał się, pozwólmy mu wrócić do rodziny.

- Nie ma mowy - odparł sucho pilot. - To nieprzyjaciel. Mamy prawo go zabić i zaliczyć kolejne trafienie.

Apache utrzymywał się niecałe dziesięć metrów nad pustynią. Kapitan uruchomił zainstalowany w helmie celownik. Mikroskopijny laser zaczął śledzić siatkówkę jego prawego oka, podążając za najdrobniejszymi ruchami. W ten sposób ruchy podwieszzonego pod dziobem śmigłowca dwudziestomilimetrowego działka zostały zsynchronizowane z okiem pilota. Lufy zmieniały położenie z niewiarygodną szybkością, dostosowaną do ruchów gałki ocznej kapitana, który nacisnął spust, wypuszczając trwającą pół sekundy serię. W tym czasie działko wystrzeliło dwadzieścia kilka pocisków, które wzbity istne

gejzery piasku tuż za Irakijczykiem.

Uciekający rzucił się nagle w prawo. Kapitan spojrzął za nim i wcisnął spust po raz drugi. Piasek eksplodował, kolejny pocisk uderzył w cel. W noktowizorze widać było, jak zielona figurka obraca się gwałtownie, unosi w powietrze i przelatuje jeszcze sześć metrów, poderwana straszliwym uderzeniem pocisku. Wreszcie nieszczęśnik runął twarzą w piach.

Oburzony chorąży zaklął i zawołał:

- To było potworne! Prawdopodobnie popełnił pan przestępstwo. Kiedy wrócimy, dopilnuję, żeby pan za to odpowiedział!

Kapitan opuścił rękę i zwiększył nieco obroty silnika. Maszyna zaczęła się wznosić. Pilot pochylił drążek w lewo, kierując śmigłowiec w stronę, gdzie znajdował się ich batalion. Po kilku sekundach milczenia, odpowiedział:

- Ten kawałek pustyni to mój rejon do oczyszczenia, a tamten człowiek był celem. Mielśmy zniszczyć wszystkie możliwe cele i wypełniliśmy zadanie. Jeśli nie potrafisz sobie z tym poradzić, zgłoś się do kapelana. A jeżeli uważasz, że nie miałem racji, pogadaj z komisją dyscyplinarną.

Kapitan prowadził maszynę ponad wznoszącym się piaszczysto-skalistym terenem. Był zmęczony, głodny i zły. Już niemal od pół roku żył na pustyni i niecierpliwie wyglądał powrotu do Stanów. Wiedział, że im więcej Irakijczyków zabije, tym pręcej znajdzie się w domu.

Apache pędził dalej. Zapas rakiet Helfire się wyczerpał. Powinni wylądować i uzbroić maszynę znowu. Noc dopiero się zaczynała i pozostawało jeszcze wiele celów do zniszczenia przed świtem.

# Część pierwsza

*Trudno określić liczbę możliwych ofiar.  
Milion. Dwa miliony. Dziesięć.  
W tej chwili, według opinii większości ekspertów,  
jesteśmy zupełnie nieprzygotowani.  
Mówiąc wprost, nie możemy zagwarantować,  
że bylibyśmy w stanie powstrzymać epidemię.*

raport Komisji Obrony Cywilnej  
w sprawie zagrożenia atakiem biologicznym

*Wiedział bowiem, że przez zawiść Go wydali.*

Ewangelia wg Św. Mateusza, 27, 18



# 1.

## Pentagon, Waszyngton, USA Dzień pierwszy (wtorek) 06.37 czasu miejscowego

Dwaj mężczyźni siedzieli w milczeniu w olbrzymim pokoju. Stały tam wielkie, skórzane fotele, ciemne regały pełne książek, na ścianach wisiały oprawione w ramki fotografie, dokumentujące trzydzieści lat służby wojskowej gospodarza. Na obu końcach biurka umieszczono komputery firmy Micron. Z bocznej ściany zwieszała się jaskrawa, amerykańska flaga. Na niskiej ławie, na podstawce z chromowanej stali i mosiądzu, spoczywała stara, zniszczona piłka do futbolu amerykańskiego - pamiątka przeżyć sportowych dawnego kadeta.

Przy jednym z końców ogromnego, mahoniowego biurka siedzi generał Wallet Reynolds, zwany „Wallym” - Szef Sztabu Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Srebrne gwiazdki na jego pagonach błyszcząły w jasnym świetle. Generał wyglądał przez okna o przyciemnianych szybach, zajmujące południowo-zachodnią ścianę pokoju. Tylko jedno biuro Pentagonu na dziesięć ma okna, a z żadnego nie rozciąga się interesujący widok. Reynolds patrzył ponad olbrzymim terenem połączonych ze sobą parkingów i dróg dojazdowych, ciągnącym się do 1-395 - dziesięciopasmowej autostrady, przebiegającej przez sam środek miasta. Na zachodzie, za morzem brudnych szyb i dachów samochodowych, betonowych barierek i czarnego asfaltu, ponad rzeką Potomac, wznosił się w powietrze pasażerski odrzutowiec, oddalając się od waszyngtońskiego lotniska imienia Ronalda Reagana.

Wallet westchnął i otarł twarz dłonią. Był zamyślony i nie zwracał uwagi na drugiego generała, który siedział w pokoju. Niewielu waszyngtońskich urzędników ośmieliłoby się tak zachowywać. Jednak dwaj mężczyźni byli bliskimi przyjaciółmi - znali się jeszcze ze szkoły lotniczej. To dlatego Reynolds czuł się tak swobodnie, że pozwolił sobie na pograżenie się w myślach. Mijały chwile, znaczone tykaniem wiszącego na ścianie dużego zegara z drewna tekowego. W końcu, Wallet odwrócił się do zwierzchnika i wyciągając rękę spytał:

- Mogę jeszcze raz przyjrzeć się tym zdjęciom?

Generał Davis Beck, przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, podał mu stosik czarno-białych fotografii.

- Zostały zrobione przez bezzałogowy samolot, startujący z Bahrajnu? - upewnił się Reynolds.

Beck skinął głową.

- Tak, przez jeden z naszych zwiadowczych Global Hawk, które wysłaliśmy tam wczesną wiosną.

Wallet przyjrzał się uważnie zdjęciom. Były ostre, dobrze naświetlone i niezwykle szczegółowe. Dostrzegł na nich pojedyncze skały, a nawet kamyki, oraz kępki wyrastającej z pęknięć w drodze trawy. Fotografie zostały wykonane wcześniej rano, ponieważ wszystkie cienie kładły się na zachód. Generał widział czarną wstęgę asfaltu przecinającą pustynię z północy na południe, oraz ślady stóp biegnące od drogi przez piasek. Wallet wpatrywał się w pozostawiony za wysoką wydumą znak - z pozoru niedbale ułożone kamienie i kawałki drewna, zajmujące powierzchnię może z półtora metra kwadratowego. Od piasku odcinały się wyraźnie cyfry: 613. Reynolds starał się odczytać pozostawiony sygnał, szukając jakiejś wskazówki, co też może oznaczać. Sześćset trzynaście. O co chodzi?

Szef Sztabu Sił Powietrznych znowu spojrzął na przyjaciela i zapytał:

- To trzeci raz, kiedy znaleźli taki znak?

Davis podniósł się z fotela i podszedł do okna. Wyrzał przez przyciemnianą szybę na rozciągający się w dole parking.

- Tak - potwierdził. - Pierwszy wykryliśmy dwa tygodnie temu, drugi - w sobotę wieczorem. A ten dzisiaj, z samego rana. Drugi był zrobiony tak samo jak ten, z kamieni i szczątków drewna.

- Gdzie się znajdował?

- Dwadzieścia siedem kilometrów na północ od Bagdadu, koło wojskowej drogi, która prowadzi do bazy Dhahq es 'Ana. Na naszych mapach ta droga jest oznaczona jako Route 66. Jest zamknięta dla ruchu cywilnego. Wojsko korzysta z niej jednak bez przerwy. Zatem ktokolwiek pozostawił ten sygnał, wiedział co najmniej dwie rzeczy. Po pierwsze, że wykryjemy go, obserwując z powietrza bazę; po drugie - że ryzykuje życie. Prawdopodobieństwo, że autor sygnału zostanie wykryty wynosiło ponad pięćdziesiąt procent. Ta droga jest bardzo dobrze strzeżona i z pewnością bez przerwy obserwowana. Zatrzymanie się i ułożenie cyfr mogło kosztować życie tego człowieka.

Wallet podniósł wzrok.

- Czy za każdym razem nie było nic oprócz cyfr? Nie wiesz nic więcej?

- Nie, to wszystko. Liczba 613. Nie wiadomo dlaczego ją ułożono, ani kto to zrobił. Zabawne, jeszcze nigdy z czymś takim się nie spotkałem. Brent Hillard z CIA aż rwie włosy z głowy, żeby dowiedzieć się, co to jest. Kazał swoim analitykom zdjęć i specjalistom od Iraku pracować nad tym dwadzieścia godzin na dobę. Sądzi, że to coś ważnego. Ja też tak czuję. Jednak na razie nic nie wiadomo, a chłopcy próbowali już wszystkiego. Przypisywali cyfry do liter alfabetu, zarówno angielskiego, jak arabskiego. Przepuścili na komputerach liczbę 613 przez pół miliona różnych kodów bezpieczeństwa. Na razie najbardziej sensowną odpowiedzią, do jakiej doszli, jest skrót od nazwy pewnego starożytnego miasta, zakopanego w piasku na północ od Bagdadu. I co by to miało znaczyć? Nikt nie wie.

Generał Reynolds odłożył fotografie na biurko, wyprostował się i westchnął.

- Naprawdę myślisz, że ktoś stara się nas ostrzec? - spytał. - W Bagdadzie jest ktoś, kto chce podnieść alarm?

Beck nie odwracał wzroku od okna.

- Nie wiem, Wally - odpowiedział. - Jednak coś tam się dzieje. Ostatnio zbyt wiele rzeczy zdarzyło się naraz. W zeszłym tygodniu ostrzegł nas Izrael. Irakijczycy nagle wygonili inspektorów ONZ. Nastąpił wzrost liczby nadawanych z Bagdadu komunikatów. Wzdłuż granicy iracko-tureckiej wykryliśmy niezidentyfikowane obiekty. Z pewnością coś się kroi. Tak się zawsze zaczyna.

- A co z naszą delegacją w Kuwejcie? - spytał Reynolds. - Dano mi do zrozumienia, że mogą osiągnąć postępy.

- Ee tam - mruknął Beck. - To tylko strata czasu. Nic nie osiągnęli i wiadomo, że nie osiągną. Prezydent podjął wielkie ryzyko polityczne, wysyłając delegację na tak wysokim szczeblu. - Davis rzucił przekleństwo i uderzył pięścią w biurko, wykrzywiając twarz. - Jutro stamtąd wyjeżdżają, i czego dowiedzieli się w Bagdadzie? Usłyszeli tylko kolejne obietnice i co tam jeszcze Irakijczykom ślina na język przyniosła. Jak zwykle. Ale mówię ci, Wally, to się skończy. Czuję w kościach, że poleje się krew, i to strumieniem. Jestem zdenerwowany; łażę z kąta w kąt, a w nocy nie mogę spać. Będzie wojna, a my nie możemy nic na to poradzić. Szykowali się od lat i teraz właśnie dadzą wszystkim popalić. Za wiele mamy sygnałów, a czasu - zbyt mało.

- Czy zatem, jako zwierzchnik, rozkazujeś mi zebrać grupę „Pożoga”?

Davis pokiwał głową.

- Tak, podejmij wstępne kroki. Wybierz uczestników, powiadom ich i przekaż mi listę. Na razie proszę tylko o tyle. Jeśli okaże się, że są potrzebni, to przynajmniej szybciej się zbiorą. Musimy być gotowi, Wally, nawet jeśli politycy są jeszcze w proszku. Jeśli obudzimy się z rękaw nocniku, nas pierwszych to dotknie.

Reynolds wyszedł zza biurka i usiadł w fotelu.

- Tak jest, sir - odpowiedział. - Zrobi się. Za dwanaście godzin będzie tu pułkownik Wisner. Zamelduję się, kiedy ustali skład grupy.

- Dobrze - skwitował Beck. - Ja dam sprawę z sytuacji prezydentowi. Wywoła to sporą dyskusję i część Rady Bezpieczeństwa Narodowego nie będzie się z nami zgadzać. Ale tak czy owak, będziemy trochę do przodu.

Wallet kiwnął głową. Przewodniczący Szefów Sztabów ruszył ku drzwiom, którymi można było wyjść na korytarz omijając sekretariat. Szef Sztabu Sił Powietrznych popatrzył za nim. Nagle Davis zatrzymał się i pokazał na ścianę.

- Zdajesz sobie sprawę, co jest jutro? - zapytał, marszcząc czoło.

Reynolds zawahał się, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Obawiam się, że nie, sir - przyznał słuźbiście.

Jego zwierzchnik ponownie wskazał kalendarz i wyjaśnił:

- Jest czerwiec, Wally. Trzynasty czerwca. Jutro. „Sześć” i „trzyście”...

Kiedy wysłano sygnał do amerykańskiego obozu w południowym Iraku, zachodziło słońce. Wielka, pomarańczowoczerwona kula usadowiła się na pustynnym horyzoncie. Głęboko, w jednej z wąskich dolinek łożyska płynącej leniwie, błotnistej rzeki Tygrys,

ukrył się niewielki obóz CIA i wojskowych specjalistów. Jego mieszkańcy właśnie wstali i zaczęli pracę. W miarę jak robiło się ciemno, z namiotów wychodziło coraz więcej ludzi.

Zakodowaną wiadomość przesłano przez satelitę. Sygnał trwał zaledwie niecałe pół sekundy. W namiocie łączności odszyfrowano go, a następnie zaniesiono do dowódcy obozu. Major odczytał uważnie komunikat, po czym zebrał ludzi.

- Rozmieścić zbiorniki z paliwem na lądowiskach dla śmigłowców - rozkazał, pokazując w kierunku gumowych „pęcherzy” z paliwem lotniczym JP-4. - Być może śmigłowce nadlecą już jutro. I niech drużyny zwiadowcze bez przerwy obsadzają wzgórza na południu. Chcę, żeby każde żywe stworzenie w odległości piętnastu kilometrów stąd było obserwowane.

## 2.

### Baza Sił Powietrznych Mountain Home, Idaho, USA Dzień drugi (środa), 15.25 czasu miejscowego

Charlie McKay był szczęśliwy. Rozpierała go od rana energia. Za dwie godziny miał znaleźć się w powietrzu. Pachniało rozkosznie, jak to w słoneczny, wiosenny dzień. Właśnie zdecydowano o awansie McKaya i już niedługo będzie nosił złote listki majora. Aby uczcić siedemset dolarów miesięcznie więcej, kupił sobie nowego saaba, tysiąc akcji MiTech, (których cena zaraz potem przekroczyła osiem dolarów za sztukę) i wpłacił pięćset dolarów na konto Armii Zbawienia. Podjechał też do centrum handlowego i kupił sobie całą paczkę nowych bokserek, takich, jakie najbardziej lubił. Z małymi diabełkami i złamanymi serduszkami. Z uśmiechem przejrzał się teraz w lusterku wstecznym. No, proszę. Nawet jego włosy dobrze wyglądały. Oparł się wygodnie. Czego jeszcze mógł chcieć więcej? Wcisnął pedał gazu i przyspieszył do stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Za oknami śmigał charakterystyczny dla stanu Idaho krajobraz - niewysokie, rdzawe pagórki, niebieskawe zarośla szaławii i skały. Charlie jechał na południe autostradą międzystanową 1-84. Ruch był niewielki. McKay posuwał się od miasta Boise w stronę bazy Sił Powietrznych Mountain Home, odległej od Boise o siedemdziesiąt sześć kilometrów. Gładki i prosty pas drogi przecinał równinę Owyhee, dzielącą pasma górskie Sawtooth i War Eagle. Kapitan rzucił okiem na prędkościomierz i zwolnił nieco; następnie popatrzył na zachodni odcinek horyzontu, nad którym zbierały się burzowe chmury. Obok słońca urosły wysokie, białe kolumny, rozszerzające się ku górze i przechodzące w czerń. Właśnie zaczynał padać z nich deszcz - od chmur spływały stalowoniebieskie plamy. Wkrótce zaczną grzmieć pioruny, a gęste krople deszczu zroszą pustynię, która wchłonie wodę jak gąbka i następnego ranka będzie znowu sucha.

Wieczorem, tuż przed zachodem słońca, Charlie ma poprowadzić grupę myśliwskobombowych F-15E Strike Eagle na najważniejsze w tym roku ćwiczenia w powietrzu.

Wkrótce po starcie jego maszyny dołączą do trzydziestu innych i wezmą udział w dużej operacji. Przez dwie godziny i dwadzieścia minut będą kryć się jedni przed drugimi i bombardować „nieprzyjacielskie” cele. Takie ćwiczenia to poważne wyzwanie dla pilotów, ale również wspaniałe przeżycie i świetna zabawa.

Charlie wcisnął przycisk koło podłokietnika i opuścił szybę w drzwiach kierowcy. Do samochodu wpadło wiosenne powietrze, już ciężkie od zbliżającej się wilgoci. Poryw wiatru przetoczył przez drogę kilka kłębow „waty” z topoli amerykańskich. Potężne cumulonimbussy pożerały stopniowo słoneczne niebo, i czyste, górskie powietrze zaczęło się ochładzać.

McKay przyjrzał się nadciągającym chmurom. Latał od dziesięciu lat i zdążył już nabrać respektu dla rozwijającej się w taki sposób burzy. Wraz z pierwszą błyskawicą błogi nastrój pilota przygasł odrobinę. Niepomyślna pogoda znowu miała mu rzucić poważne wyzwanie, tak jak już kilka razy wcześniej.

Jeśli w ogóle nie rozkażą wszystkim pozostać tego dnia na ziemi.

Pół godziny później, kapitan wjechał na parking 391 Dywizjonu Myśliwskiego, zwanego „Śmiałe Tygrysy”. Zatrzymał samochód na wolnym miejscu, wysiadł i sprawdził mundur oglądając swoje odbicie w szybie. Poprawił czapkę i wygładził bluzę. Mimo że Charlie miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, dzięki potężnym ramionom i szerokiej klatce piersiowej robił wrażenie bardziej krępego niż wysokiego. Dorastał na ranczo, gdzie przez całe lato przerzucał czterdziestokilogramowe bele siana. Miał jasne, niebieskie oczy i opaloną, gładką skórę, gdyż każdą sposobną chwilę spędzał na słońcu. Popielec blond włosy nosił krótko przystryżone. Sterczały mu do góry, zwłaszcza wokół „bocianiego gniazda” z tyłu głowy. W kącikach ust zrobiły mu się małe, wesołe zmarszczki, ponieważ bardzo często się uśmiechał, chociaż gdy był zamyślony, wydawał się groźny, a może nawet trochę smutny.

Kiedy skończył przeglądać się w szybie, ruszył w kierunku ceglanego, parterowego budynku bez okien, z jedynymi małymi, stalowymi drzwiami, nad którymi znajdował się za to jaskrawy, kolorowy, prążkowany tygrys bengalski, namalowany artystycznie sprayem. Wyciągał łapy w stronę każdego wchodzącego. Obok wejścia stała tabliczka z napisem:

WITAMY W JASKINI TYGRYSA  
SIEDZIBIE  
391 NAJLEPSZEGO DYWIZJONU MYŚLIWSKIEGO ŚWIATA

Charlie wstukał kod do cyfrowego zamka i wszedł. Ruszył do pokoju operacyjnego, gdzie znajdował się rozkład lotów. Spojrzał na wielką tablicę z pleksiglasu, na której oznaczano kolorowymi markerami poszczególne loty. Nie było na niej śladu czerwieni, zatem niczego nie odwołano ani nie wprowadzono żadnych zmian. Manewry miały się odbyć. Kapitan ruszył wąskim korytarzem do sali odpraw. Odprawę naznaczono na szesnastą. Popatrzył na zegarek. Była już piętnasta pięćdziesiąt pięć.

Kiedy mijał sekcję dowodzenia, ktoś zawołał go po nazwisku. Odwrócił się i szedł

dalej, tyłem, nie chcąc się spóźnić. Z pokoju wysunął się podpułkownik Magill - dowódca dywizjonu.

- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmił.

Charlie zerknął na zegarek po raz drugi.

- Za dwie minuty odprawa, sir - powiedział. - Nie spóźnię się?

- Idź na odprawę - odparł dowódca. - Natychmiast potem przyjdź do mnie.

- Dobrze, sir. - Charlie skinął głową. - O co chodzi?

- Po prostu przyjdź - odparł krótko Magill. Charlie chciał zaprotestować, ale rozmyślił się i pobiegł na odprawę.

McKay wpadł na salę akurat, kiedy gaszono światło. Oparł się o ścianę, dopóki wzrok nie przyzwyczaił się do półmroku i poszukał wolnego krzesła. Za małym, drewnianym pulpitem stał wysoki chudzielec. Nacisnął ukryty pod pulpitem przycisk i stalowe drzwi zamknęły się z głośnym szczękiem potężnego zamka. Teraz nikt nie wejdzie ani nie wyjdzie z sali.

Sala odpraw została zaprojektowana na podobieństwo małego kina - po obu stronach wiodącego środkiem przejścia stało w rzędach po czterdzieści krzeseł. Naprzeciw, znajdował się duży, biały ekran. Nad drzwiami zaświecił się ostrzegawczy napis: TAJNA ODPRAWA. Przez ekran przesunął się inny, generowany komputerowo napis:

ĆWICZENIA BOJOWE „BŁĘKITNA SIŁA”  
UZBROJENIE DELTA  
TA ODPRAWA MA STATUS TAJNEJ  
AKTUALNY CZAS. ..16.00.06

Na ekranie zmieniały się kolejne sekundy. Wszyscy sprawdzili zegarki, żeby je w razie potrzeby nastawić.

W sali siedzieli piloci z całej bazy, ze wszystkich pięciu dywizjonów składających się na skrzydło. Wszyscy byli ubrani tak samo jak Charlie - w ciemnozielony kombinezon lotniczy i lekką, skórzaną kurtkę. Rozparli się na krzesłach i pootwierali notatniki. „Bałwan” - meteorolog bazy - stał na podwyższeniu z przygotowaną prognozą pogody w ręku.

- Wszystko dobrze się zapowiada - oznajmił, pokazawszy na ekranie kilka map. Na zachodzie zaczyna się burza, ale po zmroku chmury powinny się rozproszyć i przesunąć na południe. Do czasu, kiedy będziecie startować nie powinny już sprawiać żadnych kłopotów.

Rozległ się pomruk złości.

- Kłamiesz! - zawołał ktoś z ciemności. - Spalić go! To czarownik!

Od synoptyka i wiszącego nad nim projektora zaczęły odbijać się rzucone kulki papieru.

- Wyglądałeś na dwór? - odezwał się inny głos. - Chmury aż się kłębią. Tam, gdzie siedzisz nie ma żadnych okien?

„Bałwan” stał nieporuszony. Nie pierwszy raz spotykał się z taką reakcją pilotów.

- Ej, czy nie powiedziałem, że się przejaśni? - zawołał głośno. - Powiedziałem. Oczywiście, że w tej chwili zaczyna się mała burza, ale przewidujemy, że przesunie się na południe. Zanim wystartuje pierwszy samolot, niebo będzie czyste i...

Znowu zaczęto rzucać papiery.

- Siadaj! - zawołał ktoś kolejny.

„Bałwan” uśmiechnął się i pogroził chłopcom palcem, a następnie pozbierał slajdy i wrócił na miejsce. Nad głową przeleciał mu ostatni papier.

Charlie przyjrzał się siedzącym jeszcze raz. Próbował wyłowić kolegów, patrząc na ich głowy od tyłu. Oczy przyzwyczyły mu się wreszcie do ciemności i mógł odróżnić znajome zarysy postaci. Zobaczył, że ktoś do niego macha. Był to kapitan Alex Bennett, zwany „Zabójcą” - oficer uzbrojenia McKaya. Był jego najlepszym przyjacielem i jednym z najbardziej cenionych lotników dywizjonu. Nikt nie umiał zrzucać bomb tak celnie jak on. „Zabójca” pokazał na wolne krzesło. Charlie zrobił parę kroków i po cichu zajął miejsce.

Do pulpitu podszedł oficer wywiadu skrzydła.

- Dobra, zacznijmy od małego ćwiczenia w rozpoznawaniu celów - powiedział. Zabębnił palcami w klawiaturę komputera, sterującego podwieszonym na suficie projekto-rem. Na trzymetrowym ekranie błysnęła ciemna sylwetka. Był to tylko ledwie rozróżnialny cień, jednak każdy z zebranych wiedział, co to jest.

- Swoj czy obcy? - spytał oficer.

- Obcy! Obcy! - Piloci zaczęli wyć.

- Co to jest?

- MiG-29! Zestrzelić go! - odpowiadali krzykiem.

Oficer wywiadu uśmiechnął się.

- Zgadza się. To nasz groźny wróg, MiG-29. - Wyjął laserową wskazówkę i pokazał na ekran. - Jak wiecie, łatwo go rozpoznać dzięki dwóm statecznikom pionowym i ściętych wlotach powietrza do silników, umieszczonych zaraz za nasadą skrzydeł. Jednak można go zidentyfikować błędnie, i już się to zdarzało. Przyjrzyjcie mu się więc dobrze jeszcze raz, a ja w tym czasie powiem wam, że, jak podaje CIA, kolejne siedemnaście maszyn - tak siedemnaście MiG-ów 29 - jedzie kolejną do Iraku. Irak będzie miał teraz prawie sześćdziesiąt najlepszych i najgroźniejszych myśliwców świata. Trzy pełne dywizjony. Wszystkie gotowe do walki. To same modele Mike, najnowszej generacji, z radarem do śledzenia terenu Slot Back, radarem do prowadzenia ognia powietrze-ziemia, dalmierzem laserowym i celownikiem w hełmie pilota. Te ulepszenia, są dla nas bardzo niekorzystne. Dlatego ci z was, którzy polecana lato do Arabii Saudyjskiej - muszą mieć oczy otwarte i uważać na te kociaki, bo będą startowały z bazy na południe od Bagdadu, latały z włączonymi radarami i śledziły was.

Charlie skrzywił się na myśl o letniej podróży. Znowu spędzi sto dwadzieścia dni w bazie Prince Sultan, w środku pustyni. Kolejne cztery miesiące będzie spał w namiocie, jadł jakieś paskudztwa z puszek i dzielił pryczę ze skorpionami i pustynnymi pchłami. Cztery miesiące latania szerokimi kręgami nad południowym Irakiem, aby wymusić na Irakijczykach przestrzeżenie ustalonej strefy zakazu lotów.

Oficer wywiadu opisał możliwości nowych rosyjskich myśliwców, które właśnie

wieziono do Iraku. Większość pilotów słuchała z najwyższą uwagą. Charlie rozparł się jednak na krześle i gapił się w sufit. „Zabójca” popatrzył na niego i szepnął:

- Podpułkownik Magill cię szukał.
- Wiem, widziałem się z nim - odparł McKay.
- I co? Wyglądało, że to coś ważnego.
- Jeszcze nie wiem. Nie miałem czasu z nim rozmawiać. Kazał mi przyjść zaraz po odprawie.

Bennett zawahał się, a następnie pilnie zaczął się przyglądać pulpitowi. Następnie głos zabrał major Fisher - dowódca grupy samolotów, które miały wziąć udział w ćwiczeniach. Był wysokim i chudym człowiekiem o pociągłej twarzy i długim, garbatym nosie, którego kształt zawdzięczał najprawdopodobniej licznym sparringom, kiedy to w czasach studenckich trenował boks. Jako młody porucznik, zyskał sobie przydomek „Gupik”, jednak przestano go tak nazywać pierwszej nocy wojny w Zatoce Perskiej, poprowadził wówczas klucz myśliwców przez zaporowy ogień artylerii przeciwlotniczej i rakiet ziemniopowietrze nad samym centrum Bagdadu i zbombardował irackie wyrzutnie rakietowe. Podczas tego lotu Fisher, jako jeden z nielicznych w tamtej wojnie zestrzelił nieprzyjacielski myśliwiec. Po zakończeniu misji koledzy doszli do wniosku, że kogoś takiego nie można już nazywać „Gupikiem”. Od tego dnia został więc „Rekinem”.

Jako dowódca „Błękitnej Siły”, Fisher musiał zaplanować całą operację. To on miał określić cele do zniszczenia i wybrać samoloty, które wezmą udział w akcji. Dano mu do dyspozycji potęgę - myśliwce F-15 i F-16, naddźwiękowe bombowce B-1 i powietrzne tankowce. W ćwiczeniach miały wziąć udział trzydzieści dwa samoloty, warte około dwóch miliardów dolarów.

„Rekin” ułożył notatki, podniósł laserową wskazówkę i uruchomił komputer. Zebrani milczeli z uwagą. Duży ekran przygasł, a następnie rozbłysnęła na nim mapa, przedstawiająca południowo-zachodnią Azję, od Turcji aż do Zatoki Adeńskiej. Major popatrzył na mapę, a potem odwrócił się do pilotów.

- Dobry wieczór, Rewolwerowcy - zaczęła, używając radiowego kodu skrzydła. - Chciałbym się przedstawić tym, którzy mnie nie znają. Jestem major Fisher. Nazywają mnie „Rekinem”. Jestem naziemnym dowódcą waszej misji. Dzisiejsze ćwiczenia będą symulacją operacji w południowo-zachodniej Azji. Mamy pozorować start z Al Kharj, w centralnej Arabii Saudyjskiej. - Włączył laser i pokazał na oznaczone w pobliżu środka ekranu lotnisko. - Scenariusz geopolityczny jest następujący: w ciągu ostatnich trzech tygodni zarówno armia turecka, jak iracka wielokrotnie naruszyła granicę turecko-iracką. W dodatku, według wstępnych danych wywiadu, przerzuca się broń i zapasy z irańskich obozów zaopatrzeniowych w Rutbie - o, tu - do kurdyjskich partyzantów w górach na północy Iraku. W ciągu ostatnich siedemdziesięciu godzin elitarna Gwardia Republikańska Husajna opuściła zajmowane dotychczas pozycje w garnizonach wokół Bagdadu i zaczęła przemieszczać się na północ.

Dziś, wcześnie rano, nastąpił zmasowany atak kurdyjskich rebeliantów, wspomaganych przez podziemie z Iranu i Turcji, na silnie bronione irackie miasto Erbu. Zdjęcia satelitarne pokazują, że znaczna część miasta płonie. CNN podaje, iż doszło do masowych



egzekucji funkcjonariuszy partii Husajna oraz innych miejscowych oficjeli. Zaatakowano także jeden z letnich pałaców Saddama, gdzie przebywały jego dwie córki. Według niepotwierdzonych meldunków, jedna z nich zginęła, wraz z dwójką dzieci. Husajn poprzysiągł zemstę.

Od trzech godzin wzrosła liczba komunikatów radiowych nadawanych z rejonu magazynów, w których, jak podejrzewamy, przechowywana jest broń chemiczna, niedaleko irackiego lotniska Falluja. Osiem MiG-ów 29, przeznaczonych do zwalczania celów naziemnych, zostało przeniesionych do bunkrów, prawdopodobnie w celu uzbrojenia w broń chemiczną.

Musimy, zgodnie z rezolucją ONZ numer 487, powstrzymać władze Iraku przed użyciem broni masowej zagłady. W związku z tym mamy zniszczyć lotnisko i związane z nim obiekty: hangary, budynek dowodzenia, bunkry, wszelką broń, zbiorniki paliwa, a przede wszystkim bunkry - gdzie, jak sądzimy, jest skład broni chemicznej - znajdujące się na zachodnim skraju bazy.

- Nie będzie to łatwe, jak może się wam wydawać. Po raz pierwszy od czasu wojny w Zatoce Perskiej w powietrzu będzie wiele nieprzyjacielskich myśliwców, stawiających nam opór. Wygląda na to, że w tej chwili Husajn zdecydował się poświęcić swoje siły powietrzne dla obrony lotniska i oddziałów lądowych. Rozpoznawcze RC-135 działające w rejonie Morza Śródziemnego przechwyciły komunikat radiowy nadany przez grupę co najmniej dwudziestu irackich samolotów bojowych, znajdujących się w powietrzu na południe od Falluja.

Tak wygląda nasz symulowany scenariusz, panowie. A teraz streszczę wam prawdziwą sytuację. - Oficer zrobił pauzę, a po chwili kontynuował: - Jak wiecie, dywizjon szkoleniowy z bazy Nellis w Nevadzie będzie udawał irackich napastników. Przeciw wam wylecą F-15, brytyjskie Tornada i F-18 Hornet marynarki. Nie muszę wam chyba przypominać, że ich załogi siedzą w tej chwili w podobnej sali odpraw i planują, jak rozzerwać was na strzępy.

Pokonanie ich może być łatwiejsze od drugiej części misji. Symulowany rejon celu na poligonie w Utah stał się ostatnio jedną z najlepiej bronionych baz lotniczych świata. - Na ekranie zaświeciła się seria czarno-białych fotografii zwiadowczych, na których były oznaczone stanowiska obrony przeciwlotniczej. - Jak widzicie, znajdują się tu liczne wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze, włączając w to nowe SA-10 i SA-12 produkcji radzieckiej, ustawione z trzech stron celu. Do tego, wokół samego lotniska rozmieszczono cztery baterie artylerii przeciwlotniczej. Należy powiedzieć, że w rejonie celu występują „liczne zagrożenia”.

Jeden z pilotów F-16 aż parsknął. Było jasne, że „liczne zagrożenia” to eufemizm. „Rekin” popatrzył na jego kolegów, siedzących w grupie.

- Za to właśnie tak was kochamy, chłopcy z F-16 - powiedział. - Wy jesteście naszym kluczem do sukcesu. Dzisiejszej nocy waszym jedynym zadaniem, jedynym celem, jest zlikwidowanie nieprzyjacielskich wyrzutni rakiet kierowanych radarem. Jeśli wam się to uda, będziemy szczęśliwi. Jeżeli nie - wszyscy poniesiemy klęskę. Rozwalcie je. Liczymy na was.

Major zrobił kolejną pauzę i odwrócił się do ekranu. Zaczął omawiać szczegóły lotu. Wszyscy słuchacze robili dokładne notatki. Pięćdziesiąt minut później, Fisher doszedł do końca.

- Jeszcze jedno - powiedział, wskazując laserem Charliego. McKay wstał, a „Rekin” przejechał czerwonym punkcikiem wokół jego piersi. - Kapitan McKay i jego oficer uzbrojenia, Alex Bennett, pracowali ze mną przez kilka ostatnich dni nad szczegółami tego planu. Sądzymy, że jest dobry. Jednak jak wicie, żaden plan się nie sprawdza, jeśli zbyt wcześnie napotka się siły przeciwnika. Jeżeli atak idzie pomyślnie, to dlatego, że nieprzyjaciel nie przewidział jego przebiegu. Ponieważ mieliśmy to na uwadze, kapitan McKay będzie waszym dowódcą misji w powietrzu. Odpowiada za koordynację ataku, a także za podejmowanie wszelkich decyzji, w zależności od zmieniającej się sytuacji. Przez cały czas będzie prowadził nasłuch na pierwszej częstotliwości misji. Kiedy zaczniecie mieć kłopoty, możecie się z nim porozumieć. Koordynacją wszelkich zmian w planie zajmie się właśnie kapitan McKay.

W sali powoli się rozjaśniło.

- Są pytania? - upewnił się „Rekin”, podczas gdy mężczyźni zbierali notatki. - W porządku - skwitował, kiedy nikt nie podnosił ręki. - Raport z misji zdacie tu o dwudziestą czwartą zero zero. Dobrego polowania, rewolwerowcy. Do dzieła.

Lotnicy podnieśli się z miejsc. Za godzinę i kilka minut miały już startować latające tankowce KC-135. Ich załogi zebrały wyposażenie i pobiegły do samolotów. „Zabójca” ruszył po hełm i kamizelkę przeciwodłamkową. Charlie zaś poszedł poszukać podpułkownika Magilla.

Kapitan Charlie McKay zastukał w futrynę otwartych drzwi i wszedł do pokoju dowódcy dywizjonu. Olbrzymi podpułkownik Magill stał za biurkiem. Opierał się o wciśnięty za biurkiem stolik i rozmawiał przez telefon. Podniósł wzrok na McKaya i pokazał mu nieduży, skromny fotel. Charlie usadowił się naprzeciw dowódcy. Magill z uwagą słuchał rozmówcy, patrząc w podłogę i potakując.

Kapitan usłyszał za plecami kroki. Odwrócił głowę i zerwał się na baczność, ponieważ wszedł pułkownik. Magill podniósł wzrok i natychmiast odłożył słuchawkę.

Elegancki pułkownik wyglądał jak wzorzec dowódcy - miał szlachetną twarz i wydawał się bardzo pewny siebie. Był mężczyzną wysokim i szczupłym, o ciemnej cerze, nie naturalnie błękitnych oczach, długich rękach i szpakowatych, jasnych włosach. Wyglansowane buty błyszcząły, a lotniczy kombinezon opinał się na klatce piersiowej i ramionach. Podeszedł do Charliego i wyciągnął rękę.

- Jestem Danny Wisner - przedstawił się.

- Kapitan McKay, sir - odparł słuźbiście Charlie. Pułkownik potrząsnął jego dłonią i zwrócił się do Magilla: - Czy to ten pilot, o którym rozmawialiśmy? - Dowódca skrzydła skinął głową. Pułkownik zamknął drzwi, usiadł w rogu brązowej, skórzanej kanapy i popatrzył na McKaya. Oparł się i założył nogę na nogę. Kapitan wpatrując się w niego z uwagą, usiadł sztywno.

Podpułkownik Magill podeszedł do nich i przysiadł na krawędzi biurka. Założył ręce, po czym wyjaśnił:

- Pan pułkownik Wisner przyleciał z Pentagonu. Pracuje nad specjalnym projektem sztabu Sił Powietrznych. Podlega bezpośrednio generałowi Beckowi... - Dowódca skrzydła zrobił małą pauzę, żeby znaczenie tego, co mówi dotarło do McKaya, a ponadto słowa, które miał powiedzieć, nie chciały mu przejść przez gardło.

Generałowi Beckowi - pomyślał tymczasem Charlie - przewodniczącemu Połączonego Komitetu Szefów Sztabów. Głównodowodzącemu wszystkimi wojskami Stanów Zjednoczonych. Być może jednemu z najpotężniejszych ludzi na świecie. MacKay zerknął na orzełki na ramionach pułkownika, które bez wątpienia ustąpią wkrótce miejsca srebrnym, generalskim gwiazdkom.

- Pan pułkownik Wisner słyszał co nieco o naszym dywizjonie - ciągnął Magill. - Słyszał, że dobrze się spisujemy. Przyleciał, żeby zobaczyć to na własne oczy.

Charlie natychmiast stał się podejrzliwy. Ten pułkownik był z pewnością bardzo zajęтым człowiekiem. Służba w sztabie Sił Powietrznych to niezwykle ciężka robota, nawet na najniższym stanowisku. Bezpośrednia współpraca z generałem Beckiem z pewnością oznaczała prawdziwą mordęgę. Bez wątpienia pułkownik Wisner harował w czeluściach Pentagonu piętnaście godzin na dobę. A mimo tego przeleciał przez pół kraju, żeby ocenić ich dywizjon? Tak nagle postanowił się rozejrzeć?

Charlie nie wierzył, żeby tylko o to chodziło. Coś wisiało w powietrzu.

Zerknął w stronę Magilla, ale jego zwierzchnik patrzył przed siebie. McKay wzruszył ramionami.

- Sir, jeśli chce pan obejrzeć nasz dywizjon w akcji, ma pan właśnie okazję - powiedział. - Proszę nas porównać z dowolnym dywizjonem myśliwskim świata. Jesteśmy po prostu najlepsi. Potwierdzają to konkretne liczby.

Wisner przez chwilę nie odpowiadał. Zmienił pozycję, zamieniając nogi i lustrował McKaya od stóp do głów.

- A więc uważa pan, że jesteście najlepszym dywizjonem w całych Siłach Powietrznych?

- Nie, sir.

- Przed chwilą powiedział pan, że...

- Powiedziałem, że jesteście najlepszym dywizjonem myśliwskim na świecie, panie pułkowniku - wyjaśnił Charlie.

Wisner patrzył tylko na niego. Kapitan uśmiechnął się i popatrzył na Magilla, potem znowu na Wisnera.

- Czy to prawda, że pan jest najlepszym pilotem tego dywizjonu? - chciał się jeszcze upewnić wysłannik Pentagonu.

McKay nie wiedział co ma odpowiedzieć na to pytanie. Wprawdzie większość pilotów myśliwskich uważa się za najlepszych, jednak nigdy nie mówią tego głośno. Podczas walki nie było miejsca, aby piloci jednego dywizjonu konkurowali między sobą. Przecież nie chodzi o walkę „ty przeciw mnie”, tylko „my przeciw nim”. A zatem postawione tak bezpośrednio pytanie wydawało się nieodpowiednie i niecelowe.

Charlie milczał przez dłuższą chwilę, aż w końcu odparł:

- Doprawdy, trudno mi odpowiedzieć, sir.

Pułkownik cały czas go obserwował.

- Myślę, że ta odpowiedź mi wystarczy - skwitował. - Gdyby był pan najlepszy, nie ukrywałby pan tego. Pewność siebie to podstawa zdolności pilota myśliwskiego do walki. Z mojego doświadczenia wynika, że gdyby kazać pilotowi myśliwskiemu zmienić żarówkę, wetknąłby ją w gniazdko i czekał, aż świat obróci się dookoła żarówki.

Teraz McKay spięty poruszył się na krześle. Popatrzył na pierś pułkownika, gdzie widniały skrzydełka oznaczające pilota. Z pewnością sam Wisner służył niegdyś jako pilot myśliwski, dlatego więc dokuca jednemu ze swoich?

- Sir, może to się sprawdza w przypadku niektórych pilotów - odezwał się w końcu zirytowany Charlie. - Jednak niektórzy z nas wolą rozmawiać ze swoją maszyną, niż przechwalać się przy barze.

Pułkownik skinął głową.

- W porządku - odparł. - Tak powinno być. Proszę mi teraz powiedzieć, kapitanie, co pan robił podczas wojny?

- Latałem na F-15C, sir, w Pierwszym Skrzydle Myśliwskim, stacjonującym w bazie Langley.

- I odniósł pan tam jakieś sukcesy?

- Trochę - zgodził się Charlie.

Pułkownik podniósł palec do ust, po czym wyciągnął z kieszeni na piersi karteczkę. Nie patrząc na nią wyrecytował z pamięci:

- Szkołę lotniczą ukończył z wyróżnieniem. Proponowano, żeby w niej pozostał, jako instruktor. Jeden z najmłodszych pilotów, jakich wybrano do służby na nowych F-15E. Zwycięzca konkursu na najlepszego strzelca - Top Gun - przez cztery lata z rzędu. Zestrzelił w walce trzy nieprzyjacielskie maszyny nad Bagdadem. To nie udało się nikomu innemu podczas całej wojny w Zatoce Perskiej. Najlepszy współczynnik liczby lotów na jedno zestrzelenie od czasu wojny koreańskiej. Wygląda mi pan na prawdziwego asa. Jeśli nie brać pod uwagę incydentu z pańskim uczniem, jeszcze w Del Rio, to najlepsza historia służby pilota myśliwskiego, jaką czytałem.

Charlie popatrzył w przenikliwe oczy pułkownika, zastanawiając się, jakiej odpowiedzi od niego oczekują. Był zirytowany i miał ochotę wyjść. Czekał go trudny lot, którym ma dowodzić. Zerknął po raz kolejny na dowódcę dywizjonu, szukając w nim oparcia. Magill odpowiedział na jego spojrzenie, ale się nie odzywał.

Przybysz uśmiechnął się, po raz pierwszy od chwili, kiedy wszedł do pokoju. Wstał i spytał Magilla:

- Czy ma pan kopię mapy?

Przełożony McKay'a skinął głową, obszedł biurko i otworzył górną szufladę. Wyjął z niej kolorową mapę lotniczą o rozmiarach metr na metr i rozłożył ją. Charlie zobaczył, że to mapa, którą będzie się posługiwał podczas wieczornej misji. Zbliżył się do biurka. Pułkownik Wisner także.

- Kapitanie McKay, dowodzi pan dzisiaj misją. Proszę mi pokazać, co pan obmyślił - polecił Wisner.

Charlie zastanowił się przez krótką chwilę, po czym obrócił mapę tak, żeby pułkownikowi było wygodnie i szybko nakreślił zarys planu, pokazując punkty tankowania

samolotów, miejsca, gdzie będą krążyć tankowce, trajektorie ataku, plan wycofania samolotów, rejony bombardowania, umiejscowienie zagrożeń, zasady podejmowania walki powietrznej. Wisner słuchał, potakując; od czasu do czasu rzucił jakieś pytanie.

Kiedy McKay skończył, pułkownik odezwał się:

- Kapitanie, niech pan pozwoli, że spytam o następującą rzecz: co najgorszego może się dzisiaj zdarzyć? Co mogłoby spowodować niepowodzenie misji?

Charlie pomyślał i odparł:

- Najślabszym ogniwem planu jest zadanie spoczywające na F-16. Jeśli nie zdołają dotrzeć na miejsce i zlikwidować nieprzyjacielskich radarów, kierujących raketami ziemia-powietrze, wtedy, jako dowódca misji w powietrzu, wydam rozkaz przerwania operacji. W tym przypadku atak na tak broniony cel oznaczałby dla nas zbyt duże straty.

Pułkownik patrzył na mapę, aż wreszcie pokiwał głową.

- Zgadzam się. Jednak poza tym elementem ryzyka, plan wydaje się dobry. Z niecierpliwością oczekuję rozpoczęcia operacji.

- Będzie pan ją obserwował, sir? - Charlie zrobił wielkie oczy.

- Owszem, wybiorę się z wami.

McKay chrząknął. „Wybiorę się z wami”. Ale sformułowanie! Zupełnie, jakby Wisner zamierzał pojechać na piknik.

- Polecę w jednym z tankowców - wyjaśnił pułkownik. - W ten sposób uzyskam najlepszy obraz sytuacji. Wie pan. Będę słuchał waszych rozmów przez radio, przyglądał się, jak uzupełniacie paliwo. Polecę za wami w stronę celu. Dzięki temu poczuję ducha misji. Od dawna już nie brałem udziału w większej operacji, więc pomyślałem, że będę miał tego wieczora rozrywkę.

Kapitan nie odpowiadał. Niech sobie pułkownik węszy, jeśli musi. Będzie pod wrażeniem. Niepokoiła go tylko jedna rzecz.

- Panie pułkowniku - zaczął, starając się, aby mówić z szacunkiem - nie będzie pan tam na górze mieszał, prawda?

Wisner uniósł brew.

- Wie pan, o co chodzi. - ciągnął Charlie. - Nie będzie pan przemieszczał formacji, zmieniał celów, zasad podejmowania walki. Staraj się kierować operacją albo ją odwoływać. Nie zacznie się też pan domagać dowodzenia misją, mimo, że za bardzo pan nie wie, co się dzieje?

Zdumiony Wisner jeśli nawet poczuł się obrażony, nie pokazał tego po sobie, chociaż śmiałość McKaya z pewnością zbiła go z tropu. Nie był przyzwyczajony, żeby zwracano się do niego w tak bezpośredni sposób. Nigdy też nie usłyszał podobnych słów z ust kapitana. Musiał się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć. A zatem Charlie nie da się kierować ani nie przerzuci na niego odpowiedzialności. To dobrze. Niewielu już zostało takich oficerów.

Wisner nachylił się w stronę McKaya i zagadnął:

- A pułkownicy tak robią? „Mieszają”? Udają, że wiedzą, co się dzieje?

- Sir, nie chciałem okazać braku szacunku. Ale i pan i ja spotkałiśmy się już z podobnymi sytuacjami. Facet od kilku lat pilotuje tylko biurko i papierowy samolocik

swojego synka, a ciągle uważa się za asa. Dlatego pytam tylko, żeby mieć pewność. Mam spore doświadczenie i wiem, że pułkownicy lubią, żeby sprawy przebiegały w określony sposób - zazwyczaj, tak jak oni sobie tego życzą. Jednak na mnie spoczęła odpowiedzialność za los tej misji i bezpieczeństwo pilotów, dlatego pomyślałem, że stosownie będzie zapytać...

Wisner przerwał mu ruchem ręki.

- Nawet nie będzie pan wiedział, że tam jestem - odparł. - Będę siedział cicho. Obiecuje. Ograniczę się do obserwacji.

- Dziękuję, sir. Jestem panu wdzięczny. Naprawdę.

Pułkownik podniósł wzrok na Magilla, a ten spojrział na zegar.

- Sir, tankowce startują za niecałe dwadzieścia minut - odparł. - Powinien pan już iść do samolotu.

Charlie popatrzył na swojego dowódcę, a ten krótkim ruchem głowy wskazał mu drzwi, zwalnając go. McKay odchodząc odezwał się jeszcze do Wisnera:

- Zobaczymy się podczas składania raportów z misji, prawda?

Pułkownik milczał przez moment, po czym odpowiedział:

- Nie sądzę. Ale porozmawiamy jeszcze, zanim odleczę do Waszyngtonu.

Kapitan skinął głową i wyszedł na korytarz.

Dwaj mężczyźni popatrzyli za nim. Kiedy zniknął, Magill zagłębił się w swoim wygodnym fotelu. Wisner zamknął drzwi po raz drugi, po czym zajął jedno z miejsc za biurkiem. Dowódca dywizjonu przejechał dłońmi po twarzy i przetarł oczy. Czuł się bardzo zmęczony, mimo że wcale nie było późno. Patrzył w podłogę, żeby uniknąć spojrzenia Wisnera; w końcu westchnął przeciągle.

- Czy chcesz, żebym zadzwonił? - spytał w końcu pułkownik.

- Tak, Danny. Prawdę mówiąc, wręcz nalegam.

Wysłannik Pentagonu sięgnął po słuchawkę, po czym wystukał numer spoza bazy. Dwie minuty później wydano rozkaz. Ze stanowiska dowodzenia bazy przesłano wiadomość dowódcy dywizjonu F-16, stacjonującego na jej drugim końcu.

Kiedy dowódca przeczytał wiadomość, nie rozumiał zupełnie, o co chodzi. Był to jeden z najdziwniejszych rozkazów, jakie kiedykolwiek widział. Jednak był oficerem, i miał obowiązek wykonywać wszelkie rozkazy. Nawet bezsensowne.

### 3.

## Baza Sił Powietrznych Mountain Home, Idaho, USA 19.07 czasu miejscowego

Charlie McKay wyszedł z budynku dywizjonu tylnymi drzwiami i skierował się do stojących sto metrów dalej, na płycie lotniska, myśliwców. Kapitan przerzucił sobie przez ramię hełm pilota i uprzęż spadochronu. Z szyi zwisała mu wypchana kamizelka

przeżycia. W lewym ręku niósł małą, czarną, płócienną torbę, w której znajdowały się mapy i potrzebne pilotowi przyrządy. Szedł trochę niezdarnym krokiem, czując ucisk spodni od zewnętrznego kombinezonu, chroniącego przed przeciążeniem. Obok kroczył kapitan Alex Bennett. Kiedy dwaj mężczyźni weszli na płytę, powitał ich podmuch zimnego powietrza, nadlatującego od szybko zbliżających się od zachodu burzowych chmur. Charlie pokazał na nie palcem i spytał:

- Co o tym myślisz?

Alex nie zwalniał kroku, obserwując uważnie chmury.

- Nie wiem - odparł. - „Bałwan” może mieć rację. Rzeczywiście, przesuwają się na południe. Może, kiedy zajdzie słońce, zaczną znikać.

McKay skinął głową; był jednak innego zdania. Wiedział, że pustynia nagrzała się do tego stopnia, że na początku nocy chmury się utrzymają. Trzeba się będzie przez nie przedzierać. Wiedział to.

Lotnicy szli w milczeniu, zbliżając się do czekających F-15E. Tymczasem zaczęły startować dwa tankowce typu K-135. Turboodrzutowe silniki grzmiały w wieczornym powietrzu, rozpędzając ciężkie samoloty. Ani Charlie, ani „Zabójca” nie podnieśli oczu, kiedy tankowce wzniosły się w niebo, skręciły na południe i po chwili odgłos ich silników zanikł.

Bennett rzucił okiem w stronę przyjaciela i spytał nagle:

- Co to za jeden, ten pułkownik Wisner?

Charlie zwolnił odrobinę:

- A co, ty też się z nim widziałeś?

- Tak. Złapał mnie w magazynie, kiedy pobierałem wyposażenie i zaczął mnie wypytywać?

- Naprawdę? O co?

- O to, o co zawsze pytają. O lot. O dywizjon. O to, jak mi się podoba latanie na odrzutowcu. - „Zabójca” przerwał i przełożył hełm do lewej ręki. Zerknął na swojego pilota i ciągnął:

- Wypytywał także o ciebie, Charlie. Jak się z tobą lata. Czy dobry z ciebie pilot.

Alex czekał na jakąś reakcję, ale nie nastąpiła.

- O co chodzi, Książę Karolu? - Nazywano tak McKaya od imienia Charles - Karol.

- Po co ten facet tu węszy?

- Nie mam pojęcia, stary. Sam chciałbym wiedzieć. Ale myślę, że będzie można się tym pomartwić rano. Na razie czeka nas trudna misja.

Dwaj mężczyźni przeszli przez stanowisko kontroli. Wyciągnęli z kieszeni identyfikatory, przypięli je do kieszeni na piersi i ruszyli wzdłuż szeregu F-15. Smukłe samoloty połyskiwały w świetle wieczora. Stały dziobami w stronę pasa startowego, kabiny były pootwierane. Charlie popatrzył wzdłuż szeregu maszyn. Już od dziesięciu lat pilotował myśliwce, a ciągle czuł takie samo podniecenie, jak przed pierwszym w życiu lotem. Jaki to piękny widok - pomyślał.

Lotnicy 391 Dywizjonu mieli szczęście latać na najnowszej wersji F-15 - czyli F-15E, zwanej „Atakujący Orzeł”. To dwumiejscowa maszyna. Z przodu siedzi pilot, z tyłu - oficer uzbrojenia. Pilot oczywiście prowadzi samolot, odpowiedzialny jest także za większą część

walki powietrznej - odpala rakiety w stronę nieprzyjacielskich samolotów i, jeśli dojdzie do potyczki pomiędzy myśliwcami, manewruje, żeby zestrzelić wroga z działka. Oficer uzbrojenia jest nawigatorem, wybiera cele i bombarduje. Do jego zadań należy także obsługa ekranu wyświetlającego ruchomą mapę, radaru i zaczepów uzbrojenia, kierowanie na cele wiązki laserowej, obsługa systemów komputerowych kontrolujących używane bronie. A przede wszystkim, śledzenie nieba za pomocą urządzeń elektronicznych, w poszukiwaniu nieprzyjacielskich myśliwców lub rakiet, próbujących zestrzelić „Strike Eagle”.

Pilot i oficer uzbrojenia tworzą dwuosobowy zespół, w którym obaj są jednakowo ważni. Od obydwóch też w równej mierze zależy wykonanie zadania. Podobnie jak za czasów drugiej wojny światowej, załoga lata, ucząc się wzajemnego zaufania i kompensując swoje słabe punkty. Nabierają umiejętności niezbędnych do przeżycia lotu i walki. Zazwyczaj pilot i oficer uzbrojenia stają się bliskimi przyjaciółmi, którzy nie kryją przed sobą niczego.

Coraz bardziej złożone systemy elektroniczne i uzbrojenia, w jakie wyposażano F-15, sprawiły, że „Atakujące Orły” stały się bezsprzecznie najlepszymi maszynami tej klasy na świecie. Podczas wojny w Zatoce Perskiej duży procent zrzuconych nad terytorium Iraku bomb wypuściły właśnie F-15E. Samolot ten jest w stanie lecieć na minimalnej wysokości, przy każdej pogodzie, zarówno w dzień, jak i w nocy, zrzucić na nieprzyjaciela dwieście kilogramów bomb, wspiąć się na dużą wysokość, wziąć udział w walce z myśliwcami wroga i wrócić do bazy. Wszyscy wiedzą, że w „Atakującym Orle” starczy pracy dla dwóch - a zwłaszcza ci, którzy latają na tej maszynie.

Mijając ustawione szeregiem samoloty, Charlie zerknął na symbol, który napisał sobie na dłoni. „B-6”. Takie było oznaczenie miejsca, gdzie stał ich samolot. Pilot popatrzył w tamtą stronę i z niezadowoleniem stwierdził, że maszyna jest jeszcze otoczona wózkami z amunicją. Kiedy lotnicy podeszli do swojego F-15, szef obsługi naziemnej wybiegł im na spotkanie, z niespokojnym wyrazem twarzy.

- Sir, zostało nam jeszcze do przeprowadzenia kilka testów uzbrojenia, ale to zajmie tylko parę minut - zameldował. McKay popatrzył na zegarek i odparł:

- W porządku. Przyszliśmy parę minut przed czasem. Odejdziemy na chwilę, żeby wam nie przeszkadzać.

Sierżant uśmiechnął się i wrócił do pracy.

- Pięć minut, dobrze? - zawołał za nim Charlie. - Zdążycie? To największe ćwiczenia w tym roku. Jeżeli spóźnimy się na start, będzie wielka kłapa.

- Obiecuję, sir, że za pięć minut skończymy.

McKay skinął głową i pokazał podoficerowi uniesione kciuki. Ruszyli z Bennettem w stronę najbliższego wolnego samolotu i położyli swoje wyposażenie pod skrzydłem. Patrzyli na uwijających się wokół ludzi, podwieszających bomby do zaczepów. Była to ciężka praca fizyczna, a przy tym wymagała niezwyklej precyzji. Pomimo chłodu jaki panował, koszulki młodych mechaników wkrótce przesiąknęły potem.

„Zabójca” położył hełm na betonie i przykucnął.

- Wiesz co, Charles - odezwał się - denerwuje mnie to, że wrócimy na pustynię. Znowu będziemy siedzieć w obozie, bojąc się wyjść za bramę, z obawy przed terrorystami.



Jeść piasek i czytać listy z domu, które już ktoś otworzył i przeczytał. Pracować czternaście godzin na dobę, tylko po to, żeby wiercić dziury w niebie. Całe to wielkie halo ma służyć tylko temu, żeby pokazać Husajnowi, kto tu rządzi. Wiosną ledwie udało nam się wrócić do domu, po tym nonsense. A teraz, zaledwie po ośmiu tygodniach, mamy polecieć tam znowu. Mówię ci, Charlie, zaczynam mieć tego dosyć. Linda ma ochotę mnie zastrzelić.

McKay popatrzył w dół, na swojego przyjaciela.

- Wiem, o czym mówisz, stary - odparł.

„Zabójca” postukał palcem w beton.

- Nie sadzę. Mam żonę i dwójkę ślicznych dzieciaków. Lubię z nimi być. A one ze mną. Tęsknię za nimi, kiedy jestem gdzie indziej. Jednak to mój własny wybór. Mogę wrócić do żony i wygodnego łóżka, albo polecieć tam, gdzie będzie namiot pełen chrapiących, spoconych, śmierdzących pilotów. Sam nie wiem. Chyba myśl o powrocie tam - Alex pokazał głową na wschód - sprawia, że zaczynam się wahać. Jestem teraz ojcem i naprawdę kocham moje dzieci. Kiedy wspinają mi się na kolana, jestem taki szczęśliwy, jak jeszcze nigdy przedtem. Nie jestem przekonany, ale czasem zastanawiam się... - Zamilkł.

W ciszy, jaka nastąpiła, McKay pomyślał o swoim ojcu, który opuścił ich rodzinę, kiedy Charlie był jeszcze dzieckiem. Pewnego dnia pozwolił się synkowi odprowadzić na przystanek autobusowy, wsiadł, posłał mu całusa i odjechał, znikając z jego życia. Po ośmiu latach i ośmiu kolejnych mężczyznach, z którymi matka Charlesa próbowała ułożyć sobie życie, wyszła za faceta o imieniu Lyle i osiedliła się we wschodnim Teksasie, gdzie przyczepy kempingowe były tanie i przez cały rok mogli łowić ryby. McKay zapamiętał matkę, jak siedzi nad brzegiem jeziora Palestine, kołyszając się na leżaku i sącząc ciepłe piwo, i ojczyma, który rzuca przekleństwa rybom. W miarę upływu lat stosunki Charliego z matką coraz bardziej się ochładzały. Potem widywali się już tylko na Boże Narodzenie. Czasami Lyle dzwonił z prośbą o pożyczkę. Od czasu do czasu matka telefnowała, żeby poinformować syna, że kolejny raz się przeprowadzają. ..

McKay obudził się z zamyślenia i popatrzył na swojego najlepszego przyjaciela, którego żona była kobietą godną najwyższego szacunku, a córeczki-bliźniaczki - wspaniałymi dziećmi. Charlie nagle zrozumiał, że naprawdę nie wie, o czym Alex mówi. McKay, nie miał szczególnego powodu, żeby zostać w tym, czy innym miejscu. Nie robiło mu to różnicy. Jednak Al miał rodzinę. Prawdziwy dom.

„Zabójca” podniósł głowę i popatrzył ponad pasem startowym.

- Nie jestem już taki pewien, że to, co robimy, mnie kręci - skwitował. Mówił niemal szeptem i Charlie stwierdził, że przyjaciel nie tyle mówi do niego, co raczej myśli na głos.

- Powiedz mi coś - odezwał się znowu Bennett, spojrzawszy na McKaya. - Po co ja to robię? Dlaczego nie rzucę służby? A mógłbym. Gdybym wszedł w spółkę z ojcem, zarabiałbym dwa - trzy razy więcej niż tutaj. Może odejdę i pozwolę zająć moje miejsce komuś innemu?

McKay oparł się na hełmie i potarł dłonie.

- Trudno mi odpowiedzieć, stary - odparł. - Myślę, że tylko ty sam możesz znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Dwaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu. Tymczasem w ich stronę ruszył szef obsługi samolotu. Podnieśli się z betonu i zaczęli zbierać wyposażenie. Założyli uprząże spadochronów i zapinali je, idąc w kierunku czekającej maszyny.

## Lot Grom Jeden Nad pustynią północnej części stanu Utah, USA 20.22 czasu miejscowego

Widok wywołałby uczucie grozy u każdego. Linia burzowych chmur ciągnęła się od północy ku wschodowi na długości trzystu pięćdziesięciu kilometrów, od środkowej Nevady, przez północną część stanu Utah, i dalej w głąb Idaho. W kierunku troposfery unosiły się dziesiątki chmur, dzięki nagrzaniem w ciągu dnia powietrzu. Osiągały wysokość czternastu tysięcy metrów. Opadały spod nich pionowe strugi deszczu, zlewającego góry i doliny.

Charlie spojrzął na horyzont, przeklinając pod nosem pogodę.

„Bałwan” miał rację przynajmniej częściowo - burze odsunęły się na południe. Jednak nie zanikały, a wręcz przeciwnie, nabrały siły.

McKay i jego F-15E zdążyły mozolnie na południe od bazy Mountain Home. Lotnicy byli w powietrzu prawie od pół godziny i już mieli opóźnienie w stosunku do planu. Niemal od chwili startu piloci przedzierałi się przez ciemne, burzowe chmury, dzielące bazę od poligonu Utah Test Range, gdzie miały odbyć się ćwiczenia.

Po paru minutach po oderwaniu się od pasa, Charlie poprosił kontrolę ruchu powietrznego o wskazanie mu drogi, którą mógłby ominąć chmury. Przez piętnaście minut kontroler prowadził ich na północ, a później na wschód, sądząc, że uda im się ominąć front od strony Idaho. Jednak po dziesięciu minutach lotu w kierunku przeciwnym do zamierzonego, McKay doszedł do wniosku, że tracą jedynie czas. Pas chmur ciągnął się przed nim tak daleko, jak tylko sięgał wzrok i wskazania radaru. Po kolejnych pięciu minutach Charlie stwierdził, że kontroler nie wie, co robi. Kapitan sprawdził ilość paliwa, po czym zdecydował, że zawrócą w kierunku poligonu i będą przedzierać się przez burze.

Dziesięć minut później dookoła niego błyskały, jedna po drugiej, błyskawice, praktycznie bez przerwy. Starał się nie patrzeć w ich stronę, żeby zupełnie go nie oślepiły. Jednak było to niemożliwe, ponieważ niebo rozbłyskiwało wokół z potężną siłą. W radiu nieustannie trzeszczało. Olbrzymie, ciemne chmury w kształcie kowadeł rozjaśniały się od błyskawic, strzelających pomiędzy nimi, oraz między chmurami a ziemią. Grad grzechotał w osłonę kabiny. Charlie popatrzył na radar, oceniając odległość od centrum burzy. Czterdzieści pięć kilometrów. Musiał zacząć działać.

Obejrzał się przez ramię i dostrzegł ledwo widoczne migające światła pozostałych trzech samolotów jego klucza. Leciąły szeregiem, po jego lewej stronie, w dużych odstępach. Piloci powtarzali manewry dowódcy, jak dzikie kaczkę, ufające doświadczonyj przewodniczcze.

- Jak myślisz, Al, zdołamy przelecieć górą? - spytał swojego oficera uzbrojenia.  
- Nie ma mowy - odpowiedział natychmiast „Zabójca”. - Widzę na radarze chmury nawet na wysokości czternastu i pół tysiąca metrów. Możemy je ominąć bokiem, ale nie górą. A przynajmniej nie ze mną. Jeśli chcesz, możesz najpierw wrócić do domu i wysłuchać mnie, wtedy...

- Dobrze już - przerwał mu pilot. - To kiepski plan. Wobec tego uważasz, że możemy przelecieć pomiędzy jedną burzą a drugą?

- Nie wiem, szefie - przyznał Bennett. Zaczął regulować radar, którego wskazania zakłócał deszcz. Udało mu się nastawić taką czułość, przy której poszczególne skupiska burzy były widoczne jako olbrzymie, intensywnie zielone plamy, pomiędzy którymi widniały pasemka czystego powietrza. Przyjrzał się temu dokładnie, po czym rzucił: - Myślę, że jeśli polecimy na zachód, a potem znowu skręcimy na południe, zdołamy przedrzeć się przez pierwszą linię chmur. Sęk w tym, że nie wiemy, co jest dalej. Może czyste niebo. A może nie. Jeśli tam dolecimy i okaże się, że jest równie kiepsko jak tutaj, możemy się dostać w oko cyklonu. To by było raczej chałowo. Uważasz, że będziesz miał dzisiaj szczęście?

Charlie zastanowił się chwilę nad słowami „Zabójcy”.

- No dobra, inne samoloty jakoś się przedarły - odezwał się.

- Wiem, mój Książę Karolu, tylko że wyprzedzają nas w tej chwili o co najmniej pół godziny - zauważył Alex. - Nie zapominaj, że startowaliśmy ostami. A potem kontroler skierował nas tak, że przelecieliśmy z połowę drogi do Egiptu. W tym czasie burze wzmożyły się... No, ale mówisz prawdę, inni zdołali przelecieć. Możemy spróbować.

„Zabójca” popatrzył na kręcącego głową McKaya.

Nawet najodważniejszy pilot obawia się jednego - siły i nieprzewidywalności letnich burz. W ich obszarze zdarzają się wiatry, które mogą dosłownie rozerwać samolot. Podrzucić go, przewrócić i złamać. Grad potrafi nawet rozwalić osłonę kabiny, albo, co gorsza, pokiereszować skrzydła. Nie mówiąc już o trafieniu piorunem...

Po chwili zastanowienia, Charlie odezwał się w końcu:

- Słuchaj, stary, jako nawigator jesteś ekspertem od radaru. Powiedz mi szczerze. Czy dasz radę bezpiecznie przeprowadzić mnie przez burzę?

„Zabójca” przyjrzał się uważnie ekranowi i westchnął ciężko.

- Tak, Charles, myślę, że dam radę. Zagadaj przez radio i skręć w prawo. Wybiorę jakieś przejście. Ale mówię ci od razu, trzymaj się mocno fotela.

Pułkownik Wisner siedział w małym, dodatkowym fotelu pomiędzy pilotami lecącego przodem tankowca KC-135. Znajdował się sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód w stosunku do pozycji kapitana McKaya. W rejonie, gdzie krążyły tankowce, wisiało trochę chmur, z których przelotnie padało, jednak zachmurzenie było małe. Od czterdziestu minut Wisner słuchał przez radio, jak kolejne klucze meldowały dotarcie do tankowców i prosiły o zezwolenie na uzupełnienie paliwa. Najpierw nadleciały F-16, potem F-15, wreszcie F-15E. W dole krążyły strategiczne bombowce B-1, z potężnymi zbiornikami paliwa - nie potrzebowały niczego uzupełniać. Po zatankowaniu, wszystkie myśliwce

natychmiast ruszyły na południe. Lot Grom Jeden, którym dowodził Charlie, przybył jako ostatni. Zameldowali się z dwudziestominutowym opóźnieniem.

Pułkownik Wisner przyglądał się tankowaniu przez płaski iluminator w dolnej części ogona KC-135. Kiedy McKay manewrował pod ogromnym tankowcem, pułkownik pokazał mu na chwilę uniesione kciuki. Kapitan jednak tego nie zauważył, a w każdym razie, nie odpowiedział.

Kiedy już ostatni F-15E oddzielił się od tankowca, Wisner wrócił do kabiny pilotów i założył słuchawki. Zaczaj znowu prowadzić nasłuch, jednocześnie zapisując w małym notatniku dane dotyczące myśliwców. Zaznaczył czas przybycia poszczególnych formacji. Tymczasem ich piloci przedzierałi się już przez burze. Widać było teraz nawet z tej odległości, że pogoda staje się znacznie gorsza niż przedtem.

Kapitan McKay wcisnął guzik nadawania jeszcze raz.

- Salt Lake, tu Grom Jeden - nadał pośpiesznie.

W słuchawkach trzeszczało niemal bez przerwy, a naziemny kontroler nie odpowiadał.

- Centrum Salt Lake, tu Grom Jeden, trzysta osiemdziesiąt pięć, przecinek osiem.

Po paru kolejnych trzaskach w radiu odezwał się głos:

- Grom, tu Salt Lake, mów.

- Grom Jeden prosi o zezwolenie na zmianę kursu w prawo w celu ominięcia burzy.

Przez kilka sekund Charliemu odpowiadały tylko trzaski. Pilot wiercił się w fotelu, zerknąwszy po raz kolejny na ekran radaru. Centrum burzy znajdowało się już tylko piętnaście kilometrów od niego. Za niecałą minutę znajdą się w miejscu, gdzie szaleje wiatr, grad, błyskawice. Musieli skrócić, i to już!

McKay nie mógł czekać ani chwili dłużej. Miał zezwolenie, czy nie - musiał ująć próbującej go pochłonąć burzy. Spojrzał w lewo, sprawdził pozycję swojego klucza, po czym skrzył o dziewięćdziesiąt stopni w prawo. Kiedy pioruny zaczęły rozjaśniać niebo po lewej stronie, a nie naprzeciw niego, odezwał się znowu do mikrofonu:

- Salt Lake, Lot Grom kieruje się na dwa-trzy-zero, dla ominięcia złej pogody. Jak mnie słyszysz, Salt Lake?

Wreszcie dał się słyszeć pełen napięcia głos kontrolera:

- Potwierdzam, Grom. Zachowaj na razie ten kierunek. Przed tobą leci pięć samolotów pasażerskich linii Delta, które próbują dostać się do Salt Lake. Zredukuj prędkość, żeby lecieć za nimi na południe. Po twojej lewej znajdują się jeszcze: jeden odrzutowiec linii American i dwa linii United. Omijają tę samą chmurę. Zamelduj, kiedy wydostaniesz się z burzy.

- Potwierdzam, Salt Lake - mruknął szybko Charlie, spoglądając na rozłożoną na kolanach mapę.

- Jak myślisz, jak daleko na zachód będziemy musieli polecieć? - spytał Alexa.

- Sądzę, że z pięćdziesiąt kilometrów.

McKay popatrzył na mały, podświetlany zegar w rogu tablicy przyrządów. Mieli mało czasu. Zaledwie za dziewięć minut musieli zameldować się kontrolerowi ćwiczeń. W dodatku, z powodu opóźnienia, mieli niewiele paliwa. Nie mogli stracić już ani chwili.

- Zachowamy ten kierunek jeszcze przez dwie minuty, a potem wracamy na kierunek południowo-południowo-wschodni - zdecydował „Zabójca”. - Pomiędzy dwiema największymi chmurami jest przerwa szerokości około piętnastu kilometrów; jeśli w nią trafimy, wszystko powinno być w porządku.

Samolot zaczął się teraz trząść, gdyż wzmożyły się turbulencje. W radiu trzeszczało tak, że Charlie ściszył je. Nagle lunął deszcz. Strumienie wody zalewały myśliwiec. McKay popatrzył w lewo, żeby sprawdzić, gdzie są jego skrzydłowi. Klucz przybrał luźniejszą formację, tak, że lotnicy zachowywali teraz ze sobą kontakt radarowy. Błyskawice, jedna po drugiej, rozjaśniały niebo, niczym stroboskop. Charlie ścisnął tak mocno drążek sterowy, aż skórzane rękawice stały się mokre od potu. Dziób samolotu zdawał się fosforyzować od przepięniającej powietrze elektryczności. Myśliwiec szarpał się we wszystkie strony, rzucając dwoma mężczyznami w fotelach. W miarę upływu kolejnych sekund deszcz lał coraz gęściej.

- Daleko jeszcze, stary?

- Już niedługo. Za trzy kilometry możemy zacząć skręcać na południe. W ten sposób znajdziemy się pomiędzy dwoma największymi burzami.

Charlie skupił uwagę na przyrządach i opuścił głowę. Nie było sensu wyglądać za szybę. Widać tam tylko strugi deszczu i ciemność. Pilot skoncentrował się na prowadzeniu maszyny i przecieraniu bezpiecznego szlaku dla reszty klucza. Co jakies dwadzieścia sekund rzucał spojrzenie na zegar, licząc, ile jeszcze czasu pozostało.

- Dobra, Charlie. Skieruj nas na jeden-cztery-zero - podał namiar „Zabójca”, nie odrywając wzroku od radaru.

McKay natychmiast skrzył na południowy wschód, jednocześnie informując o tym centrum kontroli lotów w Salt Lake City.

Przez następne kilka minut klucz przedzierał się pomiędzy ośrodkami burzy, aż wreszcie, bez żadnego ostrzeżenia, deszcz urwał się nagle. Noc się rozjaśniła. Błyskawice zostały z tyłu, a potem stopniowo zanikły. Charlie podniósł wzrok. F-15 znalazł się w czystym powietrzu. Nad głową pilota świeciły gwiazdy, a na wschodzie widniał rógal księżycy. W dole widać było połyskującą od księżycowego światła powierzchnię Wielkiego Jeziora Słonego. McKay odwrócił głowę i zobaczywszy oddalającą się czarną ścianę chmur odetchnął głęboko.

- Ale była zabawa, co? - odezwał się Bennett.

Charlie nie odpowiedział. Był wciąż zbyt napięty, żeby się rozeźmiać.

- Wiesz, co myślę? - ciągnął „Zabójca”. - Zdaje mi się, że burze sapo to, byśmy nauczyli się nie przejmować pogodą. Jestem pewien, że matka natura trzyma się teraz za boki i przewraca ze śmiechu.

Pułkownik Wisner usłyszał na częstotliwości, którą posługiwał się naziemny kontroler ćwiczeń, że klucz Charliego zameldował się wreszcie. McKay oznajmił, że wylecieli z

obszaru burz i zajmują już planowaną pozycję. Pozostałe samoloty czekały na nich. Atak miał się rozpocząć zaledwie za czterdzieści sekund. W odpowiedniej chwili Charlie podał przez radio hasło „Bokser”. Był to sygnał ataku. F-16 natychmiast ruszyły na południe, kierując się ku „nieprzyjacielskim” celom. F-15 przeznaczone do walki powietrznej krążyły nad głową McKaya, czekając aż Czerwoni - czyli samoloty symulujące oddziały nieprzyjacielskie - pojawią się, podążając śladem lecących na małej wysokości napastników. F-15E i B-1 szykowały się do ataku. Kiedy skręciły na południe, z ciemności wychnęły nagle „Irakijczycy”. F-15 włączyły się do akcji.

- Rozpoczęła się walka! - rzucił na pierwszej częstotliwości misji któryś z pilotów.

Klucz Charliego nadleciał nad rejon celu ostatni. Kiedy B-1 i F-16 ustąpiły mu miejsca, McKay i jego koledzy wykonali pojedynczy krąg i zanurkowali. Znalazszy się na minimalnej wysokości ruszyli nad cel, manewrując pomiędzy zboczami gór. Przeskakiwali nad granitowymi wierzchołkami, odwracając maszyny grzbietami w dół, znowu schodzili w dół, odwracali się i wyrównywali lot na wysokości zaledwie stu metrów. Sunęli przez noc, wijąc się i wyskakując to tu, to tam, zbliżając się niepostrzeżenie do celu. Za nimi pozostawały tylko smugi białej pary.

Charlie obserwował uważnie pole walki, a potrzebne urządzenia włączał i wyłączał odruchowo za pomocą przycisków umieszczonych na drążku sterowym i przepustnicy. Umożliwiał mu to system HOATS, co stanowi skrót od „hands-on-throttle-and-stick”, czyli „ręce na przepustnicy i drążku”. Dzięki HOATS pilot może wykonywać wiele czynności nie puszczać sterów nawet na ułamek sekundy, co w trakcie walki powietrznej często staje się kwestią życia i śmierci. Poza tym, dzięki HOATS uruchamia się różne urządzenia nawet przy przeciążeniu 9 G, kiedy nie da się podnieść ręki.

Dziesięć minut po rozpoczęciu ataku McKay znajdował się sto kilometrów od celu, lecąc z prędkością dziewięćset kilometrów na godzinę, na wysokości zaledwie sześćdziesięciu metrów. Jego skrzydłowi podążali w szyku taktycznym, niecały kilometr za nim. Przed sobą, Charlie widział na radarze dwa bombowce B-1, które przelatywały właśnie nad wierzchołkiem góry. „Strike Eagle” leciał wspomagany pracą komputera. System LANTRIN śledził obszar przed samolotem za pomocą podczuwieni, pokazując na ekranie obraz o wysokiej czułości. Dzięki temu pilot widział wyraźnie śmigające w dole drzewa i drogi, rozciągające się przed nim góry i doliny; wszystko w różnych odcieniach zieleni. W dolnym prawym rogu umieszczonego przed szybą projektora HUD przeskakiwały cyfry oznaczające, że mają coraz mniej czasu, by osiągnąć cel.

W górze rozgrywała się walka powietrzna - Czerwoni usiłowali przebić się przez Niebieskich Obrońców, żeby zestrzelić lecących dołem napastników. W radiu przez cały czas rozlegały się głosy pilotów, rzucających kodowe słowa. Ostrzegali się przed niezidentyfikowanymi samolotami, nieprzyjacielskimi oddziałami oraz informowali kto kogo zestrzelił.

- Straszydła, Bycze Oko, dwa siedemdziesiąt, czterdzieści pięć kilometrów, siedem tysięcy! - zawołał jeden z Niebieskich, przekazując dane o wykryciu niezidentyfikowanych maszyn na swojej „dziesiątej”, na wysokości siedmiu kilometrów.

- Nasi! - odpowiedział mu dowódca klucza.

Zaraz potem rozległo się:

- Bandyci, BRAA, jeden dwa zero, trzydzieści dziewięć kilometrów, dziewięć tysięcy dwieście, gorący! - Znaczyło to: „wrogowie, kierunek sto dwadzieścia stopni, odległość trzydzieści dziewięć kilometrów, wysokość dziewięć tysięcy dwieście metrów, leć wprost na mnie”.

Dowódca klucza F-15 rozdzielił cele:

- Orzeł Cztery, bierzesz dwóch od południa.

- Potwierdzam. Widzę dwa - odparł „Orzeł Cztery”. - Oddziela się!

- Bierz go! Bierz go!

- Przejmuję go! - odparł pilot ze stkiem, wciskany przeciążeniem w fotel.

- Lis Jeden razy dwa! Orzeł Cztery, nie żyjesz!

- Magik, Magik, uciekam! Dziki, potrzebna nam wasza pomoc!

Podobne zdania rozlegały się bez przerwy. Myśliwce kłębiły się w walce, niszcząc się wzajemnie na niby za pomocą rakiet i działek. Napastnicy nie mogli sobie poradzić z obrońcami.

Po dziesięciu minutach siedmiu Niebieskich zostało „zestrzelonych” przez Czerwonych. Grupa Charliego poniosła straty, choć spodziewał się tego.

Jednak działo się coś jeszcze gorszego. Piloci F-16 nie zameldowali „Czysty”, informując o zniszczeniu w rejonie celu wyrzutni rakiet i baterii przeciwlotniczych. Oznaczało to, że na razie nie można było atakować.

A pozostało jeszcze tylko parę minut.

McKay spojrzął na zegar, potem na mapę, wreszcie uzbroił bomby.

- Cel za trzy minuty dziesięć sekund. Kontrola wypuszczenia bomb?

- Kontrola wypuszczenia bomb gotowy - zameldował Bennett. - Radar w porządku. Punkt celowania dobry. Pierwszy cel pojawi się za jakieś trzydzieści kilometrów. Kiedy będziesz gotów, możemy wchodzić.

Charlie skinął głową, nie odpowiadając. Zamiast tego popatrzył na zegar i wstrzymał oddech.

Coś było nie w porządku. Wyjrzał na zewnątrz.

- Szeffie - odezwał się „Zabójca”. - Co się dzieje z F-16? Powinni już oczyścić cel.

- Wiem o tym - rzucił pilot.

- Książę Karolu, będziesz musiał odwołać atak. Jeżeli nie zlikwidowali nieprzyjacielskiego radaru, a wyrzutnie rakiet i działka ciągle na nas czekają, rozwalą nas na strzępy. Znasz zasady, Charlie. Trzeba odwołać atak. Każ naszym zawracać!

McKay nie odpowiadał, tylko patrzył na zegar. Zostały jeszcze dwie minuty.

Pułkownik Wisner wcisnął guzik nadawania jeszcze raz:

- Potwierdzam, Piorun - rzucił dowódcy F-16. - Masz rozkaz przerwać atak. Nie odpalaj HARM-ów. Opuść rejon celu. Nie melduj „Czysty”. Wykonaj otrzymane rozkazy.

- Ale, sir - odezwał się w słuchawkach zdenerwowany głos. - Jeżeli nie oczyścimy celu, misja się nie powiedzie. Bombowce będą musiały zawrócić. Cała operacja na nic. To głupota, wycofywać się w tym momencie!

Pułkownik odpowiedział natychmiast:

- Potwierdź, że zrozumiałeś. Wstrzymaj ogień. Nie melduj, że cel jest czysty. Przezwij akcję i wracaj do bazy.

Dowódca klucza F-16 zerwał maskę i zaklął donośnie. Nie odpowiadał pułkownikowi, chociaż posłusznie kazał swoim pilotom zawrócić.

- Dziewięćdziesiąt sekund. Charlie, co chcesz zrobić? - zawołał podniesionym, niemal piskliwym głosem Alex.

McKay milczał. Rozjaśnione księżycową poświatą cienie przemykały pod nimi. Widać było rozdzielające pustynny obszar góry.

- Cel nie jest czysty. Charlie, powinieneś wydać rozkaz odwrotu!

McKay zignorował uwagi swojego partnera, a następnie odezwał się przez radio:

- Pioruny, podajcie pozycję.

W radiu panowała jednak cisza.

- Pioruny, tu Grom Jeden Jeden. Potwierdź „Czysty”. To dla nas niezbędne!

Radio milczało, jeśli nie brać pod uwagę cichych trzasków powodowanych odległymi wylądowaniami atmosferycznymi. Charlie spróbował po raz ostatni:

- Uwaga, wszyscy na częstotliwości Groma. Czy ktoś słyszał meldunek „Czysty” Piorunów?

- Zaprzeczam - odezwał się dowódca B-1. - Szeffie, co mamy robić?

McKay zastanowił się chwilę, po czym nadał:

- Czekaj; uwaga Orły, jeśli będziemy kontynuować atak, zostanieie z nami? Zostaniecie z nami, mimo że cel nie jest czysty?

- Potwierdzam, Gromie Jeden Jeden - odpowiedział dowódca F-15. - Zostaniemy z wami. Co robimy?

Charlie zerknął na HUD. Pozostały sześćdziesiąt trzy sekundy. „Zabójca” wiedział, co zamierza jego pilot i nie podobało mu się to.

- Cel nie jest czysty, Charlie - powtórzył po raz trzeci. I tak było wiadomo, o co mu chodzi. - Nie zameldowali „Czysty”. Jeśli wejdziemy, zaraz oberwiemy. Może połowa z nas wyjdzie z tego cało.

- Słuchaj, Al - odpowiedział McKay. - To nie są ćwiczenia konwencjonalnej misji. W grę wchodzi broń masowej zagłady. Poza tym, zawsze mamy prawo podjąć decyzję, która wydaje się najtrafniejsza, niezależnie od planu. Może Pioruny meldowały „Czysty”, tylko nie usłyszeliśmy, bo w radiu trzeszczy, a walczący krzyczeli. Nie wiem, ale jedno jest jasne. Zgodnie ze scenariuszem, Husajn uzbroi swoje samoloty w broń chemiczną i zrzuci ją na Kurdów.

- To wzruszające, Charlie - odparł Bennett - ale posłuchaj mnie. Nasza misja nie polega na tym, abyśmy się dali zabić. Zasady podejmowania walki są proste. Jeśli nie



usłyszemy meldunku „Czysty”, mamy przerwać atak. Pamiętasz? Tak powiedzieli na odprawie.

- Ale nie myślałem, że...
- Czterdzieści sekund, pilocie.
- Zastanów się, Al. Zginą tysiące ludzi.
- Charlie, przecież to na niby. Człowieku, to są ćwiczenia.
- Ale ćwiczymy po to, żeby wiedzieć, jak naprawdę walczyć. Co byś zrobił, gdyby to się działo naprawdę? No, co?!

Kapitan Bennett milczał. Przesunął dłońmi po twarzy, po czym opuścił wzrok na ekran radaru.

- „Zabójco”, odpowiedz mi - nalegał McKay. - Gdyby to była prawdziwa walka - a taka walka może się zdarzyć - chcę wiedzieć, co byś zalecił mi zrobić?

Alex zobaczył na ekranie noktowizora obraz celu.

- Widzę cel! - zawołał. - Śledzi nas radar SA-10. Zaraz wlecimy w jego zasięg! Namierza nas!

- Alex, jesteś ze mną? Chcę atakować!

- No dobra, jestem z tobą! - krzyknął Bennett. - Słuchaj, Charlie. Skręć ostro w prawo i zejdź nad samą ziemię, bo ta wyrzutnia nas sprzątnie.

Pilot uśmiechnął się i szarpnął drążek sterowy w prawo.

- Wchodzimy, Zabójco. - Roześmiał się. - Będzie zabawa!

- To głupota! - odparł oficer uzbrojenia.

Charlie stęknął pod ciężarem własnego ciała, zwielokrotnionym przeciążeniem. Wyciągnął rękę i wcisnął guzik nadawania.

- Błękitna Siło, kontynuować atak- rozkazał. - Cel nie jest czysty, ale chcę, żebyście wchodzili. Powtarzam: Błękitna Siło, rozkazuję atakować.

Pułkownik Wisner usłyszał te słowa i uśmiechnął się pod nosem. Spodziewał się tego. Kapitan McKay złamał zasady podejmowania walki. Była to odważna, choć szaleńcza decyzja. Mimo to, Wisner miał nadzieję, że Charlie ją podejmie.

## 4.

Lotnisko międzynarodowe Al-Kuwait, Kuwejt  
15.00 czasu miejscowego

**K**owboj Jeden, czyli prezydencki jumbo-jet, miał startować o piętnastej czterdzieści pięć. Wracał z Kuwejtu do Waszyngtonu. Lot miał trwać szesnaście godzin, bez międzylądowania. Pasażerowie i załoga zjedzą w powietrzu lunch, obiad i śniadanie; zmęczą się

i dostaną bólu głowy i poczują się źle ze względu na szybką zmianę czasu. Czekają ich nienaturalnie wydłużony wieczór nad Atlantykiem. Przeleczą piętnaście tysięcy kilometrów, od piasków Półwyspu Arabskiego aż po waszyngtoński smog, mijając osiem stref czasowych. Olbrzymi boeing 747 zatankował sto pięćdziesiąt dwie tony paliwa i zabrał dwadzieścia trzy tony ładunku, oraz wiceprezydenta i byłego prezydenta USA, dwudziestu czterech pozostałych członków ich delegacji, czterdzieścioro dziennikarzy i dwudziestoosobową załogę.

Godzinę przed przybyciem do samolotu prezydenckiej delegacji, obsługa naziemna kończyła jeszcze tankowanie i ładowała do luku półokrągłe pojemniki z bagażem. Pilot, w stopniu pułkownika Sił Powietrznych, zaczynał właśnie kontrolę przedstartową.

O piętnastej dwadzieścia siedem Amerykanie przyjechali na lotnisko w czarnych mercedesach, eskortowani przez wojsko. Ponieważ nie było przewidziane oficjalne pożegnanie, po paru minutach członkowie delegacji byli już na pokładzie samolotu. O piętnastej trzydzieści sześć zamknięto drzwi boeinga. Pasażerowie usadowili się w fotelach, a stewardzi zabezpieczyli bagaż podręczny i zaczęli roznosić napoje. Po kilkunastu sekundach od chwili zamknięcia drzwi, Kowboj Jeden zaczął już kołowanie.

Zgodnie z procedurą, podczas kołowania amerykańskiego samolotu na pas, zamknięto lotnisko dla wszelkiego innego ruchu. Olbrzymia maszyna posuwała się naprzód. Dwaj wojskowi piloci kontynuowali kontrolę przedstartową. Zakończyli ją, zanim dojechali do południowego krańca lotniska.

Pierwszy pilot ustawił wielki odrzutowiec na środku pasa, podążając śladem namalowanej na betonie żółtej linii. Włączył hamulce i rozgrzał silniki. Wreszcie zwolnił hamulce i poczuł znajome pchnięcie oparcia swojego fotela. Boeing szybko nabierał prędkości i po chwili wznosił się w powietrze. Końcówki skrzydeł uniosły się nieco, a podwozie zwisło bezwładnie, utraciwszy kontakt z ziemią.

Drugi pilot wciągnął je i podniósł częściowo klapy. Luki podwozia zamknęły się ze stłumionym trzaskiem. Ciężka, lecz pełna gracji sylwetka jumbo-jeta uniosła się pod kątem dwudziestu stopni. Za szybami kabiny pilotów śmignęła pierwsza chmurka, a pustynia zaczęła szybko znikać w suchym, nagrzanym powietrzu. Osiągnąwszy wysokość sześciuset metrów, maszyna rozpoczęła łagodny zakręt w lewo.

W kabinie prezydenckiej, w ogromnym, obrotowym fotelu, siedział poprzedni prezydent Stanów Zjednoczonych. Urzędujący wiceprezydent zajął miejsce tuż obok niego. Dwaj mężczyźni nie byli politycznymi przyjaciółmi, jednak teraz połączyła ich wspólna misja. Rozmawiali jeszcze przez następne trzy godziny, dyskutując o porażce sankcji, jakie Organizacja Narodów Zjednoczonych nałożyła na rządzonego przez Saddama Husajna Irak. Wynegocjowana w 1998 przez ONZ umowa z Irakiem pozostała tylko na papierze - Husajn nieustannie łamał jej postanowienia, okłamując i zwodząc zagranicznych dyplomatów. W jaki sposób można było przywołać go do porządku? Jak długo jeszcze pozostanie u władzy? Jakie należało podjąć kroki, żeby broń masowej zagłady, którą wytworzył

Irak, została zniszczona? Czy udałoby się obalić Husajna?

Po wielogodzinnej dyskusji tylko jedno wydawało się jasne. Podróż do Kuwejtu okazała się kompletną stratą czasu. Amerykańscy wysłannicy nie zbliżyli się ani o krok do rozwiązania kwestii Iraku. Husajn bawił się z nimi tak samo, jak od lat.

Były prezydent usiadł wygodniej i zamknął opadające ze zmęczenia powieki, a po kilku minutach pogrążył się w głębokim śnie.

Noc mijała spokojnie. Dwanaście godzin po starcie, Kowboj Jeden miał skaliste wybrzeże Nowej Szkocji. Wciąż panował wieczór. Słońce rzucało długie cienie na kanadyjskie doliny. Lot przebiegał zgodnie z planem.

Kiedy samolot wszedł w amerykańską przestrzeń powietrzną, kontrola ruchu powietrznego zamierzała przekazać go ośrodkowi w Nowym Jorku, aby pokierował lotem Kowboj Jeden przez zatłoczoną przestrzeń powietrzną wokół Waszyngtonu.

Przy pulpicie kontrolera lotów w ośrodku w Bostonie siedziała młoda kobieta o nazwisku Kelly Lyn. Była 19.44 czasu miejscowego. Kelly obserwowała uważnie ekran radaru, śledząc przemieszczającego się na nim boeinga 747. Niepełny sygnał wywoławczy nie informował kto jest właścicielem samolotu. Lyn nie wiedziała, skąd leciał jumbo-jet. Ani kto znajdował się na jego pokładzie. Tak czy owak, wcisnęła guzik nadawania i wymieniając podaną nazwę kodową boeinga, powiedziała:

- Kowboju Jeden, po minięciu punktu X zjedź na dziewięć tysięcy metrów.

Czekając na potwierdzenie, rozważała swoje następne ruchy. Kiedy należący do Sił Powietrznych Kowboj zniży się na dziewięć tysięcy, poleci wznieść się wyżej lecącemu na wschód samolotowi linii United, a następnie przekaze samolot linii Delta ośrodkowi w Buffalo. Później każe dwóm wojskowym F-16 zachowywać wysokość dziewięciu tysięcy dwustu metrów aż do rejonu lotniska w Bangor, a następnie...

Kelly przerwała swoje rozważania. Kowboj Jeden nie odpowiedział dotąd na jej komunikat, ani nie posłuchał go. Odezwała się więc jeszcze raz:

- Kowboju Jeden, po minięciu punktu X zjedź na dziewięć tysięcy metrów. Wywołaj ośrodek w Nowym Jorku na częstotliwości jeden trzy dwa przecinek cztery. - Odczekała, ale odpowiedzi nie było.

Tymczasem odezwał się pilot samolotu linii American Airlines, który wystartował właśnie z Bostonu. Lyn zerknęła na ekran. Jeszcze trzy inne samoloty czekały na jej instrukcje.

Kelly zignorowała je na razie.

- Kowboju Jeden, jak mnie słyszysz? - zapytała.

Nic.

Spróbowała jeszcze raz i nagle zamarła.

Zastukała nerwowo w klawiaturę, prosząc komputer o więcej informacji na temat Kowboja Jeden. Po niecałej sekundzie wojskowy jumbo-jet rozbłysnął na ekranie jako jasnozielony trójkąt.

Kontrolerka zmarszczyła brwi.

Komputer spytał tymczasem o jej numer identyfikacyjny, a następnie poprosił o kod dostępu. Wstukała je szybko. Jej serce zaczynało kołatać ze strachu. Kiedy wcisnęła „enter”, koło zielonego trójkąta pojawiła się grupa liter i cyfr. Kelly aż zatkało. Nadała w eter po raz kolejny:

- Kowboju Jeden, jak mnie słyszysz, odbiór? - Mówiła już podniesionym głosem. Nikt jej nie odpowiadał. Przeniosła wobec tego wzrok na inną część ekranu i zawołała: - American dwadzieścia osiem pięćdziesiąt sześć, tu ośrodek w Bostonie na częstotliwości trzy cztery przecinek siedem. Jak ty mnie słyszysz?

- Boston, tu American, słyszę cię dobrze.

Lyn odwróciła się na obrotowym fotelu i przywołała swojego kierownika zmiany. Natychmiast podszedł do niej i przyklęknął przy jej ekranie.

- Co się dzieje? - spytał.

Kelly pokazała na jasnozielony symbol.

- Przez mój sektor przelatuje NORDO.

Kierownik przyjrzał się uważnie ekranowi. Rzeczywiście, NORDO, czyli No Radio Aircraft. „Samolot Bez Kontaktu Radiowego”. Coś podobnego zdarza się rzadko i jest to bardzo uciążliwe dla kontrolerów ruchu. Kierownik zerknął na Kelly, dostrzegł strach w jej oczach. Poblądła i drżącymi dłońmi wstukała odpowiedni kod.

- Zobacz, Frank! - szepnęła, tak, żeby pozostali kontrolerzy nie słyszeli. - Ten NORDO to Air Force One! Na pokładzie jest wiceprezydent i były prezydent Bush!

## 5.

### Hotel Sheraton Waszyngton, USA 20.15 czasu miejscowego

Dowódca drużyny prezydenckiej ochrony o kodowym imieniu „Ropucha”, stał w odległości dziesięciu metrów od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Był ukryty z boku sceny, koło drzwi przeciwpożarowych, wychodzących na Calvert Street. Widział jak prezydent stara się poruszyć słuchaczy przemówieniem i skłonić ich do ofiarowania funduszy na pewien cel. Dwadzieścia minut krasomówstwa prezydenta powinno przynieść pół miliona dolarów netto.

„Ropucha” skoncentrował uwagę na zebranych. W jego lewym uchu tkwiła słuchawka wielkości ziarnka grochu. W kłapę marynarki miał wpięty miniaturowy mikrofon. Kontrolował swoich ludzi rozmieszczonych w różnych punktach ogromnej sali balowej hotelu. Przydzielono mu na dziś jedenastu agentów, w tym czterech „Pakerów”, czyli ludzi wyposażonych w pistolety maszynowe uzi.

Dowódca rozejrzał się niespokojnie. Zawsze denerwowały go duże zgromadzenia, takie jak to. Nie znosił, kiedy prezydent znajdował się pośród ludzi, a już szczególnie

w przepelnionej sali, do której nietrudno się przedostać komuś niepowołanemu. Gdyby rozkład zajęć prezydenta zależał od „Ropuchy”, agent skazałby amerykańskiego przywódcę na areszt domowy w murach Białego Domu. Dopiero wtedy czułby, że jego szef jest bezpieczny.

„Ropucha” słuchał jednym uchem przemówienia prezydenta. Nastąpiła pauza i oklaski. Brawa zaczęły cichnąć, w słuchawce odezwał się alarm. Agent wcisnął ją głębiej do ucha i przechylił głowę, nie spuszczać wzroku z pleców prezydenta.

- Uwaga, Sztylety! Żołnierz - ze sceny! Zabrać Żołnierza ze sceny!

„Ropucha” natychmiast wyskoczył naprzód, sięgając pod połę marynarki. Wyszarpnął broń i opuścił ją lufą na dół, jednocześnie odbezpieczając. Podbiegł do krawędzi sceny i zatrzymał się, obserwując widownię. Podniósł się gwar, gdyż zebrani zobaczyli, że agenci prezydenckiej ochrony przesuwiają się ku scenie. „Ropucha” odezwał się do mikrofonu w klapie:

- Sztylet Dwa, co tam masz?

Zastępca „Ropuchy”, który miał obserwować całą salę spod tylnej ściany, zlustrował tłum.

- Dwójka czysta. Na razie nic. Ale zabierzmy go ze sceny.

- Potwierdzam - odparł „Ropucha”.

Właśnie ruszał naprzód, kiedy usłyszał po lewej jakiś odgłos. Odwrócił się natychmiast i zobaczył wychodzącego zza sceny jednego z „Pakerów”, z wyciągniętym uzi w rękę. Agent rozłożył ze szczękiem składany magazynek i wcisnął się pomiędzy fałdy kurtyn, obserwując uważnie widownię.

„Ropucha” podbiegł do mównicy. Na scenie pojawiło się jeszcze dwóch innych agentów. Publiczność wstrzymała oddech, pełna przerażenia. Prezydent przestał mówić, jednak nie odwracał się w stronę „Ropuchy”.

Odsunął się od mównicy, z niespokojnym wyrazem twarzy. „Ropucha” dopadł do niego pierwszy i zasłonił go. Po paru sekundach wokół stali już inni agenci, odwrócenii plecami do prezydenta, a przodem do tłumy; osłaniali kręgiem swojego podopiecznego.

„Ropucha” nachylił się i szepnął prezydentowi do ucha:

- Sir, proszę pójść z nami. Proszę zejść z nami ze sceny.

Prezydent zerknął ukradkiem w stronę „Pakera”, wiedząc, gdzie powinien stać człowiek z pistoletem maszynowym. Tymczasem w uchu „Ropuchy” rozległo się pytanie, czy prezydent jest bezpieczny. Dowódca odmruknął do kłapy odpowiedź, po czym położył ciężką dłoń na ramieniu prezydenta i zaczął popychać go w stronę drzwi z boku sceny.

Skinął głową i jego ludzie ruszyli, jak jeden mąż. Kiedy opuścili scenę, pociągnęli szybko podopiecznego w stronę przeciwpożarowych drzwi. „Ropucha” rzucił do mikrofonu kilka szybkich komend.

Na kolejne skinienie głowy dowódcy, jeden z agentów otworzył z trzaskiem drzwi i wypadł na boczną uliczkę, z przygotowaną do strzału bronią. Natychmiast pojawiła się prezydencka limuzyna, wjeżdżając gwałtownie na chodnik i zatrzymując się z piskiem opon. Otworzyły się tylne drzwi i dowódca ochrony popchnął prezydenta w stronę

samochodu. Ten wskoczył do środka, a stróże jego życia podążyli za nim. Pojazd ruszył zanim zatrzaśnięto drzwi. Z tyłu natychmiast znalazł się drugi samochód. Limuzyna czekała kilka sekund na skrzyżowaniu ulic Connecticut i Calvert, aż nadjechali z wyjątkimi syrenami policjanci na motocyklach. Limuzyna rozpedziła się otoczona samochodami policyjnymi. Wreszcie, „Ropucha” poinformował centralę, że „Żołnierz” jest bezpieczny.

Chevy Chase, Maryland, USA  
20.33 czasu miejscowego

Marszałek Izby Reprezentantów wyszedł spod prysznic, osłaniając krępe ciało ciepłym szlafrokiem. Do sypialni wpadało światło zachodzącego słońca, rzucając na wypastowaną podłogę długie cienie. Posiedzenie Izby trwało do późnego wieczora i marszałek był bardzo zmęczony.

Usłyszał pukanie do drzwi. Podniósł wzrok i zobaczył agenta Secret Service. Za nim stała zaniepokojona żona marszałka.

- Panie marszałku, przepraszam, że przeszkadzam, ale chodzi o Nurka - powiedział agent. - Narodowe Struktury Dowodzenia rozpoczęły procedurę Ramię Olbrzyma.

Marszałek otworzył usta i zmrużył oczy. Pobladł i rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok zatrzymał się bezwiednie na ścianie. Żona zasłoniła usta drżącą dłońią.

Podczas gdy troje ludzi stało nieporuszenie, rozległ się charakterystyczny odgłos. Najpierw zaczęły delikatnie wibrować szyby w oknie, potem dał się słyszeć łoskot helikoptera. Z oddali wyły syreny zbliżających się ulicą samochodów policyjnych. Marszałek zerknął na dwór, nie mogąc zebrać myśli. Agent zwrócił się tymczasem do jego żony:

- Pani mąż poleci z nami. Czy może mi pani dać jakieś ubranie dla pana marszałka?

Marszałek westchnął, po czym ruszył w stronę szafy.

- Dajcie mi chociaż czas, żebym mógł się ubrać - powiedział, zirytowany.

- Panie marszałku, dokładnie za dziewięćdziesiąt sekund musi pan być na pokładzie śmigłowca. Nie mamy chwili czasu do stracenia.

Wojskowa maszyna typu Blackhawk zawisła nad ulicą. Dwa policyjne samochody stanęły po obu jej stronach. Wysiedli z nich funkcjonariusze, żeby zawracać nadjeżdżające pojazdy. Piloci obejrzeni z wysokości piętnastu metrów jezdnię, a następnie obrócili ogon śmigłowca nad asfalt i zaczęli się zniżać. Po chwili, śmigłowiec wylądował na ulicy.

Marszałek zobaczył przez cienką firankę, jak siedzący w helikopterze żołnierz otwiera od środka wielkie drzwi maszyny. Minęła jeszcze sekunda i marszałek poczuł, że ciągną go za ramię. Dwaj mężczyźni wybiegli z pokoju.

Pięćdziesiąt sekund później Blackhawk wystartował znowu. Marszałek Izby Reprezentantów wyglądał przez okno helikoptera, opierając boscie stopy o zimną, metalową podłogę. Na kolanach trzymał zmięte spodnie od dresu i białą koszulę.

Patrzył, jak droga umyka w tył, a potem odwrócił się do siedzącego obok pułkownika. Ten otworzył teczkę i wyjął z niej grubą, oprawioną na czerwono instrukcję. Marszałek zaczął czytać. Śmigłowiec skierował się tymczasem na zachód, oddalając się od miasta. Lecił w miejsce odległe o trzysta kilometrów.

## 6.

### Pomieszczenie Sytuacyjne, Biały Dom, Waszyngton, USA 21.37 czasu miejscowego

Air Force One minął Nowy Jork w odległości stu trzydziestu kilometrów. Lecił nad Atlantykiem niczym milcząca zjawą, ukazująca się na ekranach kontrolerów ruchu w formie trójkąta. Posuwał się trasą A700 - od lat bardzo ruchliwym korytarzem powietrznym, na który kierowano przylatujące z Europy liniowce zmierzające na lotniska imienia Dullesa, Reagana i BWI. Oczywiście, należący do Sił Powietrznych boeing nie zmierzał na żadne z nich, tylko do bazy Andrews, gdzie stacjonują wykorzystywane przez prezydenta i jego świtę maszyny.

Podczas gdy Kowboj Jeden posuwał się na południowy zachód, specjaliści od łączności - co najmniej kilkadziesiąt obok - uwijali się jak w ukropie, żeby skontaktować się z lecącymi na jego pokładzie ludźmi. Próbowali wszelkich możliwych środków - a było ich wiele, gdyż prezydencki Air Force One jest prawdziwym centrum telekomunikacyjnym. Znajduje się na nim mnóstwo nadajników, odbiorników i telefonów. Dysponuje połączeniami satelitarnymi i nadajnikami wysokiej częstotliwości, za pomocą których można porozumieć się z okrętami podwodnymi ukrytymi pod polarnymi czapami lodowymi, czy też samolotami patrolującymi Adriatyk. Można z niego połączyć się z dowolnym plemieniem w Afryce Wschodniej i wioską we wschodniej Syberii.

Dlatego też nikt nie dał się zwieść, kiedy Air Force One nie odpowiadał. Wszyscy wiedzieli, że nie chodzi o zwykłą awarię nadajnika.

Najbardziej prawdopodobne wydawało się, że samolot został porwany. Jednak nie miało to sensu. Gdyby nawet terroryści zdołali odciąć całą łączność radiową, załoga z pewnością potrafiłaby uruchomić jeden z przygotowanych na taką ewentualność alarmów. Jednak żaden z pokładowych transponderów nie sygnalizował jakichkolwiek kłopotów. Kiedy samolot zbliżył się do Cieśniny Delaware, uruchomiono służby ratunkowe lotniska w bazie Andrews. Po niecałej minucie w kierunku obu końców pasa pędziły już ogromne, seledynowe samochody gaśnicze i pojazdy do wytwarzania piany. Podążał za nimi szereg karettek pogotowia, wozów ratownictwa technicznego, zmotoryzowanych drużyn pierwszej pomocy, drużyn usuwania skażeń. Wśród ratowników lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że chodzi o Air Force One. Kazano im się przygotować na najgorsze.

Podczas gdy pojazdy ratunkowe wjeżdżały na pasy startowe, miejscowi kontrolerzy ruchu lotniczego błyskawicznie oczyszczali przestrzeń powietrzną wokół bazy Andrews. Zarówno wielkie jumbo-jety z setkami pasażerów na pokładach, jak i najmniejsze awionetki zostały zawrócone z tras, żeby nie zderzyły się z samolotem, na pokładzie którego nastąpiła awaria. Wiele z nich skierowano na lotnisko Dullesa, leżące pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Andrews. Mniejszym samolotom kazano po prostu lądować.

Kiedy Kowboj Jeden znalazł się w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od Waszyngtonu, spodziewano się, że zacznie się zniżać. Lecił jednak przed siebie na niezmienną wysokość, zachowując tę samą prędkość. Dwadzieścia minut później przeleciał nad lotniskiem bazy Andrews. W końcu zaczął lekko skręcać w lewo, mniej więcej ku południowi, posuwając się wzdłuż wybrzeża w stronę Zatoki Cheaspeake. Mijając od południa pełne węży bagna East Dismal Swamp w sąsiedztwie Cieśniny Pamlico, olbrzym zaczął wreszcie zmniejszać wysokość lotu.

Prezydent podniósł słuchawkę. Był spięty i blady. Posłuchał chwilę, a potem, nic nie odpowiadając, odłożył słuchawkę z powrotem. W zatłoczonym Pomieszczeniu Sytuacyjnym panowała cisza. Wszystkie oczy zwrócone były na prezydenta. Nikt się nie odzywał; zdawało się, że zebrani wstrzymali nawet oddechy, obserwując twarz swojego szefa w oczekiwaniu na dobre wieści.

Prezydent opuścił ramiona i podniósł oczy. Milczał jeszcze przez moment, po czym, odchrząknąwszy, oznajmił:

- Air Force One właśnie minął granicę Karoliny Południowej. Zgodnie z przewidywaniami Sił Powietrznych, zaczął się zniżać. W tej chwili leci dalej, opadając w stałym tempie około tysiąca dwustu metrów na minutę. Wygląda na to, że analityk lotnictwa miał rację. Boeing miał rezerwę paliwa tylko na dziewięćdziesiąt minut lotu i właśnie mu się skończyło. W tej chwili już nie możemy w żaden sposób im pomóc.

Okręg Hory, trzydzieści kilometrów na wschód od Wampee  
Karolina Południowa, USA,  
20.48 czasu miejscowego

Nieduży chłopiec stał na skraju lasu, kiedy nagle nad jego głową przesunął się olbrzymi, cichy samolot. Wychynął z półmroku jak gigantyczny ptak. Jego błękitno-biały kadłub połyskiwał w gasnących promieniach słońca. Samolot był zdumiewająco cichy, jak zwykły świst wiatru. Zastonił niebo na całe pięć sekund, przelatując zaledwie trzydzieści metrów ponad pastwiskiem, gdzie chłopiec stał jak wmurowany, patrząc z otwartymi ustami na niezwykle zjawisko. Naprawdę słyszał odgłos wiatru świszczącego wokół potężnych skrzydeł i kadłuba. Maszyna minęła go, opadając spokojnie ku wysokim drzewom. Chwilę później rozległa się błyskawiczna seria suchych trzasków, które szybko przerodziły się w ostre i głośnie dźwięki. W końcu szeregami zaczęły padać drzewa.



Odłamki drewna, liście i pył fruwały w powietrzu, aż ponad wierzchołkami sosen. W lesie rozległ się rozdzierający zgrzyt rozdzieranego na części samolotu. Kawałki stali i aluminium przecinały drzewa z odgłosem przypominającym trzaskające pioruny. W górę fruwały wielkie, oderwane od reszty, fragmenty skrzydła. Potężny łoskot przetaczał się przez las.

Chłopiec wyobraził sobie, że słyszy krzyki uwięzionych w samolocie ludzi. Trzęsąc się z przerażenia zasłonił sobie rękami uszy.

## Miejsce katastrofy Air Force One Okręg Hory, Karolina Południowa, USA, 23.34 czasu miejscowego

- Stój - polecił pułkownik. - Zawieśnij tutaj. Chcę zrobić zdjęcia.

Śmigłowiec ratunkowy zatrzymał się w powietrzu kilkanaście metrów nad wyrwą na skraju lasu, gdzie jumbo-jet uderzył w pierwsze drzewa. Pułkownik skinął na wojskowego fotografa, przypiętego pasami koło otwartych drzwi. Młody lotnik wychylił się z maszyny i zaczął pstrykać. Panowała już noc. Potężne reflektory śmigłowca oświetlały białą powstającą szczytki samolotu. Od chwili katastrofy minęły prawie trzy godziny.

Spoglądając na rumowisko, pułkownik doszedł do wniosku, że boeing uderzył w las lecąc prawie poziomo, opadając łagodnie. Widać było, że sosny rosnące najbardziej na północ zostały pozbawione jedynie niektórych górnych gałęzi, gdyż wielka maszyna przedarła się tylko przez giętkie wierzchołki ich koron. Dopiero jakieś sześćdziesiąt metrów od skraju lasu zaczynał się pas połamanych drzew.

I dopiero tam, pomiędzy potrzaskanymi pniami leżały pierwsze szczytki samolotu. Kawałki metalu błyszcząły w świetle reflektorów, tworząc ścieżkę o długości pół kilometra; tak daleko zostały rzucone niektóre z nich, kiedy samolot rozerwało na strzępy. Przewodzący śledztwo w sprawie przyczyn katastrofy pułkownik widział przed sobą „tunele”, którymi posuwały się naprzód cztery wielkie silniki jumbo-jeta. Ponieważ miały wielką masę - i w związku z tym energię kinetyczną - zabrnęły dalej w las. Pułkownik oceniał, że ich resztki zatrzymały się dopiero w odległości ośmiuset metrów od skraju lasu. Wiedział, że gdzieś pomiędzy silnikami a ogromnymi fragmentami kadłuba będą się znajdować szczytki kabiny pilotów. Natomiast za kabiną pilotów powinny leżeć kawałki sekcji prezydenckiej. Od nich rozpocznie.

Śmigłowiec ruszył teraz naprzód. Pułkownik patrzył przez połamane drzewa na pracujących w dole ratowników. Na miejscu były już siły bezpieczeństwa, jak również miejscowe drużyny ratownicze i lokalna policja. Jak dotąd, nie znaleziono nikogo żywego. Było to zadziwiające. Bez pożaru i przy względnie niewielkiej prędkości w chwili uderzenia, biorąc pod uwagę hamujący efekt łamanych drzew, część pasażerów Air Force One powinna przeżyć.

Pułkownik rozkazał pilotom posadzić śmigłowiec w pobliżu końca rumowiska, gdzie ustawiono przewoźne reflektory, oświetlające nienaturalnym blaskiem las. Wskoczył z maszyny i ruszył przez szczytki pni ku dużemu, jajowatemu kształtowi. Była to kabina pilotów, pokieroszowana, ale mniej więcej cała. Kiedy zbliżył się tam, zawołał na niego

człowiek w mundurze majora lotnictwa:

- Sir! Proszę tędy, szybko! - Na piersiach majora widniała tabliczka, na której oprócz nazwiska było napisane, że jest lekarzem. Był to jeden z członków drużyny ratunkowej przysłanej drogą powietrzną z Waszyngtonu.

- Co się stało, Paul? - odpowiedział pułkownik.

- Niech pan pójdzie ze mną, sir. Musi pan coś zobaczyć.

Pułkownik ruszył posłusznie za majorem w stronę leżącej na boku kabiny. Obszedł ją od tyłu i zaszokowany zobaczył, że ciała dwóch pilotów są ciągle przypięte do foteli. Ich ręce zwisały bezwładnie w bok, głowy zwieszały się na piersi, jak u lalek. Widać było, że kręgosłup szyjny pierwszego pilota jest złamany. Także jedna z jego nóg była wygięta pod nienaturalnym kątem w bok. Ciało wiszącego w prawym fotelu drugiego pilota wydawało się nieuszkodzone.

- O co chodzi, Paul? Nie mam zbyt wiele czasu. Chcę przyjrzeć się szczątkom sekcji prezydenckiej. Biały Dom czeka na potwierdzenie śmierci wiceprezydenta i byłego prezydenta. - Mówiąc to, pułkownik przyglądał się stłuczonym ekranom i połamanym przełącznikom.

Major podszedł do ciała drugiego pilota i unióśł za włosy jego głowę, kierując ją twarzą do pułkownika.

Widniały na niej podłużne pręgi, jakby od jakichś szpon. Nos został zerwany aż do białej chrząstki. Najstraszniejsze było to, że brakowało oczu. Pozostały po nich tylko głębokie, czarne dziury.

Major, nie puszczając głowy nieszczęśnika, wyjaśnił:

- Te rany nie powstały od uderzenia. Sam je sobie zadał. Proszę spojrzeć na jego ręce. Są całe we krwi. Pracuję przy katastrofach lotniczych od piętnastu lat i jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem. To jedno z pięciu ciał, na których znaleźliśmy podobne rany. Cokolwiek stało się z tymi ludźmi, nie zginęli z powodu katastrofy. Wszyscy byli martwi na długo przedtem.

Pułkownik zadrzał ze strachu, zrozumiawszy, co mogło się stać.

- Nie dotykaj ich! - Cofnął się, potykając się o pień. - Zostaw ich natychmiast! - Odwrócił się szybko i ruszył biegiem przed siebie. Major pobiegł za nim, nie wiedząc, o co chodzi.

Pułkownik, nie przerywając biegu, wyjął telefon komórkowy i wystukał numer, drugą ręką odganiając zbliżającą się grupę ratowników.

Telefon odebrano już po pierwszym sygnale. Nie czekając na zgłoszenie się rozmówcy, pułkownik rzucił:

- Słuchaj, tu J-3. Jestem na miejscu katastrofy i chcę, żeby wszyscy natychmiast opuścili ten teren. - Po krótkiej chwili zawołał znowu: - Nie! Nie rozumiałeś. Musimy natychmiast oczyścić miejsce katastrofy! Ogłaszam alarm. Chcę, żeby zniknęli stąd wszyscy cywile. Przekaż dyżurnym, że potrzebujemy natychmiast więcej sił bezpieczeństwa, jednostka ratownictwa biologicznego i wszystko inne. Zawiadom ich, oni będą dokładnie wiedzieli, co mają robić!

Nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź, pułkownik zamknął telefon i wrzucił go do kieszeni.

- Uwaga wszyscy! - zawołał donośnie do pobliskiej grupy miejscowych ratowników.
- Rozkazuję natychmiast opuścić teren! Odejdźcie! Odejdźcie od samolotu! Ogłaszam miejsce katastrofy strefą bezpieczeństwa narodowego!

## Baza Sił Powietrznych Mountain Home, Idaho, USA 22.55 czasu miejscowego

Ćwiczenia zakończyły się i samoloty wracały do bazy. Pierwsze wylądowały tankowce. Parę minut później pułkownik Wisner wkroczył do biura podpułkownika Magilla. Był cały przeponony i wyjątkowo nieprzyjemnie pachniał. Magill podniósł się zza biurka.

- I co, zrobił to, prawda? - zagadnął dowódca dywizjonu, uśmiechając się pod nosem. Usiedli.

- Tak, tak jak mówięś, Paul. Dobrze znasz swoich ludzi.

Magill oparł się wygodnie i zapytał:

- Ile maszyn stracili?

- Wcale nie było tak źle. Komputery poligonu oceniły, że nieprzyjaciel zdołałby zestrzelić najwyżej trzy bombowce i może ze dwa Strike Eagle. Tylko pięć samolotów. Na dodatek pomimo rakiet i baterii przeciwlotniczych, wszystkim atakującym udało się wypuścić bomby. Według modeli komputerowych całe lotnisko zostałoby kompletnie zniszczone.

- Bunkry też? I magazyny z bronią chemiczną?

- Tak jest jedno i drugie. Gdy twój kapitan zda raport, dostanie małą burę za złamanie zasad podejmowania walki, jednak ogólny wniosek jest taki, że gdyby operacja rozgrywała się naprawdę, to, pomimo strat, byłaby wielkim sukcesem.

Nagle rozległo się energiczne pukanie. Drzwi otworzyły się i zajął młody pilot, nie czekając aż go poproszą.

- Przepraszam bardzo, ale dzwonią z Waszyngtonu do pana pułkownika Wisnera. Od generała Becka. Kazali powtórzyć, że to pilne.

- Rozumiem. Odbiorę tutaj - odparł Wisner.

- Sir, zadzwonili przez STU III. Obawiam się, że będzie pan musiał odebrać w naszym bunkrze.

Pułkownik zamarł na moment, po czym ruszył za pilotem krótkim korytarzem. Dwaj mężczyźni przeszli przez pancerne, zamykane cyfrowym zanikiem drzwi do umocnionego fragmentu budynku. Pilot pokazał na znajdujący się w pustym pomieszczeniu kodujący telefon STU III, używany tylko do tajnych rozmów. Pułkownik wszedł do sali, a pilot zamknął za nim drzwi od zewnątrz.

Pułkownik odebrał i słuchał z uwagą, blednąc stopniowo, w miarę jak generał Beck wyjaśniał mu sytuację. Ręce Wisnera zaczęły się trząść; zająknął się raz, aż wreszcie zamknął oczy, chłonąc sens słyszanych słów. Rozmowa była krótka. Po chwili pułkownik odłożył słuchawkę.

Stał nieruchomo jeszcze przez chwilę, po czym ruszył do biura Magilla. Wpadł do jego pokoju, popatrzył na starego przyjaciela i powiedział:

- Zabieram ich. Charliego i „Zabójcę”. Powiadom ich rodziny. Odlatujemy jeszcze tej nocy.

Serce Magilla zatrzymało się na moment. Spotkał się już w życiu z podobną sytuacją. Chciał protestować, ale ugryzł się w język. Wyraz twarzy Wisnera mówił mu, że powinien go natychmiast posłuchać.

Trzy godziny później Wisner siedział w przedniej części kabiny pasażerskiej swojego niewielkiego odrzutowca typu Lear, który zmierzał z maksymalną prędkością przelotową na południe. Za pułkownikiem, w tylnym końcu kabiny, spał Charlie McKay. Alex Bennett wyglądał przez okno w ciemność.

Nie dano mu nawet czasu na pożegnanie się z rodziną.

## Meczet Al-Haumand-Elkarar, Śródmieście Bagdadu, Irak 08.10 czasu miejscowego

Meczet był mały, ale idealnie utrzymany. Biel ścian aż oślepiła, a marmurowy portal błyszczał w świetle poranka. Do świątyni oddzielonej od ulicy wysokim murem z cegieł i piaskowanych kamieni, wchodziło się przez potężną, żelazną bramę. Meczet wprawdzie służył celom religijnym, jednak nie był przeznaczony dla mas. Tylko uprzywilejowani mieli prawo wstępu do tego sanktuarium.

Wewnątrz świątyni panowała pustka, jeśli nie liczyć Araba, który klęczał, odprawiając poranną modlitwę. Mężczyzna nachylił się i dotknął czołem wypolerowanego marmuru podłogi. Mruczał półgłosem:

- „Boże Jedyne, Boże Jedyne, Twórco gór i nieba Daj mi siłę i współczucie  
Zachowaj władzę i miłosierdzie nad wszystkimi, którzy wielbią Jedyne Boga  
I miej siłę na tych, którzy Ci się sprzeciwiają  
Ażeby, jak wszyscy wrogowie od początku czasów  
Mogli oddać swoje dusze osądowi Allaha, Boga Jedynego”.

Muzułmanin powtórzył słowa modlitwy kilkakrotnie, śpiewnym tonem, kłaniając się aż do ziemi. Modlił się do czasu, aż usłyszał za sobą szelest powiewnych szat, a później poczuł na ramieniu delikatne, ledwie wyczuwalne dotknięcie. Podniósł się i odwrócił powoli.

Duchowny był ubrany w śnieżnobiałe *dashiki*, owijające jego twarz, szyję i opadające na jedno z ramion. Szata osłaniała zarówno dłonie, jak i białe stopy mężczyzny. Na głowie miał turban, którym, wbrew obowiązującej tradycji, owinał starannie także uszy i czoło. Widać było tylko oczy gospodarza świątyni, wyblakłe od upływu lat, mętne, czerwone i jakby zapadłe. Wciąż jednak tlił się w nich płomień nieokiełznanego temperamentu.

Młodszy z mężczyzn ruszył za duchownym ku przedniej części meczetu, aż wreszcie wyszli bocznymi drzwiami.

- Jak się czujesz? - spytał duchowny tonem pełnym troski.

Zapytany potarł biodro, dotykając dawnej rany - zagłębienia w mięśniu, którego część stracił. Pozostała w tym miejscu blizna i puste miejsce, w niektórych punktach sięgające

niemal kości. Mężczyzna czuł chłodną stal mocującą do kolana protezę łydki i drewnianą stopę. Przez chwilę przeniósł się myślami do szpitala, gdzie stoczył długą walkę o życie. Poczul na nowo smród własnego ciała, gnijącego, gdy rozwijała się gangrena. Przypomniał sobie próby wywiezienia go z kraju do Francji lub Włoch, gdzie jego nogą zajęliby się światowej klasy lekarze, wyposażeni w najnowocześniejszy sprzęt. Pomyślał wreszcie o amerykańskich myśliwcach, które zmusiły jego śmigłowiec do zawrócenia i cofnięcia się dwadzieścia kilometrów w głąb terytorium jego własnego kraju.

Odezwał się w nim gniew. Mężczyzna myślał o przeżytych bólu, o kikucie, o tym, że nie może już biegać. Utykał, a jego ciało było niekompletne. Okropność.

Wiedział, kogo za to winić. Obaj byli winni grzechu. Co dzień pielęgnował w sobie gniew i poczucie winy.

Duchowny przyglądał się młodszemu od siebie mężczyźnie. Uśmiechnął się pod zawojem, choć jego oczy pozostały bez wyrazu. Młody człowiek dojrzał do działania. Był gotowy. Nadszedł czas.

Dwaj Arabowie szli razem jeszcze przez chwilę. Ich bose stopy tonęły w miękkiej, starannie podlewanej trawie. W pewnym momencie duchowny nachylił się i szepnął towarzyszowi do ucha:

- Słuchaj, Udaj. Masz swój cel. Musisz podjąć działanie. I to wkrótce, bo inaczej będzie za późno.

Udaj Husajn odwrócił się.

- Nie - mruknął. - Jeszcze nie. Może się rozmyślić.

Starszy człowiek rzucił kilka obraźliwych słów. Były głęboko osobiste i napastliwe, jednak twarz Udaja pozostała nieporuszona.

- Twój ojciec dowie się o tym, co zrobiłeś - szydził stary. - *Rais* się dowie, a ty będziesz musiał się wytłumaczyć. Musisz być gotów do działania. Nie możesz opóźnić tej chwili.

Młodszy mężczyzna nie odpowiadał. Opuścił wzrok na trawę, a jego twarz przybrała dziwny, trudny do określenia wyraz. Serce waliło mu jak młotem. Czuł w uszach pulsującą krew. Żołądek ścisnął mu się ze strachu. Bał się. Bał się tak bardzo, wiedział bowiem, że nie ma już odwrotu.

## 7.

Biały Dom, Waszyngton, USA  
Dzień trzeci (czwartek), 05.30 czasu miejscowego

Słońce miało wejść dopiero za niecałą godzinę. Przez kuloodporne okna Białego Domu wpadała do środka delikatna poświata bijąca od umieszczonych na trawniku reflektorów bezpieczeństwa. Zebrana w Gabinetie Owalnym grupka otaczała półkolem

niewysoką ławę. Prezydent zajął miejsce u jej szczytu. Brent Hillard - prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego - siedział niedbale na błękitnej, skórzanej kanapie. Założył sobie dłoń za tył głowy, tworząc dla niej w ten sposób dodatkowe podparcie. Michael Crosby - dyrektor CIA - wiercił się niecierpliwie na krawędzi drugiej kanapy, z założonymi na brzuchu rękami. Na jego twarzy malował się wyraz niepokoju. Ostatni ze zgromadzonych mężczyzn, generał armii Davis Beck - przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów - siedział sztywno w swoim fotelu.

Minęło niecałe dziewięć godzin od chwili, kiedy Air Force One rozbił się w jednym z lasów Południowej Karoliny. Od tego czasu w Białym Domu panowało nerwowe podniecenie, niepokój o przyszłość, strach. Światła paliły się przez całą noc, podczas gdy ludzie prezydenta próbowali wyjaśnić całą sytuację.

Prezydent Andrew Brooks kręcił się niecierpliwie, kiedy pozostali przygotowywali notatki. Miał założone ręce, a obie stopy opierał na podłodze. Jego twarz przybrała wyraz determinacji i złości. Powietrze w Gabinetce Owalnym było wyjątkowo suche i Brooks bez przerwy sączył wodę z butelki. Pochylił się i przejechał dłonią po włosach, bezwiednie próbując je uładzić. Był przystojnym, szczupłym i dobrze umięśnionym szatynem. Miał błękitne oczy i opaloną skórę. Poruszał się z gracją i potrafił kochać się jak prostytutka. Uczciwie postępował tylko w sytuacjach, kiedy akurat nie miał nic do ukrycia. Jego bezpośredni sposób bycia mógł się wydawać agresywny. Inteligentny i ambitny był typem współczesnego polityka.

Brooks zerknął ukradkiem na zegarek, a potem popatrzył po kolei na swoich współpracowników. Czekąca go konferencja prasowa i potrzebował odpowiedzi na konkretne pytania.

- Co wiemy, panowie? - zagadnął.

Generał Beck, krępy, mocno zbudowany mężczyzna o szerokich ramionach i gęstych, kruczoczarnych włosach, wychylił się naprzód z wyrazem troski w oczach. Miał serce wojownika i nie znał strachu. Uczestniczył osobiście we wszystkich konfliktach zbrojnych, jakie toczył jego kraj na przestrzeni ostatnich dwudziestu ośmiu lat, poczynając od przedzierania się przez dżungle Wietnamu, a na lotach bojowych nad Bagdadem kończąc. Jednak teraz, siedząc wczesnym rankiem w Gabinetce Owalnym, czuł, że traci ducha.

Odchrząknął i odezwał się:

- Panie prezydencie, jak na razie wszystko wskazuje na to, że Air Force One po prostu skończyło się paliwo. Wprawdzie szczegółowa analiza szczątków wraku zajmie kilka tygodni, w ciągu ostatnich kilku godzin zdołaliśmy zebrać podstawowe dane o silnikach, zbiornikach paliwa i najważniejszych mechanizmach płatowca. Wiemy z absolutną pewnością, że w chwili katastrofy nie pracował żaden z czterech silników. Wiadomo też, że przewody paliwowe były suche. Ponadto przed katastrofą doszło do kawitacji w pompach paliwowych głównych zbiorników, co jest regułą w przypadku, kiedy nie są zanurzone w paliwie. Wprawdzie jest możliwe, że nastąpiła jakaś niewyjaśniona awaria, która spowodowała całkowitą utratę łączności i zmianę kursu, jednak według mnie prawdopodobieństwo

takiego zdarzenia jest znikome. - Prezydent spoglądał na generała bez komentarza, czekając na dalsze słowa. - Moim zdaniem, sir - ciągnął Beck - na podstawie zbadanych dotychczas dowodów, można stwierdzić, że to nie był wypadek ani też błąd załogi. Według mnie z całą pewnością wszyscy znajdujący się na pokładzie, byli martwi na długo przed uderzeniem maszyny o ziemię. Nie żyli już, kiedy boeing wszedł w naszą przestrzeń powietrzną. Oceniam, że ich śmierć nastąpiła wkrótce po ostatnim nadanym przez nich komunikacie radiowym, kiedy znajdowali się na południe od Grenlandii.

Prezydent oparł się w fotelu, był rozgoryczony.

- No dobrze, generale. A co mam powiedzieć? Co powiedzieć Amerykanom?

Davis Beck odwrócił głowę.

- Chciałbym znać wyjaśnienie, sir. Ale na razie nikt go nie zna. Szukamy odpowiedzi i znajdziemy je.

Brooks odwrócił się teraz do pozostałych mężczyzn. Dyrektor CIA i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego czekali na swoją kolej.

Obaj wyglądali bardzo pospolicie. Brent Hillard - doradca do spraw bezpieczeństwa - miał czterdzieści osiem lat. Michael Crosby właśnie skończył pięćdziesiąt jeden. Mierzący metr dziewięćdziesiąt Hillard sprawiał wrażenie jakby był olbrzymią górą mięsa i tłuszczu - ważył sto trzydzieści kilogramów, pomimo że uprawiał w sali gimnastycznej Białego Domu ćwiczenia równie wyczerpujące jak nieregularne. Crosby łysy, gruby Murzyn miał obwisłe policzki i ogromne uszy. Żaden z nich nie wyglądał dobrze przed kamerą, ani też nie był gwiazdą urządzanych w mieście przyjęć. Jednak ci dwaj mężczyźni okazali się najinteligentniejszymi i najbardziej kompetentnymi ludźmi w administracji prezydenta. Błyskotliwi i wygadani, jednocześnie potrafili myśleć strategicznie. Umieeli także trzymać się z dala od politycznych rozgrywek.

Dla Brooksa najważniejsze było to, że się z nim przyjaźnili. Trzymali się razem od początku studiów. Trzej mężczyźni od lat znali się na wylot. Prawdziwa przyjaźń pozwoliła im przetrwać nawet takie chwile, kiedy w jakiejś sprawie absolutnie się nie zgadzali. W przypadku ich pracy, zdarzało się to, rzecz jasna, nieustannie.

Prezydent odezwał się najpierw do Hillarda:

- Co mi powiesz, Brent? Kiedy będziemy mieli wyniki badań toksykologicznych i sekcji zwłok?

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego zmienił ułożenie ciała i odpowiedział:

- Szpital Waltera Reeda pracuje nad tym. Późnym wieczorem posłano do wojskowego laboratorium próbki krwi i tkanek. Jednak na wyniki trzeba będzie trochę poczekać. Jak się pan domyśla, fakt, że nastąpiła katastrofa utrudnia te badania w znacznym stopniu. Naprawdę trudno dopasować szczątki ich ciał oraz fragmentów kabiny i wyciągnąć trafne wnioski. Określenie czasu i przyczyny śmierci każdego z nich jest trudnym zadaniem i oznacza mrówczą pracę. Jednak wszyscy specjaliści głowią się nad tym równocześnie i jeszcze przed południem powinien nadejść wstępny raport. Jak już mówiłem, początkowo jednym z naszych najważniejszych zadań będzie identyfikacja szczątków zwłok. Tylko w

ten sposób możemy ustalić, czy na pokładzie znajdowali się terroryści. Mimo że uważam to za nieprawdopodobne, musimy jednak rozważyć możliwość, że ktoś zdołał przemycić się do Air Force One.

- No dobrze - odezwał się prezydent. - A jaka jest twoja opinia na temat przyczyn katastrofy? - zagadnął dyrektora CIA.

Crosby opuścił ręce i powiedział:

- Mamy podstawy do podejrzeń, że użyto jakiejś trucizny. Jak panu prezydentowi opisano, jeden z pilotów i kilkoro spośród pasażerów zadało sobie samym przerażające rany. Można to wyjaśnić na kilka sposobów; jedną z przyczyn takiej reakcji może być halucynogeny narkotyk. Mógł zostać wprowadzony do ich ciał praktycznie w dowolny sposób. Poprzez żywność, czy wodę. W aerozolu, za pośrednictwem pojemnika umieszczonego w przewodzie wentylacyjnym.

Metod jest kilkadziesiąt. Jednak przekonamy się, o co chodzi dopiero po zakończeniu odpowiednich badań.

Słuchając, prezydent nabrał w płuca powietrza i rozglądał się po pomieszczeniu. Popatrzył na swoje biurko i pamiątki, stolik z prezentami od syna, kubek do kawy, stojący koło ulubionego fotela. Bezwiednie zaczął wyobrażać sobie członków swojej rodziny. Czuł coś na kształt głębokiego smutku. Z pewnością był rozczłuszczony, rozżalony i bardzo zakłopotany.

Mimo że bardzo się starał uzyskać odpowiedź na pytanie o przyczynę katastrofy, wiedział tylko tyle:

Ktoś właśnie zamordował dwóch najlepszych delegatów na rozmowy, jakich mogły wystawić Stany Zjednoczone. Wiceprezydenta i dawnego prezydenta. Do tego zginęło ponad sto innych osób. Samych Amerykanów. Niewinnych cywilów. Prezydent odczuwał to jako zniewagę i pragnął zemsty.

Odetchnął głęboko. Uświadomił sobie, że po prostu chce się zemścić.

Wiedział, tak samo jak wszyscy, że sprawcą ponurego zdarzenia jest Saddam Husajn. Brooks uważał to za wypowiedzenie wojny.

- Panowie, ten skurwysyn siedzi tam i się śmieje - stwierdził prezydent. - Schował się w podziemnym pałacu, ogląda CNN i rechocze. Wierzy, że nie możemy mu nic zrobić. Chyba zdaje mu się, że nie dojdziemy do tego, że to jego wina. Myśli, że uznamy katastrofę za wypadek albo jakieś niezwykle działanie Boga. Od ilu już lat Husajn drwi sobie z nas? Rozbudowuje wojsko od czasu wojny w Zatoce Perskiej. Kolejne inspekcje bez przerwy donoszą o łamaniu postanowień pokojowych. A my - pogarszamy tylko sprawę, zwracając się do ONZ.

Wystarczy pomyśleć o ugodzie z 1998 roku. Trudno o lepszy przykład niekompetentnego działania. Dość już tego. Koniec. Rozwałę ten jego beczelny łeb.

Dyrektor CIA popatrzył Brooksowi w oczy i odezwał się ostrożnie:

- Obawiam się, że muszę panu przypomnieć: jeszcze nie udowodniliśmy, kto zniszczył Air Force One. Rzeczywiście, mamy uzasadnione podejrzania, ale dowodu naprawdę brakuje. Myślę, że ważne jest, żebyśmy nie poddawali się emocjom do czasu aż rozwiążemy zagadkę. Nie możemy wpaść w szał, zanim nie dowiemy się, czy się nie mylimy. Nic by nam to nie dało. Musimy po prostu czekać, i tyle.



- Coś ci powiem, Michael - odparł z niezadowoleniem Brooks. - Ty i ja, i każdy człowiek, który wie, co się dzieje na świecie, zdaje sobie sprawę, że za tą zbrodnią stoi Husajn. Przecież już raz próbował zabić Busha, w dziewięćdziesiątym trzecim roku. Nie pamiętasz? Chciał wyrównać rachunki. I teraz zemścił się wreszcie. Dla mnie to nie pozostawia żadnych wątpliwości. Po wielu latach udało mu się odpłacić Bushowi. A ty chcesz, żebym siedział i gryzł wargi?

Dyrektor CIA był niespokojny. Odpowiedział na tyle stanowczym głosem, na ile śmiał:

- Nie jestem pewien, czy pan dobrze zrozumiał. Nawet jeżeli to Saddam, może nie udać się nam tego udowodnić. Poza tym, niestety, to wcale nie musiał być on. Są dziesiątki ugrupowań terrorystycznych, które byłyby w stanie dokonać podobnego ataku. Hezbollah. Jihad. Syryjczycy. Iran. Możliwości jest wiele. Nie możemy pochopnie odpowiedzieć atakiem.

Prezydent machnął z wściekłością ręką.

- Nie zwracaj głowy! Nie wierzę w to, co mówisz. Wiesz równie dobrze jak ja, że to Husajn. To on dysponuje odpowiednimi środkami, i ma motyw. Przecież wiesz, Michael.

- Pańska linia rozumowania jest jasna i zgadzam się z panem prezydentem w dziewięćdziesięciu procentach - odpowiedział Crosby. - Wiemy, że Saddam poprzysiął zemstę. Jest oczywiste, że gdyby tylko był od nas silniejszy, natychmiast by nas zniszczył. Jednak nie możemy na podstawie tego oświadczenia prowadzić śledztwa. Musimy mieć dowody. I zanim je zdobędziemy, nie wolno nam podjąć żadnych kroków.

Brooks wstał, zirytowany, odwrócił się i podszedł do biurka. Oparł zaciśniętą pięść o blat i stał tak, plecami do swoich doradców. W końcu, odwrócił się do nich i powiedział:

- Pogrzeb ma się odbyć na początku przyszłego tygodnia, prawdopodobnie we środę rano. Pozwolę, żeby do tego czasu w naszym kraju panowała żałoba. Na razie skoncentrujemy się na opłakiwaniu ofiar. - Teraz prezydent mówił niemal spokojnym głosem. - Jednak uwaga, chcę, żebyście nie mieli wątpliwości, przyjaciele. Daję wam tylko tyle czasu. Później, żądam podjęcia natychmiastowej akcji. Nie będę czekał ani chwili dłużej. Macie dokładnie siedem dni. Do tego czasu chcę mieć dowód. Jeżeli zbrodni dokonał Husajn, muszę mieć prawdziwy, niezbity dowód, na podstawie którego będę mógł uderzyć. Jeżeli to jednak nie on, zrozumieć. Tego też musicie dowieść. Wszystko mi jedno, kto to zrobił, ale chcę wiedzieć kto. I gwarantuję wam, że zatknę jego głowę na palu i ustawię na środku tego pokoju. Wydam rozkaz interwencji i sam polecę. Masowe morderstwo to przestępstwo ścigane prawem międzynarodowym. Jeżeli możemy osądzić Noriegę czy Kadhafiego, to jego też. A teraz idźcie już, żeby jak najszybciej znaleźć potrzebny mi dowód.

Brooks usiadł za biurkiem, dając w ten sposób do zrozumienia, że spotkanie jest zakończone i jego współpracownicy naprawdę mają wyjść. Hillard popatrzył niespokojnym wzrokiem na Becka i nieznacznie skinął głową. Generał wstał i powoli podszedł do swojego szefa.

- Panie prezydencie - zaczął - trzeba zająć się jeszcze jedną sprawą. Musi pan wiedzieć jedną rzecz...

Brooks zawałał się chwilę, po czym skinął głową.

- O co chodzi, generale? - spytał z niepokojem.

Przewodniczący Szefów Sztabów zerknął na Hillarda, po czym zaczął wyjaśniać. W miarę jak mówił, prezydent bladł stopniowo, aż jego twarz przybrała chorobliwy odcień szarości. Jego oczy płonęły hamowaną wściekłością. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że serce ściska mu się ze strachu.

## 8.

### Pałac prezydencki, Bagdad, Irak 23.55 czasu miejscowego

- Ty cholerny głupku! Coś ty myślał?! Wydawało ci się, że się nie dowiedzą?!

Przez długą chwilę Udaj Husajn nie odpowiadał. Była prawie północ i ciężko mu się myślało od dużej ilości zażytego valium i wypitego wina. Siedział nieruchomo na skraju długiej, mahoniowej kanapy, ubrany tylko w luźną koszulę nocną i ręcznie robione, wełniane skarpetki. Pachniał lekko czosnkiem, wędzonym łososiem i potem. Jego nieświeże włosy kleiły się już. Ojciec grzmiał mu nad głową.

- O czym mówisz, ojcze? - spytał w końcu Husajn syn. - Co ja takiego zrobiłem?

- Nie zwracaj głowy! Wiesz, o co mi chodzi! - krzyczał prezydent Iraku. - Znam cię, Udaj i wiem, co powiesz.

- Ojcze. Sądziłem, że to bezpieczny krok. Myślałem...

Saddam Husajn wpadł na swojego syna i uderzył go całym impetem ciała.

- Zamknij się, idioto! - wrzasnął. - Słyszałem już twoje wymówki! Czy ty nie masz nic mądrego do powiedzenia?!

Udaj spuścił wzrok, nie potrafił patrzeć ojcu w oczy. Saddam rzucił przekleństwo i odwrócił się plecami.

Kilka minut wcześniej Udaj Husajn, syn słynnego „Rzeźnika”, został wyciągnięty przemocą z łóżka przez osobistą ochronę Saddama, której członkowie wpadli do pokoju Udaja i zrzucili go na podłogę. Potem złapali go pod ręce i postawili na nogi. Udaj szarpał się z nimi, aż wreszcie ustąpili. Patrzył na nich z wściekłością, a wtedy ich dowódca, w stopniu pułkownika armii, odezwał się zimno:

- Pański ojciec chce się z panem widzieć. - Udaj omal nie dostał zawału ze strachu.

W całym Iraku było prawdopodobnie tylko dwóch ludzi, którzy mogli sobie pozwolić na zwracanie się do Udaja Husajna w podobny sposób. Pułkownik dowodzący ochroną

osobistą Saddama był jednym z nich. Poczul dziką rozkosz widząc na twarzy prezydenckiego syna wyraz strachu i ruszył w jego stronę gwałtownie.

A zatem ojciec już się dowiedział. Nadszedł czas. Nocne przesłuchanie przez samego prezydenta Iraku nigdy nie wróżyło dobrze delikwentowi. Wielu po prostu nigdy nie wraçało z rozmowy z Saddamem Husajnem. Uday nie był ukochanym dzieckiem prezydenta. Trudno także mówić o wielkiej miłości syna do ojca. Łączyło ich to, że wzajemnie się potrzebowali, choć w istocie irytowali się nawzajem, a nawet gardzili sobą. Nigdy nie było pomiędzy nimi prawdziwego ciepła, nie mówiąc już o szczerym, głębokim uczuciu. Dlatego też, podobnie jak wszyscy inni, Uday stopniowo zaczął bać się Saddama.

- Pozwólcie mi chociaż się ubrać - rzucił ochroniarzom. Nie mógł znieść myśli o tym, że znajdzie się naprzeciw ojca w koszuli nocnej, zamiast w mundurze oficerskim, który mógł okazać się atutem.

Pułkownik wyciągnął jednak pistolet i pokazał nim drzwi.

- Nie - odparł krótko. - Prezydent chce widzieć pana teraz. - Uday wzruszył ramionami i ruszył chwiejnym krokiem przez korytarz, pomiędzy czterema agentami.

Odprowadzili go do biura prezydenta. Był to olbrzymi pokój, a właściwie sala. Na ścianach wisiały gobeliny, a w oknach jedwabne zasłony, olbrzymie, skórzane fotele i kanapy stały na błyszczącej, dębowej podłodze. Uday usiadł sztywno na kanapie, a członkowie prezydenckiej ochrony opuścili pomieszczenie wojskowym krokiem. Mijały kolejne minuty, a syn prezydenta czekał.

Uday Husajn był muskularnym mężczyzną. Podobny do ojca, nieco niższy i drobniejszy, a jednak silniejszy. Miał takie same, posępne oczy, szeroki nos i małe uszy, smukłe policzki i krótkie, kościste dłonie. Jednak w przeciwieństwie do Saddama, którego znakiem rozpoznawczym były sumiaste, czarne wąsy, Uday wolał starannie przystrzyżoną brodę. Miał trzydzieści siedem lat, choć wydawał się trochę młodszy.

Był jednym z najstarszych dzieci Saddama Husajna. Przypominał go z charakteru i sposobu bycia, równie nieprzewidywalny, inteligentny i okrutny jak ojciec i tak jak on wcześniej zasłynął jako morderca polityczny i zwykły bandyta. Osobiście nadzorował egzekucje swoich trzech młodszych braci, ich małych synków i większości żon. Podobnie jak ojciec, Uday nienawidził Żydów i wszystkich wyznawców judaizmu. Gorąco wierzył, że Amerykanie to dzieci Szatana, zesłane na Ziemię aby siać zniszczenie i naśmiewać się z Allacha, jedyne Boga. Nienawiść do Stanów Zjednoczonych była jednym z najsilniejszych i najbardziej trwałych uczuć, jakie Uday żywił. Aby ją podsyć, wystarczyło mu spojrzeć na kikut, którym kończyła się jego prawa noga. Ta skaza pozostanie mu do końca życia, od czasu, gdy postrzelono go z amerykańskiego śmigłowca.

Zaraz po wojnie Saddam pomimo kalectwa Udaya powierzył mu zadanie odbudowania sił zbrojnych Iraku. Mianował go generałem armii, jedynym w kraju. Uday przejął dowództwo nad armią i sprawował je żelazną ręką. Okazał się absolutnie bezwzględny i okrutny, choć miał także cechy naturalnego przywódcy. Zaczął rozkoszować się poczuciem władzy, stał się panem życia i śmierci. Czasem skazywał ludzi tylko po to, żeby zobaczyć strach w ich oczach.

Jednak mimo że był skutecznym dowódcą, czasami zapominał, że to nie od niego, tak naprawdę, wszystko zależy.

Ojciec właśnie zamierzał mu to przypomnieć.

Saddam pojawił się w pokoju po dziesięciu minutach. Podeszedł do syna powolnym krokiem, dysząc ciężko z wściekłości.

- Kto ci kazał wypróbować opar? - zapytał groźnie. - Kto zezwolił na tak głupie, bezmyślne posunięcie?!

Udaj wahał się tylko jedną sekundę.

- Generał Nedal-amal, ojciec - odpowiedział szybko. - Powiedział, że kazałeś mu...

- Nie okłamuj mnie, ty mały *Kaief!* - Saddam wyciągnął rękę i uderzył syna otwartą dłońią w twarz. - Nigdy więcej nie kłam, kiedy ze mną rozmawiasz! Wiem, że to ty. To musiałeś być ty. Czy myślisz, że uwierzyłbym, że generał mógł zrobić coś takiego na własną rękę? Albo, że to nie ty zaplanowałeś? Twój generałowie - ludzie, których sam wybrałeś - są lojalni i inteligentni. Lojalni zarówno wobec ciebie, jak i wobec mnie. I dobrze wiedzą, że pozabijałbym ich choćby za sam pomysł takiej akcji. Nie mów mi więc, że to nie ty wydałeś rozkaz. Znam cię, Udaj. Wiem, w jaki sposób myślisz. I niepokoję się o ciebie, synu.

Udaj zlizał z ust krew. Wyprostował się i popatrzył ojcu w oczy.

- *Rais*, błagam cię, pozwól mi coś powiedzieć - zaczął. - Wysłuchaj, co mam do powiedzenia. Oni tego nie wykryją. Nie będą mogli połączyć sprawy z nami. Samolot został zniszczony. Sam widziałeś w CNN. Z ciał pozostały tylko porozrywane szczątki. Jak mogliby się dowiedzieć? Nigdy nie stwierdzą, że to zaczęło się w Iraku.

Prezydent zachnął się.

- Jesteś idiotą, synu. Jak możesz być tak głupi? Oczywiście, że się dowiedzą. Oni wszystko wiedzą. Wiedzą, kiedy śpię i kiedy jem. Czasem wydaje mi się, że słyszą nawet, kiedy pierdę. Od ponad dziesięciu lat staram się ich pokonać. A teraz, kiedy minęło już tyle czasu i wydałem całe miliardy dolarów, kiedy pracowaliśmy tak ciężko, omal wszystkiego nie zniweczyłeś! Zbyt daleko zaszliśmy, żeby pozwolić ci zniszczyć wszystkie moje plany, tylko dlatego, że masz niecierpliwą naturę! Zobacz synu, co dzieje się w Izraelu. Wzięli się do Arabów. Aresztowali tylu ludzi. Przetrzywiają palestyńskich przywódców. Zniszczyli domy naszych bojowników. Uszczelniają granice. Rozszerzyli strefę bezpieczeństwa w Libanie. Żydzi zostali ostrzeżeni! W tej chwili, kiedy tu rozmawiamy, wyłapują naszych ludzi i osłabiają nas. W końcu, będziemy nieprzygotowani. Czy to tylko przypadek? Oczywiście, że nie! Amerykanie wyszpiegowali, że wirus pochodzi od nas i ostrzegli Izrael. I co mamy teraz zrobić? Jaki wykonać ruch? Niewiele brakowało, a zaprzepaściłbyś wszystkie nasze plany!

- Nie, *Rais*, to nieprawda. Zawsze, jeśli coś się kończy, coś innego się zaczyna. Muszę to udowodnić. Chodzi nam przede wszystkim o Stany Zjednoczone. Najważniejsze dla przyszłości islamu jest zniszczenie Ameryki. Dajmy spokój Żydom.

Przywódca Iraku przesunął dłonie w górę nogawek, aby poczuć znajomy kształt skórzanej kabury. Był to nerwowy zwyczaj, jakiego nabrał jeszcze w czasach, kiedy był

rebeliantem działającym w górach na północy kraju. Popatrzył na syna i wyciągnął rękę jeszcze raz.

- O co ci chodzi, głupcze? sarknął. - Jak mogłeś obmyślić sobie coś takiego? Co za idiotyzm chodzi ci po głowie?

Udaj zaczął mówić, na tyle szybko, na ile się ośmielił. W urywanych słowach wyrzucał z siebie myśli, które hołubił od miesięcy:

- Mój *Rais*. Gdybyśmy zaatakowali Izraelczyków, co by zrobili? Zniszczyliby nas. Dobrze wiemy. Na nasze miasta spadłyby głowice atomowe i islam zostałby rzucony na kolana. Ale Amerykanie schowają się w krzaki i będą lizać rany. Będą się obawiać, żeby przypadkiem bardziej nas nie rozgniewać. Sam wiesz, ojczu.

Zawsze rzucają tylko stanowcze słowa, a tak naprawdę nie mają odwagi. Są jak dojrzwały owoc, który tylko czeka, żeby go zerwać. Wystarczy raz uderzyć, a podwiną ogony i uciekną. Pomyśl, *Sayid*. Jeden krótki atak i wycofają się z naszej części świata. Czy myślisz, że pozostaną obok nas, kiedy dowiedzą się, że dysponujemy siłą, która może ich zniszczyć? Przypomnij sobie wojnę. Zginęło zaledwie stu czterdziestu ośmiu Amerykanów. A to już było na granicy ich wytrzymałości. Gdyby ich straty okazały się chociaż trochę większe, wycofali by wojska. Ich przywódcy nie są wojownikami, a zwłaszcza nie ten. Jest słaby i tchórzliwy jak dziecko. Ich żołnierze nie mają ducha walki. Nie są podobni do nas. Kiedy ginie trzysta tysięcy naszych, uważamy wojnę za pełną chwały. A oni tracą kilkuset ludzi i już są gotowi uciekać. Są jak zepsute dzieci. Mają te wszystkie samoloty, rakiety i inne zabawki. Ale to nie są żołnierze, to nie wojownicy. Wezmą nogi za pas. I to jeszcze nie wszystko, drogi *Rais*. Amerykanie mają jeszcze jedną słabość, którą możemy wykorzystać. Słaby punkt, jak miękki brzuch węża i łatwo przebić go na wylot.

Saddam rzucił się w stronę syna i zawołał z pogardą w głosie:

- I cóż to za słabość, synu, którą tylko ty wykryłeś?

Udaj podniósł się i stanął naprzeciw ojca.

- To proste - szepnął. - Oni się nie boją. Są tak aroganccy, że się nie boją. Wierzą, że nie można im zrobić krzywdy. Pomyśl, ojczu. Żyją bez uczucia strachu. Kiedy ostatni raz naprawdę ucierpieli? Kiedy stała im się krzywda, taka, żeby naprawdę odczuli ból? Minęły już całe pokolenia i zapomnieli o czymś takim. Czują się, jakby byli nietykalni. Jak gdyby byli bogami. ... Ale możemy ich dotknąć, ojczu. Możemy ich zranić. Jesteśmy w stanie dać im nauczki. Lekcję strachu.

Iracki przywódca odwrócił się od syna. Zapanowała cisza, jak na otaczającej pałac pustyni. Przez otwarte okna nie wlatywał najłżejszy powiew wiatru. W oddali odezwał się lelek kozodój - nocny, drapieżny ptak, którego głos przodkowie Saddama słyszeli od trzech tysięcy lat. Udaj z bijącym sercem słuchał drapieżnika.

- Nie - odpowiedział w końcu cicho przywódca Iraku. - Nie, Udaj. Mylisz się, i to bardzo. Trudno mi będzie pokazać ci, jak bardzo jestem rozczarowany.

Młodszy Husajn spuścił oczy, a potem jeszcze raz podniósł głowę.

- Ojczu odezwał się. - Możemy uderzyć na Wielkiego Szatana. Tylko raz, potężnie, a potem zażądać wycofania się jego wojsk. Pustynia im nie odpowiada, ale dla nas to dom. To nasz dom, twój dom, dom twoich ojców. Kiedy nie będzie tu Amerykanów, ty

będziesz decydował o tym, co się dzieje w naszym regionie. Poradzimy sobie wtedy z tymi prostakami, Izraelczykami. A potem z Iranem, i wszystkimi innymi. Ale to nie Żydzi są naszym największym zmartwieniem; zawsze to powtarzałem. Zapomnijmy o nich. Nie oni są kluczem do przyszłości. Przyszłość leży w ataku na Zachód.

Saddam ruszył do ogromnego okna, wychodzącego na wschód, na pustynię. Wyglądał w ciemność, założywszy ręce za plecami. Jego duszę napełniło niepokojące przypuszczenie. Bał się - bał się o siebie i o Udaj. Jego syn był głupcem i pozwalał sobą manipulować.

Wszystkie instynkty ostrzegały Saddama o zagrożeniu. Wiedział, że Udaj jest dla niego niebezpieczny. I trudno będzie opanować sytuację, jeśli wystąpi przeciw niemu.

Ojciec odwrócił się znów do syna, mrużąc oczy. Pierwsza złość minęła mu już, aż pobladł od niej. Udaj podniósł na niego wzrok. Zrobił krok w stronę ojca i powiedział podniesionym głosem:

- *Rais*, jeśli to cię nie przekonało, pomyśl jeszcze o jednym. Trzysta tysięcy twoich najdzielniejszych żołnierzy legło w piasku. Poświęcili swoje życie dla naszego kraju. Ich krew domaga się od nas zemsty. Słyszę ich krzyki, nawet teraz; wołają z ziemi jak duchy na wietrze. Tylko ty masz siłę, żeby ich pomścić.

Podczas gdy Udaj mówił, rysy jego twarzy pogłębiły się, a w oczy wstąpił płomień. Podeszedł do ojca jeszcze o krok.

- Jesteś im to winien - ciągnął. - I jesteś to winien mnie. Teraz masz okazję; spadł na ciebie zaszczyt z Nieba - możesz pomścić zło jakie wyrządza Szatan. Byłeś słaby. A teraz - musisz być silny.

Saddam spojrzał na syna z wściekłością.

- Nie, Udaj. Zrobimy to według moich, nie twoich planów. Uderzymy, kiedy ja uznam, że nadszedł czas i kiedy będę gotowy. Zatem zapomnij o swoich pomysłach i nigdy więcej nie rozmawiaj ze mną na ten temat.

Udaj stał nieruchomo i wpatrywał się w ojca.

- Rozumiesz, co mówię, Udaj? Czy muszę wyrazić się jeszcze jaśniej, niż do tej pory?

Udaj pomyślał sobie teraz o rodzinnym cmentarzu, ukrytym za podwórzem pałacu i o rodzinnej krwi, którą przelał jego ojciec. Zrozumiał, że przywódca Iraku wyraził się wystarczająco jasno. Powoli skłonił głowę, choć wciąż kłębiły się w niej myśli.

Czekało go straszliwe ryzyko, jednak podejmie je. Nadszedł czas, żeby wreszcie stanąć na własnych nogach.

Nad rzeka Tygrys, północny Irak  
03.45 czasu miejscowego

Trzy godziny później, Udaj wkroczył do bunkra. Podziemne pomieszczenie było oświetlone jedną lampą, umieszczoną nad schodami. Trzy ogromne, zniszczone

wentylatory meły powietrze z cichym szumem, mieszając zapachy potu, jedwabiu, kminu i kadzidła w jeden, trudny do określenia, silny odór.

Trzej podwładni Udaja stali na baczność, wyprostowani jak struny. Mieli napięte twarze i patrzyli uważnie; spoglądali jednak ponad głowę generała, żeby uniknąć jego spojrzenia. Udaj przeszedł koło najbliższych doradców, w taki sposób, żeby zademonstrować im swoją władzę. Zlustrował każdego, zwracając szczególną uwagę na wyraz twarzy. Mieli zaciśnięte usta i zaczerwienione policzki. Generał ocenił swoich ludzi, jak zawsze kiedy się zastanawiał nad tym, co czują i myślą. Zajrzał im w oczy, zmuszając ich do patrzenia na ścianę.

Po zakończeniu inspekcji, Udaj Husajn odwrócił się i odchrząknął, a następnie wykonał szybki gest. Trzej oficerowie ruszyli jak jeden mąż i usiedli wokół stołu. Kiedy się usadowili, popatrzyli wyczekująco na dowódcę, uważając, żeby nie położyć dłoni na stole. Generał odczekał, aż się usadowią, po czym odsunął zwykłe, drewniane krzesło i usiadł także. Wychylił się naprzód i powiedział:

- Bracia. Sprowadza mnie boża chwała. Nadszedł dla nas czas działania. Dziś pojedę do Ubaidah. Rano będziemy już go mieć.

## 9.

### Więzienie Khalid Amr Ubaidah, północny Irak 07.15 czasu miejscowego

Żadne miejsce na ziemi nie było bliższe piekłu niż więzienie Khalid Amr Ubaidah. Znajdowało się w górach północnego Iraku, gdzie panują srogie zimy, osiemdziesiąt kilometrów od najbliższej miejscowości. Było przytulone do stromych ścian góry Halgurd, na wysokości dwóch tysięcy siedmuset pięćdziesięciu metrów, tuż poniżej górnej granicy lasu. Kamienne wieże wartownicze sterczały wśród granitowych skał, a grube mury wtapiały się w niemal pionowe zbocza kanionu, tworząc razem z nimi potężną barierę nie do przebycia. Górskie powietrze było zimne i suche, i na tyle rzadkie, że niektórzy z trudem łapali oddech. Podczas zimy w kamiennych załomach wyły mroźne wichry, padał śnieg i grad. Krótkie letnie miesiące przynosiły ze sobą plagę pcheł i całe gromady jadowitych węży.

Więzienie było jeszcze starsze niż iracki naród. Klepiska podłóg, sypiące się kamienne ściany, próchniejące, dębowe drzwi i zardzewiałe, stalowe prycze zajmowały w sumie powierzchnię pięciu hektarów. Pierwsze prace wykonali tureccy niewolnicy, którzy urodzili się jeszcze w pierwszym tysiącleciu naszej ery. Główna część więzienia - ciasne cele, kuchnia i twierdza - powstały podczas słabnących stopniowo rządów kalifa al-Mutasima, w XI wieku.

Arabscy wojownicy zaprojektowali Khalid Amr Ubaidah jako górską fortecę, mającą strzec ich imperium przed zagrażającymi Mongołami, którzy nadciągali z północy.

W epoce wypraw krzyżowych forteca została zamieniona na wojskowe więzienie. Przez prawie osiemdziesiąt lat twierdzę wykorzystywali chrześcijanie do przetrzymywania i torturowania „bezbożnych” muzułmanów. W ciągu następujących ośmiu wieków kolejni władcy tej ziemi niewiele ją zmienili. Dodano kilka nowych zabudowań, podczas gdy zaważyło się parę innych; tu i tam naprawiano mury, ale to wszystko. Od czasów okrutnych rządów Turków, Khalid Amr Ubaidah pozostało prawie niezmienione. Wydawało się nieodłączną częścią góry. W pewnych okresach zwracano na nie uwagę, to znów odchodziło w zapomnienie. Przez większość czasu mało się nim zajmowano.

Zawsze jednak było używane. Jego najnowszym właścicielem stał się Saddam Husajn.

Więził w Khalid Amr Ubaidah pospolitych przestępców, morderców, zbyt ambitnych generałów, odszczepieńców religijnych i niezależnie myślących intelektualistów z własnej partii. Niemal połowę z czterystu więźniów stanowili kurdyjscy przywódcy oraz oficerowie, którzy z jakichś powodów narazili się Husajnowi. Więziono tu również członków rodziny irackiego prezydenta- dwóch zięciów i dalekiego kuzyna. Stopniowo niszczyli oni w celach, czekając na śmierć. Przynależność do rodziny „królewskiej” nie oznaczała żadnych przywilejów w Khalid Amr Ubaidah. Więźniowie chodzili po korytarzach w milczeniu, zgięci w pasie. Nie wolno im było odzywać się, podnosić głów, a nawet wzroku na pilnujących ich żołnierzy.

Czterej żołnierze Udaja Husajna otworzyli z trzaskiem drzwi pokoju dowódcy więzienia i wpadli do środka. Major Al-Sidiqi podniósł znad papierów zdumiony wzrok i rozgniewany zamierzał rzucić srogie przekleństwo.

Wtedy omal nie stanęło mu serce. Natychmiast zerwał się z krzesła i stanął na baczność, zobaczywszy przed sobą prezydenckiego syna, który wszedł szybkim krokiem do pokoju.

Generał Husajn odchrząknął i wyciągnął rękę. Major wybiegł z za biurka i rzucił się na kolana. Delikatnie unióś dłoń przybysza i opuścił głowę, dotykając czołem jego palców.

Husajn odczekał chwilę, po czym powoli zabrał rękę. Major wstał i wyprostował się. Udaj popatrzył mu prosto w oczy. Zmieszany oficer spuścił wzrok. Tradycja zabraniała mu się odzywać, zanim syn *Sayida Raisa* nie uczyni tego pierwszy. Generał po raz drugi rozejrzał się po pomieszczeniu, po chwili strzelił palcami w stronę majora, dając mu w ten sposób znak, żeby usiadł. Oficer wahał się tak długo, że Husajn usiadł pierwszy, na długiej, plecionej kanapie. Major szybko usadowił się na swoim krześle.

Dwaj żołnierze stanęli przy drzwiach, a pozostali czterej ustawili się w sekretariacie. Na korytarzach słychać było zamieszanie - członkowie świty generała rozchodzili się po budynku.

W biurze dowódcy więzienia zapanowała cisza. Dotychczas nie wypowiedziano ani jednego słowa. Pierwsza fala paniki opuściła majora, jednak po chwili odczucie to oładnęło nim znowu. Jakakolwiek by była przyczyna wizyty generała, kariera dowódcy więzienia, a może i jego życie zależało od tego, co zdarzy się w ciągu najbliższych minut,



i dobrze zdawał sobie z tego sprawę.

Syn prezydenta wyprostował się i oparł wygodnie. Kanapa zaskrzypiała.

- Ty jesteś dowódcą więzienia Khalid Amr Ubaidah? - odezwał się Husajn. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak jest, *Sayid*. Taką mam funkcję. Piastuję ją z przyjemnością.

Udaj kiwnął głową i popatrzył dookoła po raz trzeci. Major siedział jak na szpilkach, a serce tłukło mu się w piersi.

Czego on może chcieć?! Po co przyjechał?!

Wtedy przyszło mu coś do głowy. Poczul rozchodzące się od piersi gorąco, jakby jad jakiegoś śmiercionośnego węża.

Hassan Rahamani Husajn. Omar Faruk Khitib. Mężowie ukochanych córek prezydenta. Byli tu i generał przybył po nich. Jeśli prezydent im przebaczył, życie majora z pewnością dobiegało końca, ponieważ ból i cierpienia, jakie ponieśli znajdując się w jego rękach zostaną mu natychmiast odpłacone.

Major podniósł się, wyciągnął dłonie i zaofiarował się pokornym tonem:

- Jeśli zechcesz pójść ze mną, panie, zaprowadzę cię do nich.

- Do kogo mnie zaprowadzisz? - Udaj zmrzył ciemne oczy.

- Do Hassana Rahamaniego Husajna, panie. I Omara Faruka Khitiba. Są tu. To nie po nich pan generał przybył?

Husajn stęknął niecierpliwie.

- Nie, majorze. Nie interesują mnie. Nie martwię się tymi, którzy już nie żyją. Jest tu ktoś inny, kogo przyjechałem zobaczyć. - Generał nachylił się i szepnął imię człowieka, którego miał na myśli. Major Al-Sidiqi cofnął się o krok, ogarnięty uczuciem ulgi. Stłumił uśmiech, odwrócił się i poprowadził gościa na zewnątrz.

Więzień siedział skulony w kącie celi. Jego ciało skurczyło się z powodu odwodnienia, skóra pociemniała od brudu. Kołysał się delikatnie z boku na bok, ledwie dostrzegalnym ruchem. Na jego głowie lepiły się czarne kosmyki włosów, a wychudzone ciało okrywała cienka, konopna tkanina, sięgająca od piersi poniżej kolan. Mężczyznę zakuto w dyby. Jego wystająca głowa wyglądała, jak gdyby za chwilę miała ją ściąć gilotyna.

Więzień nazywał się Rashid Abdul-Mohammad. Miał trzydzieści dwa lata. Był niegdyś właścicielem niewielkiej firmy eksportowej na przedmieściach Ammanu i często podróżował pomiędzy swoim miastem a Bagdadem. Był Jordańczykiem, ale często przebywał w Iraku i ożenił się z Irakijką z miasta Kirkuk. Mieli czwórkę pięknych dzieci, a ostatnio przeprowadzili się do Iraku na stałe. Rashid przebywał w Khalid Amr Ubaidah dopiero od dwóch tygodni, oskarżony o spiskowanie przeciwko świętemu przywódcy, Saddamowi Husajnowi poprzez kontakty ze znanymi zagranicznymi szpiegami. Jego rodzina do tej pory nie wiedziała, co się z nim stało.

Tego dnia miał zostać na nim wykonany wyrok śmierci.

Mimo że nie był w Stanach Zjednoczonych od prawie roku, ciągle miał ważny jordański paszport i wizę wjazdową do USA.

Rashid Abdul-Mohammad nie usłyszał nadchodzących. Drzwi jego celi rozwarły się nagle szeroko. Do pomieszczenia wpadło słabe światło, rzucając cienie na ceglane ściany. Walcząc z ciężarem dybów, więzień podniósł się na nogi, zanim żołnierze zdążyli wejść do celi. Wiedział, że zaczną go bić, jeśli sprowokuje ich w jakikolwiek sposób. Żołdacy wpadli do środka, złapali go pod ręce i obrócili tyłem do wejścia. Następnie owinęli mu nadgarstek cienkim drutem i zacisnęli tak mocno, że aż przeciął mu skórę.

- Chodź, łachudro. Słońce wschodzi. Duchy czekają, żeby cię stąd zabrać.

Rashid spuścił głowę i zaczął płakać. Żołnierze wydali z siebie pogardliwe stęknienie, po czym odwrócili go z powrotem i wypchnęli na korytarz.

Właśnie wtedy zobaczyli generała, nadchodzącego w towarzystwie dowódcy więzienia, majora Al-Sidiqi. Natychmiast wyprężyli się na baczność, cofając się pod ścianę. Puszczony nagle więzień zachwiał się i upadł. Husajn podszedł do strażników, a potem spojrzął na leżącego człowieka, który był zbyt słaby, żeby znowu stanąć o własnych siłach.

- Abdul-Mohammad - odezwał się generał, wymieniając nazwisko więźnia. Ten podniósł wzrok, zdumiony, przekręcając z trudem szyję w kłocu drewna.
- Abdul-Mohammad - powtórzył Husajn. - Czy chciałbyś żyć?

## 10.

Fort Detrick, Wirginia, USA  
21.37 czasu miejscowego

Limuzyna dyrektora CIA przejechała pod podniesionym szlabanem nie zatrzymując się, gdy wartownik zamachał do kierowcy, że go przepuszcza. Samochód jechał główną ulicą bazy, potem zgodnie z drogowskazem, skręcił w lewo. W końcu, zatrzymał się przed USAMRIID, czyli United States Army Medical Research Institute of Infectious Diseases, (Instytutem Badań nad Chorobami Zakaźnymi Armii Stanów Zjednoczonych). Masywny, pozbawiony okien budynek oświetlały żółtawym światłem ukryte w krzakach i trawie reflektory. Wokół żarówek kłębiły się roje owadów. Ponad gęstym trawnikiem unosił się intensywny, duszący w ciepłym powietrzu zapach bzu. Lekki powiew poruszał liśćmi dębów i wyrośniętych sosen. Na zachodzie zaczynały się zbierać burzowe chmury, zwiastujące deszcz.

Michael Crosby wysiadł z samochodu. Czekał już na niego Davis Beck.

- Przepraszam, że musiałem cię obudzić - odezwał się przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów. - Jednak mamy coś, co musisz zobaczyć na własne oczy.

Dyrektor CIA skinął głową. Dwaj mężczyźni weszli w milczeniu do budynku instytutu. Wewnątrz powietrze było chłodne i suche, a korytarze jasno oświetlone; lampy odbijały się w wyfroterowanej do połysku podłodze. Dwaj wartownicy pełnili służbę, obserwując hall z kuloodpornej budki.

Na spotkanie Becka i Crosby'ego wyszedł generał broni i dwóch pułkowników. Wszyscy ubrani byli w białe, laboratoryjne fartuchy, płócienne spodnie i jednorazowe, niebieskie kapcie. Ich stopnie wojskowe widniały tylko na identyfikatorach z nazwiskami. Po krótkim powitaniu, generał w fartuchu pokazał przybyszom kierunek i mała grupka ruszyła szerokim korytarzem, dwukrotnie mijając podwójne drzwi; wreszcie zeszła po stromych schodach do piwnicy.

Przejście przez wszystkie procedury bezpieczeństwa i odkażania zajęło gościom prawie czterdzieści minut. Wreszcie Beck i Crosby znaleźli się sami w sali pełnej chromowanych przyrządów, butli z tlenem, okrytych plastikową folią komputerów. Ściany pokryte były białymi kafelkami, a urządzenia wentylacyjne z cichym szumem tłoczyły powietrze z zewnątrz, utrzymując je pod nieco zwiększonym ciśnieniem. Generał poszedł na sam koniec sali i wyjrzał przez wielkie okno z pleksiglasu.

Szef CIA ruszył za nim. Beck pokazał mu coś.

Po drugiej stronie okna stała klatka dla zwierząt. Została wykonana z grubego, przezroczystego plastiku. Miała niecałe dwa metry długości i ponad metr szerokości. Była całkowicie szczelna, a wymiana powietrza odbywała się za pomocą podłączonych do niej węży i filtrów.

Wewnątrz klatki poruszał się szczur. Biegał, drapał i pluł śliną. Miotał się jak oszalały, uderzając się łapami w pysk, a głową w ściany klatki. Wokół jego oczu widać było krzepnącą krew; także i z uszu wyciekała mu czerwona maź. Miał nieustannie otwarty pysk, w którym błyszczały zęby. Od czasu do czasu oblizywał się różowym językiem.

Crosby cofnął się szybko, by nie patrzeć na ten odrażający widok. Generał nie odwracał się, Crosby zerknął więc na niego, a po chwili znowu spojrzął na klatkę.

Szczur przestał nagle biegać. Pisnął i zaczął się turlać w różne strony, aż w końcu zatrzymał się w środku klatki. Szarpnął się raz, a potem leżał, zupełnie bez ruchu, przez długą chwilę. Nagle, z przerażającym wyrazem oczu, zerwał się i popatrzył na przybytych. Podniósł prawą łapkę do pyska i przegryzł ją aż do kości. Szarpiąc gwałtownie głową na boki, wyrwał sobie łapę ze stawu. Przegryzł ją jeszcze raz, a potem połknął, całą raz. Potem zaczął znowu miotać się po klatce, przyciskając krwawy kikut do tułowia.

Crosby zamknął oczy i odwrócił się, przerażony.

- Skąd wzięliście wirusa? - spytał.

Pobraliśmy go z krwi jednego z pilotów i wyhodowaliśmy. Był ciągle aktywny. Znaleźliśmy go we wszystkich tkankach ciał ofiar. Były jak bomby zegarowe, kryjące w sobie chorobę. Mamy niewiarygodne szczęście, że zdołaliśmy otoczyć miejsce katastrofy. Aż trudno mi powiedzieć, jak gigantyczne to miało znaczenie.

- Czy jesteś pewien, że to ten sam wirus, który został pobrany w lecie z irackiego laboratorium biologicznego?

- Absolutnie. Sprawcą katastrofy był Saddam Husajn. Ten wirus, tak samo jak tamten, jest uzyskanym na drodze inżynierii genetycznej patogenem wkomponowanym w enterowirusa - strukturę uzyskaną z fragmentów DNA i RNA, która posiada zdolność do rozmnażania się wewnątrz żywych komórek. Wprawdzie cząsteczka kwasu nukleinowego jest niemal identyczna, jednak obecna wersja wirusa jest silniejsza i znacznie bardziej zjadliwa niż tamta. Jego okres inkubacji wynosi zaledwie trzy godziny, a śmiertelność wyniosła już do tej pory prawie dziewięćdziesiąt procent.

- Kiedy został zarażony ten szczur? - zapytał Crosby. Generał Beck spojrzął na zegarek.

- Jakieś dwanaście godzin temu.

- Czy to coś wyjątkowego? To, że ten szczur zachorował. Widziałeś już coś takiego?

- Każdy szczur, pies czy wiewiórka, każdy ciepłokrwisty ssak, którego do tej pory wystawiliśmy na działanie wirusa, zachorował.

Szef CIA rzucił ciche przekleństwo.

- Naprawdę, nie przesadzam - ciągnął Beck. - Jak dotąd zachorowało sto procent zwierząt.

- Czy za każdym razem wygląda to tak strasznie?

- Nie. Większość zakażonych zwierząt po prostu opada z sił i zdycha. Część z nich żyje jeszcze kilka godzin. Objawy, jakie przed chwilą obserwowałeś występują zaledwie u dziesięciu - piętnastu procent. Jeśli jednak się zdarzą, zwierzę zawsze staje się skrajnie agresywne. Prawie jak w zaawansowanym stadium wścieklizny. Zachowują się jak oszalałe. Przestają się bać. Atakują wszystko, co stanie im na drodze. Byłem tu wczoraj wieczorem. Widziałem jak szczur rzucił się na ważącą ze dwadzieścia kilogramów małą. Próbował dosłownie rozszarpać ją zębami na kawałki. Mała zdechła po paru godzinach; nie wiemy czy z upływu krwi, czy też od wirusa. Ale szczerze mówiąc, co za różnica?

Crosby otarł drżącą ręką czoło i odwrócił się od przyjaciela. Wyobraził sobie coś strasznego. Przed oczami stanął mu obraz stad oślizgłych, chorych szczurów wyłazających z nowojorskich studzienek kanalizacyjnych i biegających z piskiem po ulicach, a następnie wpełzających do mieszkań i łóżek, w których śpią ludzie.

Ten obraz mógł stać się prawdą. Wirus był tuż obok. Pukał do drzwi Ameryki.

Crosby spojrzął na generała, przybity i powiedział:

- Napatrzyłem się. Chcę stąd wyjść. - Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

Beck ciągle stał. W końcu odezwał się:

- Zaczekaj, Michael. Musisz jeszcze wiedzieć, w jaki sposób szczur został zakażony.

- Zerknął do klatki. Szczur tkwił, przykućnięty, w kałuży krwi. Poszarpana łapa zwisała mu bezwładnie. Język zwierzęcia oblizywał powoli zakrwawione wargi, a oczy patrzyły na ludzi pośpennie.

Crosby odwrócił się ku generałowi, a ten wy dobył z siebie tylko jedno słowo:

- Komary.

- Komary? - Crosby'ego aż zatkało.

- Tak. - Beck skinął głową. - Komary i muchy mogą roznosić tę chorobę.

Michael Crosby stał koło biurka prezydenta. W prawym ręku trzymał oprawiony na czerwono dokument. Czarna skóra dyrektora CIA błyszczała od kropelek potu, które właśnie się na niej pojawiły. Zaciął szczękę.

- Panie prezydencie - odezwał się, tonem pełnym przerażenia. - Nie jestem w stanie przesadzić, tak wielkie jest zagrożenie. Najgorsze koszmary stają się rzeczywistością. Husajn nie wie... on nie może wiedzieć, jak niebezpieczny jest ten wirus. W Iraku nie ma takich laboratoriów czy sprzętu, ani modeli komputerowych, za pomocą których mogliby przewidzieć rozwój epidemii. On i ci jego naukowcy - kryminaliści odkryli coś i zabawili się z naturą w okrutną grę, nie zastanawiając się, czym może się to skończyć. Wydaje im się, że mają broń, którą są w stanie kontrolować. Ale się mylą i nawet nie mają o tym pojęcia jak bardzo. Jeśli Husajnowi uda się wypuścić wirusa w jakimkolwiek dużym mieście, to atak jądrowy będzie w porównaniu z tym drobnym kłopotem. Nie przesadzam. Mogłoby być aż tak źle.

Prezydent pochylił się i łożył ręce, żeby schować trzęsące się dłonie. W jego oczach widać było gniew zmieszany z przerażeniem. Mała lampka, stojąca na biurku rzucała długie cienie na jego pobladłą twarz. Przełknął z trudem ślinę, po czym wziął głęboki oddech i słuchał dalej.

Crosby kontynuował złowieszczym tonem, którego nie mógł opanować:

- Sama ocena potencjalnej liczby ofiar napawa lękiem. W przypadku ataku na teren Stanów Zjednoczonych, jeśli nie będziemy w stanie zareagować natychmiast, ale to absolutnie natychmiast - odseparować obszar skażenia i zniszczyć wirusa - rozwinie się epidemia. Według ocen USAMRIID mogłoby umrzeć nawet dziesięć milionów ludzi... Na przykład, gdyby zostało zakażone waszyngtońskie ujęcie wody, przed wieczorem mielibyśmy może z pół miliona ofiar. W mieście wybuchłaby panika. Wszyscy uciekaliby, gdzie pieprz rośnie. Lotniska i koleje zostałyby zamknięte. Za to na wszystkich drogach potworzyłyby się korki, rojące się od zarażonych ludzi. Wirus zacząłby się rozprzestrzeniać. Do rana ogniska choroby pojawiłyby się w innych większych miastach. Zanim bylibyśmy w stanie podjąć choćby pierwszy krok, już opanowałyby całe Wschodnie Wybrzeże. Rozszerzałyby swój zasięg, zbierając straszliwe żniwo, tak, że naprawdę nie sposób przewidzieć, jaki mógłby być jej ostateczny skutek.

Za oknem rozbłysnęła błyskawica. Natychmiast po niej odezwał się grzmot, który przetoczył się nad Białym Domem. W otaczających werandę budynku białych kolumnach zaskowyczał wiatr. Dał od strony nisko zawieszonych chmur, które nadciągnęły z zachodu. Mężczyźni nie zwracali jednak najmniejszej uwagi na burzę, mimo że zaczął sypać grad wielkości kulek do gry, zmieszany z deszczem.

- Naprawdę wierzysz, że użyje tego wirusa? - spytał prezydent pełnym powątpiewania tonem.

- Ależ, panie prezydencie - odparł Crosby z emfazą - całą ostatnią dekadę starannie unikał naszych inspektorów. Poświęcił niewiarygodną ilość energii, pieniędzy i czasu,

żeby za wszelką cenę uzyskać tę broń. Zrezygnował z ponad dwustu miliardów dolarów, które zarobiłby na ropie naftowej, gdyby podporządkował się rezolucjom ONZ. Po co by to wszystko robił? Czemu miałoby to służyć, gdyby nie zamierzał najpierw zdobyć nowej broni, a potem - zastosować jej? ...Zresztą spróbował z Air Force One. Jakiego jeszcze dowodu byś chciał?

- I myślicie, że on nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa?

- Nie zdaje. Nie ma pojęcia, czym dysponuje.

Prezydent uderzył otwartymi dłońmi w biurko.

- Ale Michaelu, przecież to on sam wyprodukował to świństwo! Musieli je testować. To jak może nie wiedzieć?

- Większość innych broni biologicznych, które testowano, czy z którymi prowadzono badania, ma to do siebie, że wirus ma bardzo krótki żywot. Zaraża się coś lub kogoś, zarażony choruje, a potem umiera, i koniec. Wirus nie rozprzestrzenia się dalej. Niebezpieczeństwo grozi tylko tym, którzy mają bezpośredni kontakt z wirusem w momencie jego zastosowania. Jednak w tym przypadku jest inaczej. Jesteśmy absolutnie pewni, że ten wirus potrafi przenosić się z organizmu na organizm, a nawet z gatunku na gatunek. Mogą go roznosić najrozmaitsze zwierzęta - ptaki, zwierzęta domowe, szczury, myszy. A nawet owady - komary i muchy. Wirus rozwija się, niczym epidemia cholery, która kiedyś wybiła trzecią część Europy. W dodatku, ten patogen jest tak zaraźliwy, że może przenosić się przez zwykły kontakt człowieka z człowiekiem. Drogą kropelkową, przez dotknięcie, pocałunek, uścisk dłoni. Wystarczy jakikolwiek kontakt, nawet przebywanie w tym samym pokoju. Wystarczy, że zarażony kaszlnie, zasłaniając usta dłonią, a potem dotknie klamki, wychodząc. Każdy, kto w ciągu następnej godziny dotknie tej klamki, umrze. Jeśli dziecko zostanie w drodze do szkoły ugryzione przez komara, już po południu cała jego klasa będzie wymiotować krwią na podłogę. Jeżeli zakażony pracownik wejdzie do biura i kichnie na pączki i kawę, przed wieczorem wszyscy jego koledzy umrą. A my wiemy na razie tylko jedno o tym potworze: nie mamy lekarstwa. Nie mamy na niego szczepionki. Jesteśmy zupełnie bezbronni.

Prezydent wstał i podszedł do okna.

- A co ze środkami przenoszenia broni? - spytał. - Jak mogliśmy znaleźć się w takim położeniu? Przecież od lat ty i wszyscy inni powtarzacie mi, że Husajn nie robi postępów w badaniach nad raketami, czy samolotami, które mogłyby posłużyć do przenoszenia jego broni masowego rażenia. Ile to razy zapewniałeś mnie, że powstrzymaliśmy migrację technologii, która umożliwiłaby mu rozwinięcie silników raketowych i systemów celowania na tyle, żeby był w stanie zbudować raketę o wystarczającej celności i zasięgu.

- Panie prezydencie, sprawą zasadniczą jest rozróżnienie pomiędzy celami wojskowymi a cywilnymi - zaczął wyjaśniać dyrektor CIA. - Gdyby Saddam zechciał zniszczyć nasze dywizje, które okopały się tam w piasku, to nie ma na nie broni. Dzięki systemom wczesnego ostrzegania, umocnionym bunkrom i kombinezonom przeciwichemicznym i przeciwbiologicznym nasze wojska są w stanie z łatwością przetrzymać atak biologiczny, jeśli nastąpi on w środowisku pola walki. Jednak jeżeli zamiarem Husajna będzie spowodowanie ofiar w ludziach, czyli cel polityczny, a nie wojskowy; jeśli będzie chciał

wyrządzić nam szkody psychologiczne, emocjonalne i moralne, zabijając olbrzymią liczbę cywilów, to środkiem przenoszenia jego broni może stać się zwykła kostka mydła, puszka sprayu, czy kubek roztworu wirusa, wlany do ujęcia wody. Nie potrzeba międzykontynentalnych rakiet balistycznych ani specjalnych samolotów. Wystarczy jeden człowiek z probówką. Albo lepiej - puszką sprayu - łatwiej ujdzie uwagi, a nie sposób go wykryć. Według naszych ocen... - Dyrektor CIA urwał. - Już powiedziałem... I nie możemy nic zrobić. My, czy ty. Dopóki nie zlokalizujemy i nie zniszczymy laboratorium, gdzie wytwarzają i przechowują wirusa. To najważniejszy cel, jaki teraz mamy. Fundamentalny. Jedyne rozwiązanie na usunięcie pistoletu, który przyłożył nam do głowy. Jeżeli tego nie zrobimy, jeśli nie zniszczymy tej fabryki broni biologicznej, będziemy tylko jak owce, które milcząc, czekają na rzeź. ...Ale żeby znaleźć to laboratorium, potrzebna nam ta dziewczyna.

Prezydent milczał przez chwilę, pełen zgrozy, aż wreszcie powoli kiwnął głową. Podszedł do Crosby'ego i zdecydowanym tonem rozkazał:

- Skontaktujcie się z nią. Użyjcie wszelkich dostępnych środków. Miejmy nadzieję, że nam pomoże. Jeśli tak, to będzie dobrze. Ale tym razem nie możemy pozwolić, aby nam odmówiła. Nie ustępujcie, dopóki się nie zgodzi.

## 11.

Akademia Prawa imienia Williama i Mary Williamsburg  
Wirginia, USA

Dzień czwarty (piątek), 11.53 czasu miejscowego

Wysoki, niebieskooki szatyn siedział samotnie, obserwując ludzi. Udawał, że czyta książkę. Co chwila spoglądał też na zegarek. Dokładnie o jedenastej pięćdziesiąt odłożył książkę i zerknął w stronę budynku. Trzy minuty później, dziewczyna wyszła przez duże, oszklone drzwi. Właśnie skończyła zajęcia z reformy prawa cywilnego.

Mężczyzna przyjrzał się uważnie młodej kobiecie, korzystając z anonimowości, jaką zapewniał mu taras pełen studentów. Znajdował się około dziesięciu metrów na prawo od niej. Patrzył z zapartym tchem, mimo że widział kilka jej zdjęć, nie całkiem się przygotował na taki widok. Była pięknocią. Prawdziwą, klasyczną pięknocią. Może w ogóle najpiękniejszą dziewczyną, jaką widział w życiu. Przez chwilę agent omal nie zapomniał, po co tu przybył.

Szła z podniesioną głową, patrząc prosto przed siebie. Miała na sobie białą bluzkę oraz idealnie dopasowaną, niebieską spódnicę. Na nogi założyła białe sandały. Jej przycięte tuż powyżej ramion włosy były kruczoczarne i lśniące. Miała ciemną karnację i nieskazitelnie gładką skórę. Wspaniałość jej twarzy podkreślały pięknie zarysowane kości policzkowe i olbrzymie, błyszczące, czarne oczy, a także smukła i wyjątkowo długa szyja. Dziewczyna

była wysoka, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, pełne gracji dłonie o palcach pianistki i długie, zgrabne nogi.

Jednak tym, co nie pozwalało od niej oderwać wzroku, był jej uśmiech. Nie sztuczny grymas uczestniczki konkursu piękności, lecz szczery, delikatny uśmiech kształtnych ust, odsłaniający wspaniałe, białe zęby.

Agent próbował wyobrazić sobie dziewczynę kiedy jako dziecko głodowała w górach północnego Iraku. Nawet teraz widział w jej oczach ból - jakby pozostało w nich to, co przeżyła. Kiedy tak przyglądał się jej twarzy, miał ochotę odejść i dać jej spokój. Gdyby tylko mógł...

Aria McKenzie Cutter nie zeszła jeszcze z tarasu, kiedy za jej plecami znalazł się młody mężczyzna z plecakiem - jeszcze jeden z wielu studentów. Udawała, że nie dostrzega, iż chłopak spieszy się, żeby dotrzymać jej kroku. Cały czas patrząc przed siebie, przyspieszyła; ale on uczynił to samo. Tłum studentów zaczął się przerzedzać. Dochodzili do parkingu, znajdującego się w zachodnim krańcu kampusu.

Wreszcie, mężczyzna odwrócił się do niej i zapytał:

- Przepraszam, panno Cutter, czy mogę zamienić z panią słowo? - Wyraził się elegancko, mówił łagodnym tonem i wyraźnie brytyjskim akcentem.

Aria zwolniła.

- Skąd pan zna moje nazwisko? - spytała ostrożnie.

Nieznajomy uśmiechnął się zagadkowo. W rzeczywistości wiedział o niej prawie wszystko. Znał jej numer telefonu, datę urodzin, adres, markę, kolor i numer rejestracyjny samochodu. Wiedział, że kiedyś nazywała się El-Kutrte, że mieszka w Stanach Zjednoczonych dopiero od siedemnastego roku życia, że ma prawie dziewięć milionów dolarów porozdzielanych na konta w różnych bankach, ukryte w ten sposób przez jej ojca. Wiedział, że zna świetnie arabski, i że mieszka sama. Nigdy nie przyszłoby jej na myśl, ile ten człowiek o niej wie. Tymczasem, uśmiechając się jak najpiękniej, odpowiedział:

- Wiesz, to nieduży kampus. Akademia nie jest znowu aż taka wielka. Dużo ludzi cię zna. Nie było trudno dowiedzieć się, jak masz na imię.

Aria nie czuła się zbita z tropu. Jeszcze jeden. Nie pierwszy raz zaczepiał ją nieznany facet.

- A ty masz na imię?... - spytała.

- Jonathan. Nazywam się Jonathan Blair. - Uśmiechnął się znowu. - A dokładnie: Jonathan Churchill Blair. Dość nietypowo, ale sam tego nie wymyśliłem.

Aria stanęła jak wryta. Powoli, odwróciła się ku nieznanemu.

- Jonathan Blair? Wiesz, zabawne, ale kiedyś miałam przyjaciela; a właściwie, mój ojciec miał przyjaciela, bardzo drogiego sobie człowieka, który nazywał się dokładnie tak samo.

- Wiem o tym - odpowiedział mężczyzna, uśmiechając się po raz kolejny. - Ten przyjaciel był moim ojcem.



Dwoje młodych ludzi weszło do małej kawiarenki i usiadło. Jonathan zamówił małą czarną a dziewczyna - herbatę ziołową. Wokół nich kłębili się studenci. Wymieniali się notatkami i narzekali na profesorów i letni semestr. Z zawieszzonego nad ich głowami głośnika grzmiał znany, stary utwór zespołu Moody Blues, „Sunday Afternoon”. Wydawał się płytki i hałaśliwy, z powodu taniego, kiepskiej jakości sprzętu, jaki zakupiła kawiarnia. Aria zanurzyła torebkę we wrzątku i patrzyła posepnie, ze zneruchomiłą twarzą. Czuła ucisk w żołądku. Zrobiło jej się niesłychanie smutno, a jednocześnie odczuwała wściekłość.

Minęło już tyle czasu, a ona ciągle reagowała tak samo.

Jonathan przyjrzał jej się, sącząc kawę i zapytał:

- Jak dobrze znałaś mojego ojca?

Aria podniosła oczy i patrzyła na ścianę. Jej twarz przybrała wyraz smutku.

- Nie za dobrze - odpowiedziała cicho. - Z czasów, kiedy mieszkaliśmy w Londynie, ledwie go sobie przypominam. Pamiętam taką scenę, migawkę, kiedy przychodzi do obiad, razem z twoją matką. Zdaje się, że ty też byłeś, ale nie jestem pewna. Oboje mogliśmy mieć, no, ile - z pięć lat? Mniej. Bardziej pamiętam go z okresu, kiedy znowu mieszkaliśmy w Iraku. Po wojnie było nam bardzo ciężko. Mieszkaliśmy zimą w obozach, a w górach panował mróz. Twój ojciec kupił nam koce. Raz wykorzystał nieuwagę strażników i przemycił lekarza do mojej chorej mamy. Często przychodził do mojego ojca. Rozmawiali przez całą noc, przy wejściu do namiotu. Wtedy miał już niewiele energii, i nie zwracał na mnie większej uwagi, od czasu do czasu pogłaskał mnie po głowie. Wydaje mi się, że myślał o ważniejszych sprawach. Ale nawet wtedy, jako dziecko, zdawałam sobie sprawę, że mój ojciec trzyma się go, jak ostatniej deski ratunku. Był nią dla nas naprawdę, przez ponad rok.

Jonathan zakręcił kawą w filiżance. Aria przyjrzała się krótko jego twarzy.

- Zawdzięczam twojemu ojcu życie - dodała powoli. - Wiesz o tym, prawda? Robił dla nas wszystko, co tylko leżało w jego możliwościach. Na zawsze pozostanę mu wdzięczna.

- Tak... - mruknął tylko Jonathan. Na razie nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

Aria przyglądała się studentom siedzącym przy sąsiednich stolikach, żeby uniknąć jego spojrzenia. W końcu, poprawiła się na krześle i spojrzała na niego znowu.

- Jonathanie, chciałabym wiedzieć, dlaczego tu jesteś - powiedziała. - Chcesz czegoś ode mnie. Widzę to w twoich oczach.

Blair wbił wzrok w filiżankę i skinął głową.

- Przykro mi, Aria... - zaczął łagodnym, ale stanowczym głosem. - Ale rzeczywiście, masz rację. Widzisz, ja także pracuję w MI-5, tak jak mój ojciec. Obecnie jestem oddelegowany do centrali CIA w Langley. To oni poprosili mnie, żebym tu przyjechał. Pomyśleli, że to ja powinienem się z tobą skontaktować, i że będzie najlepiej, jeśli to, co masz usłyszeć, padnie z ust przyjaciela. Kogoś, kto wie, przez co przeszedłaś.

Aria spojrzała na niego ze złością i zmrużyła oczy. Jonathan patrzył na nią uważnie i czekał, aż mu odpowie. W końcu, dziewczyna nachyliła się i odezwała się półgłosem:

- Chcę, żeby jedno było jasne. - Wycelowała palcem w jego twarz. - Powiem ci od razu: Jeżeli ma to cokolwiek wspólnego z Irakiem - cokolwiek - chcę, żebyś natychmiast dał mi spokój. Nie zamierzam nawet rozmawiać o tamtym miejscu. Już nigdy w życiu.

Blair zeszytywniał i patrzył w stolik. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małą fotografię, podając ją Arii. Dziewczyna zerknęła na zdjęcie, ale nie podnosiła go. Zatrzęsa się tylko.

Fotografia przedstawiała jej rodzinę, w Iraku, została zrobiona wiele lat temu. Tyle się od tamtego czasu wydarzyło... Pełni radości rodzice stali razem z dwiema czarnowłosymi dziewczynkami o identycznych uśmiechach. Starsza miała około dziesięciu lat, młodsza - może ze cztery. Mała siedziała na kolanach siostry, a mama i tata ustawili się za białym, plecionym fotelem.

Aria patrzyła na leżące na kawiarnianym stoliku zdjęcie, nie mówiąc ani słowa. Blair także milczał. Wreszcie, wyciągnął rękę i delikatnie dotknął prawej dłoni dziewczyny. Odwrócił ją i przyjrzał się uważnie. Była tam ciągle. Przez środek dłoni Arii biegło kilka cienutkich, białych linii, nie szerszych od nitki. Blizna. Prawie jej nie było widać, jednak łatwo się dało wszystko odczytać i prawdopodobnie napis nie zniknie do końca życia Arii.

Jonathan patrzył na trzy litery tylko przez chwilę. „SKE”, czyli „Shannon Kelsy El-Kutrtre”. Blizna układała się w inicjały młodszej siostrzyczki Arii, tej, którą na fotografii trzymała na kolanach.

- Potrzebujemy cię, Aria - powiedział szczerze Blair. - To takie ważne! Błagam cię. Potrzebujemy twojej pomocy.

## 12.

Williamsburg, Wirginia, USA  
03.37 czasu miejscowego

Aria McKenzie Cutter leżała na łóżku; kołdra i poduszka wały się po podłodze. Przez otwarte okno wlatywał łagodny powiew, chłodząc ciało dziewczyny, mimo że powietrze było parne. Nadlatywał znad oceanu i Zatoki Cheaspeake. W pokoju czuło się słonawy, duszny zapach rzeki Rappahannock, od którego trudno było oddychać. Panowała cisza i głęboka ciemność. Jedyne światelko w pokoju stanowiły niebieskawe cyfry budzika, stojącego na drewnianym stoliku przy łóżku.

Aria odwróciła głowę i spojrzała na zegar chyba po raz tysięczny. Zamknęła oczy i wtopiła głowę w poduszkę, pełna złości. Chciała wreszcie zasnąć, chociaż na chwilę. Miała dosyć tego czekania. Zmęczyła ją ciemność. Wolalaby, żeby już zrobiło się jasno.

Leżała i rozmyślała, wspominała, na nowo przeżywała cierpienia przeszłości. Nachodziły ją coraz to nowe wspomnienia, odganiając sen. Były trudne do zniesienia tak samo jak za każdym razem. Gdy patrzyła w ciemność, wizja straszliwej nocy bolała ją wciąż równie mocno, jak wtedy, kiedy wszystko zdarzyło się naprawdę.

Góry północnego Iraku są jednymi z najbardziej pustynnych i niegościnnych gór świata. Porywisty wiatr zdaje się wiać tam niemal nieustannie, spadając ze szczytów oddzielających Irak od Iranu. Roślinność jest bardzo skąpa, gdyż w górach panuje suchy klimat, opady pojawiają się tam tylko podczas ponurych, zimowych miesięcy. Przedgórze jest skaliste i poszarpane. Granitowe kolosy przechodzą stopniowo w pustynię. Biegnące z północy na wschód pasmo wznosi się na ponad cztery tysiące metrów n.p.m. Wśród nających skał rosną usychające cedry i karłowate krzewy.

Był rok 1992. Wojna w Zatoce Perskiej skończyła się zaledwie parę miesięcy wcześniej. Wtedy Saddam zwrócił swój gniew przeciwko Kurdom.

W górskich załomach i wąskich dolinach znalazło schronienie tysiące kurdyjskich uchodźców. Większość z nich obozowała po prostu na dworze, walcząc z wichrem i próbując przeżyć. Nieliczni szczęśliwcy kryli się w prowizorycznych namiotach - kawałkach konopnego płótna, zszytych żyłką wędkarską albo cienkim drutem. Była zima, a śnieg padał niemal co noc. Z mknących po niebie chmur spadały białe kryształki. Uchodźcy spędzali czas na poszukiwaniu czegoś do jedzenia, poza korą karłowatych dębów i gorzką, kłującą jak oset trawą. Prawie równie mocno jak głód doskwierało ludziom zimno. Jedzenia nie było. Nie po tej stronie gór. Dostępne drewno zostało dawno zebrane i spalone. Brakowało nawet wody. Czasem zabijano za nią. Jedynym jej źródłem były małe strumyki, sączące się skąpo po kamienistej ziemi.

Na południu panoszyli się brutalni żołnierze Husajna. Irakijczycy rozbili obozy u przedgórza i czekali. Wycelowali armaty w kurdyjskie obozy i nie strzelali tylko dlatego, że groziły im siły koalicyjne, patrolujące teren z nieba. Na północ od obozów, po drugiej stronie wysokich przełęczy, znajdował się Iran, odwieczny wróg. Na zachodzie leżała Turcja - kolejny nieprzyjaciel narodu kurdyjskiego. Turcy już przerzucali swoją niewielką armię nad granicę, z zamiarem powstrzymania narastającej fali uchodźców.

Sytuacja Kurdów była tragiczna. Tysiące straciły już życie. Wiele kolejnych tysięcy miało dopiero umrzeć. Jedyną nadzieją dla tych, którzy pozostali w górach spoczywała w zrzutach z amerykańskich transportowców wojskowych. Co dzień nad obozami przelatywały dziesiątki olbrzymich herculesów, spuszczać żywność oraz inne zapasy w wielkich, drewnianych skrzyniach zawieszonych pod czarnymi i pomarańczowymi spadochronami. Powietrzne dostawy ratowały ludzi przed śmiercią głodową. Nie mogły jednak zapewnić schronienia, ciepła, opieki medycznej ani pokoju.

Pośród masy głodujących Kurdów ukrywał się i Irańczyk Abshel Omar El-Kutrtte z żoną i dwiema córkami, w wieku trzynastu oraz siedmiu lat. Niegdyś, Abshel był jednym z najbardziej zaufanych doradców Saddama Husajna. Jako syn sultana, odebrał wykształcenie w najlepszych brytyjskich szkołach, ożenił się z Angielką. El-Kutrtte został odwołany z Wielkiej Brytanii wkrótce po tym jak Husajn zdobył władzę. Mianowano go ministrem finansów. W miarę upływu czasu okazał się niezwykle pozytywnym wyjątkiem

wśród członków izolacjonistycznego gabinetu Husajna. Przez ponad dziesięć lat był jednym z najważniejszych ogniw łączących irackiego przywódcę z Zachodem.

Jednak w miarę jak Husajn przyjmował coraz bardziej militarystyczną i autorytarną postawę, El-Kutrt stopniowo popadał w niełaskę. Przede wszystkim, żyjąc w muzułmańskim kraju, był chrześcijaninem, a do tego ożenił się z niewierną. Te dwa fakty, w połączeniu z jego nieustannymi prośbami o demokratyzację, oporem przeciw bezsensownej wojnie z Iranem, a wreszcie, stanowczym sprzeciwem wobec ataku na Kuwejt, stały się w końcu dla Saddama Husajna nie do zniesienia. Minister został oskarżony o sympatyzowanie z Kurdami. Jego upadek, podobnie jak tyłu przed nim, był natychmiastowy i głęboki. Dopiero co wolno mu było chodzić po korytarzach pałacu prezydenckiego i zajmował jedno z najwyższych stanowisk, a już po kilku godzinach od rzucenia przeciw niemu oskarżeń, został wygnany w góry na północy kraju. „Niech dołączy do swoich ukochanych Kurdów!” - powiedział wtedy z pogardą Saddam. „Ześlijcie go do nich, w góry”.

Cała rodzina została natychmiast wywieziona. Kazano im zostawić wszystko, co posiadali.

Tej nocy, El-Kutrtowie znaleźli się pośród Kurdów niczym żebracy. Zaznali głodu, zimna i strachu. Ponieważ jednak nie byli Kurdami, tylko Irakijczykami, grupa nie chciała ich przyjąć. Stali się pariasami nawet wśród głodujących uchodźców, jednych z najbiedniejszych i najbardziej zdesperowanych ludzi na świecie.

Największą ironią losu w życiu Abshela El-Kutrt okazało się to, że miał umrzeć wśród ludzi, którym próbował pomóc. Husajnowi przyszło na myśl, że taki wyrok jest okrutniejszy niż egzekucja, ponieważ i tak oznaczał śmierć, tyle że długą i gorzką.

W tym czasie starsza córka El-Kutrt przestała być dzieckiem. Prawie osiem miesięcy patrzyła jak jej rodzina marnieje z głodu i zimna na zboczu góry.

Tamtego pamiętnego dnia, sześć amerykańskich transportowców zrzuciło swój codzienny ładunek, przesuując się z wolna na niebie ponad obozem. Podczas gdy irackie wojska obserwowały amerykańskie samoloty na radarze, wśród żołnierzy rozeszła się plotka, że USA zrzuca Kurdom sprzęt wojskowy. W wielkich skrzyniach miały spadać z nieba karabiny, amunicja, nawet małe czołgi. Iraccy generałowie wiedzieli, że to nieprawda, jednak nie przejmowali się tym. Od dawna szukali powodu by wkroczyć do obozów i oto znaleźli go.

Tuż po zmierzchu, kiedy temperatura zbliżała się do minus piętnastu stopni, wojska irackie uderzyły na obozy Kurdów, prowadząc huraganowy ogień z karabinów i ostrzał z granatów wspomaganych silniczkami raketowymi. Żołnierze strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Mordowali uchodźców, traktując to jak radosną zabawę. Zniszczyli cały obóz. Uważali, że nie zabijają ludzi, tylko Kurdów.

Kiedy rozległy się strzały, ojciec wypchnął Arię i jej siostrzyczkę z namiotu i zawołał: „Uciekajcie! Szybko, biegnijcie!”

Dziewczynki wdrapwały się po zboczu wzgórza; za nimi z dużym trudem podążali rodzice. Aria zatrzymała się, żeby na nich poczekać. Shannon pobiegła dalej i wkrótce zgubiła się gdzieś w ciemności, pośród panującego chaosu.

Aria i jej rodzice skryli się pod skalnym występem, tworzącym płytką jaskinię. Tkwili tam, skuleni, podczas gdy iraccy żołdacy przemykali obok. Kryjąca się rodzina nie tyle bała się żołnierzy, co niepokoiła o młodszą dziewczynkę. W końcu, żołnierze wspięli się na ciężarówkę i odjechali krętą drogą, tam skąd przybyli.

Abshel El-Kutrt natychmiast zaczął szukać młodszej córki. Matka po raz pierwszy w życiu wpadła w kompletną panikę. „Znajdź ją” - błagała męża. „Abshel, musisz ją znaleźć”.

Ojciec wrócił do namiotu po jedyny ciepły koc, jaki posiadali. Wiedział, że kiedy odnajdzie córeczkę, będzie cała przemarznięta i potrzebował czegoś, żeby ją okryć. Owinął kocem ramiona i odszedł w noc, wołając ją żałośnie. Posuwał się po omacku skalistymi ścieżkami i błagał Boga, żeby pozwolił mu odnaleźć dziecko.

Aria tymczasem pomogła matce wrócić do obozu, postawiła przewrócony namiot i owinęła pogrążoną w szoku matkę grubym, płóciennym workiem.

W końcu, kiedy słońce zaróżowiło horyzont na wschodzie, matka Arii zasnęła. Gdy słońce podniosło się ponad góry, pozostali przy życiu ludzie powoli zaczęli wstawać. Aria słyszała wokół siebie krzątających się ludzi, którzy musieli pochować ciała swoich najbliższych.

Wtedy usłyszała ten dźwięk. Dochodził do niej z oddali przez rozrzedzone, górskie powietrze. Natychmiast rozpoznała łkanie swojego ojca. Wyjrzała z namiotu i zobaczyła go. Ślaniał się na nogach, twarz miał umazaną błotem, a w rękach trzymał pusty koc.

Aria i jej ojciec szukali Shannon przez sześć dni. Przetrzęsnęli każdą piędź obozu. Jednak nigdy nie zobaczyli już Shannon, ani też nie słyszeli o niej. Trzy dni potem, z głodu i zimna umarła w gorączce matka Arii. Ojciec Arii zaczął wtedy marnieć, utracił wole przeżycia. Mijały miesiące, a oni byli coraz bardziej wyczerpani i głodni.

Pewnego dnia ojciec dostał wiadomość od Jonathana Blaira. Nadarzyła się okazja, że zdoła wydostać Arię z Iraku. Ojciec nie zawahał się ani chwili. Wiedział, że podróż będzie dla niej niezwykle trudna i niebezpieczna, ale rozumiał też, że była to dla córki jedyna szansa przeżycia.

Sam Abshel odmówił jednak opuszczenia obozu. „Muszę tu być - powiedział córce. Na wypadek, gdyby wróciła Shannon”. - Mimo że było to kłamstwo, mógł jakoś dzięki niemu żyć. Przynosiło mu dziwny spokój.

Kiedy Aria żegnała się z ojcem, bandyci stali już koło namiotu i niecierpliwili się. Objęła ramionami płaczącego ojca, a potem dotknęła jego policzka. Odwróciwszy się, zaczęła wspinać się po zbocz, wiedząc, że już nigdy nie zobaczy swojego taty.

Jaskółki, które zbudowały gniazdo na zewnątrz okna, zaczęły się kręcić. Aria przetarła oczy i popatrzyła na zegar. Nie było jeszcze piątej. Opuściła stopy na podłogę i usiadła na skraju łóżka. Leżąca na podłodze kołdra powitała chłodem jej stopy. Dziewczyna siedziała przez dłuższą chwilę nieruchomo. Zdecydowała się patrzeć jak wschodzi słońce.

Kiedy podnosiła słuchawkę i wystukiwała numer, kołatała jej w głowie natrętna myśl:  
„Oko za oko, ząb za ząb.”

W tym przypadku, miał to być syn za córkę.

## 13.

### Pustynia w środkowej części Nevady, USA Dzień piąty (sobota), 13.00 czasu miejscowego

Charlie McKay wyglądał przez zakurzone okno. Patrzył ponad pustynią na odległe góry, których nazwy nie znał. Niemal nagie szczyty sterczały prawie pionowo. Oderwane skały z granitu i piaskowca tkwiły wśród zaczątków lasu złożonego z sękatych cedrów, nadając całości surowy wygląd. Charlie przyglądał się wierzchołkom gór, a potem popatrzył na białą pustynię. Wyciągnął rękę i stał z szyby grubą warstwę tłustego kurzu. Podniósł oczy w poszukiwaniu słońca i doszedł do wniosku, że widocznie okno wychodzi na północny wschód. Trudno było to stwierdzić tuż po południu.

Stał w starym hangarze, jeszcze z czasów drugiej wojny światowej. Popękana, betonowa podłoga była poplamiona olejami i smarem; przy tylnej ścianie hangaru leżał stos starych opon lotniczych. Wrota olbrzymiego hangaru, niezmiennie od dwudziestu lat były zamknięte na kłódkę. Hangar miał ze dwadzieścia pięć metrów wysokości i sześćdziesiąt długości. Wewnątrz panował półmrok. Odrobina światła wpadała przez okno, przez które wyglądał Charlie, niewiele też rozjaśniały mrok gołe żarówki, zwieszające się z sufitu.

McKay spojrział w prawo, gdzie rozciągało się dno wyschniętego jeziora, o utwardzonej od słońca i gładkiej jak beton powierzchni, stanowiąc naturalny pas startowy. Trzydzieści metrów od Charliego stał inny, stary budynek - niski, drewniany, o równo rozmieszczonych oknach i małej, wystającej na zewnątrz werandzie. Była to typowa konstrukcja dawnego Korpusu Sił Powietrznych Armii. Pomiędzy barakami a hangarem wiodła wąska, wydeptana, choć od lat nieużywana ścieżka.

Wyciągając szyję, McKay patrzył na pustynię szukając śladu jakiegoś podziemnego kompleksu, który, Charlie to wiedział, znajdował się tutaj. Widać było jednak tylko góry i pojedyncze krzaki. Żadnych płotów, dróg, wieżyczek wartowniczych, nowoczesnych budynków. Niczego. Kompleks został ukryty idealnie.

Stojący za Charliem wartownik odchrząknął.

- Sir, czy już panu wystarczy? - odezwał się. McKay odwrócił się do niego. Był to młody sierżant o potężnych ramionach i krótko przyszyżonych włosach. Zamrugał oczami, gdyż spływały do nich małe strużki potu. Temperatura wewnątrz hangaru musiała

wynosić ponad czterdzieści stopni i sierżant chciał już z powrotem znaleźć się pod ziemią. Charlie skinął głową.

- Tak, chyba już się napatrzyłem - powiedział.

Sierżant otarł oczy dłonią.

- Niewiele tu do zobaczenia, prawda, panie kapitanie? - zagadnął. - Nieźle, co?

Charlie skinął głową po raz drugi. To było rzeczywiście nieźle. Jak z powieści science fiction.

Podziemny kompleks, znany jako Jaskinia Nietoperzy został zbudowany na początku lat osiemdziesiątych. Używano go przede wszystkim do projektowania i testowania nowych, supertajnych broni. Gdzieś tu pod ziemią trzymano tajemniczy, naddźwiękowy samolot szpiegowski aurora; tak przynajmniej słyszał Charlie. Wiedział też, że testowano w tym miejscu jakiś nowy samolot typu Stealth, czyli niewykrywalny przez radar. Widział go, jak wytacza się z podziemnego bunkra, w noc, kiedy przybyli do Groom Lake. Musiał być to jakiś bezałogowy myśliwiec, ponieważ był mały i wprost niewiarygodnie szybki. Wystartował prawie jak rakieta i szybko zniknął w ciemnościach. Było też wiele części kompleksu, do którego kapitanowi zabroniono wchodzić. Liczba pracujących tu ludzi - mężczyzn, kobiet, żołnierzy, cywilnych współpracowników i personelu była o wiele większa niż przypuszczał. Mimo że pracujący tu ludzie mijali się na korytarzach i razem jedli posiłki, rzadko odzywali się do siebie. Tak było łatwiej zachować tajemnicę. Panowała wszechwładnie zasada: nie wściubiać nosa w cudze sprawy i nie zadawać zbędnych pytań.

Odróciwszy się od okna, Charlie podszedł do starego pojemnika na narzędzia, stojącego pod ścianą. Była to jak gdyby wielka, zardzewiała skrzynia. Z przodu wymalowano na niej czerwoną farbą: **NIE PRZECHOWYWAĆ MATERIAŁÓW ŁATWOPALNYCH**. Kapitan otworzył jedno z małych drzwiczek i wszedł do środka. Wartownik podążył szybko jego śladem i starannie zamknął drzwiczki.

Zatrzasnęły się ze szcękaniem, a wtedy automatycznie zapaliło się przyćmione światło. Tylne ściana podniosła się, odsłaniając wąskie, kręte schodki. Charlie ruszył ku nim i zszedł, trzymając się poręczy. Sierżant opuścił za nim ściankę i dopiero potem pospieszył za nim do chłodnego, podziemnego budynku.

Ukryte w hangarze kamery cały czas obserwowały jego wnętrze. Sześć i pół kilometra dalej, ukryci pod wystającą skałą, dwaj inni wartownicy lustrowali lornetkami horyzont, obserwując rozciągającą się na zachód pustynię.

Najbliższej nocy, Charlie i „Zabójca” odbyli ćwiczebny lot. Nie była to skomplikowana misja, właściwie tylko szybki przelot nad poligonem bombowym. Wystartowali zaraz po trzeciej, a wylądowali tuż przed wschodem słońca. Odrzutowa maszyna osiadła lekko na powierzchni wyschniętego jeziora.

Po zdaniu raportu z lotu, McKay chciał wziąć prysznic. Powiesił hełm i zewnętrzny, chroniący przed przeciążeniem kombinezon, oraz kamizelkę przeżycia w dębowej szafce. Jak zwykle, był cały zlany potem, a wewnętrzny kombinezon kleił się do niego niczym mokry ręcznik. Kapitan rozebrał się do slipów, wziął wielki, biały ręcznik i ruszył w

kierunku łazienki, kiedy do pomieszczenia wszedł „Zabójca”.

- Streszczajmy się, Księżę Karolu. Późno się robi - powiedział, podchodząc do swojej szafki. Charlie skinął głową, jednak nie odpowiadał. Wiedział, że słońce wschodzi już nad górami i że wkrótce na pustyni zapanuje niemiłosiernie gorąco. Oczywiście on nie zobaczy dnia. Tylko białe, betonowe ściany podziemnego kompleksu.

- Czy pozwolili ci porozmawiać z Lindą? - spytał McKay, wchodząc pod prysznic.

- Nie. Nie mogę zamienić z nią nawet jednego słowa. Wkurza mnie to. Zamknęli nas tu, odcięli od świata. Chciałbym chociaż usłyszeć jej głos. Pogadać z dziećmi, choćby z pół minuty. Żeby tylko wiedziały, że ich tatuś jest zdrow i cały. To głupie przepisy, żeby nas tak chować. Powinni nam trochę popuścić.

Charlie wsadził głowę pod wodę. Miała smak żelaza, ale nie przejmował się tym. Przede wszystkim była zimna, mokra i przyjemna. Sięgając po mydło, zawołał:

- I jak myślisz, po co tu jesteśmy?

- Nie wiem - odpowiedział przyjaciel. - Pułkownik Wisner mówił coś o CIA i południowo-zachodniej Azji. Ale na razie to tylko plotki. Nie zdziwiłbym się, gdyby nas tu trzymali do Bożego Narodzenia, a potem nagle rozmyślili się i puścili do domu. Wiesz, jak to jest. „Ognia! Ognia!” A potem okazuje się, że chodziło tylko o papierosa. „Wracać na miejsca!” Zobaczymy, co będzie. Ale nie wydaje mi się, żeby szybko nas gdzieś posłali.

Charlie wysłuchał swojego oficera uzbrojenia, po czym znowu wsadził głowę pod prysznic. Co miałby odpowiedzieć? Pewnie „Zabójca” miał rację.

## Kimisk, północna granica Iraku 07.55 czasu miejscowego

Pasterz jeszcze nigdy w życiu czegoś podobnego nie widział. Most został zupełnie zniszczony. Wybuch rozerwał stare, spróchniałe bale na kawałki. Większe kawały drewna leżały teraz na dnie głębokiego na dwanaście metrów wąwozu, mniejsze spłynęły już z biegiem rzeczki.

Przez ostatnie pięćdziesiąt lat stary, drewniany most był jedynym połączeniem wieśniaków z resztą świata, która znajdowała się poniżej zbocza góry. Zanim odbudują most, będziemy całkiem odcięci - pomyślał pasterz. Przyszło mu do głowy, że może to wcale nie takie złe. W zasadzie nie było powodu, żeby zależało im na kontaktach z resztą Iraku. Jednak mimo wszystko, od czasu do czasu potrzebowali wybrać się do Amadiya, a nawet aż do Erbil. A więc most będzie musiał zostać odbudowany. To zajmie trochę czasu.

Wieśniak pomyślał o żołnierzach, których widział w lesie. Zastanawiał się, po co wysadzili most.

Irakijczyk wpatrywał się znowu w rzekę i nagle zobaczył coś, czego nie zauważył wcześniej. Siedział przy samej wodzie, na tylnych łapach. Był tłusty, aż nadęty; miał



błyszczącą skórę i czerwone oczy. Przyjrawszy się dokładniej, wieśniak przestraszył się. Stwór patrzył na niego, obserwował. Poruszał głową w ślad za ruchami człowieka, błyskając przekrwionymi oczami. W popołudniowym słońcu widać było błysk zębów zwierzęcia. Wielki szczur zaczął wdrapywać się po zboczu rozpadliny. Bił łapami w mokra ziemię, aż wreszcie wydał dziwaczny skrzek.

Wieśniak przeraził się bardzo. Przeżył w górach czterdzieści trzy lata i nigdy nie słyszał takiego odgłosu. Poza tym nigdy w życiu nie widział tak wielkiego szczura. Mężczyzna popatrzył na niego jeszcze przez chwilę, a potem ruszył z powrotem do wioski, chcąc oddalić się jak najszybciej od mostu.

Szczur zawahał się na moment, po czym wyskoczył nad krawędź wąwozu. Rozejrzawszy się podążył za człowiekiem, kryjąc się w zarośniętym gęstą trawą rowie, prowadzącym wzdłuż drogi aż do wioski.

## 14.

Karaczi, Pakistan  
09.10 czasu miejscowego

Mimo ufarbowanych na czarno włosów, hodowanej od miesiąca brody i usilnych starań, by zyskać ciemną opaleniznę, mężczyzna wyróżniał się z tłumu białą skórą. Od razu było widać, że to Europejczyk lub Amerykanin, który niezbyt umiejętnie usiłuje wtopić się w islamskie społeczeństwo. Wydawał się arogancki, dumny, zarozumiały; pod każdym względem - wystarczyło spojrzeć na jego ubranie, poczuć zapach wody kolońskiej, zobaczyć wypchany portfel, wreszcie, poobserwować sposób bycia. Od razu przywodził mużłanom na myśl grzesznika. Siedział teraz w kawiarni, obrzucany pogardliwymi spojrzeniami. Po czterech miesiącach pobytu w Pakistanie, Amerykanin przyzwyczał się już jednak do tego i nie zwracał uwagi na gapiów.

Zajmował stolik, tuż przy ulicy, obserwując sznury trójkołowych taksówek, angielskich samochodów terenowych, rozklekotanych ciężarówek, aut kombi i mułów. Od czasu do czasu jakiś hałaśliwy motocykl albo ciągnięty przez muła wózek przemykały chodnikiem, wykorzystując go jako dodatkowy pas ruchu. Piesi musieli uskakiwać wtedy pomiędzy kawiarniane stoliki. Potrącali go, ale nie przejmował się tym. Oparł się wygodnie i przeglądał poranną gazetę, popijając gorącą herbatę.

Po drugiej stronie ulicy, na drewnianej skrzynce siedział stary Pakistańczyk. Obok stała klatka z kurczakami. Pod ścianą leżał zardzewiały rower. Nad głową starca znajdowało się logo pepsi-coli, tuż obok wisiał wypłowiały od słońca plakat przedstawiający Sylwestra Stallone. Od czasu do czasu stary podnosił ręce i wymachiwał w stronę przechodniów świeżo oskubanym ptakiem. W którymś momencie przy sprzedawcy przystanąła bezzębna, ubrana na czarno kobieta i zaczęła się targować. Oboje gestykulowali przy tym

gwałtownie. Kobieta zrobiła kwaśną minę, mężczyzna wzruszył ramionami i - transakcja została zawarta. Klientka zapłaciła i zabrała kurczaka. Handlarz sięgnął do klatki i po chwili na chodnik posypały się zawzone pióra i zaczęła kapać krew. Wkrótce przekupień wymachiwał już w powietrzu kolejnym ptakiem.

Po dziesięciu minutach czytania gazety, Amerykanin, który był biochemikiem, zatrudnionym na kontrakcie w Pakistanie przez państwowe laboratorium zajmujące się immunologią, podniósł się z krzesła i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Zbliżył się do starego Pakistańczyka i zobaczył w jego twarzy strach. Sprzedawca kurcząt skulił się, przyciskając do ceglanego muru i niespokojnie strzelał na boki oczami. Amerykanin stanął nad klatką i wybrał sobie młodą kurę. Czekając aż zostanie oskubana, rozejrzał się wśród przechodniów, a następnie nachylił nad przekupniem i zapytał łamanym arabskim:

- Co się stało, Nadin?  
- Mój syn przysłał wiadomość - oznajmił stary. - Z gór, koło granicy z Iranem. Bardzo źle. Znowu stało się to samo. Boję się.

Cudzoziemiec popatrzył Pakistańczykowi prosto w oczy.

- O czym mówisz? - chciał się upewnić.  
- Znowu zaatakowali. Nad samą granicą. Patrz na północ. Sam zobaczysz.

Amerykanin znowu zerknął na przechodniów. Jego czujne spojrzenie zauważył patrolujący po drugiej stronie ulicę policjant, a właściwie żołnierz. Poprawił na ramieniu kałasznikowa i ruszył przez tłum, chcąc przyjrzeć się z bliska podejrzanemu mężczyźnie. Amerykanin sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść błyszczących monet.

- „Patrz na północ?” Co to znaczy? Gdzie mam patrzeć? Powiedz o co chodzi, nie mamy czasu na rozmowę.

- Mówią, że wielu zginęło - oświadczył stary, ignorując pytania. - Podobno jest tam coś... coś takiego, ja nie wiem. Ale boję się, że obrazili naszego Boga.

- Słuchaj no, Nadin - syknął Amerykanin, wrzucając pieniądze do stojącego na skrzynce słoika. - Musisz dowiedzieć się, co to jest. Czego szukamy? Co jeszcze wiesz? Proszę, to bardzo ważne.

Starzec zawiąnął oskubaną kurę w poźółkłą gazetę i burknął:

- Nie. Już zrobiłem, co mogłem. Sam będziesz musiał się dowiedzieć.

Mężczyzna szepnął coś jeszcze, ale przekupień odwrócił się od niego, rozglądając się niespokojnie na widok zbliżającego się stróża porządku. Cudzoziemiec złapał więc kurę i zniknął czym prędzej w tłumie, nie oglądając się za siebie.

Pół godziny później ten sam Amerykanin, który był równocześnie agentem CIA, zakodował wiadomość i wysłał w eter. Przelatujący samolot przekazał ją zawieszonemu nad Grenlandią satelicie, ten przesłał informację następnemu, który wisiał nad wschodnim wybrzeżem Stanów Zjednoczonych. Niebawem w centrali CIA, w Langley, wiedziano już o wszystkim, czego zdołał się dowiedzieć agent. To wystarczyło, żeby wszcząć alarm i ruszyć do działania.

Odbyło się zorganizowane w trybie pilnym spotkanie kierownictwa CIA z dyrektorem Narodowego Biura Rozpoznawczego. Ten, pomimo początkowych oporów, dał się

przekonać. Już kilka minut później przemieszczono jednego z satelitów zwiadowczych serii KH-9 trochę dalej na północ. Czterdzieści minut potem CIA wiedziało, co miał na myśli pakistański sprzedawca kurczaków.

## 15.

### Pokój operacyjny Narodowego Biura Rozpoznawczego, zachodnia Wirginia, USA 19.00 czasu miejscowego

Śmierć odcisnęła na filmowanej twarzy ponure piętno. Widać było wszystkie szczegóły, mimo że zdjęcia wykonywano z kosmosu. Ciało leżało skulone. Pokryte zakrzepłą wydzieliną oczy patrzyły martwo. Usta odsłaniały w grymasie bólu dwa rzędy nierównych zębów. Z nozdrzy spływały czarne strużki krwi. Dmący nieustannie w górach wiatr zdążył nawiać w gęste włosy zmarłego nieco piasku. Dowodziło to, że ciało leży w rowie już od co najmniej paru godzin. W poprzek nosa martwego mężczyzny przeszedł czarny, lśniący, sześcionogi robak i zniknął po chwili pod jego policzkiem.

Kapitan przekreślił się w fotelu i zakaszłał.

- Niech pan da większy plan - polecił pułkownik, ignorując przerażenie w oczach młodszego podwładnego. Kapitan patrzył, jak robak po raz drugi przechodzi przez martwą twarz i usadawia się na patrzącym przed siebie oku. Młody oficer zamrugał. W sali panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć szmeru wentylatorów. Trzydzieści par oczu wpatrywało się w czarno-białe zdjęcia, wyświetlane na ogromnym ekranie.

- Prosiłem o większy plan - powtórzył pułkownik.

Kapitan potrząsnął głową, po czym sięgnął do klawiatury. Po chwili, obraz zamazał się i zaraz pojawił się znowu, jeszcze ostrzejszy niż przedtem.

Na ekranie ukazała się opustoszała droga; ujęcie przedstawiało obszar mniej więcej trzydziestu metrów kwadratowych. Wzdłuż niej stały niskie domy z cegły suszonej na słońcu, o drewnianych dachach i maleńkich oknach. Po jednej stronie drogi wbito sześć grubych pali, wysokich na mniej więcej dwa metry. Na każdym z nich wisiało ciało. Szyje powieszonych ściśnięte były sznurami, boscie stopy zwisały tuż nad ziemią. Pułkownik dodał liczbę słupów do oglądanych poprzednio. Jedenaście. Powiesili jedenastu. Samych młodych, brodatych mężczyzn. Teraz kamera przesunęła się dwadzieścia metrów na prawo, ukazując starą, zardzewiałą półciężarówkę. Miała otwarte drzwiczki, choć w środku nie było nikogo. Za to zza lewego przedniego koła wystawały zmiażdżone nogi. Za samochodem, na gruntowej drodze leżało jeszcze kilka trupów. Martwy pies rozciągnął się obok swego pana. Młoda kobieta o pomarszczonej już od słońca twarzy gapiła się niewiódzącymi oczami w kosmos. Ścisnęła martwym ramieniem ciało dziecka.

Nie poruszał się nikt ani nic. Wydawało się, że na zdjęciach nie ma śladu życia - ludzi, zwierząt czy roślin. Nawet wiatr najwyraźniej ucichł, pozostawiając na środku drogi porozrzucane śmieci i kilka suchych liści.

Kapitan zerknął na licznik i powiedział:

- Pięćdziesiąt sekund, sir. - Poczul ulgę, że może spojrzeć na coś innego, zamiast wpatrywać się w widniejące na ekranie ciała.

- Kiedy satelita nadleci nad to miejsce znowu? - spytał pułkownik.

Młody oficer podniósł z pulpitu czerwoną instrukcję i szybko poszukał w niej potrzebnej informacji. Latający na niskiej orbicie KH-9 okrążał Ziemię na wysokości zaledwie dziewięćdziesięciu kilometrów. Wprawdzie wykonywał kilka okrążeń w ciągu doby, jednak jego orbita nie była kołowa. Nad tym samym miejscem miał pojawić się dopiero za dziewięć godzin. Kapitan wyjaśnił przełożonemu:

- Dopiero wieczorem, sir. O dziewiętnastej piętnaście naszego czasu. Ale w Pakistanie o tej porze jest już ciemno, a noc będzie bezksiężycowa. Sądząc z wyglądu wioski, raczej nie można liczyć na sztuczne oświetlenie terenu. Możemy więc nic nie zobaczyć. Trzeba poczekać do następnego przelotu, który nastąpi... - wykonał szybkie obliczenia - ...jutro, o czwartej piętnaście rano naszego czasu.

Pułkownik zwrócił uwagę na młodą, atrakcyjną porucznik, siedzącą o dwa stanowiska dalej. Wpatrywała się w ekran przerażonym wzrokiem i wyglądała, jakby miała za chwilę zwymiotować. Nie mogła oderwać oczu od martwego dziecka. Sama miała synka, mniej więcej w tym samym wieku.

Pułkownik odezwał się do niej:

- Pani porucznik King, czy nagrywanie włączone? Będziemy mogli przejrzeć to jeszcze raz?

- Tak jest - odpowiedziała dziewczyna, odrywając się od przykrego widoku.

- Ile na razie mamy?

Zerknęła na licznik.

- Dziewięćdziesiąt siedem sekund, sir. Nagrywamy od chwili, kiedy przełączyliśmy na obiekt w micon.

Pułkownik dotknął podbródka i spytał kapitana:

- Za ile czasu stracimy obraz?

- Dwadzieścia cztery sekundy. Jak pan widzi, ostrość już maleje z powodu zbyt małego kąta. - Młody oficer pokazał głową na ekran, po czym spytał: - Czy mogę przyspieszyć satelitę, panie pułkowniku? Musimy nadać mu z powrotem prędkość orbitowania. Jeżeli jeszcze trochę opadnie, zużyjemy dwa razy tyle paliwa. Chłopcy z Vandenberg będą niezadowoleni.

Dowódca zawahał się i rozejrzał po sali, jednocześnie wyobraził sobie roziskrzonego odbijanym światłem satelitę, który przesuwają się bezgłośnie w przestrzeni. Z miejsca, gdzie się znajdował, Ziemia była piękna - oceany pyszniły się błękitem, pustynie miały odcień brunatny, chmury bieleły się, a dżungle zieleńiły, odcinając się jasnymi kolorami od czerni przestrzeni kosmicznej.

Od dwudziestu siedmiu lat pułkownik obserwował Ziemię za pomocą swoich satelitów.

I jeszcze nigdy nie oglądał czegoś, co zabolałoby go albo przeraziło w podobny sposób.

Mijały kolejne sekundy, interesujący go obszar znalazł się już poza zasięgiem obserwacji. Obraz zmaćnił się i nagle znikł. Zgromadzeni w sali ludzie odetchnęli z ulgą.

- To wszystko, sir - odezwał się kapitan. - Straciliśmy obraz. Satelita znalazł się za daleko na wschód. Trzeba będzie przyjrzeć się znowu rano.

Pułkownik nie odpowiadał. Wstał i poszedł na tył sali. Wszystkie oczy były zwrócone na niego. Ósmioro techników i sześcioro oficerów czekało na jakieś polecenie czy choćby komentarz. Ich przełożony zatrzymał się na chwilę i obrócił na pięcie. Kapitan wychylił się z fotela. W zawieszonym pod sufitem głośniku trzasnęło i zaszumiło, po czym znowu zapadła cisza. Pułkownik, nie powiedziawszy ani słowa, wyszedł z sali.

## 16.

Biały Dom, Waszyngton, USA  
20.15 czasu miejscowego

Jest gorzej niż myśleliśmy - mruknął Brent Hillard, kładąc na biurku stos czarno-białych fotografii formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Dyrektor CIA, Michael Crosby, skinął głową.

- Opowiedz mi o tej wiosce - poprosił Hillard.

Crosby zaczął wyjaśniać:

- Miejscowość nazywa się Kimisk; to mała kurdyjska wioska, w górach, na północnym krańcu Iraku, trzydzieści siedem kilometrów od granicy z Turcją.

Wioska jest tak mała, że nie ma jej nawet na naszych mapach. Liczyła około dwustu mieszkańców. Głównie pasterzy. Raczej neutralnych obywateli - nic nam nie wiadomo, żeby mieli jakieś kontakty z kurdyjskimi partyzantami, czy Turkami. Ta miejscowość nie ma wartości taktycznej, ani tym bardziej strategicznej.

Jest zbyt odległa od innych i dosłownie odizolowana. Leży na wyjątkowo dużej wysokości, ponad trzech tysięcy metrów. Zdjęcia zostały zrobione dzisiaj wczesnym rankiem przez naszego satelitę. Jednego z KH-9, które przydzieliliśmy po wojnie w Zatoce do obserwacji Iraku.

Crosby patrzył przez chwilę na fotografię, po czym podniósłszy ze stołu teczkę powiedział cicho:

- On testował wirusa, Brent. Wiesz o tym. Testował go w warunkach otwartego środowiska. Przyjrzyj się temu i przeczytaj jeszcze raz raport. Aż się niedobrze robi. Kiedy patrzę na te ciała i przypominę sobie tamtego szczura, skóra mi cierpień ze strachu.

Dwaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu, pogrążeni w myślach. Ogarnęły ich straszne przecucia. Stary zegar tykał głośno. Brent Hillard odkaslnął i poprawił się w fotelu, a następnie odgarnął do tyłu siwiejące włosy, chcąc odruchowo zakryć pojawiającą się na środku głowy łysinę. Crosby postukał sobie w zęby ołówkiem. Hillard sapnął i wyjrzał przez okno swojego gabinetu. Wychodziło na ogrody. Był późny wieczór. Wydłużone cienie kładły się na soczysto zielonym trawniku Białego Domu. Ruch na Pennsylvania Avenue zaczął rzednąć. Miałoby to znaczenie, gdyby prezydencki doradca miał wkrótce pojechać do domu. Jednak zostanie w pracy do późna w nocy. Jeśli w ogóle na resztę nocy wróci do domu.

Hillard przesunął dłońmi po zmęczonej twarzy i pomasaował głowę z boków. W końcu, nachylił się znowu nad biurkiem i zapytał:

- Napijesz się czegoś? Piwa? Kawy? A może chcesz coś na ból głowy?

Crosby uśmiechnął się.

- Noszę tabletki przy sobie, dziękuję. Ale napiłbym się chętnie coli. Wielką szklankę, z cytryną i dużą ilością lodu.

Hillard wcisnął guzik interkomu i poprosił o coca-colę oraz piwo. Po kilku minutach weszła kelnerka, niosąc tacę z zamówionymi napojami, a także pieczonymi skrzydełkami kurczaka, sosem i chipsami. Postawiła tacę na małej ławie i wyszła, prawie nie zwracając uwagi na siedzących mężczyzn.

Crosby wstał i podszedł do kanapy. W pokoju rozszedł się zapach ostro przyprawionego kurczaka. Dyrektor CIA wziął szklankę z colą i pociągnął długi łyk. Wziął od razu dwa skrzydełka i wsadziwszy pierwsze z nich do ust, uświadomił sobie, że nic nie jadł od śniadania. Wiedział, że po ostrych przyprawach znowu będzie dokuczał mu żołądek, jednak nie przejmował się tym. Ostatnio wszystko co jadł powodowało niestrawności.

Hillard spojrzał na jedzącego łapczywie przyjaciela, po czym podniósł raport i przeczytał go jeszcze raz, notując na marginesie swoje uwagi.

**TYLKO DLA DYREKTORA**  
**ŚCIŚLE TAJNE (ZNACZENIE SPECJALNE)**  
**WSZELKA REPRODUKCJA ZABRONIONA**  
**PRZECHOWYWAĆ I ZNISZCZYĆ ZGODNIE Z REGULAMINEM**  
**RADY BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO**

KOPIA Nr 2 z 3

NOFORN WININTELL

PRÓBKIE PODEJRZANEGO CZYNNIKA POBRANE W KIMISK, OZNACZONE JAKO BILAB 22, ZOSTAŁY PODDANE OCZYSZCZENIU CHEMICZNEMU I ANALIZIE, PRZEZ JEDNOSTKĘ DEPARTAMENTU OBRONY (OŚRODEK US ARMY DO SPRAW ZWALCZANIA NIEBEZPIECZNYCH CHOROÓB, W LANDSTUHL, NIEMCY), PRZY WSPÓŁPRACY INNYCH INSTYTUTÓW (INST. CDC, ATLANTA, GEORGIA).

WSTĘPNA ANALIZA WSKAZUJE NA IDENTYCZNOŚĆ CZYNNIKA ZE ZNALEZIONYM W CIAŁACH OFIAR KATASTROFY AIR FORCE ONE; JEST TO PODDANA OBRÓBCE GENETYCZNEJ POCHODNA ENTEROWIRUSA.

WIRUS ROZPRZESTRZENIA SIĘ W ORGANIZMIE POPRZECZ KRWIOOBIEG I SZYBKO ATAKUJE PODATNE ORGANY. ZASADNICZE DZIAŁANIE SKUPIA SIĘ NA OŚRODKOWYM UKŁADZIE NERWOWYM, POWODUJĄC ZABURZENIA FUNKCJONOWANIA, HALUCYNACJE I ZABURZENIA PSYCHICZNE.

OBJAWY MOGĄ RÓŻNIĆ SIĘ U POSZCZEGÓLNYCH OSOBNIKÓW, JEDNAK NALEŻĄ DO NICH: SZYBKO POSTĘPUJĄCE OSŁABIENIE WZROKU PROWADZĄCE DO ŚLEPOTY, TRUDNOŚCI W ODDYCHANIU SPOWODOWANE OSTRYMI BÓLAMI ODDECHOWYMI, KRWAWIENIE Z OCZU I NOSA, SILNE MDŁOŚCI. OSTATECZNIE NASTĘPUJE ŚMIERĆ Z POWODU WYLEWU KRWI DO MÓZGU LUB ZAPAŚCI. PRAWDOPODOBNIEM U WIĘKSZOŚCI OFIAR OBJAWY WYSTĘPUJĄ DOPIERO PO OKOŁO 4 DO 6 GODZIN OD CHWILI ZAKAŻENIA. DO TEGO CZASU ZAINFEKOWANI SĄ NOSICIELAMI WIRUSA I ZAKAŻAJĄ INNYCH. ŚMIERĆ NASTĘPUJE OD OKOŁO 20 MINUT DO 12 GODZIN PO WYSTĄPIENIU OBJAWÓW.

MIMO ŻE CZYNNIK DZIAŁA NAJSKUTECZNIEJ W PRZYPADKU WPROWADZENIA DO ORGANIZMU PRZECZ UKŁAD ODDECHOWY, ZA POMOCĄ ROZPROSZONEJ W POWIETRZU MGŁY, ŚMIERTELNOŚĆ JEST NIEMAL RÓWNIEM WYSOKA PRZY ZAKAŻENIU POKARMOWYM LUB NA SKUTEK KONTAKTU ZE SKAŻONYMI PRZEDMIOTAMI, NP. KLAMKAMI, SZTUĆCAMI, PORĘCZAMI ITP.

WIRUS POZOSTAJE ŻYWY I ZDOLNY DO ZAKAŻANIA PRZECZ KILKA GODZIN PO ŚMIERCI NOSICIELA, ZNAJDUJĄC SIĘ W JEGO KRWI I TKANKACH.

WIRUS JEST SKRAJNIE ZARAŻLIWY. NOSICIELE BĘDĄ ZARAŻAĆ INNYCH POPRZECZ ZWYKŁE KONTAKTY MIĘDZYLUDZKIE.

CZYNNIK SKRAJNIE TOKSYCZNY. ŚMIERTELNOŚĆ W PRZYPADKU KONTAKTU Z WIRUSEM OCENIANA NA 90-93 %.

SZCZEPIONKA NIE JEST ZNANA.

LEKARSTWO ANI ANTIDOTUM NIE SĄ ZNANE.

ZDARZENIE EPIZOOTYCZNE (T.J. EPIDEMIA WŚRÓD ZWIERZĄT SKUTKUJĄCA MASOWYM ZAKAŻENIEM LUDZI) - NIEZWYKŁE PRAWDOPODOBNE.

ZNAJDUJĄCE SIĘ W UŻYCIU AMERYKAŃSKIE KOMBINEZONY PRZECIWCHEMICZNO-PRZECIWBIOLOGICZNE MOGĄ SIĘ OKAZAĆ NIESKUTECZNE. WIRUS JEST POTENCJALNIE ZDOLNY PRZENIKNAĆ PRZECZ FILTRY UŻYWANYCH POWSZECHNIE MASEK PRZECIWBIOLOGICZNYCH.

PILNA - PODKREŚLAM - PILNA POTRZEBA DALSZYCH BADAŃ.

CZEKAM NA INSTRUKCJE.

LARSEN SENDS

KONIEC RAPORTU

Brent Hillard bezsilnie opuścił kartkę na kolana. Serce waliło mu jak młotem. Czui pulsujące tętnice na szyi i szum krwi w tyle głowy. Zerknął po raz kolejny na Crosby'ego, który maczał frytki w ostrym sosie. Zabawne - pomyślał Brent - jak różnie ludzie usiłują

radzić sobie ze stresem. Ostatnia rzecz, na którą miałby w tej chwili ochotę, to jedzenie.

Podniósł się z fotela i podszedł do ławy. Wziął szklanke z piwem i pociągnął łyk. Chłodząc gardło płynem usiadł koło przyjaciela.

- Ilu izraelskich komandosów zmarło po misji?

Dyrektor CIA podniósł wzrok i otarł usta serwetką, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Siedmiu, jeśli dobrze pamiętam. A może ośmiu. Musiałbym sprawdzić. W każdym razie, Izraelczycy wkurzyli się bardzo.

- I żaden z nich nie zginął w walce?

- Nie. Przynajmniej tak mówi Mossad. Ale skąd można wiedzieć, czy nie oszukują?

Hillard skinął głową. Wiedział, co ma na myśli Crosby. Państwo żydowskie było ważnym i skorym do pomocy sojusznikiem, w szczególności jeśli chodziło o rejon Bliskiego Wschodu. Jednak Izraelczycy zawsze starali się zachować wszystko w sekrecie. Z reguły woleli działać samodzielnie i niemal wszystko uważali za tajemnicę państwową. Zrzucenie komandosów na wioskę było ich własnym pomysłem. Amerykanie nawet o nim nie wiedzieli. Informacje dostali dopiero po zakończeniu misji. Izraelczycy pobrali i przeanalizowali próbki powietrza oraz gleby, wtedy dopiero zrozumieli, z jak skrajnie niebezpiecznym środkiem mają do czynienia, i że nie mają pojęcia, co to za wirus.

Wtedy dopiero Amerykanie znów okazali się najlepszymi przyjaciółmi Mossadu, ponieważ potrzebna okazała się ich pomoc. Izraelczycy uznali, że była to zapewne najniebezpieczniejsza sytuacja w ciągu całego ostatniego półwiecza.

Crosby odgryzł kęs kurczaka i kontynuował:

- Wiesz, że wioskę zaatakowano wczoraj rano. Mossad wiedział o tym już po paru godzinach. Dwoje ich kurdyjskich informatorów bardzo szybko przekazało wiadomość. Izraelczycy zidentyfikowali atak jako biologiczny dziesięć godzin przed tym, kiedy wykonaliśmy zdjęcia z kosmosu. A i tak o niczym nam nie powiedzieli. To mnie naprawdę wnerwiają.

Hillard znów skinął głową, jednak nic nie mówił. Crosby przełknął, po czym ciągnął:

- Wkrótce po tym, jak nasi przyjaciele z Mossadu dostali cynk o ataku, postanowili wysłać na miejsce ludzi i dowiedzieć się czegoś, na własny użytek. Misja została wykonana precyzyjnie, jak szwajcarski zegarek. Wysłali śmigłowcami drużynę z jednego z obozów sił specjalnych, rozlokowanych tuż za granicą turecką. Po niecałych dwóch godzinach byli już z powrotem. W rejonie celu nie spotkali nikogo. Wioska była całkowicie wymarła. Wszyscy żołnierze mieli na sobie CBS i maski. - Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego uniósł brwi. - Najlepsze kombinezony przeciwichemiczno-przeciwbiologiczne na świecie - wyjaśnił Crosby. Mają chronić amerykańskich żołnierzy. Okazały się jednak nieskuteczne. Po powrocie do obozu i rozpoczęciu dekontaminacji, kilku komandosów nagle zachorowało. Po kilkunastu minutach paru już nie żyło. Spora część uczestników akcji umarła w ciągu godziny.

Crosby przestał przeżuwać i dodał:

- Zdaje się, że Izraelczycy dostali nielicznego pietra. W ciągu paru godzin zdążyli



przekazać próbki naszemu wojskowemu laboratorium w Niemczech. Resztę przeczytałeś w raporcie.

- To była śmiała akcja z ich strony. Biorąc pod uwagę, że przekroczyli granicę. .. - skomentował Hillard.

- To prawda, sporo ryzykowali - przyznał Crosby. - Zarówno ze strategicznego, jak i taktycznego punktu widzenia. Gdyby zepsuł się któryś ze śmigłowców, albo gdyby musieli pozostawić ludzi w Iraku, byłoby fatalnie. Izraelscy komandosi na ziemi irackiej! Cały islam powstałby zbrojnie. Jednak najważniejszy jest efekt. Izraelczycy się boją. Może nawet bardziej niż my.

- Jednego nie rozumiem - przyznał Hillard. - Skąd się wzięli ci powieszni? Pamiętasz zdjęcia. Wzdłuż drogi wiszą na słupach ciała. To nie pasuje do całości. Jeżeli nastąpił atak biologiczny, dlaczego powieszono część mężczyzn?

Dyrektor CIA wyciągnął z dłoni doradcy do spraw bezpieczeństwa tajny raport. Pokazał na jeden z akapitów:

WIRUS ROZPRZESTRZENIA SIĘ W ORGANIZMIE POPRZEZ  
KRWIOOBIEG I SZYBKO ATAKUJE PODATNE ORGANY. ZASADNICZE  
DZIAŁANIE SKUPIA SIĘ NA OŚRODKOWYM UKŁADZIE  
NERWOWYM, POWODUJĄC ZABURZENIA JEGO FUNKCJONOWANIA,  
HALUCYNACJE I ZABURZENIA PSYCHICZNE.

- Wygląda na to, że niektóre z ofiar wariują - wyjaśnił. - Jakiś facet, pewnie szef miejscowych stróżów porządku, zbzikował i przed śmiercią wymierzył domniemaną sprawiedliwość swoim obywatelom. Dostał jakiegoś paranoicznego lęku. Wszyscy wokół umierali, krew sączyła mu się do mózgu - kto wie, co biedak myślał. Tak czy owak, ten cały BILAB 22 powoduje u części ofiar, przed śmiercią, napad krwiożerczego szału... Tak przynajmniej twierdzą moi analitycy. Założyłbym się, że to trama diagnoza. Oczywiście, możemy być tego pewni dopiero po dalszych badaniach, które zajmą jeszcze trochę czasu.

Brent wyjrzał przez okno, za którym panowała już ciemność, zmieniając je w lustro. Zadumał się na moment, po czym znów odwrócił się do przyjaciela.

- Opowiedz mi o całym tym irackim przedsięwzięciu - poprosił. - Kto nim kieruje? To znaczy, poza Saddamem. Oczywiście, że on jest ostatecznym rozkazodawcą. Jednak musiał kogoś wyznaczyć na szefa projektu. Uzyskanie broni biologicznej tego rodzaju wymaga ogromnego wysiłku. I dokonali tego pomimo międzynarodowych starań, żeby właśnie temu zapobiec...! Pomyśl, Michael. Uzyskali jeden z najgroźniejszych wirusów na świecie, podczas gdy byli objęci sankcjami ONZ. Nieustannie węszyli u nich zagraniczni inspektorzy. Prowadzono międzynarodowy monitoring. Cały świat nałożył na nich embargo. Bez przerwy prowadziliśmy nad ich terytorium loty zwiadowcze... Oczywiście, ułatwił im zadanie, pozwalając wodzić za nos inspektorów. Jednak same badania naukowe i zapewnienie im bezpieczeństwa, zorganizowanie przekonujących pozorów dla podejmowanych działań - to wszystko musiało wymagać ogromnych nakładów energii i

pieniędzy. Chciałbym poznać faceta, który kierował tym przedsięwzięciem. Uściskałbym mu dłoń, a potem - przyłożyłbym mu pistolet do głowy.

- Wiesz, kogo podejrzewają Izraelczycy?

Hillard pokiwał głową.

- Udaja. Syna „Rzeźnika”.

- Co o tym myślisz?

- Udaj? Coś ty. Na pewno nie. Przynajmniej nie samodzielnie. Saddam musiał sam wszystkiego doglądać.

Crosby wytarł nos serwetką. Wyjął z kieszeni nową paczkę papierosów i nadusił sztywne, tekturowe pudełeczko, położywszy je na stole. Podniósł paczkę i z lubością powąchał znajdujący się wewnątrz tytoń. Brent z niezadowoleniem uniósł brew. Jego przyjaciel schował więc camele z powrotem do kieszonki.

- Była jakaś wiadomość od tej dziewczyny? - zapytał Hillard.

Dyrektor CIA milczał przez moment, po czym odpowiedział:

- Najwyraźniej wszystko w porządku. Jest w ośrodku. Starają się ją przygotować. Ale nie wiem...

Zamilkł, patrząc na przeciwległą ścianę. Jego twarz przybrała wyraz desperacji, niemal smutku. Głębokie rysy złagodniały.

- Prosimy ją o okropną rzecz - mruknął. - To znaczy, przecież ona jest cywilem. W dodatku, to taka młodziutka dziewczyna. Nie ma sposobu, by dać jej do zrozumienia, jak straszliwe niebezpieczeństwo jej grozi. I będzie zdana wyłącznie na siebie. Według mnie to szaleństwo. To niemoralne. A może nawet nielegalne.

Zapadła cisza. Po długiej chwili, Brent odpowiedział:

- Rozumiem cię. Moja córka jest prawie w tym samym wieku. Wpadła tu wczoraj wieczorem. Pokręciła się trochę, razem z moją żoną. Przyglądałem im się, jak rozmawiają, rozmyślałem o naszym planie i pytałem ciągle sam siebie, czy postępujemy słusznie. I wiesz co? Kiedy kładłem się spać, ciągle nie znalazłem odpowiedzi na to pytanie. Dzisiaj rano obudziłem się z tym samym problemem. ...I to jeszcze nie wszystko - ciągnął. - Czuję, że coś jest nie w porządku.

Coś nam umknęło. Jakiś ważny czynnik, z którego jeszcze nie zdajemy sobie sprawy. To, co się dzieje nie pasuje do tego, co znamy z przeszłości. Niepokoję się, że idziemy w złym kierunku. Mówię ci, Michael, nie wiemy czegoś ważnego. Błądzimy we mgle i będziemy błędzić, dopóki nie dowiemy się, o co chodzi.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami. Crosby nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, nie zgadzał się z przyjacielem. Uważał, że wszystko jest jasne. Poprawił się na kanapie, a prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa spuścił oczy.

- Coś się tam dzieje - odezwał się półgłosem, niemal sam do siebie. - Jestem pewien.

- W całym rozwoju wypadków brak logiki. To po prostu bez sensu.

Dyrektor CIA odczekał chwilę. W końcu, Brent podniósł wzrok. Minęła chwila ciszy. Crosby, chcąc dojść do jakiegoś wniosku, spytał:

- To co robimy?

- Nie wiem - mruknął Hillard. - Najlepiej pogadajmy z szefem.

## Biały Dom, Waszyngton, USA

- Niech to diabli, odrażające!... - mrukną prezydent. Podniósł jedno ze zdjęć przedstawiające ludzkie ciało we wczesnym stadium rozkładu, leżące na gruntowej drodze. Rozległo się ciche pukanie do drzwi łączących Gabinet Ovalny z biurem szefa prezydenckiego gabinetu. Brooks zignorował interesanta. Zapukano po raz drugi, nieco głośniej. Prezydent nawet nie drgnął. Przystano pukać. Andrew Brooks odłożył fotografię i popatrzył na swoich doradców. Usiłował wyładować złość, odzywając się ostrym, władczym głosem:

- Mam ochotę zapytać was o coś: czy jest na ziemi jakikolwiek człowiek, któremu poświęciliśmy w ciągu ostatnich dziesięciu lat więcej uwagi niż Saddamowi Husajnowi? Nie, nie ma kogoś takiego. To nie Jelcyn, Kim Jong II, ani stary Deng. Żaden z nich. Połowa naszych Sił Powietrznych lata nad Irakiem. Trzecia część naszej Marynarki pocila się przez całe lata w Zatoce Perskiej. No i po co to wszystko? Żeby wiedzieć, co robi Husajn. Żeby wiedzieć, co myśli. Dużo się od niego nauczyliśmy. Znamy go naprawdę dobrze. Wiemy, w jaki sposób postępuje. I mimo że jest prawdziwym lisem, mogę o nim powiedzieć jedno: nigdy, absolutnie nigdy nie działa bez powodu. Przygotowuje się więc do czegoś większego. Jestem pewien. Rozpoczął polowanie. To my mamy być jego ofiarą, panowie.

- Panie prezydencie - zaczął Hillard - jeśli nasza reakcja będzie zbyt gwałtowna, pogorszymy jedynie sprawę... Oczywiście, trzeba będzie w końcu odpowiedzieć na zamach na Air Force One. Ale atak na Kimisk to coś zupełnie innego. Nie jestem pewien, czy możemy łączyć jedno z drugim. Być może powody, dla których unicestwił tę wioskę w ogóle nie mają związku z nami. Może partyzanci wykorzystywali ją jednak jako swój obóz. To wyjaśniałoby atak. Możliwe także, że był to swego rodzaju wypadek. W każdym razie, wyciąganie od razu wniosku, że Husajn jest gotów rozpocząć wojnę biologiczną, może być po prostu nietrafne. ...Jak pan sam powiedział, panie prezydencie, znamy tego człowieka, i z pewnością możemy powiedzieć, że jego naczelnym celem jest i zawsze było własne przetrwanie i niepodzielne panowanie nad Irakiem. Dobrze wie, że zniszczylibyśmy go. Zdaje sobie sprawę, że frontalny atak na nas skończyłby się jego upadkiem. ...Proszę mieć na uwadze, że w pewnym sensie ten cały BILAB to nic nowego. Husajn posiadał broń masowej zagłady jeszcze przed wojną w Zatoce Perskiej. A mimo to nigdy nie zdecydował się jej użyć, poza kilkoma ograniczonymi atakami na Kurdów. ...Zatem sugerowałbym panu ostrożność, sir. Nie ma sensu dodatkowo wzmacniać napięcia. Pozwólmy, by sytuacja się uspokoiła. Przez ten czas dowiemy się więcej. I zobaczymy, co będzie dalej.

Prezydent popatrzył przyjacielowi prosto w oczy i powiedział:

- Nie, panie Hillard. Nie będę czekał i patrzył. Ogrom potencjalnej katastrofy jest na to zbyt wielki... Chcę, żebyśmy postawili w stan gotowości nasze jednostki w rejonie

Bliskiego Wschodu. Proszę przygotować mi skład sił interwencyjnych, które moglibyśmy tam wysłać i przekazać do mojej dyspozycji rozkazy wykonawcze. USS „Kennedy” ma, według planu, opuścić Zatokę Perską. Odwołajcie to. Niech tam zostanie i czuwa. Chcę także aby odbywało się więcej lotów zwiadowczych i przelotów satelitów szpiegowskich nad Irakiem. Muszę wiedzieć wszystko, nawet to, kiedy ta włochata mała wejdzie do łązienki. Nie chcę, żeby wykonał jakikolwiek ruch, który nie będzie mi z góry znany. ...I niech siły interwencyjne przygotowują się do przerwania. Tak, żeby na sygnał mogły natychmiast znaleźć się na miejscu i uderzyć. Zrozumiano? Nie lubię być czyjąś ofiarą.

17.

Nad rzeką Tygrys, północny Irak  
22.40 czasu miejscowego

Udaj Husajn jechał na miejsce spotkania małą kawalkadą samochodów. Siedzieli w nich najbardziej zaufani ludzie spośród jego osobistej straży. Pojazdy posuwały się powoli przez pustynię, z wyłączonymi reflektorami. Zbliżający się do pełni księżyc rozjaśniał piasek. Kierowcy dwóch samochodów osobowych i jednego ciężarowego właściwie mogliby zdjąć okulary do działań nocnych, które założyli.

Pojazdy przejechały przez otwartą na oścież bramę i zatrzymały się przed wielkim, drewnianym magazynem. Znajdowała się w nim już niecodzienna liczba wojskowych ciężarówek i osobowych mercedesów. Udaj rozejrzał się po wymarłym budynku. Opuścił szybę wozu i zaczął nasłuchiwać i węszyć. Odczekał całą minutę, aż wreszcie wysiadł nagle i kazał ochraniającym go ludziom zostać. Ruszył w stronę niemal niewidocznego, wybetonowanego otworu w podłodze.

Syn irackiego przywódcy szedł przez częściowo zniszczony magazyn. Wojsko przestało go używać, wówczas, gdy został uszkodzony w czasie wojny. W ciągu ostatnich paru lat Udaj korzystał jednak z niego wielokrotnie. Prowadził z tego miejsca swoją tajną kampanię przeciw Kurdom. Sporządzał tu plany, wraz z podległymi mu generałami, przesłuchiwał jeńców, spotykał się z kurdyjskimi szpiegami. Znał tu dobrze każdy kąt. Dziś jednak, zbliżając się do podziemnego bunkra po raz drugi w ciągu ostatnich trzech dni, wiedział, że ryzykuje. Jego ojciec uważnie go śledził. Mimo że Udaj sam wybrał ludzi, którzy tu z nim przyjechali, nigdy nie mógł być pewien, czy jeden z nich nie zda pełnej relacji Saddamowi.

Jednak sytuacja nagliła. Udaj musiał działać. Bunkier zapewniał mu dyskrecję, o którą mu było tak trudno gdzie indziej.

Zszedł po betonowych schodkach i wkroczył do bunkra. Członkowie jego sztabu stali wyprężeni na baczność wokół drewnianego stołu. Udaj darował sobie formalności i kazał im siadać. Sześciu mężczyzn zajęło miejsca, pozostając w sztywnej, wyprostowanej postawie.

- Bracia - zaczął Udaj, celowo wybierając to określenie, zamiast posłużyć się tradycyjnym *rafeek*, „towarzysz”. - Nadszedł nasz czas. Dziś będę z wami szczerzy. Powiem, co zamierzam zrobić.

Skinął głową na brodatego generała, który natychmiast wstał i otworzył znajdujące się w tylnej ścianie bunkra niewielkie drzwi, a następnie wydał krótki rozkaz.

Rashid Abdul-Mohammad niepewnie wyszedł z drugiego pomieszczenia. Był ogolony; miał na sobie nowy garnitur i piękne, skórzane buty. Jego włosy ostrzyżono starannie, w tradycyjny sposób, zadbane także o dłonie, usta błyszcząły mu i pachniał drogą wodą kolońską. Dawny więzień popatrzył na Udaj Husajna i zgiął się w głębokim ukłonie, a potem spojrzął na ścianę, kilkanaście centymetrów nad głową syna prezydenta Iraku.

- Przyznaj, Abdul-Mohammadzie - odezwał się Udaj - komu zawdzięczasz życie?

Rashid skłonił się po raz drugi.

- Tobie, o wielki *Sayid*.

- Kto udzielił ci łaski?

- Ty, mój *Sayid*.

- Znasz swoje zadanie, prawda?

Zapytany skłonił głowę.

- Wiesz, co się z tobą stanie, jeśli ci się nie powiedzie?

Rashid spuścił oczy.

- Umrę, panie. I moja rodzina także.

- Przyznaj, Abdul-Mohammadzie, gdzie są w tej chwili twoi najbliżsi.

Więzień wziął głęboki oddech i odparł:

- Są w twoich rękach, o *Rais*. Moja żona i czwórka dzieci.

- Jeśli nie wykonasz tego prostego zadania, które ci zleciłem, co wtedy zrobię z twoimi dziećmi?

Drobny mężczyzna spuścił głowę po raz drugi.

- Spalisz ich, mój *Rais*. Obedrzesz ich żywcem ze skóry i spalisz. A potem rzucisz szczątki psom.

Udaj uśmiechnął się okrutnie i przytaknął.

- Kocham moje psy; wiesz o tym, prawda? Przyznaj.

- Tak, *Rais*. Wiem, że je kochasz.

- Nie zawiedziesz mnie zatem. Czy mogę być tego pewny?

Więzień żywo przytaknął.

- Ależ tak, panie. Z pewnością cię nie zawiodę. Ciebie ani mojej rodziny. Poprosiłeś mnie o prostą rzecz. Zrobię ją.

- Powiedz, Abdul-Mohammadzie, jeśli zdarzy się, że zostaniesz zatrzymany albo amerykańska policja zacznie się wypytywać lub jeśli się zdarzy, że bezpieczeństwo twojej misji będzie zagrożone, co wtedy zrobisz?

Więzień popatrzył na ścianę.

- Założono mi na zębie koronkę wypełnioną skoncentrowanym roztworem cyjanku - zaczął wyjaśniać. - Jeżeli okaże się, że moja misja się nie powiodła, rozgryzę ampułkę i

poślę moją duszę do Allaha. Jeśli umrę jako męczennik, mam zagwarantowane szczęście w Jego raju, a moja rodzina nie zginie.

- Zgadza się- oznajmił Udaj.

Więzień skłonił się i wycofał do drugiego pomieszczenia.

Syn prezydenta wstał i zwrócił się do swoich generałów:

- Skazaniec, Abdul-Mohammad, wyleci jeszcze tej nocy do Nowego Jorku. Ma amerykańską więź. Wystarczająco dobrze zna angielski. Był już kilkakrotnie w Stanach Zjednoczonych. Łatwo mu będzie dostać się tam po raz kolejny. ...Po wylądowaniu w Nowym Jorku pojedzie samochodem do amerykańskiej stolicy. Kiedy zamelduje się w motelu, znajdzie tam przesyłkę. Szybko rozmieści jej zawartość. Opuści USA jeszcze zanim zbiorniki zostaną użyte.

Udaj skinął głową na brodacza, który był szefem sztabu. Ten wstał i zaczął objaśniać dalej:

- Dwa dni temu amerykańska prasa obwieściła, że uroczystości pogrzebowe byłego prezydenta i wiceprezydenta odbędą się jednocześnie, w Katedrze Narodowej w Waszyngtonie. Ponieważ chcą dać zagranicznym prezydentom oraz innym dygnitarzom czas na przybycie i ponieważ... - generał zawahał się na moment, po czym uśmiechnął się i dokończył: - ponieważ sekcja zwłok i badanie przyczyn katastrofy zajęło kilka dni, nabożeństwo odbędzie się dopiero we środę. Za cztery dni. Allah okazał się łaskawy i dał nam dość czasu... Nie powinno was zdziwić, panowie, że w pogrzebie wezmą udział praktycznie wszyscy znaczący funkcjonariusze amerykańskiego państwa. Kongresmani, cały skład sądu najwyższego, najważniejsi dowódcy wojskowi i członkowie administracji rządowej. Wszyscy będą stłoczeni w katedrze, na niewielkiej przestrzeni. Oczywiście, nie zabraknie prezydenta; ma wygłosić przemówienie. Zdarza nam się nie lada okazja, by zabić ich wszystkich za jednym zamachem. - Generał zrobił pauzę, po czym zwrócił się do młodego Husajna z podziwem w głosie:

- Twój plan, *Rais*, jest błyskotliwy. I był od samego początku. Zabicie Busha i wiceprezydenta i stworzenie przez to okazji do zgromadzenia ich wszystkich razem, żebyśmy mogli pozbawić życia całą resztę... Twoja strategia jest olśniewająca, jak słońce w samo południe. Kiedy uderzymy, skutek będzie zagwarantowany. Jednym śmiałym ruchem zlikwidujemy całe gniazdo węży. Jeśli Bóg zesłał nam kiedykolwiek kogoś, kto potrafi nas prowadzić, to jego rękę z pewnością znać właśnie w twoich planach.

Udaj patrzył tylko bez słowa.

Brodaty generał popatrzył znowu na innych i kontynuował:

- W tym samym czasie, kiedy zostanie przeprowadzony atak na przywódców Stanów Zjednoczonych, uderzymy także na inne cele w mieście. Jednocześnie wypuścimy wirusa na skoncentrowane siły amerykańskie w bazie lotniczej Prince Sultan, w Arabii Saudyjskiej. Jak wiecie, bracia, od czasu zbombardowania Wież Khobar, Amerykanie zgromadzili swoje wojska w tym jednym miejscu, na pustyni, niedaleko miasta Al Kharj. Otoczenie płotem wszystkich oddziałów na tak małej przestrzeni to doprawdy zdumiewająca głupota. Ułatwi nam to zadanie; i znowu, widzę w tym wolę Allaha. Podał nam nieprzyjaciela, jak na półmisku.

Generał skłonił się nieznacznie w stronę Udaja i usiadł. Wszyscy w skupieniu patrzyli na Husajna. Ten, wsłuchiwał się chwilę w ciszę, próbując wyłować ich oddechy. Przyjrzał się uważnie twarzom generałów, a następnie wstał i oznajmił:

- Czas już nadchodzi, bracia. Jest bardzo blisko. Już od pokolenia Amerykanie dyktują nam warunki, powodując opłakane skutki. Od zakończenia wojny zatrują swoją obecnością nasz kraj, niczym gnijące ryby. I po co? Po to, żeby mieli wymówkę dla osadzania na świętej ziemi niewiernych, którzy zapewnią im tanie paliwo i korzystne interesy. I po to, żeby mogli zarabiać na nieustannej sprzedaży broni naszym wrogom. ...Od niepamiętnych lat błagaliśmy ich o zaprzestanie sankcji, które spowodowały śmierć tylu naszych dzieci. Błagaliśmy ich, żeby pozwolili nam sprzedawać ropę, nasze jedyne bogactwo. Tak długo już trzymają nam stopę na gardle, a my pytaliśmy tylko, kiedy to się wreszcie skończy. Odwoływaliśmy się do ich poczucia człowieczeństwa. Żebraliśmy o uwolnienie, jednak nasze wołania odbijały się tylko od niesłyszających uszu. A tymczasem nasze dzieci, jak umierały, tak umierają... Teraz jednak możemy wreszcie działać. A to kładzie na nas obowiązek działania. Jest on zarazem wołą Allaha. ...Wirus zostanie wypuszczony w Katedrze Narodowej, w Waszyngtonie. Nie minie dzień, a przywódcy Stanów Zjednoczonych będą martwi. Jednocześnie zaatakujemy inne miejsca w ich stolicy oraz ich wojska, stacjonujące w naszym rejonie świata. Pod koniec tygodnia pozbawimy wielki naród niewiernych głowy, serca i jakiegokolwiek siły. Wtedy to odrodzi się islam.

Grupka mężczyzn zaczęła z podnieceniem wymieniać radosne uwagi. Ich oczy błyszczały zapałem. Spoglądali na siebie z nerwowymi uśmiechami. Tylko minister bezpieczeństwa państwowego wiercił się niespokojnie na krześle. Patrzył w stół, aż wreszcie spojrzął na Udaja, z zaniepokojonym wyrazem mądrej twarzy. Husajn nachylił się, jakby zapraszał go do zabrania głosu. Minister skłonił więc głowę i zaczął cicho, pełnym czci głosem:

- Mój *Rais*, a co z ciałami zmarłych w Kimisk? Czy myślisz, że Amerykanie ich nie widzieli? Mają satelity i samoloty zwiadowcze, więc chyba wiedzą wszystko.

Udaj przyjrzał się z pogardą ministrowi i odparł krótko:

- Ciałami zajmują się akurat tej nocy. Zbierają je, właśnie teraz. Wprawdzie musiałem poczekać parę dni aż ostygną, jednak nie wierzę, że Amerykanie się dowiedzą. Kimisk to oddalona wioska i leży w rejonie, w którym nie mają czym się interesować.

- A twój ojciec, panie? - zapytał z wielkim wahaniem minister. - Czy on wie? Czy aprobuję twój plan?

Udaj zmrugał oczy, tak, że stały się podobne do oczu węża. Jego twarz napięła się, jak gdyby zebrał w sobie jakąś tajemną moc.

- Wie - syknął. - Mój ojciec wie wszystko. W końcu, to mój *Rais*. Mój przywódca, ojciec, i prezydent Iraku. Wie, co robię, i możecie być pewni, że to on dowodzi. ...A teraz idźcie wydawać swoje rozkazy. Ale zapamiętajcie jedno: nie myślcie teraz o moim ojcu.

Świtało. Udaj Husajn schował się za niewielką skałą i podniósł do oczu lornetkę. Widział wydobywający się ze środka wielkiej dziury dym, czarny i oleisty, zawieszony nisko w suchym, pustynnym powietrzu. Beczki oleju napędowego zostały ustawione wokół ścian wykopanego w piasku dołu. Podczas gdy patrzył, żołnierze rozcinali z boków plastikowe beczki i wtaczali je do otworu, dodając paliwa do ognia.

Syn irackiego dyktatora obserwował całą scenę z bezpiecznej odległości jakichś dwóch kilometrów. Ciała zostały ściągnięte z ciężarówek o otwartych platformach i poukładane na stosach. Trzy olbrzymie buldożery zaczęły spychać je ku płomieniom. Bezładne korpusy toczyły się po piasku, a potem natychmiast pożerał je ogień.

Udaj patrzył, uśmiechając się pod nosem. Zachichotał nawet. Nie wiedział dlaczego, ale widok wywołał w nim wrażenie nieokreślonego komizmu. Ciała turlały się do dołu, jedne po drugich; ręce i nogi wymachiwały sztywno. Groteskowe - myślał - ale i w absurdalny sposób zabawne.

To kundle, ci Kurdowie - przyszło mu do głowy - nawet po śmierci nie mają żadnej godności.

Młody generał przyglądał się jeszcze przez kilka minut. Płomienie zdawały się wznościć wyżej, kiedy buldożery wepchnęły już do dołu większość z dwustu osiemdziesięciu pięciu ciał. Nagle powiew zmienił kierunek, przesuwając smrodliwy dym w stronę Husajna. Udaj poczuł niemiły zapach, uśmiechnął się po raz drugi, odwrócił się i odszedł do czekającego samochodu.

Kiedy brnął przez piasek, nie mógł odpędzić od siebie myśli: A jeśli Amerykanie wiedzą? Co wtedy zrobią? Jeśli czegoś się dowiedzieli?

Gdy Udaj zbliżył się do swojego mercedesa, ochroniarze otoczyli go kołem. Zmieniali kierunek, przyspieszali lub zwalniali tak jak on, cały czas obserwując otoczenie. Czarne lufy karabinów połyskiwały pod ramionami w bladym jeszcze świetle poranka.

Grupa mężczyzn posuwała się przed siebie jak jeden mąż, lecz jeden z nich się ociągał. Raz po raz oglądał się na ognisty dół. W jego oczach malował się przesywający, niczym promienie wschodzącego słońca, ból. Nie płakał, jednak jego oczy zaszyły mgłą, a głowa opadała na piersi. Był to ból ojca, który przyglądał się, jak zawała się jego świat.

Dzięki temu jednemu człowiekowi - samotnemu, irackiemu żołnierzowi, osobistemu ochroniarzowi Udaja Husajna - przez jego ból, i złamane serce, zrodzi się działanie, które odwróci losy świata.



# Część druga

*Wojna jest instrumentem polityki międzynarodowej.  
Zwycięstwa w wojnie nie mierzy się liczbą zadanych ofiar,  
wygranych bądź przegranych bitew,  
czy wielkością okupowanego terytorium,  
ale tym, czy zostały osiągnięte planowane cele polityczne,*

doktryna Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych  
Dokument 1 (wrzesień 1997)

*Mężczyzna, który ma syna, posiada największy w życiu skarb.*

William Shakespeare

Pustynia w środkowej części Nevady, USA  
Dzień szósty (niedziela), 03.36 czasu miejscowego

Charliego McKaya obudziło łagodne szarpnięcie za ramię. Jego łóżko było oświetlone jedynie poświatą wpadającą z korytarza. Pułkownik Wisner szarpnął po raz drugi i Charlie odwrócił się ku niemu.

- Kapitanie McKay, proszę stawić się w głównej sali odpraw.

Pilot spojrzał na zegarek. Spał niecałe cztery godziny. Przetarł oczy, próbując odegnać sen.

- O co chodzi, sir? Co się stało? - spytał.

- Ubieraj się, Charlie - polecił pułkownik. - Za dwadzieścia pięć minut mamy odprawę. Przyjechał gość z Waszyngtonu w niezbyt dobrym humorze.

McKay usiadł na łóżku i przesunął dłonią po włosach, które, jak zwykle, sterczały mu na czubku głowy. Wisner upewnił się, że kapitan się rozbudził, a następnie ruszył ku drzwiom, ze słowami:

- Obudzę kapitana Bennetta. Niech pan się ubiera. Proszę przyjść do głównej sali odpraw o czwartej

Charlie, skinął głową, ziewając i zamarł w półśnie na krawędzi łóżka.

Wisner zapalił światło.

- Wstawaj, McKay - powiedział. - To nie jest ktoś, kto będzie na pana czekał. Proszę wziąć prysznic, zrobić kawy, wrzucić lodu za slipy - wszystko jedno, byle tylko był pan w pełni świadomy. I niech pan zdąży za dwadzieścia pięć minut do sali odpraw.

Dwadzieścia minut później Charlie, ogolony i ubrany w kombinezon lotniczy wkroczył do sali odpraw i usiadł na jednym z krzeseł otaczających wielki, dębowy stół. Dwie minuty po nim w sali pojawił się Bennett.

- Cześć - mruknął, siadając koło przyjaciela.

McKay skinął głową, nie uśmiechając się nawet.

- No i gdzie Wisner? - zagadnął „Zabójca”, rozglądając się po pomieszczeniu. - Co my tu robimy o... - spojrzał na zegarek - piernicze: trzeciej pięćdziesiąt sześć nad raniem?...

- Nie wiem, stary. Może pułkownik ma dzisiaj złą noc.

Alex przeciągnął się i ziewnął. Akurat w tym momencie wszedł Wisner, kierując się ku szczytowi stołu.

- Dzień dobry, chłopcy - powitał lotników. - Wiem, która jest godzina i przepraszam was za to. Zaczynamy dzisiaj tak wcześnie, a będziemy pracować do późna. Po prostu zdarzył się jeden z tych dni. Jednak najpierw spotkacie się z kimś, kto do was przyleciał...

- Pułkownik przerwał i popatrzył na drzwi. McKay odwrócił głowę i zobaczył młodego porucznika. Ten skinął głową, na co Wisner przyjął postawę zasadniczą.

- Panowie - oznajmił - przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów!

Do sali wszedł mężczyzna w mundurze generała armii, w towarzystwie młodego adiutanta i dwóch pułkowników. Charlie zerwał się z krzesła z takim zapałem, że omal się nie przewrócił, usiłując stanąć na baczność. Rzucił szybkie spojrzenie „Zabójcy”, który stał już prosto jak struna.

Generał Beck podszedł do pulpitu. Pułkownik Wisner odwrócił się ku niemu, zsalutował sprężysto i powiedział:

- Dzień dobry, panie generale. Oto oficerowie, których wybrałem, sir.

Głównodowodzący amerykańskich sił zbrojnych popatrzył McKayowi i Bennettowi prosto w oczy.

- Bardzo dobrze, Danny - odezwał się poufale. - Siadaj. - Pułkownik skłonił głowę i zrobił krok w stronę jednego z krzeseł otaczających szczyt stołu; pozostał jednak na stojąco.

Beck stanął na środku sali, zakładając ręce za plecami. Patrzył poważnym wzrokiem. Przyglądał się dwóm kapitanom, którzy cały czas prężyli się na baczność. Nie słychać było najmniejszego dźwięku. Generał odchrząknął i powiedział spokojnym, jednak władczym głosem:

- Siadajcie, proszę.

Oficerowie zajęli miejsca. Charlie popatrzył teraz na przyjaciela, który odpowiedział mu pełnym zdumienia spojrzeniem. Przez plecy McKaya przeszedł dreszcz. Poczul ścisk w żołądku; ręce zaczęły mu się pocić. Zdał sobie sprawę, jak ważna misja musiała ich czekać.

Generał Beck założył ręce na piersi i zaczął:

- Kapitanie McKay, kapitanie Bennett, pan pułkownik Wisner powiedział, że jest wcześnie. Myślę, że to subiektywna ocena i wszystko zależy od tego, co się robiło przez ostatnie cztery czy pięć godzin. Dla was jest wcześnie, ale dla niektórych z nas - późno. Tak czy owak, możecie być pewni, że nie przyleciałem do was o tej porze po to, żeby spotkanie wypadło bardziej dramatycznie. Po prostu przedtem nie miałem czasu, a rano muszę być już z powrotem w Waszyngtonie. Chciałem jednak sam z wami porozmawiać i wprowadzić was w sytuację.

Generał przerwał i jeszcze raz zlustrował uważnie dwóch lotników. Zerknął na jednego ze swoich pułkowników, zebrał myśli i kontynuował:

- Jak oczywiście wiecie, cztery dni temu miała miejsce katastrofa Air Force One, wiozącego byłego prezydenta Busha i wiceprezydenta. Media podają, że nadal nie

określiliśmy przyczyny zdarzenia. To nieprawda. Znamy przyczynę. Wiemy, że znajdujących się na pokładzie ludzi zabito i wiemy także, kto jest zabójcą. Gdyby to była najważniejsza rzecz, jaką miałbym wam do powiedzenia, nie stałbym tu w tej chwili. Jednak niestety sytuacja jest o wiele gorsza.

Generał opowiadał o wszystkim przez ponad godzinę. McKay i Bennett siedzieli w milczeniu, podczas gdy Beck pokazywał im na slajdach zdjęcia z Kimisk. Na własne oczy zobaczyli spustoszenie dokonane przez Husajna w wiosce. Pokazał im także fotografie martwych izraelskich komandosów. Pod grubymi szybami masek ich kombinezonów widać było sączącą się z nosów krew. Dwaj lotnicy przeczytali również raport z laboratorium. Po raz pierwszy w życiu usłyszeli o BILAB 22. Zobaczyli krótki film przedstawiający zamkniętego w klatce szczura, który szalał po niej, objając się o ściany i pożerał kawałki własnego ciała.

Widzieli także drugi dokument, o tym, jak zakazane komary użądliły parę małp, a następnie, małpy zdechły jeszcze tego samego dnia.

- Sami panowie widzicie - podsumował Beck. - Nie trzeba być wielkim filozofem, żeby wywnioskować, że on chce użyć tej broni. Przeprowadzony w wiosce test nie był zwykłym szaleństwem. Husajn chciał wiedzieć jak zadziała wirus. I udowodnił nam już, że nie boi się go zastosować. Sęk w tym, że nie wiemy gdzie ani kiedy. Może w przyszłym tygodniu, może w przyszłym miesiącu, a może dopiero za parę lat. Ale to nie ma znaczenia, bo nie będziemy na to czekać... Prezydent polecił nam zniszczyć laboratorium biologiczne, w którym został wyprodukowany wirus. Użyjemy do tego wszelkich dostępnych środków. Już byśmy to zrobili, gdyby nie jedna rzecz. Widzicie, jeszcze nie wiemy...

- Gdzie ono jest - przerwał Charlie.

Davis Beck przyjrzał się młodemu oficerowi tylko przez krótką chwilę, po czym powoli pokiwał głową.

- Rzeczywiście, ma pan rację. Nie wiemy, gdzie jest to laboratorium. Dlatego właśnie dzisiaj przed wami stoję. ...Na całym świecie są może ze trzy osoby - poza jego pracownikami, oczywiście - które wiedzą, gdzie się ono znajduje. Jednym z nich jest Udaj Husajn. I właśnie on będzie waszym celem. Wy i reszta waszej drużyny polecicie do Iraku i sprowadzicie tu syna „Rzeźnika”, żywego. Porwiecie go z terenu jego własnego kraju i przekazecie w nasze ręce. My zajmiemy się resztą. Po kilku godzinach spędzonych przez niego z naszymi lekarzami będziemy już wiedzieć, gdzie jest laboratorium.

- Przepraszam bardzo, sir - odezwał się Charlie, przetarłszy dłonią oczy - nie chcę okazać braku szacunku, ale - czy pan kompletnie zwariował?

„Zabójca” kopnął go w kostkę. McKay zaczerwienił się i mruknął:

- Przepraszam sir, źle dobrałem słowa. Ale chodzi mi o to, czy pan, to znaczy. .. - Popatrzył z przerażeniem na Bennetta, który wcale nie zbierał się, żeby ratować przyjaciela. Charlie próbował więc ratować się sam i ciągnął:

- Mam na myśli, sir, że jesteśmy pilotami myśliwskimi, a nie Navy Seals ani Delta Force. Jeżeli mamy zabić tego Husajna, to w porządku. Mamy zrobić nalot i rozwalić mu łeb - świetnie. Zamienimy każdy pałac prezydencki w kupę połamanych cegieł... No ale,

sir, coś takiego? Jak mamy go złapać i sprowadzić tutaj. Przepraszam, panie generale, ale chyba nie rozumiałem.

Generał popatrzył na Wisnera, po czym podszedł do stołu, spoglądając z góry na młodego pilota. Popatrzył na niego i uniósł potężne ramiona, opierając dłonie na biodrach.

- Kapitanie McKay, trzeba było mi pozwolić wszystko wyjaśnić - powiedział tylko. - Kiedy da mi pan szansę, myślę, że się pan zgodzi. - Widzi pan, wymyśliliśmy plan misji. - Davis Beck odchrząknął i zaczął przedstawiać plan. Po dwudziestu minutach Charlie kręcił tylko głową.

- Ale super akcja!... - cieszył się. „Zabójca” pokiwał skwapliwie głową na znak, że jest tego samego zdania. - I ta drużyna już jest na miejscu? - upewnił się McKay, z podziwem w głosie. - W tajnym obozie, ukrytym w południowym Iraku?

Beck przytaknął.

- CIA prowadzi stamtąd tajne operacje od dwóch czy trzech lat - wyjaśnił. - Absolutnie nikt o tym nie wie. Nawet sekretarz Sił Powietrznych, nawet mój własny sztab. Obóz nazywa się Cobra Camp i stamtąd będą startować śmigłowce. Delta Force wylądowała tam kilka godzin temu.

Charliemu aż mąciło się w głowie. Plan był śmiały i niebezpieczny. Nagle kapitan znalazł się w zupełnie nowej sytuacji, która bardzo mu się podobała. Z niecierpliwością oczekiwał akcji. Był gotowy. Zerknął na Alexa, który czegoś nie rozumiał.

- Ale dlaczego Udaj? - chciał się dowiedzieć Bennett. - Dlaczego wysyłacie nas po syna Saddama? To znaczy, to nie jest jakiś Beduin na pustyni. Jest głównodowodzącym sił zbrojnych Iraku i połowa Bliskiego Wschodu chciałaby go zabić. Izraelczycy, Iran, z pół miliona Kurdów - każdy z nich dałby wszystko, żeby go załatwić. Nie mówiąc już o zagrożeniu wewnętrznym, ze strony jego rywali, od których wszędzie aż się roi. Nic dziwnego, że porusza się w nocy jak kot, sypia w podziemnych bunkrach, każe innym próbować swoje jedzenie, podróżuje w opancerzonych limuzynach, zawsze w konwoju. Nikt nie wie, gdzie Udaj Husajn przebywa ani gdzie zwykle mieszka. Na pewno znalazłby się ktoś, kogo łatwiej byłoby schwytać - może jeden z generałów - i kto mógłby udzielić nam potrzebnej informacji.

- Podnosi pan ważną kwestię, kapitanie Bennett - zgodził się Beck. - Niewątpliwie ma pan rację, że znacznie łatwiej byłoby porwać kogoś innego. I jest możliwe, że znałby on informację, której potrzebujemy. Jednak, jest to tylko możliwe - ale mało prawdopodobne. ...Moglibyśmy schwytać jednego z generałów Saddama. A może nawet dowódcę najbliższego mu sztabu sił bezpieczeństwa. Jednak nie mamy żadnych gwarancji, że taka osoba wie o dokładnym położeniu laboratorium. Jest bardzo prawdopodobne, że nie zostali o tym poinformowani. Niech pan zda sobie sprawę, kapitanie, że nie mówimy o wielkiej fabryce zbrojeniowej. To może być obiekt wielkości sali gimnastycznej, zakopany pod ziemią o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych. Laboratorium biologiczne znacznie łatwiej ukryć niż, na przykład, ośrodek badań jądrowych. Łatwiej też wszystko

utajnić - nie trzeba sprowadzać z daleka materiałów rozszczepialnych, nie ma żadnego promieniowania czy czegokolwiek, co można by wykryć. Biorąc pod uwagę stosowane przez nich procedury bezpieczeństwa z pewnością ograniczyli informację do niewielkiego grona osób. ...Nie zapominajmy, że mamy do czynienia z Saddamem Husajnem. Ten człowiek ufa tylko swojemu synowi, nikomu więcej. Za dużo razy sparzył się na innych, którzy go zdradzili. Dlatego właśnie mianował Udaja naczelnym dowódcą sił zbrojnych. W sytuacji permanentnej groźby puczu i niemal corocznych dezercji wysokich funkcjonariuszy, bez wątplenia ukrywa przed wszystkimi miejsce, gdzie realizuje swój najtajniejszy program. W tej chwili uważamy położenie tego laboratorium za najpilniej strzeżoną tajemnicę świata.... Mamy szansę spróbować tylko raz, dlatego musimy być pewni, że schwytamy właściwego człowieka. Aby zniszczyć laboratorium, musimy wiedzieć dokładnie, gdzie ono się znajduje. Jestem szczerze przekonany, że na świecie istnieje tylko dwóch ludzi, którzy mogą udzielić nam tej informacji.

- Ale dlaczego po prostu nie rozwalimy mu łba? - zaproponował Charlie. - To byłoby logiczne. Wiadomo, że zrobił zamach na Air Force One. To nas usprawiedliwia. Możemy zamienić Bagdad w jedno wielkie pogorzeliisko!

- Nie, kapitanie - wtrącił pułkownik Wisner. - Nie chcemy ostrzegać Saddama Husajna. Gdybyśmy zamierzali go teraz ukarać, zanim zlokalizujemy i całkowicie zniszczymy laboratorium biologiczne, użyje wirusa. Od razu, kiedy tylko się zorientuje, że planujemy atak. Niech pan pamięta, McKay, że zniszczenie nawet całego Iraku nikogo tu nie ucieszy, jeśli spowoduje rozprzestrzenienie epidemii na terenie Stanów Zjednoczonych. Jeżeli uda im się wypuścić tu wirusa, to przegraliśmy, niezależnie od tego, co stanie się z Irakiem. Sprawa jest prosta. ...Musimy więc udawać, że nie wiemy, co się dzieje. Mediom przekazujemy informacje, że ciągle nie znamy przyczyn katastrofy. Mamy nadzieję, że to pozwoli nam wystarczająco zyskać na czasie. Jeśli będziemy mieli chociaż parę dni, zdążymy wykonać misję i sprowadzić Udaja, wtedy może uda nam się zmienić bieg wydarzeń.

- Nie wiem... - mruknął Charlie. - Moim zdaniem powinien pan rozwalić tego wariata. Jeżeli będzie trzeba, to nawet bronią atomową. Wystarczy zrobić nalot i...

Generał podniósł rękę, uciszając zawadiackiego oficera.

- Kapitanie McKay - powiedział sucho. - Sytuacja jest jasna. Zanim nie odnajdziemy i nie zniszczymy laboratorium, Husajn trzyma nas w szachu.

Charlie zagryzł usta i popatrzył na przyjaciela. Bennett siedział na krawędzi krzesła, cały spocony. Pułkownik Wisner sterczał w rogu stołu, szarpiąc się za podbródek. Jego niebieskie oczy błyszczały. Spojrzał na generała Becka. Przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów odszedł na środek sali.

- Panie generale - odezwał się cicho McKay. - Jak zidentyfikujemy cel? Skąd będziemy wiedzieli, że to on?

- Odpowiem szczerze, kapitanie, że jeszcze nad tym pracujemy - odparł Beck. Mamy jednak nadzieję, że pomoże nam pewna osoba. Kobieta, która zna Bagdad i może działać na terenie Iraku. Pozostaje tylko pytanie, czy zdołamy ją przygotować na czas.

- A ile mamy czasu, sir?

Generał popatrzył na oficerów, lustrując ich po raz kolejny.

- Wylatujecie jeszcze dzisiaj - powiedział. - Wieczorem przyleci tu transportowiec, który zabierze was do Arabii Saudyjskiej. Rozkaz wykonania misji wydamy dopiero jakiś czas po zakończeniu pogrzebu wiceprezydenta. Zanim to nastąpi, będziecie pozostawać w bazie Prince Sultan, koło Al Kharj.

## 19.

Pustynia w środkowej części Nevady, USA

22.05 czasu miejscowego

Charlie McKay i Al Bennett spędzili większą część dnia zamknięci na klucz w sali odpraw, otoczeni mapami, raportami wywiadu i kartami planu misji. Na przedniej ścianie sali wisiały ogromne zdjęcia satelitarne środkowego Iraku. Na drugiej ścianie umocowano powiększenie, przedstawiające Bagdad, na którym widać było pałac prezydencki, budynki państwowe, bazę wojskową, rezydencję rodziny Husajna. Obiekty te zakresłono czerwonym flamastrem. Na trzeciej ścianie wisiała wielka mapa Iraku, gdzie zaznaczono główne drogi, miasta, instalacje wojskowe, lotniska, pozycje wojsk. Niebieskie i pomarańczowe symbole, którymi usiana była mapa, informowały o położeniu baz myśliwców, stanowisk artylerii przeciwlotniczej i wyrzutni raketowych. Późnym popołudniem zakończono planowanie misji, a przynajmniej zrobiono wszystko, co się dało na podstawie skąpych informacji. Pozostawiono dopracowanie szczegółów na później, kiedy znajdą się już w Arabii Saudyjskiej.

Charlie odepchnął na bok papiery, czuł się piekielnie zmęczony. Pracował od trzeciej w nocy. Miał dość papierkowej roboty, za to był gotów zająć się czymś innym.

Transportowiec miał przylecieć dopiero o dziesiątej wieczorem, więc dwom lotnikom pozostało jeszcze kilka godzin. McKay spakował się, a potem poszedł do biblioteki podziemnej bazy. Był ubrany w workowate spodnie, wielką koszulkę z krótkimi rękawami i białe tenisówki bez skarpetek. Miał czas wolny. I włożył to, w czym czuł się najwygodniej.

W bibliotece, na wysokich, metalowych regałach stało pełno książek technicznych z różnych dziedzin. Nosiły tytuły w rodzaju: „Wpływ oporu indukowanego na prędkość”, czy też „Mobilność wojsk a współczesne pole walki”. Żadna z nich nie mogła nigdy zostać bestsellerem, jednakże zawartość księgozbioru odpowiadała potrzebom korzystających z niej czytelników.

Jak wszystko inne w „Jaskini Nietoperzy”, niemal opuszczona biblioteka błyszczała nowością. Jej wystrój był szczytem tego, co może oferować budynek zbudowany za pieniądze rządowe. Betonowe ściany zostały wyłożone szarym materiałem dźwiękoszczelnym; podłogę pokrywała gruba, niebieska wykładzina, właściwie wielki dywan.

Na ścianach wisiały obrazy i zdjęcia samolotów. Jarzeniówki jaskrawo oświetlały pomieszczenie; zegarowy wyłącznik zamieniał jasność w półmrok, kiedy na zewnątrz zachodziło niedocierające tu słońce. We wszystkich kątach stały ogromne paprocie i inne rośliny. W jednym miejscu umieszczono nawet okazały cyprys. Do jego ciemnoczerwonej donicy ściekała kąpiąca ze specjalnego sączka woda. Nad drzwiami wejściowymi zawieszono cyfrowy zegar pokazujący także datę.

Charlie znalazł jakiś stolik, na którym stał komputer, podłączył się do Internetu i zaczął czytać wiadomości.

Aria Cutter siedziała na krawędzi łóżka. Odłożyła stary magazyn na materac, podparła się z tyłu rękami, spojrzała na zegarek. Nudziło jej się, a jednocześnie była zdenerwowana. Miała dosyć wpatrywania się w ściany. Dwa dni wcześniej przewieziono ją śmigłowcem do podziemnej bazy. Od tego czasu siedziała ciągle w przydzielonym jej pokoju. Pilnujący jej agent CIA zachowywał się delikatnie, ale stanowczo. „Będzie lepiej, jeśli pani tu zostanie” - powiedział jej. „Większa część tego obiektu ma status ścisłej tajności specjalnego znaczenia. Nie chcemy, żeby znalazła się pani w kłopotach albo chodziła, gdzie nie powinna. Mogłaby pani nagle ocknąć się na podłodze, z pistoletem przyłożonym do skroni”.

„Zajrzę do pani, kiedy będę mógł”. Tak powiedział, na odchodnym.

Od tego czasu pilnujący Arii człowiek pojawiał się tylko po to, żeby przynieść jedzenie. Dokładnie o siódmej trzydzieści, w południe, oraz o siedemnastej. Był grzeczny, jednak zachowywał dystans. Było jasne, że uważa swój chwilowy przydział za przerwę w pełnieniu ważniejszych obowiązków. Aria bezskutecznie próbowała nawiązać z nim rozmowę podczas kilku jego wizyt, ale prawie się do niej nie odzywał.

Aria niezbyt lubiła oglądać telewizję. Czuła się naprawdę znudzona, sfrustrowana i miała ochotę wydostać się z tego tajemniczego obiektu, a przynajmniej z pokoju. Zapas jej cierpliwości właśnie się wyczerpał. Wstała i ruszyła w stronę drzwi.

Charlie nie zauważył, jak wchodziła do biblioteki. Stała przez chwilę, czekając aż ktoś podejdzie, żeby ją obsłużyć, a potem zobaczyła tabliczkę z napisem:

Biblioteka samoobsługowa  
Proszę odkładać książki na miejsce,  
zgodnie z systemem sygnatur

Rozejrzała się, zobaczyła Charliego, przyjrzała się tyłowi jego głowy, po czym podeszła do niego, zdeterminowana i odezwała się:

- Przepraszam...

Pilot podniósł głowę. Popatrzył na jej twarz, zobaczył oczy dziewczyny i serce stanęło mu na moment, a potem zaczęło walić jak młotem. Poczuł, że nagle zaschło mu w ustach. Chciał coś powiedzieć, ale słowa wcale się nie układały.



Stała nad nim najpiękniejsza dziewczyna, jaką widział w życiu. Włosy miała związane na plecach. Od osadzonych w ciemnej twarzy ogromnych oczu odbijało się światło jarzeniówek. Miała na sobie polowy mundur, wiszący na jej smukłym ciele jak worek. Była wysoka... po prostu idealna. Najwspanialsza dziewczyna na świecie. Nie poruszała się, tylko założyła ręce. McKay zerwał się z krzesła i zająknawszy się, spytał:

- Mogę pani w czymś pomóc?...

- Zastanawiałam się... - dziewczyna uśmiechnęła się, widząc reakcję młodego człowieka. - Jestem tu nowa i miałam nadzieję, że uda mi się znaleźć coś do czytania. Wprawdzie ubrano mnie w ten sposób - zerknęła na swój mundur - ale jestem cywilem. Dlatego zastanawiałam się, czy wolno mi tu zostać. Powiedziano mi, żebym nie chodziła po ośrodku. Ale nudzi mi się, więc trafiłam tutaj. Jak pan myśli, mogę tu posiedzieć?

- Na pewno. To nikomu nie będzie przeszkadzać. Proszę zostać tak długo, jak pani zechce. Poręczę za panią, gdyby ktoś miał pretensje. - Kapitan wyciągnął rękę. - Jestem Charlie McKay.

Aria potrząsnęła jego dłonią.

- Cześć. Nazywam się Aria Cutter.

Charlie uśmiechnął się po raz kolejny i pokazał jej krzesło.

- Chcesz usiąść? - zagadnął.

Aria rozejrzała się po sali, w której w tej chwili nie było nikogo oprócz nich dwojga.

- Chyba będę musiała - odparła. - Nie widzę tu żadnego innego miejsca do siedzenia.

McKay roześmiał się. Usiedli przy stoliku. Aria założyła nogę na nogę, zlustrowała nowego znajomego i spytała:

- Czym się zajmujesz?

- Jestem pilotem. Latam na F-15.

- Coś ty, poważnie? To musi być ekscytujące. - Dziewczyna wydawała się szczerze zaintrygowana. McKay skinął głową, jednak w tej chwili nie miał wcale ochoty myśleć o lataniu. Gapił się na siedzącą przy nim piękność. Chciał rozmawiać o niej. Musiała być najbardziej fascynującą osobą na świecie. Zastanowił się chwilę, jednak był pod takim wrażeniem, że nie przychodziło mu do głowy nic sensownego. Minęła chwila niezręcznego milczenia, po czym kapitan odezwał się w końcu:

- W „Jaskini Nietoperzy” nie ma zbyt wielu cywilów. Co tu robisz?

Panna Cutter odwróciła wzrok i spuściła oczy.

- To trudne pytanie... - odpowiedziała.

Charlie wiedział, że nie powinien dążyć dalej. W takim miejscu jak „Jaskinia Nietoperzy” o pewnych sprawach lepiej było nie rozmawiać.

Aria zaczęła się rozglądać po sali - popatrzyła na wiszące na ścianach reprodukcje, na półki, i rosnące w donicach rośliny. Przekreśliła się na krześle, odgarnęła z oczu kosmyk włosów i spytała:

- Wiesz, Charlie-pilocie, na co tak naprawdę mam ochotę?

McKay popatrzył na nią i pokręcił głową?

- Bardzo chciałam się wydostać z tego wielkiego bunkra. Stęskniłam się za ziemią, słońcem i wiatrem. Odkąd pamiętam zawsze uwielbiałam przebywać na dworze. Pomyślałam, że po pewnym czasie klaustrofobia mi przejdzie, ale nic z tego; może nawet jest jeszcze gorzej. Tak bardzo bym chciała wyjść na zewnątrz, choćby na moment. Na to mam naprawdę ochotę, a nie na żadne czytanie.

Charlie uśmiechnął się nagle szeroko.

- Wiesz, co? Zwróciłaś się do właściwego faceta. Zabiorę cię na dwór.

- Naprawdę, Charlie? Jak? Jesteśmy tu więźniami. Zdaję sobie z tego sprawę.

McKay wstał i powiedział:

- Panno cywilko, niech pani lepiej rusza za mną. Właśnie zaczyna się zachód słońca.

20.

## Pustynia w środkowej części Nevady, USA 22.48 czasu miejscowego

Charlie wprowadził Arię z biblioteki i powiodł wykończonym na zielono korytarzem, przez skrzydło obsługi i dalej, do sali gimnastycznej. Następnie skręcili w prawo, przeszli przez kilkoro żółtych, przeszklonych drzwi i posuwali się dalej słabo oświetlonym korytarzem, który wydawał się ciągnąć niemal w nieskończoność. Miał gładką, betonową podłogę i ściany z gołych pustaków. Co kilka metrów mijali namalowane na podłodze wielkie, czerwone litery, głoszące:

STREFA ZASTRZEŻONA

WSTĘP WZBRONIONY

Aria pokazała kolejny napis i odezwała się:

- Nie mam zamiaru trafić do aresztu, Charlie.

W tym samym momencie zobaczyła zbliżającego się do nich od końca korytarza człowieka. Stała jak wryta, nie wiedząc, co zrobić. Mężczyzna był siwym pułkownikiem, w mundurze polowym.

- Dobry wieczór - powitał mijaną parę. Zerknął na Arię, po czym skłonił głowę w stronę Charliego i uśmiechnął się. - Na dworze jest pięknie. Wiem, że wam się spodoba.

McKay popatrzył na dziewczynę i także się uśmiechnął. Aria odetchnęła z ulgą i pierwsza ruszyła przed siebie. Nagle zauważyła, że idą nieznacznie pod górę. Charlie zaczął jej tłumaczyć, gdzie są:

- Byłem raz na powierzchni. Musiałem się trochę rozejrzeć i zauważyłem niewielki pagórek, jakieś półtora kilometra na południe od hangaru. W jedną stronę odchodziła

gruntowa droga, a w zbocze pagórka wkopany był mały budynek. Pomyślałem sobie, że tam musi się znajdować winda dla obsługi i przewody wentylacyjne. Zacząłem się więc trochę tu rozglądać i po krótkim czasie odkryłem ten korytarz i wyjście. Byłem z siebie bardzo dumny; jak James Bond. Okazało się potem, że z połowa ludzi wie o tym wyjściu. Myślałem, że okazałem się zdolnym szpiegiem, a tymczasem wystarczyło zapytać i prawie każdy chętnie by mi powiedział. Okazuje się, że ludzie nagminnie tędy wychodzą; jedni tylko na papierosa, inni - poleżeć na słońcu. Dowódca placówki wie, ale jak dotąd, nie zamknął korytarza. Pewnie rozumie, że każdy czuje potrzebę wydostania się na ziemię. Inaczej zamienilibyśmy się w krety. Dopóki nie oddaliśmy się od wyjścia i nie wychodzimy spod osłony drzew, wołają, żebyśmy od czasu do czasu sobie wyszli.

Aria skinęła głową. Wreszcie dotarli do końca tunelu, skęcili w bok, minęli dwie pary drzwi, a potem weszli na górę po wąskich, jasno oświetlonych schodach.

Znaleźli się przed potężnymi, pancernymi drzwiami, które można było otworzyć tylko od wewnątrz. Charlie złapał leżący na ziemi pręt i popchnął nim stalową płytę. Aria przeszła przez próg i rozejrzała się dookoła. Znalazła się w rogu małego, drewnianego budynku. Pachniał starym olejem silnikowym. Podłogę stanowiło zwykłe klepisko. Wklęsnięty, blaszany dach wspierał się na starych, próchniejących balach. Charlie ruszył w stronę przeciwległej ściany, gdzie znajdowały się małe drzwi. Otworzył je ze skrzypem zawiasów i wyszedł na dwór. Aria podążyła za nim i znalazła się pod baldachimem gęstych sosen. Podniósłszy oczy ledwie mogła zobaczyć niebo. Już kilka metrów na lewo od niej, teren opadał stromo i przechodził w pustynię. Charlie podszedł do skraju kępy drzew, żeby popatrzeć w dal. Aria i McKay stali twarzami na zachód. Pustynia rozciągała się przed nimi. W powietrzu unosił się zapach sosen i szaflwii. Wiał suchy wiatr. Linia horyzontu zaczynała przybierać różowy kolor.

Kapitan usiadł na ziemi, Aria - koło niego. Patrzyli przed siebie i podziwiali zachodzące jasno słońce. Przez długą chwilę nie odzywali się, słuchając wiatru poruszającego gałęziami wysokich, iglastych drzew.

W końcu, Charlie podniósł kamień i rzucił go w dół. Wtedy Aria popatrzyła na niego i zapytała:

- Skąd jesteś, pilocie?

Przez chwilę nie odpowiadał.

- Dorastałem tu, na zachodzie - wyjaśnił w końcu. - Na rancho, w górach, w zachodniej części Wyoming. Okolica nazywa się Star Valley - „Gwiezdna Dolina”. To niedaleko podnóża gór Teton. Najpiękniejsze miejsce na świecie. Ale panują tam ostre i wietrzne zimy, a lata są za krótkie... Ojciec opuścił nas, kiedy miałem dziewięć lat. Osiem lat później moja matka wyszła po raz drugi za mąż i przeniósła się do Teksasu. Jej mąż... jest w porządku, ale nie lubimy się widywać. Tęsknię za mamą. Zmieniła się. Nie spotykamy się teraz za często...

- To gdzie jest twój dom?

- Chyba wszędzie tam, gdzie posyłają mnie Siły Powietrzne - odpowiedział McKay.  
- Całkiem poważnie; wydaje mi się, że potrafię być szczęśliwy prawie wszędzie.

Mieszkałem już w Europie i na Dalekim Wschodzie, i w różnych stanach USA. Dla mnie każde miejsce jest tak samo dobre jak inne.

Aria obserwowała Charliego kątem oka.

- Podoba ci się latanie? - zapytała.

Kapitan popatrzył na pustynię i odpowiedział:

- To najbardziej fascynujące wyzwanie i najbardziej ekscytująca praca na świecie. Kiedy leci się w przestworzach, jest w tym coś takiego... Czasem, kiedy jestem w powietrzu, aż kręcę głową. Na widok tego, co rozciąga się przede mną. Albo z powodu tego, co czuję. Trudno wytłumaczyć to komuś tak, żeby zrozumiał. „I jeszcze mi za to płacą” - powtarzam sobie czasem. Latanie to coś, co naprawdę uwielbiam.

Charlie rzucił przed siebie drugi kamień.

- Raz byliśmy nad Atlantykiem; lecieliśmy do Europy... - ciągnął. - Była czarna noc, a „Zabójca” i ja...

- Zabójca? - wyraziła zdziwienie Aria.

- „Zabójca” to mój partner z samolotu- wyjaśnił McKay. - Nawigator. Wiesz - siedzi za mną, z tyłu. Naprawdę nazywa się Alex Bennett. Jest moim najlepszym przyjacielem. I jednym z najlepszych i najuczciwszych ludzi na świecie.

- A kogo zabił? - spytała Aria z uśmiechem.

- „Zabójca”? - Charlie roześmiał się. - On by nie zabił nawet muchy. Jest zupełnie niegroźny. Nazwaliśmy go już pierwszego dnia, kiedy tylko pojawił się w bazie. Obwoził żonę, oglądali wszystko. Kiedy przejeżdżał przez mieszkalną część bazy, rozjechał pudła dowódcy skrzydła. Wgniół biednego futrzaka w ziemię. Żona generała mało nie umarła. Mała, kochana Fifi nie żyła! Naprawdę, ten pies nazywał się Fifi! Tak zresztą na początku nazywaliśmy Alexa. „Fifi”. Oczywiście wkurzał się na to strasznie, więc spróbowaliśmy zmienić przydomek na „Chrup!” A potem „Wielki Zabójca Pudli.” To było zdecydowanie za długie, więc szybko skróciło się do „Zabójca”. I tak już zostało.

Dwoje młodych ludzi znowu zamilkło, Słońce dotknęło horyzontu i w końcu zniknęło. Podniósł się wschodni wiatr. Temperatura zaczęła spadać. Wkrótce obniży się do dziesięciu - piętnastu stopni. Wysoko położona pustynia szybko traciła ciepło.

Charlie popatrzył na Arię. Wydawała się zagubiona we wspomnieniach.

- O czym myślisz? - zagadnął.

Zawahała się na moment, po czym odpowiedziała:

- To miejsce przypomina mi trochę moje rodzinne strony.

- To znaczy? - Nie wiedzieć czemu, Charlie pomyślał, że panna Cutter urodziła się gdzieś bardzo daleko.

Dziewczyna patrzyła w mrok, zamyślona. Podniosła ręce z ziemi i złączyła palce, opierając je na biodrach. W końcu, odpowiedziała:

- Jestem z Bagdadu.

McKay natychmiast przestał się uśmiechać, poczuł nagle ucisk w gardle. Z Bagdadu! Nie! To ona była tą dziewczyną!...

Dziewczyną, o której tyle razy wspominał pułkownik Wisner. Młodą kobietą, która znała Bagdad. Mogła poruszać się samodzielnie po Iraku. W pierwszej chwili Charlie

pomyślał, że nastąpiła jakaś pomyłka. To było szaleństwo! Uzyskają jedynie to, że Aria zginie!

McKay spojrział na młodą dziewczynę, która patrzyła w ziemię, dziobiąc ją patykiem. Podniosła wzrok na Charliego, mając nadzieję, że kapitan zrozumie. Przyglądał się jej, ale nie odpowiadał. Zobaczył w niej coś, co do tej pory starała się ukryć. Bała się. Nawet w tej chwili.

- Z Bagdadu. To, doprawdy, niespodzianka... - Nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

Aria powoli pokiwała głową.

- Tam spędziłam dzieciństwo; poza krótkim okresem, kiedy moi rodzice mieszkali w Londynie. Wtedy byłam jeszcze mała. Wróciliśmy do Bagdadu, kiedy miałam pięć lat.

- A więc, to jesteś ty - mruknął Charlie. - Lecisz tam.

- A ty musisz być jednym z pilotów...

- Owszem. Będę prowadził F-15.

Panna Cutter uśmiechnęła się w ciemności.

- Myślałam, że tak może być. Kiedy powiedziałeś mi, że jesteś pilotem, miałam takie przeczucie.

- A więc ty jesteś dziewczyną, która ma zostać przerzucona do Iraku? - powtórzył Charlie. - Masz nam pomóc odnaleźć Udaja, i zaprowadzić nas do niego?

Aria pokiwała głową.

- Tak, Charlie, to ja. Zdaje się, że wzbudzam twoje zaufanie? Widzę to w twoich oczach.

McKay potrząsnął głową.

- Daj spokój; tak samo bym się czuł, gdyby to był ktokolwiek inny. Ale dlaczego ty? To wydaje się niesprawiedliwe. Nie wiem, jak dasz radę. Po prostu, cała reszta planu jest w zupełnie innym stylu...

- A powiedz mi, kogo innego macie? - odparła Aria. - Przecież w Iraku nie kręcą się setki tajnych agentów, którzy mają dostęp do Udaja. Wiedz o jednym, Charlie: znaczną część dzieciństwa spędziłam biegając po korytarzach pałacu prezydenckiego. Moja rodzina była kiedyś w bardzo bliskich, osobistych stosunkach z Husajnem. Chodziłam do szkoły z niektórymi jego dziećmi. Jeździłam z nimi na weekendy do kurortów w południowym i wschodnim Iraku. Mówię płynnie po arabsku i, mimo że upłynęło już parę lat, będę sobie swobodnie radzić w tym kraju. Wprawdzie mam trochę jaśniejszą skórę, bo moja mama była Angielką, ale mogę swobodnie uchodzić za Irakijkę. I powinnam, bo jestem Irakijką. ...Widzisz, mój ojciec był jednym z najbardziej zaufanych ludzi Husajna...

Aria zaczęła opowiadać historię swojego życia. Charlie siedział i słuchał jak zaczarowany. Dziewczyna, sama nie wiedząc dlaczego, chciała powiedzieć mu wszystko. Może dlatego, że miała już dość przymusowego odosobnienia na pustyni w Nevadzie. A może było jej łatwiej, bo zapadła ciemność i nie widzieli wzajemnie swoich twarzy. Może wreszcie dlatego, że czuła się zdesperowana i samotna; uczucia te towarzyszyły jej zresztą przez większą część życia. Może fakt, że oboje mieszkali teraz w supertajnym bunkrze połączyła ich jakimiś dziwnymi więzami. W każdym razie, sama nie wiedząc czemu, Aria

mówiła Charliemu rzeczy, których nie opowiadała do tej pory jeszcze nikomu. Opisywała swoją rodziną i życie w Bagdadzie, kontakty z młodszymi dziećmi Saddama Husajna.

Przerwała, kiedy doszła do tego, jak jej rodzina została zesłana do kurdyjskiego obozu na zboczu góry. Głos uwiązał jej w gardle...

Za ich plecami świecił rogal księżyc. Noc była spokojna. Przez długą chwilę Charlie nie wiedział, co ma powiedzieć.

- A teraz? Gdzie teraz jest twoja rodzina? - spytał cicho, chociaż domyślał się odpowiedzi.

Aria zawahała się i popatrzyła w gwiazdy.

- Wszyscy nie żyją - odparła. - Nie udało im się wydostać z Iraku. Husajn tego dopilnował. Konsekwentnie dbał o to, żebyśmy nie zdołali przejść przez granicę. Nawet w obozach kurdyjskich uchodźców byliśmy pod ciągłą obserwacją płatnych informatorów. ...Pewnej nocy, obóz został zaatakowany przez cały batalion Gwardii Republikańskiej. Zabito setki uchodźców. Moja mała siostrzyczka uciekła przed żołnierzami. Szukaliśmy jej potem przez wiele dni, ale nie znaleźliśmy. Wkrótce po tym, umarła moja matka. Wtedy ojciec zdołał zawrzeć umowę z jakąś bandą, żeby wydostała mnie stamtąd. Kiedy się to udało, pożegnałam się z ojcem i więcej o nim nie słyszałam. Dwa lata mieszkałam w Londynie, a potem przyjechałam do Stanów.

Charlie był oszołomiony. Wszelkie wątpliwości, co do odwagi panny Cutter i jej umiejętności radzenia sobie zniknęły. Nie rozumiał tylko jednego.

- Dlaczego teraz tam wracasz? Jak cię do tego przekonali? Chcesz się zemścić?

Aria odpowiedziała z ociąganiem:

- Wiesz, długo się nad tym zastanawiałam; zajęło mi to kilka ostatnich dni. Z początku, chciałam go dopaść i zadać mu cios, tak jak on zadał mnie. Jednak już nie myślę w ten sposób. Przeszło mi. Nie poddałam się złości. Gniew niszczy i pozbyłam się go. Zdaje mi się, że - w takim razie - lecę tam, ponieważ mnie potrzebują. Nie mają nikogo innego. Poza tym, wiesz, jestem teraz Amerykanką, ale doświadczyłam braku wolności. Wiem, że wolność jest prawdziwym błogosławieństwem i nigdy, przenigdy nie będę jej lekceważyła... Poza tym, jest jeszcze jeden powód. Widzisz, kiedy ojciec przekazał mnie tamtym bandytom - była wtedy noc; podeszło ich trzech, do naszego namiotu, i zamienili parę słów z ojcem. Ostre słowa. Nie chcieli mnie wziąć, ale w końcu ich przekonał. Nie miałam wtedy nawet czasu się spakować, mimo że cały mój ówczesny dobytek zmieściłby się w podręcznym plecaczku. Ale ta banda nie zamierzała czekać. Sami się bali i chcieli już iść. Złapałam więc płaszcz i parę innych rzeczy nim pożegnałam się z ojcem. Zaciągnął mnie wtedy w róg namiotu i przekazał kilka informacji. Powiedział, że ukrył poza Irakiem pieniądze i ważne dokumenty, które wysłał z Bagdadu. Powiedział mi, gdzie są i jak je odzyskać. Prosił, żebym pamiętała o swoich rodzicach i nazwisku. Zdałam sobie wtedy sprawę, że będę ostatnią z rodu, jedynym pozostałym przy życiu członkiem rodziny. Ojciec bardzo żałował, że nasze nazwisko zniknie. Poprosił mnie więc, żebym przysięgła, że nadam swojej córce imię mojej młodszej siostrzyczki. Chciał, żeby przynajmniej jej imię pozostało. Żeby było codziennie wymawiane. Pragnął, żeby nie zapomniano o niej.

...Więc obiecałam ojcu, że tak zrobię, a zaraz potem bandyci mnie zabrali. I już nigdy więcej go nie widziałam.

Aria uniosła dłoń. Charlie zobaczył ją, w słabym świetle gwiazd. Wyciągnął rękę i dotknął smukłych palców dziewczyny. Wtedy, odwróciła dłoń i zobaczył na niej małą bliznę.

- *Intafada Shee'mir* - wyjaśniła po arabsku. To stara tradycja naszej rodziny, znak najpoważniejszej przysięgi. Niewielu byłoby w stanie zrozumieć, że to ślubowanie ciągle ma dla mnie znaczenie. Jak to wyjaśnić? Przypomina o dawnej radości życia w rodzinie, którą mi odebrano... A teraz mam możliwość wrócić tam i pomóc w amerykańskiej operacji. Ale chcę także dowiedzieć się, czy moja siostra żyje. Jeżeli tak, odnajdę ją i sprowadzę do domu.

Charlie siedział bez ruchu i zastanawiał się nad słowami Arii, patrząc w ciemność. W końcu, odwrócił się do niej i spytał:

- Nigdy nie miałaś żadnych wiadomości o siostrze, od czasu tamtej straszliwej nocy, na zboczu góry?

Dziewczyna powoli pokręciła głową.

- Nie słyszeli o niej żaden kuzyni, ani przyjaciele? Nie dostałaś żadnego listu, czy czegokolwiek?

- Nie.

- I mimo to myślisz, że jednak żyje?

- Wiem, że żyje. Na pewno mieszka gdzieś w Bagdadzie.

Charlie przyjrzał się pannie Cutter, na tyle, na ile pozwalało słabiutkie światło księżyca. Była spokojna, choć w jej oczach dostrzegł determinację. Aria poruszyła się i powtórzyła:

- Wiem, że ona tam jest. Czuję to po prostu. Zawsze tak czułam, przez cały czas, odkąd tylko zniknęła na tamtej górze. Mimo że nie ma żadnego dowodu, a nawet wydaje się to sprzeczne z logiką, wiem, że się nie mylę.

## 21.

Pustynia w środkowej części Nevady, USA  
00.15 czasu miejscowego

Olbrymi wojskowy transportowiec typu C-5 potoczył się po pasie startowym, ze słumionym wyciem czterech wielkich silników turbo wentylatorowych. Maszyna była tak gigantyczna, że zdawała się unosić w powietrze przy znikomej prędkości. Kiedy podwozie straciło kontakt z betonem potężne skrzydła spowodowały silne wiry i wywołały na ziemi miniaturowe tornada. Koła schowały się do pękatego brzucha płatowca, dziób uniósł o dalsze dwa stopnie i olbrzym rozpoczął łagodny zakręt ku wschodowi.

Wewnątrz przypominającej jaskinię ładowni, zajmującej dolny pokład, było niemal ciemno. Świecące na żółto żarówki, rozmieszczone co kilka metrów, oświetlały wielkie skrzynie z wyposażeniem i sprzętem mechanicznym. Lista przewożonych rzeczy liczyła sobie sto stron. Oprócz tego, samolot dźwigał sto ton paliwa. Ogromny transportowiec był wyjątkowo wyładowany. Za niecałą dobę miał wylądować w Arabii Saudyjskiej.

Na górnym pokładzie, znajdującym się ponad ładownią, przez większą część długości płatowca ciągnęły się dwa rzędy foteli lotniczych. Prawie wszystkie były puste. Charlie i „Zabójca” usiedli z samego przodu. Pułkownik Wisner znalazł sobie miejsce w połowie długości kabiny. Poza tym, rozproszyło się po niej jeszcze dwadzieścia parę osób stanowiących siły bezpieczeństwa oraz personel techniczny.

Kiedy olbrzym wzniósł się w powietrze, piloci zredukowali oświetlenie kabiny pasażerskiej do delikatnej poświaty, która nie przeszkadza spać. Kapitan Bennett rozłożył się wygodnie, wetknął pod głowę niebieską poduszkę i natychmiast zasnął. McKay siedział w półmroku prawie godzinę. Nie było wcale okien, toteż nie dało się niczego ciekawego oglądać. Charlie obejrzał się na Wisnera, a ten ciągle pracował, trzymając na kolanach laptopa. Srebrzysto-błękitny ekran oświetlał jego twarz zimnym blaskiem. Pułkownik podniósł wzrok i spotkał się ze spojrzeniem pilota, ale po chwili znowu opuścił głowę i powrócił do stukania w klawisze.

McKay usadowił się wygodnie. Słyszał chrapanie Alexa, na tle łagodnego szumu silników. Poczuł, że dziób odrobinę się obniżył, a obroty nieco spadły - piloci wypoziomowali maszynę, osiągnąwszy wysokość dziesięciu i pół tysiąca metrów.

Po kilku minutach, „Zabójca” poruszył się i otworzył oczy. Charlie wychylił się w jego stronę i odezwał się cicho:

- Czy pozwolili ci zadzwonić do Lindy?

Przyjaciół pokręcił głową.

- Nie. Byli niewzruszeni. Podawali wszystkie możliwe powody, dla których nie mogą mi pozwolić. Względy bezpieczeństwa. Bali się, co mogę jej powiedzieć. Nie chcieli, żeby żona się wystraszyła. ...Wiesz, jak to jest.

Charlie przytaknął. Nie był zdziwiony tym, co usłyszał.

- Słuchaj - odezwał się tonem pocieszenia - za tydzień-dwa będziemy z powrotem.

„Zabójca” podniósł wzrok i pokiwał głową.

- Sam to sobie powtarzam. Mam nadzieję, że nic nam się nie stanie. Jednak Linda nie cierpi, kiedy wyjeżdżam, a ona nawet nie wie, kiedy wrócę. To mnie dodatkowo stresuje, jakby jeszcze było mało. Zdawać by się mogło, że po tylu latach spędzonych w Siłach Powietrznych, powinno się akceptować takie rzeczy, uważając je za naturalne. A jednak nie jest łatwiej niż kiedyś. Właściwie, nawet mi trudniej. Mówię ci, Książę Karolu, słyszę zew rodzinnego domu. Myślę, że przyszedł na mnie czas. To będzie moja ostatnia misja. Wkrótce nie będziesz się musiał do mnie zwracać per „panie kapitanie”, wystarczy zwykłe „proszę pana”...

Charlie wstał i przeniósł się na fotel za „Zabójcą”. Nachylił się ku niemu i powiedział:



- Wiesz, rozumiem, co czujesz. Jednak to wyjątkowo nieodpowiednia chwila na rozklejanie się. Mamy zadanie do wypełnienia, razem. To najważniejsza i najtrudniejsza misja w naszym życiu. Czegokolwiek byśmy jeszcze dokonali, nic nie będzie mogło się z nią równać. Pomyśl, jaka jest stawka. Myśl o tym, Al, nie o domu.

Kapitan Bennett, odwrócił się, popatrzył na swojego przyjaciela i odparł:

- Słuchaj, stary, zdaję sobie sprawę, co od nas może zależeć, i wierz mi, że jestem skoncentrowany. Skupiony, jak promień lasera. Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? Tak sobie tylko przez chwilę ponarzekalem. Nic więcej. Nie będę się rozpraszał, i już przestaję myśleć o domu. Niezależnie od tego, naprawdę mam zamiar zrobić to o czym mówiłem. Zastanawiałem się nad tym przez ostatnie pół roku i doszedłem do wniosku, że czas, bym wystąpił ze służby.

Charlie powoli przytaknął i wrócił na swoją stronę. Bennett wygładził poduszkę pięścią i znowu zasnął.

McKay zamknął oczy i leżał bez ruchu przez długą chwilę, a potem potrząsnął głową, wstał, i poszedł znaleźć Arię Cutter.

Siedziała sama, w fotelu na samiułkim końcu. Musiała wsiąść pierwsza, ponieważ Charlie do tej pory nie widział jej na pokładzie. Stanął w przejściu, zapierając się o siedzenia, z powodu lekkiego kołysania samolotu. Aria oparła się o ścianę i zarzuciła na ramiona kocyk. Wyglądała na to, że śpi.

Kapitan przyglądał jej się przez chwilę. Miała zamknięte oczy. Podziwiał jej smagłą, delikatną twarz, kruczoczarne włosy... Nie mógł nasycić się jej widokiem. Doszedł do wniosku, absolutnie pewnego wniosku - że Aria Cutter jest najpiękniejszą kobietą na całym świecie. Była po prostu oszałamiająca, pod każdym względem. Inteligentna, odważna, pełna powagi - w pozytywnym znaczeniu tego słowa. McKay wiedział, że niezależnie od tego, co się z nim jeszcze w życiu stanie, fakt, że ją poznał, choćby na tak krótki czas, zmienił go w zasadniczy sposób. Czuł się szczęśliwy, że dane mu było spędzić z tą dziewczyną nawet te parę dni. Jego życie nabrało nowego, nieznanego dotąd wymiaru. Nie ulegało wątpliwości, że Aria go zafascynowała.

Jednak było w niej coś takiego... Jakaś rezerwa i chłód. Widział to w jej oczach; dostrzegł w sposobie, w jaki wyciągnęła do niego rękę. Wiedział, że jej osobowość zawiera obszary, których nigdy nie będzie zdolna wytłumaczyć. Zasmuciło go to nagle.

McKay spojrział na podłogę i zaczął marzyć o rzeczach, które na pewno się nie zdarzą. Kotosał się lekko wraz z całym, olbrzymim samolotem.

- Charlie - odezwała się nagle Aria - może usiądziesz? - Popatrzył na nią i zobaczył, że dziewczyna śmieje się do niego. Natychmiast znalazł się na sąsiednim fotelu. Siedzieli w ciemności i - milczeli. W końcu, Aria przekręciła się w drugą stronę i oparła głowę na jego ramieniu. On także pochylił głowę ku niej i poczuł wspaniały zapach jej włosów. Tak ułożeni, zasnęli razem.

Siedem godzin później, wojskowy C-5 minął się w powietrzu z pewnym odrzutowcem pasażerskim, przemierzającym Atlantycką drogę do Nowego Jorku. Lecący w przeciwnym kierunku samolot linii Delta, lot numer 1869, znalazł się zaledwie pięć kilometrów na południe i sześćset metrów wyżej od transportowca Sił Powietrznych. Maszyny przeleciały obok siebie w ciemności. Żadna z załóg nie wiedziała o obecności drugiej. Korytarkę powietrzną nad Atlantykiem są pełne różnych samolotów i fakt, że dwa z nich mijają się w tak niewielkiej odległości nie jest niczym nadzwyczajnym.

Odrzutowcem linii Delta podróżował między innymi dawny więzień Iraku, Rashid Abdul-Mohammad. Siedział w przedziale business class, gdzie można było rozłożyć fotel i zająć wygodną pozycję. Jednak po jego twarzy widać było od razu, że jest niespokojny. Siedział sztywno, pochylony do przodu, z szeroko otwartymi oczami, mimo że były zaczerwienione i podkrążone od braku snu. Wyglądał przez okno, w ciemność. Od czasu do czasu, widział w dole odbłask oceanu; przeważnie jednak zasłaniała go powłoka chmur, powodując wrażenie całkowitej czerni. Kolor ten pasował do nastroju pasażera. Był zmęczony, spięty, bał się o swoje życie. Świadomość, że jego najbliżsi są zakładnikami Husajna napelniała go takim lękiem, że starał się o tym nie myśleć.

Zerknął po raz kolejny na swój plan podróży i zaczął liczyć w myśli. Wylądował w Nowym Jorku wczesnym rankiem. Następną dobę spędził w tym mieście. W niedzielę w południe wyruszył do Waszyngtonu. Podróż samochodem na południe zajmie mu około sześciu godzin. Zgłosi się do motelu, gdzie będzie czekała na niego przesyłka. W poniedziałek rano wszystko się skończy. Wtedy pojedzie z powrotem do Nowego Jorku. Trzydzieści godzin później, po długim locie, z przesiadkami we Frankfurcie, Kairze i Ammanie znajdzie się w Iraku.

Charlie i Aria jedli wczesne śniadanie - naleśniki, jajecznicę, tosty i ciepły sok pomarańczowy. Rozmawiali już od paru godzin, głównie o koszykówce, ponieważ okazało się, że oboje są jej prawdziwymi fanami. Aria kibicowała drużynie Pacers, Charlie - Utah Jazz. Po ożywionej dyskusji, panna Cutter przyznała w końcu, że Rodman przynosi wstyd całej lidze. Wtedy zmienili temat i okazało się nagle, że oboje uwielbiają klasyczny rock z lat sześćdziesiątych.

- Moja mama miała te wszystkie stare płyty - wyjaśniła Aria. - Sprowadziła je z Wielkiej Brytanii. Mogłabym ich słuchać na okrągło. Teraz, od czasu, kiedy mieszkam w Stanach, to jedyna muzyka, która mi się podoba. - Urządzili mały quiz, sprawdzając wzajemnie swoją wiedzę na temat dawnych wielkich zespołów rockowych.

- Uwaga, mam - powiedziała Aria. Zaczęła cicho śpiewać:
- *Layla, you got me on my knees, Lay la...*
- Derrick and the Dominoes! - zawołał Charlie.
- Który rok?
- Sześćdziesiąty siódmy.

- Dobry jesteś - pochwaliła Aria. - Znasz się na latach sześćdziesiątych. Nie masz pojęcia, jak bardzo jest mi to bliskie.

McKay zerknął na nią i spytał:

- A czy wiesz, że Eric Clapton napisał tę piosenkę na torbie ze sklepu? - Było to kłamstwo.

- Oczywiście! - zgodziła się Aria, chichocząc. - Każde dziecko o tym wie.

Śmiejąc się, powspominali jeszcze inne grupy, a potem zamilkli. Po kilku minutach Charlie nachylił się w stronę dziewczyny i zapytał:

- Dlaczego poszłaś na prawo?

Aria uniosła brew.

- Chyba nie masz zamiaru opowiadać mi dowcipów w stylu: „Czym się różni kobieta-prawnik od pitbull terriera?”

- Nie wiem; to zależy, czy go znasz - odpowiedział McKay.

- A co? Masz coś do prawników? - zainteresowała się Aria.

- Coś ty, mój naczelny dowódca jest z wykształcenia prawnikiem - zaprzeczył z ironią w głosie Charlie. - Wiesz co o nim myślimy, my, wojskowi?

- Hmm, to mi chyba wystarczy za odpowiedź - skwitowała Aria.

- Ależ ja uwielbiam prawników - ciągnął McKay. - Procesowanie się to nieodzowny element amerykańskiego stylu życia. Tylko że ty po prostu nie wyglądasz na prawniczkę.

Aria zacisnęła usta i zastanowiła się chwilę. Spoważniała i zaczęła wyjaśniać:

- Wiesz, to chyba w jakiejś mierze ze względu na mojego ojca. Uzyskał doktorat w London School of Economics, ale zawsze żałował, że nie skończył prawa. Oczywiście, kiedy wrócił do Bagdadu, nie miało to żadnego znaczenia. Równie dobrze mógłby być specjalistą od hodowli trzody chlewnej. Niewielu z ludzi Husajna ma wykształcenie, a ci, którzy je mają nie należą do zaufanych. Dla Husajna mają znaczenie tylko dwie rzeczy: pochodzenie z rządzącego klanu Tikriti i przynależność do partii Baas. Mój ojciec nie pochodził z tego klanu, a do partii także się nie zapisał. ...Uważał za to, że prawo ma znaczenie i to w państwie prawa widział potencjalną przeciwwagę dla dyktatorskiego sposobu sprawowania władzy przez Husajna. Mylił się, rzecz jasna - nie było na to szans. Ojciec był prawdziwym idealistą. Myślę, że część jego idealizmu przeszła na mnie.... Kiedy zastanawiałam się nad swoją przyszłością, nigdy nie wątpiłam, że zostanę prawniczką.... Czy to dobry powód? Nie wiem. Ale jak dotąd, podoba mi się i chyba coś mi z tego wyjdzie.

Charlie pokiwał głową. Uważał to wyjaśnienie za wystarczające.

- A ty? - spytała Aria. - Dlaczego postanowiłeś zostać pilotem? Czemu wstąpiłeś do Sił Powietrznych?

- Zabawne - zaczął McKay. - Właśnie uświadomiliśmy do tego dojść z „Zabójcą”. - Skinął głową w stronę przodu kabiny, gdzie widać było czubek głowy Bennetta. - Wiesz, że Alex pochodzi z bardzo bogatej rodziny? Jego ojciec jest właścicielem chyba z połowy środkowej Florydy. Ma tysiące hektarów gajów pomarańczowych. Al mógłby rzucić służbę i nigdy w życiu nie pracować, tyle mają pieniędzy. Albo zarządzać, do spółki z bratem, plantacjami.

- W takim razie musi naprawdę uwielbiać latanie - stwierdziła Aria.

- Oczywiście; ale to nie wszystko. Wstąpił do lotnictwa z głębokiego poczucia obowiązku. Pieniądzy nigdy mu nie brakowało; jego ojciec uznał, że syn zwariował. Jednak Al został oficerem Sił Powietrznych ponieważ uważał, że tak powinien zrobić. ...Ale teraz jest coraz bardziej zmęczony i zaczyna myśleć o rodzinie. Mówi, że rodzina ma dla niego największe znaczenie. Będzie mi go brakowało, kiedy wystąpi ze służby. To już nie będzie to samo.

Aria spuściła wzrok na swoje dłonie, po czym zagadnęła:

- Mogę cię o coś zapytać, pilocie? - McKay skinął głową. - To osobiste pytanie. - Charlie kiwnął głową po raz drugi. Nie przychodziło mu na myśl nic, co chciałby przed tą dziewczyną zataić.

Aria zbliżyła się do niego odrobinę, i odgarnawszy z policzka pasmo kruczoczarnych włosów zapytała:

- Charlie, czy ty kiedyś naprawdę się bałeś?

McKay pomyślał o pierwszej nocy wojny w Zatoce Perskiej, kiedy pilotował maszynę na Bagdad.

- Tak. Bywałem już w takich sytuacjach - odpowiedział.

Aria oparła się o poręcz fotela i dotknęła palcem kolana Charliego.

- Powinna sformułować pytanie inaczej. Może „bać się” to nie jest najlepsze określenie. Chciałabym wiedzieć, czy kiedykolwiek odczuwałaś straszliwy lęk; taki, od którego skręca w żołądku? Paraliżujący. Lęk, który wykracza poza obawę przed śmiercią?

McKay wiedział, o co jej chodzi. Przytaknął i zaczął opowiadać:

- Kiedy ukończyłem szkolenie pilota, zatrzymali mnie w akademii jako instruktora. Miałem uczyć nowych studentów latania na T-38. To taki nieduży samolot szkolno-treningowy, podobny do myśliwca. Uczeń siedzi z przodu, a instruktor za nim. ...Pewnego dnia leciałem ze studentem, porucznikiem Sammym Larkinem. Fajny był z niego chłopak i bardzo dobry student. Dobry pilot. Był piątek po południu; lecieliśmy na niskim pułapie i ćwiczyliśmy nawigację. Lata się bardzo szybko na minimalnej wysokości i manewruje pomiędzy wzgórzami środkowego Teksasu. Wtedy słońce było już nisko, a my zbliżaliśmy się do małego jeziora. Znaleźliśmy się może ze sto pięćdziesiąt metrów nad falami...

Charlie przycichł i opuścił głowę.

- Lecieliśmy z wielką prędkością - ciągnął - może z dziewięćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, i nagle trafiliśmy w ptaka. Komisja do badania przyczyn wypadku stwierdziła później, że ważący półtora kilograma żuraw uderzył prosto w sam środek kabiny, od przodu. Pół metra przed twarzą Sammiego. Trudno sobie wyobrazić jak wielka jest siła uderzenia takiego ptaka przy tej prędkości. To tak, jakby dostać pociskiem z działka.... Kiedy ptak uderzył, plastikowa osłona kabiny rozpadła się w drobny mak i wbiła w twarz i pierś mojego studenta. Pleksiglas razem z kawałkami ptaka rozwalil też cienką, plastikową osłonę oddzielającą jego część kabiny od mojej. Wtedy nadleciała krew. Wyglądało, jakby płynęła rzeka krwi; bryzgała po kabinie, tak, że nic nie widziałem. Natychmiast szarpnąłem samolot w górę i cofnąłem przepustnicę, żeby zwolnić.

Jednocześnie skręciłem w stronę najbliższego lotniska. Pamiętam, że krzyczałem do maski, pytając Larkina, czy nic mu się nie stało. Kiedy uniosłem zakrwawioną szybę hełmu, zobaczyłem, że chłopak rusza się, przypięty pasami do fotela; jednak nie odpowiadał. Widziałem właściwie tylko objający się w huraganowym wietrze o oparcie fotela czubek jego hełmu...

Teraz McKay mówił prawie monotonnym głosem. Ledwie wymawiał poszczególne słowa. Unikał spojrzenia Arii, patrząc na poprzedzający go fotel. Dziewczyna usłyszała w jego głosie wahanie, zauważyła, że zadrżała mu ręka. Pochyliła się odrobinę i oparła policzek na jego piersi. Charlie położył dłoń obok jej włosów, ale nie dotykał ich.

- I co się stało, Charlie? - Panna Cutter była pewna, że już i tak wie.

- W miarę jak zwalnialiśmy, łoskot wiatru cichł. I w pewnym momencie usłyszałem w masce Larkina gulgot. ...Kawałek pleksiglasu uderzył porucznika w szyję, a ptak zmiażdżył mu całą twarz. Student był pochylony naprzód, nieprzytomny; wykrwawiał się na śmierć. Maskę, która ciągle trzymała się jego twarzy napełniała się krwią. Właściwie to nie tyle się wykrwawiał, co dusił własną krwią, jakby się w niej topił. Słyszałem przez słuchawki ten gulgot z jego mikrofonu. Dusił się krwią. To był najokropniejszy odgłos, jaki słyszałem w życiu. Absolutnie nie do opisania. ...Byliśmy zaledwie parę minut od lotniska San Angelo. Nadałem prośbę o pomoc, wypuściłem podwozie i klapy. Szykowałem się do lądowania i płakałem w maskę, błagając go, żeby trzymał się przy życiu. Potrzebne było tylko parę minut. Widziałem pas, nadjeżdżające straże pożarne i karetki z błyskającymi światłami. Ale ten gulgot i dławienie się stawało się coraz słabsze. Usłyszałem bolesny jęk. Jego oddech stał się tak cichy, że ledwie go słyszałem. Potem zakaszał jeszcze parę razy i już. Zamilkł. ...Kilka minut później byliśmy na ziemi, a ratownicy wydostali go z kabiny, zanim zdołałem rozpiąć pasy. Karetka odjechała natychmiast. Ale to już nie miało znaczenia. Wiedziałem i tak, że umarł. ...Powlokłem się na skraj pasa i zacząłem wymiotować, a potem upadłem. Pamiętam ten widok, jak klęczę na trawie i patrzę na moje ręce, całe pokryte krwią. Otarłem twarz i znowu zwymiotowałem. W końcu, usiadłem i patrzyłem jak uwijają się ratownicy. Podpinali wózek do mojego samolotu, żeby ściągnąć go z pasa. Wszyscy zapomnieli o mnie, więc siedziałem tam przez kilka, czy kilkanaście minut. Chyba. Bo mnie się zdawało, że upływają całe lata. ...Ciągle słyszałem ten gulgot. Zastanawiałem się, co mogłem zrobić. Jak mogłem do tego nie dopuścić? Jak stanę twarzą w twarz z jego młodziutką żoną? Co jej powiem? ...On był moim studentem, i zginął. Czuję się za to winny.

Aria popatrzyła na twarz McKaya i dotknęła jego policzka.

- Widzisz - odezwała się drżącym głosem. - Ja tak właśnie się czuję. Rozumiesz? Czuję na sobie miazdżącą presję i dlatego czuję się słaba. I zupełnie sama.

Nie obawiam się o siebie, bo już stawałam oko w oko ze śmiercią. Ale chodzi mi o tę straszliwą odpowiedzialność, która na mnie spoczęła. Nie chcę jej. Nie potrafię jej udźwignąć. Boję się, że nie dam rady. ...I co wtedy zrobimy? Co będzie, jeśli mi się nie powiedzie? Jeśli nie znajdę Udaja Husajna?

Baza lotnicza Prince Sultan, Al Kharj, Arabia Saudyjska  
Dzień siódmy (poniedziałek), 08.10 czasu miejscowego

Baza lotnicza Prince Sultan jest ściśnięta na małym obszarze. Amerykanie nie lubią przebywać w tym gorącym, suchym i nieprzyjemnym miejscu. Stanowi jednak istny cud inżynierii i sprawnego planowania. Powstała niejako z desperacji; wyrosła na środku pustyni niemal z dnia na dzień. Po paru godzinach od podłożenia bomby w Khobar Towers, w Dhahran, kiedy to zginęło dwiętnastu amerykańskich lotników, rozkazano pozostałym ewakuować się z miasta i przenieść się na pustynię. W ciągu kilku tygodni wyrosło w Prince Sultan miasteczko namiotowe. Panowały tam trudne warunki; jednak obóz był znakomicie zabezpieczony. Do tego stopnia, że dla pięciu tysięcy żołnierzy Sił Powietrznych było to bardziej więzienie niż miasto. Niewielu pozwalano wychodzić za bramę, przy której zawsze czuwała warta. Baza znajduje się sto trzydzieści kilometrów w głąb pustyni. Leży w tak zwanym „Pustym Rejonie”, jak mówią Saudyjczycy. Oznacza to ogromne połacie piasku, które nawet dla nich są niemożliwe do zasiedlenia.

Prince Sultan jest prawdziwym miastem namiotów, drewnianych chodników, prowizorycznych dróg, betonowych bunkrów, wieżyczek wartowniczych i pasów startowych. Wszystko otoczono płotem z drutu kolczastego. Pomiędzy namiotami biegną w różne strony grube, czarne kable elektryczne. Na każdym skrzyżowaniu chodników stoją metalowe drogowskazy, ułatwiające orientację przybyszom, którzy staną pośród setek identycznych namiotów. W powietrzu utrzymuje się drobny, szary piasek, miarki jak talk. Jedyłą zmianę pogody stanowią burze piaskowe. Ogromne, czarne całuny zapełniają zachodnią część nieba i przesuwają się przez pustynię, pośród siekącego piaskiem wiatru. Większość stałych budynków bazy znajduje się po jej wschodniej stronie, wzdłuż głównego pasa startowego. W stojących rzędami niskich, betonowych budynkach znajduje się też większa część spośród siedemdziesięciu stacjonujących w bazie samolotów bojowych. Budynki te są klimatyzowanymi bunkrami. Nikt nie neguje, że lotnicy są ważni, ale samoloty okazały się bardziej wrażliwe na warunki otaczającego je środowiska, i dlatego wymagały większej troski.

Olbrzymi C-5 dotknął kołami pasa; zgrzytnęły opony. Po paru chwilach wielka maszyna kołowała już w stronę gigantycznego, metalowego hangaru. Na pasażerów czekał autobus. Większość z nich, czyli personel bezpieczeństwa i członkowie obsługi naziemnej, zebrała wyposażenie i zeszła po schodkach na płytę lotniska.

Pułkownik Wisner kazał swojej drużynie pozostać na miejscach. Siedzieli jeszcze przez całą godzinę, podczas gdy z ładowni wypakowywano sprzęt. W końcu ogromny samolot został zaciągnięty do hangaru. Ogon wystawał poza wrota, które zasunięto na tyle, że niemal dotykały delikatnego kadłuba transportowca. Oddział bezpieczeństwa

należący do Sił Powietrznych zabezpieczył budynek, ewakuując zbędny personel. Pułkownik Wisner przyglądał się wszystkiemu uważnie przez okienko. Wreszcie wyjął z brezentowej torby telefon komórkowy i wystukał numer. Rozmawiał tylko przez chwilę, potakując przez cały czas. Zatrzasnął składany telefon, wrzucił go z powrotem do torby i powiedział:

- Chyba jesteśmy gotowi. Wychodzimy.

Aria ruszyła za trzema mężczyznami. Wyszli drzwiami dla załogi i zsunęli się po wąziutkiej drabince na wyszorowaną do połysku podłogę hangaru. Pułkownik poprowadził ich do małego, bładoniebieskiego mikrobusu. Wrzucili do niego wyposażenie i zajęli miejsca. Wisner ruszył i wyjechał z hangaru małym, bocznym wyjazdem; znaleźli się na jednej z lotniskowych dróg.

Charlie zerknął kątem oka na Arię, która wyglądała przez okno. Sam także rozejrzał się dookoła, chłonąc rozciągający się we wszystkie strony aż po horyzont widok pustyni. Brązowy piasek, o odcieniu prochu, układał się w wydmy, przypominające powiększone i znieruchomiałe fale oceanu. Wystartował klucz F-16; z tyłu samolotów widać było płomienie z dopalaczy. McKay ogarnął spojrzeniem płytę lotniska, na której stały szeregi samolotów. Obok ciągnął się rząd olbrzymich, brązowych namiotów. Charlie obserwował wyraz twarzy Arii, patrzącej na przesuwaną się za szybami pustynię. Wiedział, że przywiodła jej na myśl dom rodzinny. Po kilku minutach, dziewczyna spojrzała na McKaya z lękiem w oczach, a potem znowu odwróciła się ku piaskom.

- Dokąd jedziemy, sir? - zainteresował się „Zabójca”. Wisner zdążył w stronę południowego krańca lotniska.

Pułkownik spojrzał w lusterko wsteczne i odpowiedział:

- Zabieram was do bunkra, chłopcy, gdzie czeka wasz samolot. Możecie mu się przyjrzeć, a zaraz potem wrócę po was i załatwimy razem parę spraw.

- A co z Arią? - spytał Charlie z pewnym niepokojem. - Czy zostanie z nami?

Pułkownik obejrzał się na niego i burknął:

- Oczywiście, że nie.

McKay zobaczył, że Aria patrzy wyczekująco na pułkownika.

- Rozumiem, ale gdzie w takim razie będzie? - spytał.

Wisner znowu spojrzał w lusterko i powiedział:

- Ario, tuż przed zejściem z samolotu dowiedziałem się, że dzisiaj wyjeżdża pani do Bagdadu. Wjedzie tam pani z konwojem dyplomatycznym, który już na panią czeka.

Charlie zobaczył, że dziewczynie opadają ramiona.

Samochód zatrzymał się przy dobrze utrzymanym, niskim, ceglany budynku. Pułkownik wyskoczył, otworzył tylne drzwi i sięgnął po torbę panny Cutter. „Zabójca” także wysiadł i natychmiast ogarnęło go upalne powietrze. Ledwie można było nim oddychać, choć było niezwykle suche. McKay zsunął się na ziemię i przytrzymał drzwi Arii. Dziewczyna zawahała się przez moment, po czym wysiadła z mikrobusu i ruszyła za pułkownikiem do budynku. Poczula na twarzy uderzenie wiejącego nieustannie z północnego zachodu wiatru, zwanego Shamal. Mikroskopijne ziarenka piasku zakłuły ją w oczy. Uniosła rękę, żeby zasłonić oczy przed wiatrem i słońcem. Posuwała się naprzód niepewnym

krokiem, zwolniła odrobinę. Zbliżywszy się do wejścia obejrzała się szybko na Charliego, uśmiechnęła i szepnęła „do zobaczenia”.

Lotnisko międzynarodowe Newark,  
Jersey City, New Jersey, USA  
06.14 czasu miejscowego

Rashid Abdul-Mohammad stał w kolejce, czekając wraz z innymi pasażerami na odprawę celną. W jednej ręce trzymał znoszony, skórzany neseser; przez drugą przewiesił marynarkę. Wyglądał na znudzonego powolnym posuwaniem się kolejki. Zbliżał się, krok po kroku, do stanowiska agentki imigracyjnej, przez cały czas modląc się w myśli.

Agentka uniosła dłoń i skinęła na niego. Rashid podszedł i szybko położył w okienku wymagane dokumenty.

Kobieta obejrzała starannie paszport i powiedziała:

- Dzień dobry, panie Abdul-Mohammad.

Uśmiechnął się z trudem i kiwnął głową w jej stronę.

- Co pana sprowadza do Nowego Jorku?

- Interesy - odpowiedział krótko. - Handluję dziełami sztuki z Bliskiego Wschodu - perskimi dywanami i obrazami.

Urzędniczka spojrzała ponownie w jego papiery i zapytała:

- Czy może mi pan powiedzieć, jak się panu dzisiaj leciało?

- Och, świetnie. Długo, ale wygodnie.

- Jak widzę, przyleciał pan liniami Delta, z Frankfurtu. Jak się panu leciało do Frankfurtu? Czy z Dubaju także skorzystał pan z samolotu linii Delta?

Arab poczuł się zupełnie skołowany. Zastanowił się nad odpowiedzią. Nie pamiętał. Delta? Air France? Lufthansa? I dlaczego ta kobieta o to pyta? Czemu ją to interesuje?

O Allahu!... - westchnął. Poczul ucisk w piersiach. Czy agentka biura imigracyjnego coś podejrzewa? Pomyślał przez moment o swoich dzieciach. Serce zaczęło walić mu jak młotem, zaschło mu w gardle. Kobieta patrzyła na przybysza ze zniecierpliwieniem, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, co on przeżywa. Rashid w końcu wykrztusił:

- Lufthansa, proszę pani. Leciałem samolotem Lufthansy. Wyleciałem w Dubaju do Frankfurtu niemieckimi liniami i przesiadłem się tam w samolot linii Delta.

Urzędniczka zlustrowała Mohammada, po czym zaznaczyła coś w jego paszporcie i przystawiła dwie pieczątki.

- No, dobrze - powiedziała - mam nadzieję, że uda się panu pobyt w Nowym Jorku. I, że ma pan parasol. Wieczorem będzie padać.

Po tych uprzejmych słowach machnęła ręką, pozwalając Rashidowi odejść. Arab odwrócił się i przeszedł przez obrotowe drzwi do sekcji celnej, gdzie stały długie kolejki.

Zanim jednak agentka biura imigracyjnego skinęła na następnego pasażera, sięgnęła po zawieszoną pod blatem słuchawkę telefonu, wystukowała numer i zdała relację ze



swoich obaw. Następnie opisała ubiór Abdul-Mohammada i podała jego rysopis. Odwiesiła słuchawkę i zajęła się kolejnym oczekującym.

Załatwiwszy formalności celne, Abdul-Mohammad znalazł się w dolnym hallu lotniska Newark. Budynek wyglądał dokładnie tak, jak go pamiętał. Ściany zwracały uwagę pastelowymi odcieniami zieleni i niebieskiego. Za pomocą kolorowego wystroju wnętrza architekt starał się sprawić, żeby stary budynek terminalu wydawał się nowy i nowoczesny. Rashid wyjrzał przez brudną szybę na poplamioną płytę lotniska i widniejące w odległości wieżowce Manhattanu.

Podszedł do stoiska z przekąskami i kupił colę i kanapkę. Zajął miejsce przy jednym ze stolików, wybierając znajdujący się w rogu. Ze swojego krzesła mógł obserwować zjeżdżających po ruchomych schodach nowo przybyłych pasażerów. Przyglądał się uważnie ludziom przez całe dwadzieścia minut, skubiąc po kawaleczku kanapkę i sącząc napój. Starał się zapamiętywać twarze, ubrania, buty, okulary, włosy - wszystko, co było w każdym charakterystycznego; na wypadek, gdyby później znowu zobaczył gdzieś jedną z widzianych osób. Jeśli był śledzony, chciał o tym wiedzieć. Jeżeli Amerykanie coś podejrzewali, musiał całkowicie zmienić plany.

Usatysfakcjonowany, wstał w końcu od stolika, założył torbę na ramię i wyszedł z budynku.

Skinął na taksówkę, zajął miejsce i rzucił kierowcy przez oddzielającą ich, na wprost otwartą, szybę z pleksiglasu:

- Do hotelu Hilton, tego w centrum. - Kierowca wrzucił bieg i stary, żółty oldsmobile energicznie ruszył.

W nowojorskim wydziale antyterrorystycznym FBI pracuje kilkuset agentów. Spoczywa na nich niemożliwe niemal do wypełnienia zadanie śledzenia ludzi podejrzewanych o szpiegostwo wojskowe czy przemysłowe, wymuszających haracze, sabotażystów, oraz obcokrajowców powiązanych z ugrupowaniami terrorystycznymi. Przez większość czasu funkcjonariusze obserwują podejrzanych członków personelu ONZ oraz pracowników ambasad nieprzyjaznych Stanom Zjednoczonym państw. Jednakże do obowiązków agentów należy również bezproduktywna i nieznośnie monotonna czynność śledzenia tysięcy podejrzanych podróżnych, którzy przybywają do miasta poprzez trzy wielkie lotniska.

Furgonetka FBI znalazła się o cztery samochody za żółtą taksówką, którą jechał Rashid. Przez całą drogę trzymała się w bezpiecznej odległości od taksówki, nie zmieniając pasa ruchu, tak, aby nie zwracać uwagi. W tej chwili, siedzący obok kierowcy doświadczony agent, nazwiskiem Pisco, jadł właśnie kanapkę. Za kierownicą siedział młody funkcjonariusz, z krótkim stażem. Nerwowo obserwował ulicę przed sobą, jednocześnie zerkając co chwila w lusterko wsteczne.

- Dlaczego go śledzimy? - zapytał po raz kolejny.

Pisco przełknął kęs chleba, wędliny i sera, po czym otarł usta serwetką.

- Nic poważnego. Rutyna. Urzędniczka na cle miała wątpliwości, co do jego przybytu z Dubaju. Nie było powodu, żeby go zatrzymywać i robić przesłuchanie; ale zgodnie z nowym regulaminem bezpieczeństwa musimy go sprawdzić. I tak okaże się, że niepotrzebnie; mogą się założyć. Tak czy owak, dobrze ci robi, jeśli trochę więcej czasu spędzisz za kółkiem tego pudła. Poćwiczysz sobie procedury obserwacji. Pilnuj go i patrz, dokąd jedzie.

Nowicjusz posłusznie skinął głową, wytrzeszczył oczy i pilnie śledził taksówkę, która wjeżdżała w samo centrum Manhattanu.

Abdul-Mohammad wysiadł z taksówki przed hotelem. Kierowca usłużnie wyskoczył, żeby otworzyć bagażnik. Rashid wziął swoją torbę i wręczył taksówkarzowi trzydzieści dolarów. Nie czekając na resztę, szybko zniknął wewnątrz budynku. Furgonetka FBI zatrzymała się pięćdziesiąt metrów za wejściem, minawszy taksówkę, która niespodziewanie stanęła. Dwaj agenci popatrzyli za Arabem, obojętnym wzrokiem, po czym zanotowali w raportówce czas i okoliczności.

Starszy z funkcjonariuszy, nie odrywając wzroku od szybko znikającego za szklanymi drzwiami mężczyzny powiedział:

- Powiadomię chłopców z jednostki od ONZ. Niech oni się nim zajmą. Na razie wiele więcej tu nie zdziałamy. To i tak zwykły, nieszkodliwy facet. Nie robi wrażenia typowego terrorysty, o których cię uczyli. Leszcz. Możemy go olać.

Młody agent przytaknął posłusznie po raz kolejny, zgadzając się ze swoim dowódcą. Nie wątpił w słuszność jego osądów.

Szaroniebieska furgonetka ruszyła i agenci zajęli się ważniejszym zadaniem, które na nich czekało. Po południu koło wejścia do hotelu ustawił się samochód innej drużyny. Obserwacja wymagała dużo wysiłku, a i tak funkcjonariusze nawet nie przekroczą progu hotelu Hilton.

Rashid minął zatłoczoną recepcję i znalazł się w obszernym hallu, pełnym ludzi. Przez następne pół godziny czekał, nie ruszając się z miejsca i ciągle spoglądał na zegarek. Starał się robić wrażenie zniecierpliwionego biznesmana. W końcu, chwycił torbę i neseser i wyszedł bocznymi drzwiami. Znalazł się na Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy. Podniósł rękę i natychmiast złapał kolejną taksówkę.

- Proszę mnie zawieźć na Times Square. - rzucił niedbale. - Chciałbym rozejrzeć się trochę po mieście. Potem pojedziemy może Broadwayem i przez dzielnicę butików.

Kierowca skłonił głowę. Było mu wszystko jedno, dokąd wozi pasażerów, póki tylko płaćli.

Dwadzieścia minut później Abdul-Mohammad znalazł się na rogu Dziesiątej Alei i Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Motel Pontiac znajdował się nieopodal. Rashid wysiadł z taksówki i przeszedł kilkaset metrów jakie dzieliły go od motelu.

Znalazłszy się w środku, podszedł do recepcjonisty i, zgodnie z oczekiwaniem, otrzymał klucze do pokoju zarezerwowanego na jego nazwisko. Spytał, czy nie zostawiono do niego jakichś wiadomości, a potem podszedł do automatu telefonicznego. Wrzucił ćwierćdolarówkę i wykręcił numer za granicę. Uzyskawszy połączenie, powiedział kilka słów, po czym odwiesił ją szybko i pojechał windą na szesnaste piętro.

## „Wesz Siedem Cztery”, nad pustynią, Arabia Saudyjska 21.30 czasu miejscowego

Wielki samolot - znacznie zmodyfikowana i bardzo kosztowna wersja turbośmigłowego transportowca C-130 - wszedł w łagodny zakręt, zbliżając się do granicy Iraku. Zarówno niebo, jak i rozciągająca się w dole pustynia Jebel Shammar wydawały się zupełnie czarne, tak, że nie sposób było wyodrębnić linii horyzontu. Piloci utrzymywali wysokość sześciu tysięcy metrów, wykonując szeroki krąg. Cały czas pozostawali po saudyjskiej stronie granicy.

Lot trwał już od ponad sześciu godzin. Załoga miała znaleźć się na ziemi dopiero za dwie godziny, kiedy to nadleci drugi samolot i przejmie ich obowiązki. Wtedy wrócą do Dżahranu. Na lotnisku miną się z trzecią załogą, czekającą na rozkaz startu.

Nasłuch z powietrza będzie prowadzony bez najmniejszej przerwy. Pentagon wydał jasne rozkazy: Latające Ucho ma pozostawać w powietrzu.

Na pokładzie specjalnie wyposażonego płatowca znajdowało się trzydzieści różnego rodzaju anten i odbiorników, zaprojektowanych po to, żeby wykryć i odebrać każdy przekaz, jaki tylko się da. W tylnej części kabiny pracowało dwudziestu kilku zatrudnianych przez wywiad lingwistów. Siedzieli pochyleni nad monitorami, na uszach mieli słuchawki. Patrzyli nieobecny wzrokiem albo zamykali oczy, koncentrując się całkowicie na dźwiękach, wychwytywanych przez odbiorniki.

Przy trzeciej konsoli znajdował się młody porucznik David O'Brian. Jego zadaniem był nasłuch długodystansowych rozmów telefonicznych, prowadzonych z terytorium Iraku.

Usłyszawszy w słuchawkach trzask, porucznik uniósł głowę. Rozmowa odbywała się z użyciem telefonu komórkowego. Wydawało mu się to dość szczególne, ponieważ w Bagdadzie nie było ich zbyt wiele. O'Brian słuchał uważnie mówiącego po arabsku mężczyzny. Padło nazwisko, które spowodowało, że David aż podskoczył. Dzwoniący rozmawiał właśnie z Udajem Husajnem.

Młody oficer zdziwił się bardzo. Mówiący musiał być nierozsądny albo źle wyszkolony, ponieważ wszystkie irackie służby już dawno wiedziały, że rozmowę z telefonu komórkowego łatwo podsłuchać z powietrza. Rozmówca Udaja Husajna powinien wykazać więcej ostrożności i w żadnym wypadku nie wymieniać jego nazwiska.

Porucznik podkreślił głośność i upewnił się, że rozmowa jest rejestrowana. Skinął na dowódcę i zaczął robić notatki.

Rozmowa była krótka; trwała niecałe trzy minuty. Kiedy się skończyła, komputer natychmiast ponownie przełączył odbiornik na tryb wyszukiwania. Dowódca O'Briana

podłączył swoje słuchawki do gniazda w jego konsoli. David cofnął taśmę, po czym dwaj mężczyźni przesłuchali uważnie rozmowę.

Była to dziwna dyskusja, pełna niedokończonych zdań, a nawet słów. Mówiono coś o „dostarczeniu „tego”, a także o „hotelu”, oraz „sprawdzeniu, czy jest przesyłka”. Sens rozmowy nie był jasny, co dawało dwom oficerom do myślenia. Co konkretnie chciał przekazać dzwoniący?

- Jesteś pewny, że to był Udaj Husajn? - spytał dowódca.

- Tak myślę, sir. Słyszałem jego głos już trzy czy cztery razy. Oczywiście, potwierdzić to będzie mógł dopiero analityk, kiedy wylądujemy w Dżahranie.

- Sądziś, że rozmowę prowadzono z innego kontynentu?

- Jestem prawie pewien. Połączenie odbyło się za pośrednictwem centrali w Al'Azizya. Do tej pory oznaczało to zawsze rozmowę transkontynentalną.

- Dobrze - odparł dowódca. - Zobacz, czy da się namierzyć współrzędne geograficzne komórek obu rozmówców.

- Już próbowałem, sir, ale nic z tego. Wie pan, Projekt 858.

Starszy oficer pokiwał głową. Projekt 858 to oznaczenie irackiej agencji zajmującej się podsłuchem elektronicznym i przeciwdziałaniu mu. Pracowało w niej prawie tysiąc techników i analityków, w sześciu różnych ośrodkach rozlokowanych w wielu punktach kraju. Wszystkie rozmowy międzynarodowe, zarówno napływające, jak i wypływające, ostatecznie przechodziły przez centralę Projektu 858, znajdującą się w Al Rashedia - niewielkim mieście leżącym koło Bagdadu. Zagłuszarki i maszyny kodujące uniemożliwiały namierzanie rozmów przez przeciwnika.

Dowódca O'Briana przesłuchał nagrania po raz drugi i polecił:

- Prześlij tę rozmowę na szybkim nadawaniu do Dżahranu. Niech nasi agenci przesłuchają jej i zastanowią się, co to może być.

Porucznik skinął głową i wziął się do pracy. Dowódca patrzył mu przez chwilę na ręce, po czym wrócił na swoje stanowisko.

David zakodował wiadomość, wysłał ją w formie krótkiego strumienia fal do bazy w Dżahranie, a potem postanowił po raz drugi spróbować namierzyć rozmówcę.

Pracował nad tym przez całe półtorej godziny, korzystając z supertajnego, złożonego programu komputerowego, dokonującego obliczeń geometrycznych. Kilkakrotnie łączył się z satelitą, prosząc o dodatkowe informacje. Komputery starały się sprecyzować współrzędne, jednak ciągle były wprowadzane w błąd. Porucznik pracował dalej; raz nawet wydawało mu się, że jest już bliski celu. Puls przyspieszył mu prawie dwukrotnie, a z palców odpłynęła krew. Jednak po chwili zagłuszarki włączyły się na odpowiedniej fali i komputer się zresetował.

Młody oficer czuł, że prawie mu się udało. Wsadził bezużyteczny wydruk do torby, przeznaczonej na dokumenty do spalenia, po czym spróbował po raz kolejny. Mijał czas, pracowały urządzenia warte osiemdziesiąt milionów dolarów, a mimo to, O'Brian nie był w stanie złamać kluczowego kodu.

Mimo złości, czuł także podziw dla nieprzyjaciela. Chłopcy z Projektu 858 robili dobrą robotę. Wypróbował wszystkie narzędzia, jakimi dysponowały Stany Zjednoczone, i nic.

Jednak rozmowa była ważna. Na pewno. Słyszał to w tonie, jakim ją prowadzono. Rozmówca Husajna wydawał się bardzo spięty, mimo że starał się zachować spokój. I wahał się. Wydawał się bardzo niepewny siebie. Porucznik był przekonany, że coś się szykuje.

Sfrustrowany, wstał od swojego pulpitu, ogarnięty dziwnym uczuciem. Zesztywniały mu plecy i zdrętwiały obie nogi. Poczul w nich teraz nieznośne klucie, jakby dziesiątków igiełek. Popatrzył na zegarek. Za niecałe piętnaście minut samolot skręci na południe i polecą do bazy.

Porucznik rzucił któreś z kolei przekleństwo, po czym postanowił odłożyć problem na jutro. Wczesnym rankiem będzie tu znowu. Może, jeśli nie zajmie go nic pilniejszego, jeszcze raz spróbuje namierzyć rozmówców.

## 23.

### Baza lotnicza Prince Sultan, Al Kharj, Arabia Saudyjska 11.50 czasu miejscowego

Zespół personelu pomocniczego inspektorów do spraw uzbrojenia działających z ramienia Organizacji Narodów Zjednoczonych miał wylecieć do Bagdadu z bazy Prince Sultan za niecałe dwie godziny. Biały Dom polecił Arii dołączyć do tej grupy. Każdy z dziewiętnaściorga pracowników ONZ miał ważny paszport, wizę i kartę ze zdjęciem, poświadczającą posiadanie immunitetu dyplomatycznego.

Wprawdzie włączenie przez USA Arii do grupy przedstawicieli ONZ było technicznie możliwe, stało jednak w sprzeczności z zasadami dyplomacji, stanowiło pogwałcenie prawa międzynarodowego, i to w kilku punktach, oraz karty Narodów Zjednoczonych. Departament Stanu nigdy by na coś podobnego nie pozwolił - gdyby tylko wiedział o misji panny Cutter. Kierownictwo ONZ tym bardziej udaremniłoby pomysł, podnosząc wielki raban. Z konieczności, akcję prowadzono w ścisłej tajemnicy, tak, że wiedziało o niej zaledwie kilka osób na całym świecie.

Nawet pułkownik Wisner nie był pewien, w jaki sposób Aria zostanie przerzucona do Bagdadu. W tym momencie wypełniał tylko rozkazy. Miał odwieźć ją do terminalu pasażerskiego bazy Prince Sultan i przekazać następnemu opiekunowi.

Kiedy panna Cutter weszła do niewielkiego budynku terminalu, zobaczyła kręcących się po hali inspektorów z różnych krajów. Pułkownik przecisnął się przez tłum i dwukrotnie zapukał do drzwi małego pokoju znajdującego się przy bocznym korytarzu. Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi i skinął na Arię, żeby weszła do środka.

Zza małego, metalowego biurka wstał mężczyzna w mundurze brytyjskiego oficera. Podeszedł do panny Cutter, przyjrzał się jej i wyciągnął z kieszeni na piersi plik dokumentów.

- Pani papiery - powiedział obojętnym tonem. - Proszę ich nie zgubić, bo nie wróci pani do domu.

Aria spojrzała na dokumenty. Był to paszport i karta informująca o statusie dyplomaty.

- Jestem major Austin - przedstawił się oficer. - Będę się dzisiaj panią opiekował. Instrukcje dla pani są proste. Po pierwsze, proszę trzymać się blisko mnie, robić to, co powiem, i nie rozmawiać z nikim. Będziemy podróżować z grupą obywateli krajów Trzeciego Świata. ONZ zatrudnia przedstawicieli prawie wszystkich krajów świata, i proszę nie wyobrażać sobie, że fakt, iż dzisiaj są tu razem z nami oznacza, że się z nimi przyjaźnimy. Dlatego, proszę uważać na słowa i nie oddalać się zbyt. ...Poza tym, nie chcę wiedzieć, dlaczego zlecono mi odtransportowanie pani do Iraku. To nie ma znaczenia i nie powinno zostać wyjaśnione.

Ani mnie, ani im. - Wskazał w stronę głównej hali. - Nikomu; aż do czasu, kiedy zostanie pani przekazana pod straż następnego opiekuna, w Bagdadzie. Wreszcie, proszę zapamiętać jeszcze jedną rzecz, pani Ario. To bardzo, bardzo ważne.

Od tej chwili proszę nie uważać nikogo - podkreślam: absolutnie nikogo - za swojego przyjaciela. Liczyć może pani jedynie na dwóch ludzi. Na mnie, oraz na pani opiekuna w Bagdadzie, do którego będzie się pani zwracać „Osman”. Nikomu innemu nie wolno pani ufać. Nikt inny nie jest pani przyjacielem.

Aria patrzyła na Anglika uważnie. Zmrużyła wystraszone oczy i wyprostowała się odrobinę. Znów zaczynał się w niej budzić instykt przeżycia, intuicja, strach, nienawiść. Spojrzała mężczyźnie prosto w oczy.

- W porządku, panie majorze - odparła. - Muszę się przebrać, a potem, wyruszajmy.

Trzy godziny później panna Cutter, w towarzystwie Brytyjczyka, wylądowała w Bagdadzie. Członkowie delegacji zajęli miejsca w półciężarówkach oraz samochodach terenowych. Konwój, poprzedzany przez mały oddział irackich żołnierzy, ruszył przez przedmieścia Bagdadu w stronę znajdującego się na południu miasta przedstawicielstwa ONZ. Posuwali się powoli, zachowując minimalne odstępstwa między samochodami.

W połowie drogi napotkali na betonową barykadę, którą postawiono w poprzek ulicy. Czuwało przy niej kilkunastu żołnierzy. Dowódca konwoju - iracki pułkownik w mundurze polowym - natychmiast wysiadł i zaczął klócić się z nimi, zdenerwowany opóźnieniem. Wartownicy jednak nie opuszczali swoich pozycji do czasu, aż nie otrzymają konkretnego rozkazu od własnego dowódcy. W tym czasie, delegaci ONZ powysiadali z samochodów i stali w nieznośnym upale, czekając na łaskawe zezwolenie na przejazd. Aria pozostała w swojej półciężarówce, skuliła się, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Prowadzący konwój pułkownik dopiął swego po pół godzinie. Wtedy żołnierze zza barykady zaczęli machać na konwój, żeby przejeżdżał.

Tego rodzaju opóźnienia nie były niczym wyjątkowym. Inspektorzy już dawno przyzwyczaili się, że Irak stara się przeszkodzić im w pracy. I tak Irakijczycy dokuczali im,

zastraszali i łamali postanowienia wspólnoty międzynarodowej w znacznie poważniejszy sposób. Starali się nieustannie uświadamiać inspektorom, kto tak naprawdę rządzi terytorium, na którym się znajdują. I przypominali wciąż, że mit o potężnym i wszechwiedzącym ONZ pozostaje tylko mitem, w który mogą wierzyć jedynie naiwni przywódcy państwowi. Na obszarze Iraku przedstawiciele ONZ traktowano - nie bez słuszności - jak głupawych biurokratów, którzy ani przez moment nie zdołali zakłócić zbrojeń tego kraju ani badań nad nowymi broniąmi.

Po minięciu barykady, delegacja posuwała się dalej powoli przez miasto i po dwudziestu minutach dotarła do celu, wjeżdżając przez otwartą bramę do ośrodka.

Aria miała zostać na miejscu tylko do zmroku. Przez całe popołudnie siedziała zamknięta w małym pokoiku brytyjskiego oficera. Było tam pełno kurzu, ciasno i nieznośnie gorąco. W którymś momencie Anglik wszedł do pokoju, przynosząc pannie Cutter gorący posiłek i używane ubranie. Począł, aż dziewczyna zje. Mało się jednak odzywał; wyglądał tak, jakby trapiło go jakieś zmartwienie. Aria zjadła ile mogła, mimo że czuła ucisk w żołądku. Wypiła też cały litr wody. Oficer zabrał tacę i wyszedł. Dziewczyna zwinęła się na niewielkiej kanapie i spróbowała zasnąć.

Kwadrans przed dziewiątą - zaraz po zachodzie słońca - Brytyjczyk przyszedł znowu i zaprowadził dziewczynę do suchego żywopłotu, biegnącego wzdłuż tylnego krańca obiektu. Zobaczyła tam wyciętą w drucianym płocie niewielką dziurę. Po jej drugiej stronie widoczna była zapuszczona uliczka, wiodąca w stronę obozu uchodźców. Robiło się coraz ciemniej. Aria czuła już dochodzący z zewnątrz smród moczu i gnijących odpadków. Stała przez długą chwilę koło oficera, podczas gdy ten uważnie obserwował uliczkę.

Dziewczyna była teraz ubrana w znoszoną, czarną, powiewną szatę, nazywaną *thob*. Na nogach miała stare, skórzane sandały. Głowę owinęła szarym, bawełnianym zawojem. Otuliła nim twarz tak, że ledwie było widać jej oczy. Włosy poupiła pod *ghutrą* spinakami, tak jak robiły to uboższe mieszkanki Bagdadu. Anglik przyjrzał się dziewczynie i pokazał na jej stopy, ledwie widoczne spod szaty.

- Proszę opluć sobie nogi i wetrzeć w nie kurz - powiedział. - Nie wygląda pani na miejscową dziewczynę - pani stopy są o wiele za delikatne. Powinny być wysuszone i popękane. Oczywiście, trudno to w tej chwili sprawić, ale niech pani przynajmniej spróbuje je ubrudzić.

Aria postąpiła zgodnie z zaleceniem. Kiedy się wyprostowała, oficer skinął głową z aprobatą. Sięgnął do kieszeni i wyjął iracki dowód osobisty oraz pieniądze - odpowiednio zużyte banknoty. Dziewczyna oddała Anglikowi swoje sfalszowane papiery pracownicy ONZ. Schowała pod szatą otrzymane dokumenty i odebrała od Anglika mały, pleciony koszyk, okryty pożółkłym papierem. Czuć było spod niego zapach ryb. Dziewczyna uniosła papier i zobaczyła, że istotnie w środku są ryby. Brytyjczyk dotknął przez moment jej ramienia, po czym odciągnął fragment siatki.

- Proszę pamiętać - odezwał się - że od tej pory może pani ufać tylko jednemu człowiekowi. Kiedy znajdzie się pani po drugiej stronie tego płotu, nie będę już mógł pani pomóc. Z tymi dokumentami jest pani zwykłą Irakijką oczywiście pod warunkiem, że nie

zorientują się, iż jest pani szpiegiem. Dlatego, kochanie, niech pani będzie ostrożna. Proszę zastanowić się za każdym razem, zanim się pani odezwie. Niech pani teraz pójdzie na rynek. O dziewiątej trzydzieści zaczyna się godzina policyjna, więc ma pani zaledwie czterdzieści minut na skontaktowanie się z Osmanem. Proszę iść do piekarni. On tam wejdzie, żeby panią odnaleźć. Powodzenia. Niech pani już rusza.

Aria bez wahania nachyliła się i przeszła przez dziurę w płocie. Ruszyła w noc, szybko niknąc w ciemności.

Brytyjski oficer popatrzył za nią wzrokiem pełnym troski. Zamknął oczy i nasłuchiwał oddalających się kroków, po czym zacisnął usta. Był sfrustrowany i rozżłoszczony. Po raz kolejny przeklinał swoich zwierzchników.

Ta dziewczyna stała w obliczu zbyt wielkiego ryzyka. Miał nadzieję, że się myli, jednak jego zdaniem iracki wywiad wkrótce zacznie deptać jej po piętach.

Opóźnienie przy barykadzie już wzbudziło podejrzania Anglika. Zauważył na dachach pobliskich budynków fotografów oraz irackich szpiegów ukrytych za stróżówką. Kiedy tylko nadarzyła się sposobność zdał relację ze swoich obaw zwierzchnikom. Spytał, czy na pewno powinien pozwolić dziewczynie iść. Przeczekawszy popołudnie, otrzymał rozkazy od MI-5. Stany Zjednoczone podjęły decyzję. Należy natychmiast wysłać dziewczynę. Jej misja nie może się opóźnić.

Fotografowie irackiego wywiadu zdążyli zrobić kilkaset zdjęć czekającej przed barykadą delegacji ONZ. Mimo że Aria pozostawała w samochodzie, widniała na dwudziestu kilku zdjęciach, tym wyraźniejszych, że szyby w drzwiach pojazdu były opuszczone.

Wczesnym wieczorem, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dziewczyna przechodziła przez dziurę w płocie, fotografowie zakończyli wywoływanie zdjęć. Każde z nich zostało obejrzane i opisane nazwiskami zidentyfikowanych osób, które porównano z listą uzgodnioną z Inspektorem Generalnym ONZ. Następnie fotografie dołączone zostały do niezwykle szczegółowych dossier, opisujących wszystkich pracowników Organizacji Narodów Zjednoczonych, jacy kiedykolwiek pojawili się w Iraku.

Ponieważ Aria nie pasowała irackim agentom do żadnego nazwiska z listy, natychmiast powiadomiono o tym generała Aziza ibn Al-Sauda, szefa Irackiej Organizacji Bezpieczeństwa Specjalnego, który był osobiście odpowiedzialny za ocenę i opanowywanie wszelkich zagrożeń, jakie mogły ewentualnie dotyczyć osoby Saddama Husajna. Generał przyglądał się zdjęciom przez kilka minut. To było coś niezwykłego. ONZ zawsze postępowało zgodnie z ustaleniami. A może, jego przedstawiciele także nie wiedzieli, kim jest dziewczyna?

Wyglądała niemal na Irakijkę; miała pociągłe rysy, ciemną karnację i czarne włosy. Poza tym, dawało się zauważyć coś jeszcze. W jej oczach widać było strach, niepewność. Trzymała głowę w charakterystyczny sposób, i zaciskała usta. Al-Saud już setki razy widywał podobnie reagujących ludzi. Wiedział, że dziewczyna ma coś do ukrycia.



Generał wydał rozkazy adiutantowi. Natychmiast zatelefonowano do głównego przedstawicielstwa ONZ w Bagdadzie. Rozmowę podjął jakiś brytyjski oficer. Po kilkuminutowej dyskusji wyjaśnił Irakijczykom, że dziewczyna jest asystentką głównego inspektora.

- Chciałbym się z nią spotkać - odpowiedział na to iracki generał. - Obejrzeć jej dokumenty. Nie mamy jej na otrzymanej przez nas liście. Do czasu, kiedy sprawa zostanie wyjaśniona, obecność tej kobiety w naszym kraju jest jawnym i nieuzasadnionym pogwałceniem uzgodnionych zasad.

- Oczywiście, oczywiście. Zorganizuję spotkanie. Czy pasuje panu czwartek rano?

- A nie pasuje wam natychmiast?! - warknął generał.

Wtedy zaczęły się wymówki. Al-Saud spodziewał się, że może je usłyszeć. Kilka minut po tym, jak odłożył słuchawkę, podległe mu siły bezpieczeństwa przystąpiły do działania. Cała iracka machina kontrwywiadowcza została postawiona w stan alarmu. Fotografii dziewczyny przesłano wszystkim przedstawicielom lokalnych władz i każdej komórce wywiadowczej. Nad ranem, młodej intruzki poszukiwało już kilka tysięcy irackich żołnierzy i policjantów.

## Kapitol, Waszyngton, USA 15.10 czasu miejscowego

Prezydent uczestniczył w spotkaniu z liderami Kongresu, zorganizowanym w biurze lidera senackiej większości. Kongresmani byli niespokojni i domagali się od administracji raportu w sprawie katastrofy Air Force One. Prezydent w żadnym wypadku nie zamierzał wyjawić im prawdy. Nie mogło być o tym mowy, dopóki nie zakończy się bagdadzka misja.

Po dwudziestu minutach, spotkanie zostało przerwane delikatnym pukaniem do drzwi. Jeden z młodych asystentów wpuścił Brenta Hillarda. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego podszedł do prezydenta. Ten przeprosił na chwilę i wyszedł na patio, znajdujące się na zewnątrz. Była to olbrzymia, kamienna weranda, o pokrytych płaskorzeźbami murach, sięgających mężczyznom do piersi. Szła wzdłuż północnej ściany budynku Kapitolu. Prezydent nie oddalał się zbyt od drzwi, uważając, jak zwykle, żeby nie wystawić się zbyt długo na widok - czy strzał - z zewnątrz.

Hillard oparł się o biały kamień i odezwał się ściszym głosem. W miarę jak mówił, Brooks zasępiął się coraz bardziej.

- Szukają dziewczyny - mówił Brent. - Mamy raport od naszego człowieka z delegacji ONZ. Ten brytyjski pułkownik, z którym już współpracowaliśmy. Był zdania, że prawdopodobnie panna Cutter mogła zostać sfotografowana przy jednym z punktów kontrolnych w Bagdadzie. Uznaliśmy że prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest niewielkie i że warto podjąć ryzyko. Jednak od tamtej chwili podsłuchaliśmy już sześć rozmów telefonicznych pomiędzy różnymi irackimi komórkami wywiadowczymi, dotyczących tej sprawy. Szukają naszej dziewczyny.

Brooks rzucił ciche przekleństwo i odwrócił wzrok.

- Znajdą ją? - spytał krótko.

Hillard zawahał się, nie miał pojęcia.

- Trudno powiedzieć, sir - przyznał w końcu. - Bagdad to wielkie miasto, a ona nie będzie sama zbyt długo. Kiedy tylko skontaktuje się ze swoim opiekunem, spróbują ją ukryć. Ale z drugiej strony, wiesz, że Irak to prawdziwe państwo policyjne. Mają w kraju więcej agentów bezpieczeństwa niż żołnierzy w armii. Nie można przejść jednej przecznicy, żeby nie spotkać jakiegoś patrolu.

Nie da się przejechać przez miasto, żeby nie zostać przynajmniej dwa razy zatrzymanym. Jeśli dziewczyna się przestraszy, wszystko się zawali, i to na nasze głowy. Ale jeżeli zachowa zimną krew i ostrożność, powinno jej się udać.

Prezydent popatrzył na zachód, ponad obszarem zieleni, w stronę Mauzoleum Lincolna. Jego twarz pozostawała niewzruszona. Hillard patrzył na przyjaciela. Wreszcie się odezwał:

- Jest jeszcze coś. Irackie siły zbrojne zostały postawione w stan najwyższej gotowości. Gwardia Republikańska otrzymała rozkazy opuszczenia koszar. Siły ochrony granicy są gotowe do natychmiastowego podjęcia walki. Każda rakieta, radar, bateria przeciwlotnicza, czeka na atak. Rakiety przeciwlotnicze wycelowano na południe, w kierunku naszych baz w Kuwejcie i Arabii Saudyjskiej. Uzbrojono też i zatankowano sześć irackich dywizjonów myśliwskich, stacjonujących w Shithatha i Al Musaiyib. Dwanaście MiG-ów 29 i osiem SU-27 czeka na pasach startowych.

Saddam wie, że podejmujemy akcję i szykuje się na jej odparcie. Meldunek o obecności Amerykanki - szpiega postawił go w stan alarmu. Nie wiem, co myśli, ale najwyraźniej spodziewa się najgorszego i czeka na uderzenie odwetowe z powietrza. Teraz, kiedy szukają dziewczyny i postawili wojsko w stan gotowości, szanse powodzenia naszej misji gwałtownie zmalały. Musimy rozważyć dalsze kroki, na wypadek porażki. Trzeba ratować sytuację, zanim wymknie się spod naszej kontroli.

24.

Baza lotnicza Prince Sultan, Al Khan, Arabia Saudyjska  
19.00 czasu miejscowego

Panowie, mamy do czynienia z MOOTW - Działaniami Wojskowymi Innymi Niż Wojna. Oznacza to inne reguły działania, chociaż takie samo jego natężenie. Ryzykujecie życie tak samo, jak w przypadku wojny. Rezultat może być nawet ważniejszy. Po prostu nie możemy ponieść porażki, ponieważ zapłacilibyśmy za to zbyt wielką cenę... Nie musimy wam także przypominać - ciągnął pułkownik Wisner - że, aby operacja się powiodła,

musimy dokonać aż osiemnastu prawdziwych cudów z rzędu. Absolutnie najważniejszą sprawą jest czas. Wszystko musi być idealnie zgrane - nie można się spóźnić ani o pięć sekund; nawet o dwie. Każdy z was zna swoje miejsce i zakres zadań, jednak chcę, żebyśmy omówili przebieg misji jeszcze raz.

Wisner mówił do grupy lotników z amerykańskiej Armii oraz Sił Powietrznych. Małeńka sala odpraw, ukryta głęboko pod ziemią, w budynku Dowództwa Operacji Specjalnych, była pełna ludzi. Załogi z Armii miały na ramionach oznaki pilotów śmigłowców szturmowych Apache - najgroźniejszych maszyn tego rodzaju na świecie. Lotnicy z Sił Powietrznych należeli do Pierwszego Skrzydła Operacji Specjalnych, stacjonującego w Hurlbert Field, w stanie Floryda. Latało ono na śmigłowcach MH-60 Nighthawk - znacznie zmodyfikowanych w stosunku do pierwotnej wersji, bardzo złożonych technicznie maszynach, które używano do przerzucania sił specjalnych na terytorium wroga.

Charlie i Alex byli jedyną załogą myśliwca obecną na sali. Stali z tyłu pod ścianą, słuchając uważnie przebiegu odprawy. Obok Wisnera znajdowała się tablica, na której narysowano niebieskie, żółte i czerwone symbole, oznaczające poszczególne maszyny. Dalej, wisiła mapa. Pułkownik przesunął palcem wzdłuż znajdującej się na niej czarnej linii, oznaczającej główną szosę łączącą Bagdad z leżącym na południe od niego miastem Basra. Droga biegła wzdłuż rzeki Tygrys, przez bagna Amary, aż na półwysep Shatt-al-'Arab, gdzie zielone pola jęczmienia i plantacje daktyli prażyły się w nieustępliwym słońcu.

Wisner pokazał na miejsce, gdzie szosa przechodziła przez miasteczko o nazwie Kut.

- Stąd go zabierzemy - oznajmił. - Spodziewamy się, że kiedy w Waszyngtonie zakończą się już uroczystości pogrzebowe naszych nieżyjących przywódców i prezydent będzie miał czas na zastanowienie się, wyda nam rozkaz ataku. Jak niektórzy z was wiedzą, Udaj Husajn, którego od tej chwili będziemy nazywali Pajakiem, ma spotkać się we czwartek ze swoimi generałami, dowodzącymi wojskiem w południowej części kraju. To za pięć dni. Przewidujemy, że narada potrwa aż do późnego popołudnia. Jeśli Pajak nie zmieni swego postępowania, ruszy do Bagdadu po zapadnięciu zmroku. Do tamtego czasu nasza agentka w Iraku - w tym momencie pułkownik zerknął w stronę Charliego - powinna już zainstalować nadajnik, dzięki któremu rozpoznacie cel. Jeśli to się nie uda, wstrzymamy się z akcją, dopóki nie będzie miała okazji wykonać zadania. Nie przypuszczam, żeby to trwało dłużej niż tydzień. Może najwyżej dziesięć dni. Jednak, kiedy już radiolatarnia zacznie działać, będziemy mieli najwyżej trzy dni. Bateria wystarczy na siedemdziesiąt dwie godziny. Dlatego musimy być przez cały czas gotowi, ponieważ nie wiadomo dokładnie, kiedy to nastąpi. ...Nadajnik, po uruchomieniu, będzie przez godzinę wysyłał sygnał naszemu satelicie telekomunikacyjnemu, zawieszonemu nad Zatoką Perską, abyśmy poznali przybliżoną pozycję celu. Później, radiolatarnia przełączy się na tryb małego zużycia energii, żeby bateria starczyła na dłużej. Po odebraniu wstępnego sygnału, z naszego obozu Cobra, na opanowanym przez rebeliantów terenie na południu Iraku, wyruszą śmigłowce. F-15E, czyli Ogar, wystartuje około siedmiu minut później.

Wszystkie maszyny dotrą do punktu uzupełnienia paliwa, a potem spotkają się w wyznaczonym miejscu. ... Jak widzicie na mapie, droga do Kut prowadzi przez kilka mostów. Tam właśnie ustanowimy miejsce naszej akcji. Tam zaatakujemy konwój Udaja, odcinając Husajnowi drogę, aby znalazł się pomiędzy płonącymi pojazdami. Kiedy już zniszczymy jego ochronę, pojmimy go żywcem i zabierzemy z pustyni, jak szczura z klatki. ...Po minięciu przez konwój Udaja pierwszego mostu, Ogar zaatakuje, nadlatując tą wąską doliną. F-15 zniszczy oba mosty, to znaczy zarówno przed, jak i za Husajnem, odcinając konwojowi drogę w obie strony. Wtedy, nasz samolot oraz Apache zaatakują pojazdy. Kiedy znajdziecie się w odległości mniej niż pięciu kilometrów od pojazdu Udaja, powinniście już odebrać dobiegający od niego sygnał niewielkiej mocy, co umożliwi wam identyfikację konkretnego samochodu. Wtedy zniszczycie wszystkie pozostałe auta, ciężarówki, transportery opancerzone; co tam będzie. Powinno to oznaczać całkowitą eliminację ochrony Pajaka, a jednocześnie pozostawienie go całego i zdrowego. ...Dajemy Apache i F-15 trzy minuty na zniszczenie pojazdów. Dokładnie w trzy minuty po wybuchu pierwszej bomby, na miejscu akcji znajdują się Nighthawk z Delta Force na pokładach. Przypominam, panowie, chłopcy z Delta Force, mają zastać jedynie grupę płonących wraków i jeden samochód z Udajem Husajnem, siedzącym w środku jak samotna owca. Delta Force wylądaje i pojmie Pajaka. Kiedy znajdzie się na pokładzie śmigłowca, F-15 i Apache będą oczyszczać Nighthawk drogę, umożliwiając im wydostanie się z Iraku przez granicę z Kuwejtem.

Pułkownik przerwał i zajął do stosu notatek.

- Jeśli chodzi o taktyczne zagrożenie - kontynuował - to mamy ich trzy rodzaje. Po pierwsze, w rejonie akcji znajdują się dwie wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze; jedna w samym Kut, druga na szczycie tej góry. - Wisner pokazał na mapę. - USS Lexington, który płynie pełną parą od rejonu Kuwejtu, ma zniszczyć obydwie za pomocą rakiet tomahawk. Zaczną od trafienia w radary wyrzutni, w momencie, kiedy ruszycie z punktu zbornego do bezpośredniego ataku. To powinno dać wam wystarczająco dużo czasu na dotarcie nad cel. ...Drugie zagrożenie, jakie bierzemy pod uwagę, to myśliwce, stacjonujące w Al Mosaiyib. Kiedy Irakijczycy dowiedzą się, że wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych w Kut zostały zniszczone, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa podniosą w powietrze myśliwce, w oczekiwaniu na frontalny atak z naszej strony. ...Trzecim, i zapewne największym zagrożeniem, będą odpalane z ramienia rakiety przeciwlotnicze SA-7. W każdym transporterze opancerzonym znajdującym się w konwoju, jest ich kilka. Nie ma możliwości zapewnienia, żeby któryś z żołnierzy na ziemi nie zdołał posłać którejś w waszą stronę. Jednak jeżeli F-15 i Apache wykonają swoją robotę, transportery zostaną zniszczone i śmigłowce z Delta Force będą mogły zbliżyć się do celu bez strachu. ...Tak ma wyglądać przebieg rzeczywistej misji. Oczywiście, dzisiejsze ćwiczenia odbędą się na poligonie North Saudi Range. Myśliwce startujące z Riyadh będą udawały Irakijczyków. Oddział wojsk elektronicznych rozmieścił już dwie symulowane baterie rakiet przeciwlotniczych. Wreszcie, Armia wypuści dla nas zdalnie sterowane pojazdy, które posłużą nam za cele. Jak widzicie, zrobiliśmy wszystko, żeby odtworzyć rzeczywiste warunki walki, dlatego wynieśmy z tej próby jak najwięcej. Prawdopodobnie więcej ćwiczeń nie będzie.

Wisner spojrzął na zegarek, po czym jeszcze raz popatrzył na swoich ludzi.

- To chyba tyle - zakończył. - Dowódca lotu, kapitan McKay, przejdzie teraz do planu łączności, trasy lotu nad cel i ucieczki, wysokości lotu poszczególnych maszyn i sygnalizacji o zagrożeniach.

Charlie podszedł do pulpitu i rozpoczął swoją część odprawy. Po pięćdziesięciu minutach, podsumował:

- A zatem, dziś wieczorem ćwiczenia. Jak powiedział pan pułkownik, to jedyna możliwość próby naszej misji. Dlatego proszę was, chłopcy, nie spieprzmy tego. Czy są jakieś pytania?

Zapadła chwila ciszy, po czym kapitan z Armii podniósł rękę i zapytał Wisnera:

- Panie pułkowniku, niepokoi mnie tylko jedno. Jak nasza agentka skontaktuje się z Udajem Husajnem? Jak umieści na nim nadajnik? To znaczy, co ona ma niby zrobić; podejść do niego, podać mu urządzone i powiedzieć: „Przepraszam pana, czy mógłby pan ponosić to ze sobą? I, ewentualnie, kierować w górę. Pokażę panu; trzeba trzymać nad głową, o tak. Dziękuję”. Młody oficer mówił niby ironicznym tonem, jednak w jego głosie słychać było prawdziwą obawę. Oczy wszystkich skierowały się na Wisnera. Kapitan zawahał się chwilę, po czym dokończył:

- Sir, na tyle, na ile to sobie wyobrażam, umieszczenie tego nadajnika na Husajnie jest praktycznie niemożliwe. A przecież, jeżeli agentce się nie uda, to nasza misja jest skazana na klęskę. Proszę postawić się w naszej sytuacji, panie pułkowniku i powiedzieć: czy jest pan pewien, że to w ogóle wykonalne?

McKay zerknął na Wisnera, który powoli pokręcił głową.

- Zamartwianie się tym, co nie należy do pana obowiązków nie ma sensu - odpowiedział.

Kapitan nie chciał jednak ustąpić i ciągnął:

- Rozumiem, sir. Jednak od tego zależy nasze życie. Nie pytam o szczegóły; chcę tylko wiedzieć, czy mamy rozsądne podstawy spodziewać się sukcesu. Czy może nas pan zapewnić, że cel będzie na miejscu, nadajnik nie przestanie pracować, odbiorniki w naszych maszynach wychwycą sygnał, i to pozwoli nam zniszczyć ochronę celu, a jego samego pozostawić przy życiu, i jeszcze wyjść z tego cało?

Wisner rzucił ze złością:

- Chciałbym panu przypomnieć, kapitanie, że przybyliśmy tu, żeby bronić demokracji, a nie głosować w jej ramach. Rozkazy są jasne. Wykona pan zadania, które panu zlecę. A jeśli pyta pan o gwarancje, to wybrał pan niewłaściwą dziedzinę biznesu. Na wojnie nie ma żadnych gwarancji.

Sztylet Jeden, nad pustynią  
na północy Arabii Saudyjskiej

Kapitan McKay położył maszynę na lewe skrzydło i wykonał ostry zwrot. Przeciężenie wgniotło go w fotel. Charlie wytężał mięśnie szyi, spoglądając na prawo,

w poszukiwaniu nieprzyjacielskich myśliwców. Wiedział, że są niedaleko, mimo że jeszcze ich nie zobaczył. Odruchowo napiął mięśnie brzucha, starając się, żeby zbyt dużo krwi nie odpłynęło mu z głowy. Antyprzeciężeniowy kombinezon wypełnił się powietrzem pod ciśnieniem, ściskając nogi i brzuch pilota, pomagał mu.

- Gdzie oni są, „Zabójco”? - zawołał Charlie. - Wiesz, że są. No i co masz?

Żałoga F-15 starała się umknąć amerykańskiemu myśliwcom, które udawały broniącego swego terytorium nieprzyjaciela.

- Na radarze czysto. Mówię ci, że nas nie zobaczyli. Są jakieś siedemdziesiąt pięć kilometrów na południe. Jeżeli zostaniemy w dole, to powinno nam się udać.

Charliemu nie podobały się wyjaśnienia przyjaciela.

- No, nie wiem - odpowiedział McKay - może nie jestem najbystrzejszy, ale mówię ci, że jeżeli będziemy się tu dalej kręcić, to nas dopadną.

Kapitan Bennett mruknął coś pod nosem, opuścił głowę i przetączył radar na maksymalny zasięg. Zgadzał się z Charliem, że bandyci są tuż. I to on miał ich odnaleźć. A mimo to, na ekranie nie było ich widać.

Pilot obserwował tymczasem nocne niebo, czarne jak aksamit. Na saudyjskiej pustyni widniała znikoma ilość światła, a na niebie wisiał cienki rogal księżyca. Ledwie dało się wyodrębnić zarysy trzystumetrowej wysokości góry, wyrastającej z płaskiego terenu po prawej stronie. Po lewej, w dużej odległości, widać było poletko jakby przyciemnionej bieli. Pośród słonej pustyni znajdowało się tam jezioro Wadi al Batin, martwe i nieruchome, tkwiące w tym miejscu od co najmniej tysiąca lat.

Charlie opuścił ręce. Teraz samolot pilotowały komputery do śledzenia terenu. Utrzymywały płatowiec dokładnie dziewięćdziesiąt metrów nad ziemią. Radar i patrzący do przodu system, oparty na podczerwieni, nieustannie badały teren przed myśliwcem, wychwytyjąc wzgórza i wąwozy. Komputery przetwarzały informacje i sterowały samolotem. Utrzymywanie go w ciemnościach na tak małej wysokości, było możliwe jedynie dzięki zastosowaniu systemu do śledzenia terenu. Było o wiele za ciemno, żeby ręcznie pilotować pędzący odrzutowiec pośród pagórków.

Charlie spojrzął na zegarek. Jeszcze dwie minuty. Znowu popatrzył w prawo, szukając w ciemności nieprzyjaciela. Widział tylko grzbiet Płaskowyżu Arma, który wystawał z pustyni dziesięć kilometrów na wschód od F-15 ; szczyt odcinał się nieco od tła nieba, był jeszcze ciemniejszy. Reszta formacji znajdowała się za krawędzią płaskowyżu. Śmigłowce - cztery szturmowe Apache i cztery MH-60 Nighthawk - także krążyły w mroku, a ich załogi czekały niecierpliwie na moment rozpoczęcia szturm, spoglądając na zegarki. W każdym z Nighthawk, pomiędzy działkami firmy Gatling oraz pojemnikami pełnymi pocisków, siedzieli żołnierze Delta Force. Każdy ze śmigłowców wiozł jedną, sześciopersonową drużynę.

Charlie spojrzął na wskaźniki stanu silników i uzbrojenia, a następnie znowu skontrolował czas.

- Jesteśmy prawie gotowi - odezwał się. - Jak tam sprawy wyglądają?

- Świetnie - odparł „Zabójca”. - Radar czuwa. System nawigacji bezwładnościowej pokazuje, że zniosło nas zaledwie o jakieś sto metrów. Wszystko przygotowane.

McKay zaczął odliczać w myśli, patrząc na zegarek.

- Dwadzieścia sekund - oznajmił Bennett z tyłu. Pilot wykonał ostry zwrot w lewo i skierował się w stronę, w którą mieli polecieć. Obciążona bombami i raketami maszyna wibrowała delikatnie. Charlie wyszedł z zakrętu i skierował się na zachód, a następnie zwiększył siłę ciągu do bojowej, to znaczy, tuż poniżej poziomu dopalaczy. Myśliwiec natychmiast wyskoczył do przodu, wciskając McKaya w oparcie fotela. Dwadzieścia sekund po komunikacie „Zabójcy”, dokładnie o dwudziestej zero zero, samolot przeleciał nad wyznaczoną linią i pomknął nad cel.

Śmigłowce znajdowały się daleko przed nimi, gdyż czuwały w pogotowiu znacznie bliżej mostu. Do tego jeszcze, F-15 był ostatnią maszyną, która ruszyła naprzód. Mimo to, ze względu na kilkakrotną różnicę prędkości, będzie pierwszą, jaka dotrze nad cel. Samolot mknął z ogłuszającym hałasem, znaczony w ciemności jasno-żółtym płomieniem wydobywającym się z silników. Kiedy okrążył północną krawędź płaskowyżu, na radarze natychmiast pojawiły się śmigłowce.

- Mam naszych, nisko. Dwadzieścia kilometrów, na pierwszej - oznajmił Bennett.

- Dwa ślady na HUD - zameldował z kolei Charlie. - Znajdziemy się po ich wschodniej stronie. Miniemy ich górą, w odległości jakichś ośmiu kilometrów od celu. Wygląda na to, że wszystko jest dobrze zgrane.

- Jeśli tylko bandyci zostawią nas w spokoju - przypomniał „Zabójca”.

Przed pilotem, na ekranie noktowizora, zaczęły się pokazywać ślady gazów wylotowych z silników śmigłowców. McKay przyjrzał im się dokładnie i wyodrębnił dwie formacje. Cztery Apache znajdowały się z przodu. Leciały tak blisko siebie, że zdawało się, iż ich łopaty zachodzą na siebie. Dowódca klucza leciał z przodu, jedna maszyna z tyłu po lewej, a dwie po prawej - tworzyli „V” o nierównych ramionach. Pięć kilometrów za nimi posuwały się Nighthawk. Posuwały się nieco wolniej i w luźniejszym szyku. Wszystkie maszyny znajdowały się bardzo nisko. Charlie ocenił, że leciały nie wyżej niż siedemdziesiąt metrów nad kamieniami i krzakami pustyni. Był to niezwykle widok.

Siedzący z tyłu Alex szukał celu na ekranie radaru. Przemieszczał kierunkową wiązkę to w lewo, to w prawo. Widział wszystkie wieże wiertnicze, każde drzewo, skałę, czy rozpadlinę. Pierwszy cel - wąski, stalowy most, przerzucony nad głębokim, skalnym wąwozem - był łatwy do znalezienia. Widniał wyraźnie na ekranie, w kolorze ciemnej zieleni. Zerkając na ekran przedstawiający stan uzbrojenia, Bennett ocenił odległość od celu. Dwadzieścia cztery kilometry. Czas - siedemdziesiąt jeden sekund. Przełączniki uzbrojenia - zielone. Gotów do wypuszczenia bomb.

- Cel za sześćdziesiąt sekund - odezwał się. - Kontrola stanu zakończona. Most na dwunastej, dwadzieścia dwa kilometry. Zdejmiemy oba mosty, a potem uderzamy w tył konwoju, przy drugim przelocie.

- Potwierdzam - rzucił Charlie. Obserwował dwie formacje śmigłowców. Szybko zbliżały się do drogi. Sprawdził własną prędkość. Tysiąc siedemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Nadlatywał od szóstej nad śmigłowce i w tej chwili znajdował się zaledwie trzy kilometry za nimi. Wcisnął guzik nadawania.

- Ogar na miejscu, gotów - powiedział przez kodujące radio Have Quick.

Powodowało ono lekkie zniekształcenie głosu, jednak komunikat pozostawał zupełnie wyraźny.

- Potwierdzam, Ogar. Dowodzisz - odpowiedział dowódca śmigłowców.

McKay wcisnął przycisk dwukrotnie, sygnalizując, że odebrał komunikat, po czym przemknął zaledwie sześćdziesiąt metrów nad śmigłowcami.

Pilot lecącego przodem śmigłowca podniósł wzrok. Widział ledwie odcinające się od ciemności dwa maleńkie, żółte kółeczka - dysze bliźniaczych silników F100-PW-220 firmy Pratt and Whitney. Minęły ich górą, po czym szybko zniknęły. Teraz myśliwiec będzie atakował. Pilot śmigłowca spojrzął na ekran stanu uzbrojenia.

Charlie znalazł się w odległości piętnastu kilometrów od celu. Wkrótce zobaczy na ekranie ciepło pochodzące od konwoju. Jednak urządzenie pracujące w podczerwieni nie pokazywało niczego. Żadnych pojazdów. Żadnych gorących silników, czy też ciepłych opon. Zerknął na projektor HUD. Znajdowali się na kursie. Popatrzył na ekran radaru - most był na miejscu. Spojrzął na zegar po raz ostatni, skorygował kierunek lotu o pół stopnia w prawo i znów patrzył na ekran noktowizora.

Pojawiły się na nim wreszcie małe, białe punkty. Zaczął je liczyć. Było ich pięć. Teraz widział już białe zarysy ciężarówek, próbując określić, w której może znajdować się cel. Wskaźnik odległości od celu pokazywał dziesięć kilometrów. Za dziesięć - dwanaście sekund samolot powinien zacząć odbierać sygnał radiolatarni. McKay popatrzył znowu na ekran radaru. Konwój znajdował się jakieś siedemset metrów od pierwszego mostu. Będzie nieźle. Nie, będzie idealnie.

- Dwadzieścia sekund - rzucił „Zabójca”.

Na projektorze HUD świecił się napis UZBROJONY. Charlie skinął głową.

- Cel namierzony - odparł. - Możesz wypuszczać bomby.

Niemal natychmiast rozległo się głucho uderzenie i świst - dwie dziewięćsetkilogramowe bomby, kierowane satelitarnie, oderwały się od zaczepów pod skrzydłami myśliwsko-bombowej maszyny. Samolot podskoczył odrobinę, straciwszy nagle na wadze. Bomby mknęły łukiem na cel, naprowadzane przez cały zespół satelitów. Cztery sekundy później błysnęły dwie olbrzymie eksplozje. I już. Obydwa mosty zostały zniszczone; zamienione w stosy poszarpanego, dymiącego, rozrzanego metalu, leżącego w kawałkach na dnie wąwozów. Pilot wykonał ostry zwrot bojowy, żeby zaatakować konwój od tyłu.

Popatrzył na ekran radaru, by zorientować się, w którym pojeździe znajduje się Udaj Husajn. Teraz widać było wyraźnie mały błysk pulsujący na ekranie, na tle drugiego z kolei samochodu.

Nadajnik odbiera! - ucieszył się Charlie. Przez plecy przeszedł mu dreszcz.

- Pająk siedzi w Bravo! - nadał donośnie. - Powtarzam: cel znajduje się w samochodzie Bravo.

- Potwierdzam; mamy go - odparł dowódca Apache'a. - Klucz, potwierdzić Bravo.

- Bravo - rozległo się trzykrotnie. Piloci pozostałych śmigłowców szturmowych potwierdzili, że nie zaatakują pojazdu z Husajnem.



Charlie nadlatywał ku konwojowi od południa. Szykował się do ataku, kiedy zobaczył jeszcze jedną eksplozję. Śmigłowce nie czekały na niego. Zanim zdążył zawrócić, ich załogi odpaliły już pierwsze rakiety. Błysnęło i pierwsza z ciężarówek stała już w płomieniach. Na oczach McKaya z zaczepu drugiego Apache'a pomknęła następna rakietka, z białym błyskiem gazów wylotowych, po czym zniknęła w ciemności. Po chwili trzeci pojazd, stary transporter opancerzony, także stanął w płomieniach i przewrócił się na bok.

Charlie zbliżył się do drogi. Ustawił maszynę tak, aby nadlatywał nad wąską wstęgę asfaltu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, aby lepiej widzieć na HUD-dzie transportery. „Zabójca” przygotował bomby.

- Widzę cel - zameldował pilot.
- Potwierdzam - odparł oficer uzbrojenia. - Wyraźny obraz radarowy. Zniszczymy wóz czwarty i piąty. Czwórka jest ze trzydzieści metrów za Pajakiem.
- Potwierdzam, bombarduj.

Od F-15 oderwały się dwie kolejne bomby, płatowiec podskoczył. Charlie zmrzył oczy na spodziewane eksplozje. Błysnęło dwukrotnie i dwa transportery opancerzone zamieniły się w drobniutkie kawałki stopionego metalu, zmieszane z kawałeczkami czarnego asfaltu i kamkami.

McKay obejrzał się na ostatni pojazd. Był to mały transporter opancerzony, który zatrzymał się, gdyż nie mógł się ruszyć. Niemal ze wszystkich stron otaczał go ogień. Do akcji wkraczały Nighthawk.

Śmigłowce wylądowały obok drogi, wzbijając w powietrze chmury piasku. Po kilku sekundach drużyny Delta Force były już na zewnątrz. Biegli z łatwością, byli bowiem w okularach do działań nocnych. Apache pozostawały zawieszony w powietrzu, żeby bronić Nighthawk. Załogi przeszukiwały za pomocą urządzeń drogę, czy nie ma na niej żołnierzy nieprzyjaciela.

Po niecałych trzydziestu sekundach, akcja została zakończona. Drużyny Delta powróciły do swoich śmigłowców, wrzucając na tył jednego z nich wór piasku z małym nadajnikiem w środku. Zdobyli cel. Nighthawk natychmiast wystartowały. Wszystkie śmigłowce zawróciły i ruszyły przed siebie. Teraz szturmowe Apache otaczały Nighthawk. Pomknęły na zachód, znowu pozostając na minimalnej wysokości.

Charlie pociągnął drążek na siebie i dał maksymalny ciąg silników. Samolot wznosił się w powietrze. McKay nie troszczył się już o to, żeby nie zdradzać swojej pozycji. Cel płonął i nieprzyjaciel wiedział o obecności Amerykanów. Po niecałych dwudziestu sekundach, maszyna znalazła się na wysokości trzech kilometrów. Wtedy pilot odwrócił ją na plecy, opuścił dziób i ponownie wykonał pół-beczkę. Teraz, podczas gdy łagodnie zakręcali, Bennett uzbroił cztery rakiety powietrze-powietrze. Załoga F-15 miała bowiem bronić posuwających się w dół śmigłowców przed myśliwcami, które nadlecą od północy.

Nie pokazały się jednak wcale. Ich piloci nie zdołali wykryć napastników. Formacja posuwała się powoli nad cichą i ciemną pustynią. Nad głowami lotników świeciły gwiazdy.

Dwadzieścia minut później misja dobiegła końca, kiedy to śmigłowce przekroczyły symulowaną granicę Iraku.

Kiedy Charlie wszedł do sali, w której składano raporty z misji, czekał tam na niego pułkownik Wisner. Pilot uśmiechnął się do pułkownika i skinął głową.

- Poszło idealnie, sir - zameldował. - Plan jest niemal doskonały. Jeśli rzeczywista misja przebiegnie w podobny sposób, to cel jest nasz.

Pułkownik nie odpowiadał jednak na uśmiech. Zbyt wiele rzeczy go niepokoiło. Jedna pomyślna noc nie gwarantowała dalszych sukcesów. Poza tym, sukces całej misji zależał w zasadniczym stopniu od samotnej Arii Cutter, a nie krewkich pilotów oraz ich maszyn za miliony dolarów.

## Szosa do Ba'quba, na północ od Bagdadu, Irak

Tysiąc trzysta kilometrów na północ od miejsca, gdzie znajdował się Charlie McKay, i mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozmawiał z pułkownikiem Wisnerem, pracował w oszalałym tempie samotny żołnierz. Był zdyszany i cały spocony. W słabym świetle księżycy można było dostrzec spływające spod jego gęstych brwi strużki. Żołnierz z całym siłą ciągnął spadochron przez piasek. W końcu, sięgnął do brezentowej torby i wyjął z niej metalowe pręty, za pomocą których mógł przygwoździć do ziemi płótno spadochronu. Następnie, ciągle w pośpiechu, pociął spadochron według ustalonego z góry wzoru.

Po dwudziestu minutach sygnał był już gotowy. Kiedy skończył, ocenił swoje dzieło jednym rzutem oka. Następnie odwrócił się i pobiegł po wznoszącym się pod niewielkim kątem terenie w kierunku odległej o dwieście metrów drogi. Wskoczył do samochodu i obejrzał się, upewnił się jeszcze, że przejeżdżając nią nie można dostrzec spadochronu. W końcu, uruchomił silnik i szybko odjechał.

## 25.

Bagdad, Irak  
21.05 czasu miejscowego

Aria szła uliczką niespiesznym krokiem, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Nie wahała się również, pomimo mroku. Pod podeszwami jej sandałów zgrzytnęło stłuczone szkło. Uliczka była pełna śmieci. Leżały tani stare, metalowe przedmioty, gnijące ubrania i szmaty, podarte konopne torby, wszystko, co nie mogło już zostać naprawione ani spalone w piecu. Pomędzy odpadkami przebijały się chwasty. Robiło się coraz ciemniej, w miarę

jak dziewczyna oddalała światel kompleksu ONZ. Kiedy przeszła jakieś pół kilometra, znowu nieco pojaśniało, gdyż dotarła do jednego z zapuszczonych osiedli mieszkaniowych Bagdadu.

Wyszła z uliczki i nie zatrzymując się, skręciła w prawo. Kierowała się teraz na zachód. Spoglądając na drzwi starych, kamiennych domów, liczyła numery budynków. Po przejściu trzech przecznic, znowu skręciła na południe. W oddali widać już było dworzec autobusowy.

W każdym kącie budynku dworca, znajdującego się nieopodal mostu króla Fajsala, jak również na zewnątrz, stały stragany. W powietrzu unosił się słodkawy zapach świeżej bawełny oraz kadzidła. Wzdłuż wschodniej ściany budynku, pomiędzy wejściem a wjazdem do garażu serwisowego, był bazarzek żywnościowy. Po twarzach przechodniów rozglądali się, jak wszędzie, funkcjonariusze tajnej policji zwanej AMAM lub Amn-al-Amn, ubrani w czarne berety i białe opaski na ramionach.

Aria owinęła twarz jeszcze szczelniej i ruszyła w stronę targu. Żołądek ścisnął jej się ze strachu, strzelała oczami na boki. Panował teraz mniejszy ruch, gdyż zbliżała się godzina policyjna. Dziewczyna słyszała odgłosy kłębiącego się na autobusowym dworcu tłumu. Zerknęła na zegarek i przypomniała sobie, że przecież go nie ma. Bagdadzkie kobiety nie noszą zegarków. Opuściła więc oczy i przyspieszyła kroku, żeby szybciej znaleźć się wśród ludzi. Kosz z rybami zaczął jej ciążyć. Niecałe dwa metry od niej przejechał wielki, kolorowy autobus, hałaśliwy i dymiący. Zwolnił, żeby pokonać okazałą dziurę w asfalcie, po czym przyspieszył znowu. Z przeciwnej strony nadjeżdżał brązowy, wojskowy samochód terenowy. Aria popatrzyła na niego i serce stanęło jej na moment. Szybko opuściła wzrok. Samochód jednak minął ją, a żołnierze przez cały czas patrzyli przed siebie. Poczula zapach bazaru. Przyspieszyła jeszcze bardziej, wchodząc w obręb dworca, oświetlony latarniami.

Wmieszała się w tłum. Słuchała uważnie, jak i co mówią ludzie. Plotkowali i targowali się w jej ojczystym języku. Czuła gorąco letniego wieczora i znany smak świeżego potu na górnej wardze. Wciągała w nozdrza głęboki aromat ryb, piekącego się chleba i kawy. Napełniły ją wspomnienia z dzieciństwa. Przez chwilę poczuła się, jak gdyby nigdy nie opuszczała tego kraju. Jakby przez całe życie mieszkała w Iraku i jakby to, co ją otaczało, było jedynym realnym światem. Zaczęły jej drżeć ręce i kolana, gdyż oprócz strachu poczuła tyle innych emocji.

Przystanęła pośród największego tłoku i rozejrzała się szybko.

Gdzie mógł być Osman? Czy obserwował bazar? Widział ją? Był tu w ogóle?

Aria walczyła z pokusą, by przyglądać się twarzom ludzi, a także rozglądać się wokoło. Znowu ruszyła przed siebie, uważając, żeby nie zbliżyć się do nikogo na odległość bezpośredniego kontaktu. Wiedziała bowiem, że jeszcze nie pachnie tak, jak oni. Podeszła do straganu z owocami i zaczęła przebierać wśród jabłek. Wybrała sobie kilka i położyła je na sfatygowanej ladzie. Patrzył na nią sprzedawca - mały, siwowłosy człowieczek o brunatnych zębach i skórzastych dłoniach. Zza rogu pojawiło się dwóch funkcjonariuszy AMAM. Ruszyli przez tłum, który rozstępował się przed nimi jak wystraszone kurczęta.

Aria zerknęła w stronę policjantów, po czym odwróciła wzrok. Poszukała pieniędzy i zapłaciła.

- Skąd pani jest? - zagadnął, zmęczonym głosem sprzedawca, zauważywszy delikatność dłoni klientki.

Aria skinęła głową w kierunku ulicy i odpowiedziała bez trudu po arabsku:

- Zza rzeki. Z Risafa.

Stary Irakijczyk przyjrzał jej się uważnie i odparł:

- Nie. To chyba nieprawda.

Dziewczyna patrzyła niezrażona. Zerknęła w stronę, skąd nadchodzili policjanci, starając się opanować za wszelką cenę strach. Zwróciła się do straganiarza i powiedziała cicho:

- To prawda, *bej*. - Użyła perskiego określenia, wyrażającego szacunek, popularnego wśród ludzi mieszkających w pobliżu granicy irańskiej. - Pochodzę z Risafa.

- Nie, siostrzyczko. Nie jesteś z Risafa, bo mieszkam tam od sześćdziesięciu lat. Znam ludzi z Risafa, a ciebie nie znam.

Aria oblała się zimnym potem. Poczowała ścisk w gardle. Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Szybko podała staremu dwa banknoty, których wartość znacznie przekraczała cenę jabłek. Ten spojrzął na nie ze zdumieniem, biorąc je do obu rąk. Gest ten pokazywał, że prezent jest dla niego zbyt trudny do prostego przyjęcia. Wycofał się jednak od stolika i wrzucił pieniądze do torby. Aria nie podnosiła wzroku, słysząc zbliżający się odgłos wojskowych butów funkcjonariuszy. Jeszcze staranniej otuliła się zawojem.

Dwaj policjanci byli teraz na tyle blisko, że z pewnością mogli usłyszeć głos Arii i straganiarza. Dziewczyna spojrzała w bok, w stronę krańca bazaru. Tłum rzedniał, gdyż odjechał już ostatni autobus. Tymczasem jeden z żołnierzy pokazał drugiemu Arię i ruszyli w jej stronę, patrząc na nią łakomie. Szata nie mogła mimo wszystko całkowicie ukryć urody dziewczyny. Sprzedawca owoców podszedł znowu do lady, a po głowie dziewczyny szalały myśli.

- Od dawna mieszkasz w Risafa, siostrzo? - spytał tymczasem stary.

- Nie, *bej*. Przyjechałam z Qul'a, razem z ojcem. Należy... - zamilkła na moment. - Powinnam powiedzieć: należymy do Dhanna. - Wstydliwie spuściła oczy.

Stary mężczyzna aż się cofnął. Dhanna - żołnierz, walczący podczas Matki Wojen. Więzień amerykańskich *Kalb*, czyli psów. Jeden z tych oficerów armii, którzy po przegranej zawstydzili Wielkiego *Rais*, rozkazując swoim oddziałom poddać się amerykańskim świniom. Tacy jak on byli teraz oficjalnie skazani na nienawiść i pogardę. Nie można im ufać. Nie wolno się z nimi przyjaźnić.

Aria patrzyła w ziemię jeszcze przez chwilę, po czym powiedziała:

- Ojciec stracił na wojnie obie nogi. Opiekuję się nim teraz. Mamy nadzieję, że zajmie się nim doktor ze szpitala rządowego. Tak długo szukamy pomocy lekarskiej. Ale nie tracimy nadziei. Pewnego dnia dla mojej rodziny znowu wzejdzie słońce.

Stary handlarz kiwnął głową, chociaż nie wierzył w słowa dziewczyny. Jej rodzinie nie będzie lepiej; przynajmniej nie za jego życia. Dziewczyna wzięła tymczasem jabłka i położyła je na wierzchu koszyka, uważając, żeby nie zabrudziły się od ryb. Wzięła głęboki oddech i odwróciła się w stronę policjantów, ruszając przed siebie. Minęła ich szybko,

ale nie zanadto, by wydawało się to naturalne. Nie odwracała się, dlatego też nie widziała, że patrzą za nią. Nasłuchiwała tylko, czy za nią nie idą. Dopiero po trzydziestu sekundach, kiedy wciąż nie słyszała ich butów, odetchnęła.

Kurd posuwał się powoli przez bazar. Dostosowywał ruchy do innych, żeby nie wyróżniać się z tłumu. Był bardzo młody i nieduży, miał może dziewiętnaście, dwadzieścia lat, łagodną, dziecinną twarz i drobne ramiona. Wydawał się niegroźny jak dziecko albo staruszką. Takie właśnie wrażenie starał się sprawiać. Wbrew swojemu wyglądowi, potrafił zabijać z zimną krwią. Jako członek Partii Pracujących Kurdystanu od trzynastego roku życia, stał się prawdziwym wojownikiem, zarówno pod względem pochodzenia i przekonań, jak i wyszkolenia. Był w prostej linii potomkiem, dumnym potomkiem, wielkiego kurdyjskiego wodza Saladyna, żyjącego jeszcze w dwunastym wieku. Młody mężczyzna przeżył ostatnie siedem lat prowadząc partyzancką wojnę przeciw Irakijczykom na północy państwa. Brał bezpośredni udział w ośmiu atakach i zabił już dwudziestu kilku mężczyzn.

Tę dziewczynę także zabije, jeżeli będzie musiał. Nie mógł dopuścić, aby go rozpoznano, i było to daleko ważniejsze od każdej misji, jaką mogła mieć do wypełnienia dziewczyna. Nie wiedział, dlaczego tu jest i nie obchodziło go to. Wykonywał tylko kolejne zadanie, jedno z wielu, i nie bardziej ani mniej ważne niż inne.

Obserwował ją przez kilka minut, przyglądając się jej ruchom, wdzięcznemu sposobowi, w jaki stawia kroki i unosi dłonie. Słuchał jej rozmowy ze sprzedawcą owoców. Ruszył za nią, kiedy zaczęła iść na koniec bazaru. Spoglądając przez ramię, zobaczył żołnierzy AMAM. Zbliżywszy się do końca budynku dworca, przyspieszył kroku i znalazł się bezpośrednio za dziewczyną. Nie zwalniając, otarł się o jej lewe ramię i szepnął jej do ucha:

- Idź za mną.

Aria z zaskoczeniem i ulgą podążyła za niewielkim mężczyzną w stronę ulicy Alwazia. Nadjechał samochód i nieznamy wsiadł do środka. Podążyła w jego ślady, gdyż drzwi pozostawały otwarte. W środku było ciemno i nie widziała twarzy Osmana; poczuła natomiast, że przykłada jej do głowy pistolet.

## Główna kwatera CIA, Langley, Wirginia, USA 14.10 czasu miejscowego

Dyrektor CIA wychylił się, opierając się o biurko, i podał czarno-białe zdjęcie przyjacielowi. Izraelczyk, drobny, siwowłosy mężczyzna, wziął je i ostrożnie położył na biodrach, a następnie sięgnął po okulary. Przez kilka sekund wpatrywał się w fotografię, po czym podniósł wzrok i odłożył ją na biurko.

- I co myślisz, Shamir? - spytał Michael Crosby. Izraelczyk oparł się z powrotem i podniósł wzrok, marszcząc w namyśle czoło. Po chwili wziął zdjęcie jeszcze raz.

- Kiedy je wykonano? - spytał.

- Mniej więcej cztery godziny temu - odparł Crosby, spojrzawszy na zegarek.

- Gdzie to jest?

- Trzydzieści kilometrów na północ od miasta. Koło jednej z mniej uczęszczanych szos; prowadzi do Ba'quba.

- Czy to pierwszy sygnał, jaki dostrzeżliście?

- Tak - skłamał Crosby. Oczywiście, nie powie o pozostałych. Nie chciał skierować rozmowy na temat niezdolności podległych mu służb do odczytania odbieranych już od jakiegoś czasu sygnałów.

- Jak rozumiem, zostało zrobione przez jednego z waszych satelitów? - upewnił się Izraelczyk.

Dyrektor CIA nie odpowiadał. W rzeczywistości, fotografię wykonał bezałogowy samolotik szpiegowski, zwany Rapture, czyli „Zachwyty”; jeden z kilku, które teraz nieustannie wypuszczano nad Bagdad. Nie była to jednak informacja, którą przyjaciel z bratniego wywiadu musiał poznać. Nie powinno go interesować jak powstało zdjęcie.

Szef izraelskiego wywiadu czekał na odpowiedź, a kiedy zrozumiał, że się jej nie doczeka, skupił się znowu na tym, co przedstawiało zdjęcie. Było wyjątkowo wyraźne, zupełnie jakby zrobiono je z nisko lecącego samolotu. Pokazywało wiodącą przez piasek szosę; niemal idealnie prostą linię. Po jej jednej stronie, w odległości może z dwustu metrów, znajdowało się coś dziwnego. Ktoś najwyraźniej rozłożył zwój czarnego materiału jako sygnał. Układał się on w cyfrę „8”, wielkości może ze trzech metrów. Wewnątrz każdego z kręgów ósemki znajdowało się jeszcze małe, czarne kółko. Po północnej stronie tej figury widniał mały obwód kwadratu, umieszczony w drugim, większym.

Izraelczyk natychmiast rozpoznał znaczenie obu symboli. Nie powiedział tego, ale domyślał się również, co oznaczały oba razem.

Podniósł wzrok na Crosby'ego, który przyglądał mu się uważnie.

- Wiesz, co znaczą te sygnały; prawda, Shamir?

- Oczywiście. Zmodyfikowana ósemka była symbolem używanym przez waszych pilotów podczas wojny w Zatoce Perskiej. Z tego co pamiętam, pilot, w przypadku zestrzelenia, miał pociąć spadochron na pasy, a następnie ułożyć go w taki właśnie symbol, jako znak dla waszych jednostek poszukiwawczo-ratunkowych.

Amerikanin pokiwał głową. Mimo że była to pilnie strzeżona tajemnica, nie zdziwiło go, że szef izraelskiego wywiadu ją zna. Uniósł lewą brew i spytał:

- A te kwadraty, jeden w drugim. Wiesz, co to jest?

- Pewnie, Mike. To symbol Amn-al-Khass, elitarnej Straży Pałacowej, która ochrania Saddama Husajna i jego rodzinę.

Crosby wychylił się naprzód.

- To dlaczego ktoś ułożył je na piasku obok siebie? - spytał. - Zadajemy sobie to pytanie od chwili, kiedy zobaczyliśmy zdjęcie. Miałem nadzieję, że może ty będziesz coś o tym wiedział i może będziesz mógł nam pomóc.

Izraelczyk nie uśmiechał się, tylko odłożył fotografię i odparł niemal przeproszającym tonem:

- Michaelu. Jest coś, co być może powinienem powiedzieć ci wcześniej.

Szef Mossadu nieświadomie ściszył głos, zdecydowawszy się wyznać amerykańskiemu przyjacielowi prawdę.

- Jest pewien Irakijczyk - zaczął - którego obserwujemy już od dwunastu lat. Zanim jeszcze zaczęło się to wszystko, ożenił się z kobietą, której matka była Kurdyjką. Tego strasznego sekretu nie mógł nikomu wyjawić, ponieważ oznaczałoby to nieuniknioną śmierć dla jego rodziny, nie mówiąc już o natychmiastowym i tragicznym końcu jego własnej kariery. Na pewno nie darowano by mu tak nierozważnego kroku. Ponieważ należy do Amn-al-Khass - ochrony osobistej Saddama i jego rodziny - z pewnością zostałby natychmiast uznany za zdrajcę.

Jak widzisz z tego sygnału, ten człowiek zamierza działać. Może to być okazja do wniknięcia w najbliższy Udajowi Husajnowi krąg ochroniarzy. Musicie się skontaktować z tym Irakijczykiem. Może okazać się waszym kluczem do sukcesu.

## Baza lotnicza Prince Sultan, Arabia Saudyjska 23.15 czasu miejscowego

Irakijczyk siedział w kabinie cysterny z wodą i spoglądał od strony drogi na F-15E, holowanego do hangaru. Nie miał trudności, aby go obejrzeć, gdyż miejsce przeznaczone na postój samolotów było jasno oświetlone. Wzdłuż zewnętrznej ściany bunkra stało osiem śmigłowców, typu Apache oraz Nighthawk. Miały złożone łopaty; pod krótkimi skrzydełkami szturmowych Apache'ów podwieszono rakiety Helfire. Był to raczej niezwykły widok - grupa śmigłowców i jeden myśliwiec. Czogoś takiego Irakijczyk jeszcze nigdy nie widział. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie skontaktować się z *Sayidem* Udajem, jednak zmienił zdanie. Nie wykonywał misji obserwacyjnej. Miał o wiele ważniejsze zadanie.

Pomyślał o pojemniku ukrytym pod podłogą ciężarówki. Widział go tylko raz i do tej pory nie wiedział, co zawiera. Jednak otrzymał proste rozkazy. Miał wrzucić srebrzysty pojemnik do środka cysterny z wodą, zanim dojedzie z nią do pustynnej bazy.

Spojrzał na zegarek. Zostało mu jeszcze niecałe czterdzieści osiem godzin.

## Nowy Jork, USA 17.00 czasu miejscowego

Rashid Abdul-Mohammad leżał na hotelowym łóżku. W pokoju robiło się ciemno. Był włączony telewizor, ze ściszym dźwiękiem. Ekran rzucał na pokój mistyczne, stale zmieniające się światło. Za oknem przejechała na sygnale straż pożarna, wyjechawszy z odległej o jedną przecznicę jednostki. Arab oparł się na łokciu i popatrzył na zegarek.

Podniósł się i podszedł do stołu. Sięgnął do teczki i wyjął z niej starannie wypisaną na maszynie listę klientów, do których miał zadzwonić. Trzymając ją za róg, udał się do łazienki i stanął przy sedesie. Otworzył rozporek i oddał mocz, polewając papier. W miarę jak nasiąkał, ujawniła się na nim pisana maczkiem po arabsku wiadomość. Były więzień położył mokry papier na krawędzi rezerwuaru i przeczytał instrukcje od generała. Twarz Rashida zeszytniała, a z palców odpłynęła krew. Powoli, wrócił do łóżka, ledwie się wlokąc.

## Szosa do Ba'quba, na północ od Bagdadu, Irak 03.00 czasu miejscowego

Samolotik rozpoznawczy przelatywał powoli nad zrobionym z płachty spadochronu sygnałem, na wysokości jednego kilometra. Było ciemno; rogał księżyc widniał zaledwie dwadzieścia stopni ponad pustynnym horyzontem. Czarna maszyna leciała z cichym warcotem, niewidziana i niesłyszana z dołu. Samolotik poruszał się z prędkością zaledwie stu kilometrów na godzinę, minimalną, jaka zapewniała utrzymywanie się w powietrzu. Wszystko, co wykrywały umieszczone na nim urządzenia, przekazywane było w czasie rzeczywistym do ruchomej stacji nadawczo-odbiorczej w bazie Incirlik, w Turcji, za pośrednictwem satelity.

Siedzący na ziemi, odległy pilot patrzył na ekran, kierując bezałogowym samolotkiem dokładnie tak samo, jak gdyby siedział w prawdziwym. Miał przed sobą standardowy zestaw przyrządów pokładowych, system nawigacyjny, rozmaite kontrolki. Teraz skręcił maszyną tak, aby leciała pod wiatr i patrzył, co pokazują kamery obserwujące pustynię w dole. Pilota otaczało kilku techników oraz interpretatorów zdjęć. Każdy z uwagą patrzył na własny ekran. Technicy obsługiwali różne czujniki i kamery, aby jak najskuteczniej obserwować teren za pomocą światła widzialnego, radaru i podczerwieni.

Droga była pusta. Najbliższa ludzka istota znajdowała się trzydzieści kilometrów od oglądanego przez Amerykanów miejsca, w samym Ba'quba. Najstarszy stopniem oficer popatrzył na poszczególne ekrany, po czym rozkazał:

- Przeleć bezpośrednio nad sygnałem; zejdź na piętnaście metrów.
- Tak jest - odpowiedział porucznik. Położył samolotik na lewe skrzydło i zmniejszył obroty śmigła, aby zniżyć maszynę. Dowódca zaczął odliczać.
- Trzy, dwa, jeden, teraz! - zawołał, kiedy samolotik przelatywał bezpośrednio nad pociętym spadochronem. Jeden z mężczyzn wcisnął guzik i na jego pulpicie zapaliło się czerwone światełko.

Spod samolotu opadł na ziemię mały, czarny pojemnik. Spadł prosto na płótno spadochronu, a potem toczył się za samolotem jeszcze z siedem metrów, aż zatrzymał się na piasku.

Jeśli Irakijczyk, który pozostawił sygnał, wróci, żeby go zlikwidować, trudno mu będzie nie zauważyć pojemnika. Błyszcząca czernią na bezbarwnym tle pustyni. Wewnątrz znajdowała się wiadomość - dokładne wyjaśnienie, o co proszą Stany Zjednoczone.

Pozostawało pytanie, czy autor sygnału wróci tu jeszcze? Co mógł uważać za bardziej niebezpieczne - pozostawienie znaku własnemu losowi, co mogło oznaczać odnalezienie go przez irackie służby, czy też zabranie spadochronu, i ryzyko, że zostanie się zauważonym?

Opinie sześciu Amerykanów kierujących szpiegowskim samolotkiem rozkładały się po równo. Trudno było przewidzieć, czy Irakijczyk wróci po spadochron.



Aria gapiła się ze zdumieniem na wymierzoną w nią lufę. Kurd zbliżył ją do twarzy dziewczyny jeszcze bardziej. Siedzący przed nimi kierowca dodał gazu i stary renault przyspieszył, podskakując na nierównościach ulicy. Głowa Arii uderzyła o niski sufit samochodu.

- Kim jesteś? - warknął chłopak po arabsku. - Co robisz w Iraku? Powiedz mi, zanim cię zabiję i wyrzucę twoje ścierwo na ulicę!

Dłonie dziewczyny zaczęły dygotać. Ścisnęła koszyk i zaczęła się modlić, przymykając oczy. Opanował ją strach, że została zdradzona. Znowu popatrzyła na połyskującą matowo w ciemności lufę pistoletu. Zastanawiała się w przerażeniu jak mogło dojść do obecnej sytuacji. Dlaczego plan okazał się niedobry?

Kurd wyciągnął rękę i zerwał z jej twarzy zawój. Aria popatrzyła mu w oczy. Gapił się teraz na nią w zdumieniu.

- Odpowiedz na moje pytanie! - krzyknął po chwili wahania.

- Nazywam się Asrar Rahmani - wydukała Aria niemal szeptem. - Mieszkam w Bagdadzie, zaraz na południe stąd. Przyszłam tylko na bazar. Mój ojciec jest głodny. Kupiłam ryby i jabłka. - Skinęła nieznacznie głową w stronę koszyka, wciąż spoczywającego na jej kolanach. Bała się wykonać jakikolwiek inny ruch. - Przyszłam na bazar, bo potrzebowaliśmy kupić coś do jedzenia...

- Kłamiesz, córko psa! Skoro przyszłaś tylko po zakupy, to dlaczego pobiegłaś za mną do samochodu? I gdzie jest twój ojciec? Zabierz mnie do niego!

Broda Arii powoli opadła.

- Kim jesteś? - jęknęła. - Dlaczego na mnie krzyczysz? Ja tylko przyszłam na targ, bo potrzebowaliśmy kupić coś do jedzenia.

To było ustalone hasło. „Potrzebowaliśmy kupić coś do jedzenia”. Powtórzyła je. Może nie słyszał?

Kurd nie reagował. Samochód pędził. Kierowca skręcał co chwila, wybierając boczne uliczki, a nie główne, poprzecinane szlabanami. Kierowca bez przerwy spoglądał w lusterko wsteczne. Nikt za nimi nie jechał. Nie ścigano ich. Skinął głową i zameldował o tym drobnemu Kurdowi.

Ten przyjrzał się dziewczynie uważnie, opuścił broń i schował ją pod siedzenie. Dotknął ramienia kierowcy i powiedział po kurdyjsku:

- Myślę, że jest czysta.

Kierowca popatrzył na pasażerkę przez lusterko wsteczne.

- Tak, pasuje do opisu. To ta. Powiedz, żeby się uspokoiła.

Kurdyjski bojownik zwrócił się do Arii mniej groźnym tonem, choć zachował nieprzyjazny wyraz twarzy:

- Dobra. Koniec gry. Uspokój się. Wszystko w porządku.

Aria popatrzyła na niego pełna złości. Widziała, że Kurd odłożył broń. Nie pokazała po sobie, że odczuła ulgę, tylko zapytała stanowczo:

- Dlaczego to zrobiłeś?! Postępowałam zgodnie z planem i jestem ubrana tak jak zostało ustalone. Znałam hasło. Zrobiłam wszystko, co mi przekazano. Potraktowanie mnie w taki sposób było niepotrzebnym okrucieństwem!

Kurd natychmiast pokręcił głową.

- Nie, siostrze - zaprzeczył. - Nie możemy ryzykować. A gdybyś została po drodze zatrzymana i wypytywana? A może już cię przesłuchano nieprzyjemnymi metodami? AMAM w ciągu paru sekund wydobyłoby z ciebie wszystko. Złamałby cię, posłużyłoby się tobą jako pułapką, chcąc złapać nas wszystkich jak w sieć.

Zrobiłem tak, jak robimy zawsze, więc lepiej się przyzwyczaj, siostrze. Tu na ulicach życie jest ciężkie i nieprzyjemne.

Aria przyjrzała się uważnie chłopakowi, po czym pokiwała głową. Samochód posuwał się wciąż przez miasto, chociaż już wolniej. Skręcił parę razy w lewo, jak gdyby miał jeszcze raz podążyć tą samą ulicą. W końcu, przejechał na wprost przez skrzyżowanie.

Byli teraz w południowej dzielnicy Khalid, dzielnicy prawdziwej biedy, gdzie mieszkania są maleńkie, okna zasłonięte zwykłym płótnem; pomiędzy starymi, kamiennymi budynkami znajdują się aluminiowe baraki i ceglane sklepiki. Ludzie i zwierzęta wydają się żyć w zgodnych komunach. Zerkając przez okno Aria zobaczyła krótkowłosego kundla goniącego całą rodzinę gęsi. Dalej, spostrzegła grupkę brudnych, chudych dzieci, odbijających piłkę o ścianę zdewastowanego domu. Zabawę o tej porze umożliwiała im goła żarówka, zwieszająca się na przewodzie. Dziewczyna słyszała klaksony i pisk opon przyspieszających samochodów, których kierowcy przemykali się pomiędzy ludźmi i stosami śmieci, chcąc zdążyć do domów przed nastaniem godziny policyjnej. Aria spytała nieznanego:

- Dokąd jedziemy?

- Pożyczyliśmy na parę dni małe mieszkanie. Od jednego z naszych braci z Algieru. Jest nam winien przysługę. Będziemy tam bezpieczni.

Samochód zaczął zwalniać. Skręcił w uliczkę niewiele szerszą od niego samego, skręcił drugi raz, minął wysoki, betonowy mur i wreszcie wjechał do pustego, brudnego garażu. Kierowca wysiadł i opuścił na łańcuchu metalowe drzwi.

- Chodź ze mną - rzucił chłopak, wysiadając z samochodu.

Aria otworzyła drzwiczki renaulta i ruszyła za Kurdem do wnętrza domu. W mieszkaniu było ciemno. Młody mężczyzna zapalił jedyne światło. Kierowca poszedł po wąskich schodach gdzieś na górę. Dziewczyna usłyszała otwieranie zamka u drzwi, a potem ciche kroki. Kierowca stanął przy oknie od frontu. Tymczasem chłopak pokazał Arii, żeby usiadła.

Przez następne dwie godziny siedzieli na podłodze. Jedli gorący ryż z fasolą i oceniali się wzajemnie. W końcu, kiedy zrobiło się ciemniej i chłodniej, opowiedzieli sobie o

motywach swoich działań, ujawniając tylko tyle, ile było potrzebne, żeby je uwiarygodnić, i żeby zbudować pomiędzy sobą kruchy pomost zaufania. Pochodzili z dwóch różnych światów.

- Muszę tylko zbliżyć się do niego na taką odległość, żeby go dotknąć - szepnęła Aria. - Wpiąć nadajnik w jego ubranie. W czapkę, klapę munduru, rąbek kurtki. Wszystko jedno. Nadajnik jest tak mały, że łatwo go będzie ukryć. Jednak muszę się do niego bezpośrednio zbliżyć. To najważniejsze.

Kurd wpatrywał się w dziewczynę przez cały czas trwania rozmowy. Już po kilku minutach poczuł się nią zafascynowany. Jej urodą, głosem, cichą determinacją. Pękły barier, które pozwoliłyby mu zachować czujność i dystans. Podobało mu się w niej wszystko. Miała serce rebelianta. Była lojalna, zdecydowana i w widoczny sposób bardzo inteligentna.

Poza tym przyszło mu do głowy coś jeszcze, czego nie chciał jej powiedzieć, a co zaprzętało jego umysł.

Spoglądając na nią kątem oka wetknął w usta kolejny kęs razowego chleba.

- Pokażesz mi ten nadajnik? - odezwał się, jedząc.

Aria zawahała się, nie wiedząc, czy powinna spełnić tę prośbę. Zdjęła jednak z włosów jedną z ozdobnych, metalowych spinek. Odwróciwszy ją, rozebrała na dwie części - z większej wyciągnęła smukłą igłę. Przyjrzała się jej przez chwilę, po czym położyła nadajnik na podłodze, pomiędzy sobą a Kurdem. Ten podniósł ostrożnie miniaturowe urządzenie i zbliżył je do oczu.

Wyglądało jak mały kawałek czarnego, błyszczącego metalu. Miał nieco ponad cztery centymetry długości i grubość mniej więcej taką, jak grafit ołówka. Jeden z jego końców był ostry jak igła, drugi zaokrąglony i miał małe nacięcie, umożliwiające zatrzaśnięcie nadajnika w drugiej części spinki.

- Widzisz - odezwała się Aria - został zaprojektowany jako część spinki do włosów. Kiedy mam ją na sobie, nie ma sposobu, aby wykryć, co to jest. Jednocześnie, powiedziano mi, że nadajnik będzie pracował przez siedemdziesiąt dwie godziny i ma wystarczającą moc, żeby sygnał został odebrany przez samolot albo satelitę.

- A co zrobisz, kiedy już go zainstalujesz?

- Nie wiem - skłamała Aria, potrząsnąwszy głową.

- Dlaczego tak się interesują Udajem Husajnem?

Pokręciła głową po raz drugi i powtórzyła:

- Nie wiem. Nie powiedzieli mi. Nie musiałam tego wiedzieć, a oni byli zdania, że im mniej z tego wszystkiego rozumiem, tym będę bezpieczniejsza.

Kurd przytaknął, mimo że odgadł już, o co chodzi. Wieść o tym, co stało się z mieszkańcami Kimisk obiegła rebeliantów lotem błyskawicy. Włożył do ust kolejny kęs chleba. Przelknął i powiedział:

- Zatem twoim jedynym celem jest zbliżenie się do Udaja na tyle, żebyś mogła wpiąć mu ten kawałek metalu w ubranie?

Aria skinęła głową.

- I jak to zrobisz? W jaki sposób chcesz się do niego zbliżyć?

Dziewczyna nie odpowiadała. Kurd skinął głową.

- Czy jesteś prostytutką? - spytał, wiedząc, że odpowiedź na to pytanie jest negatywna.

Aria patrzyła w podłogę, urażona.

- Są inne sposoby - odparła. - Mam dokumenty, według których jestem turecką dziennikarką. Z małej, ale zdecydowanie muzułmańskiej gazety z Adany.

Ambasada turecka, pomimo swoich obiekcji, została, sama nie wiedząc czemu, przekonana, żeby poprosić Udaja Husajna o wywiad. Jak dotąd chętnie dzielił się swoimi poglądami ze światem muzułmańskim. Dostaliśmy z jego biura informację, że przed końcem tygodnia nadejdzie odpowiedź.

Kurd uniósł brwi, zupełnie nieprzekonany.

- Nawet go nie zobaczysz - skwitował. - Nie zbliży się do ciebie. Legitymacja prasowa, nawet z najbardziej muzułmańskiej gazety, nie pozwoli ci na bezpośredni kontakt z nim. Dziesięciominutowa rozmowa przez telefon to będzie wszystko. Gdyby to było takie proste, Udaj już dawno by nie żył, a przed jego biurem stałaby kolejka fałszywych dziennikarzy. ...Twoje szanse są bardzo małe, siostró. Jestem doprawdy zdziwiony, że nie wysłali cię z bardziej prawdopodobnym do wykonania planem.

Aria pomyślała chwilę, po czym podniosła oczy i powiedziała:

- Nie mieliśmy czasu na wymyślenie czegokolwiek innego. Misja jest pilna. Co mam zrobić, zapomnieć o wszystkim i wyjechać? Nie mamy wyboru. Jestem jedyną nadzieją tych, którzy mnie wysłali.

Kurd pokiwał głową po raz kolejny. Jego spojrzenie złagodniało. W końcu, zrozumiał. Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu. Robiło się późno, a oboje byli bardzo zmęczeni. Wiał nieustannie shamal, uderzając w dach z czerwonych dachówek suchymi liśćmi i łupinami orzechów. Aria nasłuchiwała przez chwilę wiatru; był to znany jej z przeszłości odgłos, ale w tej chwili wydawał jej się upiorny. Przypominał jej o zimie przeżytej w górach.

Młody Kurd przyglądał się dziewczynie, po czym powiedział:

- Wiesz, że nie będę mógł ci pomóc. Polecono mi sprowadzić cię tutaj. Zadbać, żebyś była bezpieczna. I pomóc, jeśli ci się na coś przydam. Jednak obawiam się, że niewiele mogę zrobić, aby ułatwić ci spotkanie z Udajem Husajnem. Nie jestem w stanie działać tu, w Bagdadzie. Nie mamy w mieście żadnych agentów, a tym bardziej zorganizowanej siatki. Pobyt w mieście jest dla mnie znacznie bardziej ryzykowny, niż wiele akcji bojowych, w których brałem udział. Wprawdzie bardzo bym chciał, ale nie mogę ci pomóc. Rozumiesz, że jesteś w tej sprawie zdana na własne siły.

Aria skinęła głową. Wiedziała, że słyszy prawdę.

- Rozumiem - odparła. - Jest jeszcze coś. Szukam informacji na pewien temat. Bardzo ważny dla mnie, osobiście.

Kurd podniósł głowę i słuchał uważnie.

- Mam młodszą siostrę... - zaczęła.

Mężczyzna wstał.

- Wiedziałem zawołał, wymachując rękami. - Jesteś do niej podobna jak dwie krople wody. Wiedziałem to od razu, kiedy tylko zobaczyłem twoją twarz w samochodzie. Prawie się przeraziłem; przez chwilę myślałem, że to ona. Tak, znałem twoją siostrę. Znałem ją bardzo dobrze.

Aria siedziała bez ruchu. Czuła się, jak gdyby ktoś kopnął ją nagle w pierś. Oddychała z trudem.

- Czy to znaczy, że ona żyje? - szepnęła ze łzami w oczach. - Błagam cię, powiedz mi. Powiedz, że żyje!

- Jak najbardziej. - Kurd uśmiechnął się. - Żyje. Nie widziałem jej już od lat, ale wiem, gdzie mieszka. - Dziewczyna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami; zaczęła więc tłumaczyć: - Znałem twoją siostrę, kiedy mieszkaliśmy w obozach; zanim ją zabrali. Ale to było jakieś... ze cztery lata temu.

- Znałeś ją!... - powtórzyła Aria, wyciągając rękę w stronę chłopaka, jak gdyby dotknięcie go miało przybliżyć ją do siostry. - Znasz ją. Och. Powiedz, gdzie ona teraz jest? Czy możesz mnie do niej zabrać? Proszę cię; jestem gotowa ruszać. Chcę ją zaraz zobaczyć! Dam ci wszystko, co mam.

Kurd nachmurzył się i odwrócił spojrzenie.

- Nie mogę tego zrobić - odparł bezbarwnym tonem. - To niemożliwe. Nie mogę.

- Dlaczego? Powiedz, dlaczego? Czego chcesz?

- Niczego, siostró. Nie udaję. Jestem okrutny i chciwy tylko wtedy, kiedy mam jakiś interes. Ale z twoją siostrą chodzi o coś zupełnie innego. Coś, czego najwyraźniej nie wiesz.

- A o co chodzi? - dopytywała.

- Ario, twoja siostra jest naszą agentką. Od dziecka żyła wśród partyzantów. Kilka lat temu została zmuszona do służby jako pokojówka ministra bezpieczeństwa Iraku. Od tego czasu pracuje dla naszego ruchu. Jest naszymi oczami i uszami. Wiedza o tym, co dzieje się w ministerstwie jest dla nas tak cenna, że nie mogę was skontaktować. Nigdy nie pozwoliliby mi na postawienie w stan zagrożenia jej systemu porozumiewania się z nami. Sama oczywiście także znalazłaby się w niebezpieczeństwie. Z pewnością rozumiesz to.

Nad rzeką Tygrys, trzysta pięćdziesiąt kilometrów na południe od Bagdadu  
21.51 czasu miejscowego

Amerykańskie śmigłowce leciały na małej wysokości wzdłuż rzeki, w górę jej biegu. O ich zbliżaniu się świadczyło tylko umiarkowanie głośne wycie silników i klekot wirników. Noc była bezksiężycowa; chmury zasłaniały częściowo gwiazdy. Panowały ciemności, dlatego też piloci śmigłowców wybrali na lot akurat tę porę. Wyłączyli wszystkie zewnętrzne światła maszyn, tak, że były prawie niewidoczne. Posługiwali się kamerami pracującymi w podczerwieni oraz okularami do działań nocnych. Dzięki temu mogli

posuwać się naprzód, manewrując wzdłuż brzegów rzeki. Podążali za płynącą powoli, błotnistą wodą, ledwie rozmijając się z wierzchołkami drzew. Zmierzali na północny zachód.

Po wystartowaniu z Camp Doha, amerykańskiej placówki na północnym krańcu Kuwejtu, formacja sześciu śmigłowców szturmowych AH-64 Apache i czterech MH-60 pavehawk skierowała się początkowo na południe. Leciały wzdłuż piaszczystego wybrzeża Zatoki Perskiej, aż znalazły się poza zasięgiem najsilniejszych irackich radarów obrony przeciwlotniczej. Następnie skręciły na wschód i posuwały się nad wodą. Po przebyciu stu kilometrów, zaczęły łagodnie skręcać na północ. Zbliżając się do bagnistego półwyspu Shatt-al-'Arab, na południowym krańcu Iraku, zniżyły się na wysokość zaledwie trzech metrów. Przyspieszyły i ruszyły szybko ku ujściu rzeki Tygrys.

Przez niemal czterdzieści minut Amerykanie lecieli w górę rzeki, jakieś sto kilkadziesiąt kilometrów w głąb Iraku. Przy jednym z zakrętów rzeki, zaczęli zwalniać. Rzeka przepływała teraz przez wąską dolinę o stromych ścianach. Piętnastometrowej wysokości skaliste ściany, porośnięte krzakami, sięgały ponad wirniki śmigłowców. Na wschodnim brzegu rzeki znajdował się przygotowany specjalnie obóz, taki jak zwykle obozowiska pasterzy kóz. Przelatując nad obozem, piloci zobaczyli pozostawiony tam sygnał - spletaną kożę po południowej stronie płotu.

Sześć spośród śmigłowców - dwa pavehawk i cztery Apache - oddzieliło się od pozostałych i podeszło do lądowania. Kilkanaście sekund później wisiały nad wilgotną łąką, na której kozy mogły chronić się przed panującym w ciągu dnia upałem. Pozostałe cztery maszyny wykonały jedno okrążenie i ruszyły dalej w górę Tygrysu. Ich zadaniem było odwracanie uwagi irackich obsług radarów, na wypadek gdyby formacja została wykryta.

Kiedy lądujące śmigłowce zawisły nieruchomo nad łąką, od zbrocza odsunęła się siatka maskująca, dzięki długim, hydraulicznym wysięgnikom. Śmigłowce wylądowały i piloci wyłączyli silniki. Siatka natychmiast powróciła na miejsce, przykrywając wielkie maszyny brązowo-szarym całunem. Niecałe pięć minut po tym, jak w dolinie dał się słyszeć odgłos wirników, znowu zapanowała cisza.

Dowódca formacji odpiął pas i wysiadł z kabiny. Wszystko, co miał na sobie, było czarne: kombinezon pilota, wyposażenie, nawet skórzana kabura i pistolet. Twarz i szyję także pokrywała czarna farba maskująca. Tylko oczy błyszczały w ciemności, na tle pozabawionej wyrazu twarzy. Pilot uniósł szybę hełmu.

Na ziemi czekał na niego agent CIA. Wyciągnął dłoń i powiedział z uśmiechem:

- Witamy w obozie Cobra.

Pilot nie odpowiadał, rozglądając się tylko dookoła.

Biuro przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów,  
Pentagon, Waszyngton, USA  
14.05 czasu miejscowego

Przewodniczący stał koło biurka. Niecierpliwił się bardzo. Czekał na ważny telefon. W końcu, odezwał się odgłos telefonu bezpiecznej linii. Generał natychmiast przyłożył

słuchawkę do ucha.

- Śmigłowce zostały przeprowadzone do obozu Cobra - poinformował pułkownik Wisner, chropowatym głosem, zniekształconym przez połączenie satelitarne i kodowanie.

Davis Beck pokiwał głową.

- Czy coś wskazuje, że zostały wykryte? - zapytał z troską w głosie.

- Nie, sir. Żadnych śladów obecności wroga. Wygląda na to, że pomimo podwyższonego stanu gotowości irackich sił zbrojnych, śmigłowce dostały się do obozu niezauważone. Maszyny, odwracające uwagę nieprzyjaciela także powróciły bez kontaktu z nim.

- A co po naszej stronie? - pytał generał. - Czy udaje nam się zachować wszystko w tajemnicy? Ma pan sygnały o jakichś przeciekach? To ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy.

- Uważam, sir - odpowiadał Wisner - że wszystko pozostaje pod kontrolą. Liczba ludzi, którzy zdają sobie sprawę z istnienia i celu misji może być policzona na palcach jednej ręki. Jak pan wie, nawet sekretarz obrony nie jest poinformowany. Poziom bezpieczeństwa jest niemal bezprecedensowy. Jeśli uda nam się zachować ten stan jeszcze przez dwie - trzy doby, to myślę, że nic więcej nam nie trzeba.

Beck chrząknął do telefonu i polecił:

- Proszę meldować mi o wszystkim. Chcę znać każdy wasz ruch. I niech pan zadzwoni do mnie natychmiast po skontaktowaniu się z dziewczyną.

## 27.

„Wesz Siedem Pięć”, nad pustynią, Arabia Saudyjska  
Dzień ósmy (wtorek), 07.40 czasu miejscowego

Porucznik David O'Brian, specjalista od urządzeń telekomunikacyjnych, znowu pracował na pokładzie zmodyfikowanego C-130, już o piątej rano następnego dnia. Prowadzący nasłuch samolot ponownie krążył nad pustynią na północnym krańcu Arabii Saudyjskiej. Przez dwie godziny porucznik pracował, zgarbiony nad swoim pulpitem, usiłując namierzyć wreszcie rozmowę, którą poprzedniego wieczora odebrał Uday Husajn. Była to frustrująca praca. Czas upływał bardzo powoli. Właśnie kiedy O'Brian zamierzał dać za wygraną, komputer przebił się przez urządzenia zagłuszające. Kilka minut później wskazał położenie człowieka, który telefonował.

Porucznik naniósł współrzędne na mapę, po czym zdziwił się, jak mógł popełnić taki błąd. Sprawdził wydruk i odnalazł ten sam punkt jeszcze raz.

Otarł twarz spoconymi dłońmi i wydał komputerowi polecenie powtórzenia obliczeń. Wynik był ten sam.

Sygnał telefoniczny został przesłany od pewnego satelity wiszącego ponad Grenlandią. Ten satelita był wykorzystywany wyłącznie do rozmów pochodzących ze wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

Porucznik omal się nie zadławił, wołając donośnie:

- Panie dowódcu, niech pan tu przyjdzie. Musi pan tu zaraz przyjść, panie dowódcu!

Dowódca O'Briana podszedł szybkim krokiem. Ten pokazał na mapę i wyjaśnił o co chodzi, podając wydruk. Mężczyzna popatrzył na współrzędne i aż wypuścił kartkę na podłogę.

- Jak udało ci się przebić przez zagłuszarki Projektu 858? - spytał, nie dowierzając wynikiem.

- Odebrałem słaby sygnał. Irakijczycy posługiwali się kodem - podobnie jak w swoich bezpiecznych nadajnikach - dzielącym rozmowę na nanosekundowe kawałki, która jest potem szybko nadawana na różnych częstotliwościach. Jak pan wie, to prosta, ale bardzo skuteczna technika. Dobrałem się wreszcie do tego kodu i wtedy mogłem ustalić sygnał i wskazać konkretnego satelitę.

Dowódca popatrzył ponownie w notatki porucznika. Musiał się upewnić. Musiał mieć stuprocentową pewność, zanim zamelduje o wszystkim bazie w Dżahranie.

Po kilku minutach pracy, miał już pewność.

Udał umieścić agenta na terenie Stanów Zjednoczonych. Kogoś, kogo kontrolował. Słowa użyte przez młodszego Husajna zaczęły wirować w głowie dowódcy załogi samolotu.

„Przesyłka jest na miejscu, czeka na ciebie w hotelu”.

Nie mówiąc ani słowa, mężczyzna podbiegł do pulpitu łączności i porozumiał się w Dżahranem. Po kilku minutach Biały Dom odbierał już telefon od generała dowodzącego amerykańskimi siłami w Arabii Saudyjskiej. Po następnych paru minutach powiadomiono prezydenta.

Bagdad, Irak  
10.20 czasu miejscowego

Aria przespała większą część ranka, wycęczona bezsennością i strachem. W końcu, podniosła się i poszła pod prysznic. Ubrała się i usiadła na podłodze. Zaczęła nasłuchiwać dobiegających z korytarza głosów i kroków. „Osman” i jego podwładny już wstali. Nie była w stanie wyodrębnić poszczególnych słów. Przyłożyła ucho do drzwi. Mężczyźni szeptali do siebie po kurdyjsku; po chwili poszli schodami na górę.

Dziewczyna wyprostowała się i zamknęła drzwi na klucz. Usiadła z powrotem i wyciągnęła spod łóżka pusty koszyk po rybach. Wymacała ukryty zatrzask i uniosła podwójne dno. W środku znajdował się potrzebny jej do wypełnienia misji sprzęt. Ostrożnie odzepiła maleńki nadajnik satelitarny. Już po chwili uruchomiła go - szkolono ją zaledwie parę dni, za to bardzo intensywnie. Rozłożyła

srebrzystą antenę w kształcie parasolki i wetknęła ją do głównej części nadajnika, a następnie dołączyła jeszcze miniaturową słuchawkę. Włożyła ją do prawego ucha i włączyła radio. Odczekała chwilę, aż nadajnik zsynchronizuje fale z satelitą. Po kilku sekundach mała dioda zmieniła kolor z czerwonego na bursztynowy, a wreszcie, zielony.



Dziewczyna natychmiast wcisnęła guziczek mikrofonu.

- Mamo, tu Dhanna - odezwała się. Jej słowa zostały zakodowane i przekazane do satelity półsekundowym strumieniem elektronicznych pisków. Nikt nie zdążyłby namierzyć źródła, nagrać ani podsłuchać rozmowy, w jakiegokolwiek formie.

Aria czekała, spodziewając się kilkusekundowego opóźnienia. Zdziwiła się słysząc już po chwili odpowiedź:

- Podaj status, Dhanna. - Rozmówca mówił głosem pełnym napięcia.

- Kontakt dokonany. Dhanna bezpieczna.

- Odebrałem: bezpieczna. Dhanna, nie wyłączaj się, czekaj na nowe instrukcje. Radjko zamilkło. Aria zdziwiła się. Jak to? Miała zadzwonić do „Mamy”

tylko po to, żeby się zameldować. Co to miały być za „nowe instrukcje”? Zaczął ogarniać ją narastający lęk. W słuchawce rozległ się teraz inny głos, bardziej stanowczy od poprzedniego. Mówił pułkownik Wisner:

- Dhanna - zaczął. - Masz spróbować nawiązać dzisiaj drugi kontakt. Powtarzam, to niezwykle ważne; skontaktuj się z celem dzisiaj.

Aria pobladła. Krew napłynęła jej do głowy; poczuła ból w tyle szyi. Zawahała się, po czym nadała:

- Mamo, nie jestem w stanie. Dzisiaj nie będzie kontaktu. Pozwól mi poczekać na sygnał z tureckiego konsulatu. Wywiad prasowy daje nam największe szanse powodzenia. Powinniśmy trzymać się planu.

Odczekała aż jej wypowiedź zostanie zakodowana i przesłana. Pułkownik odpowiedział spokojnym, ale nieubłagany tonem:

- Dhanna, powtarzam. Spróbuj nawiązać kontakt dzisiaj. Mamy dowody na użycie tego bardzo niedługo. Powtarzam: bardzo niedługo. Obawiamy się, że się ukryje. Sprawy toczą się zbyt szybko.

- Ale jak? - spytała dziewczyna. - Co mam zrobić? - Była bliska paniki, a jednocześnie ogarnęła ją złość.

- Poproś „Osmana”, żeby pomógł ci dostać się do pałacu prezydenckiego. Jest tam iracki pułkownik, z prezydenckiej ochrony. Nazywa się Samih Bakr Hajazi. Pomoże ci dostać się do celu.

Aria nie odpowiadała. Wiedziała, że to nie będzie proste. Jak dostanie się do Udaja, nawet z pomocą pułkownika ochrony? A jak ma znaleźć tego pułkownika? Nie wiedziała, co robić.

Minęła chwila ciszy. Ponieważ dziewczyna nie odpowiadała, w jej słuchawce rozległ się ponownie głos Wisnera:

- Dhanna, potwierdź, że zrozumiałaś instrukcje.

- Tak - wydusiła z siebie.

- Zamelduj, kiedy tylko będziesz mogła. Nawiąż kontakt. Wykorzystaj wszelkie dostępne środki. I rozsądną ocenę sytuacji. Ufamy, że postąpisz trzeźwo. - „Mama” wyłączyła się.

Aria rozejrzała się po pokoju. Przetarła dłońmi oczy, a potem przycisnęła palce do szyi. Serce biło jej tak szybko, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Miała tyle pytań! To wszystko nie miało sensu! Dlaczego przyspieszali misję? Jakie groziło niebezpieczeństwo? Poczwała się zupełnie zbita z tropu.

Wyjrzała przez okno przez zaciągniętą tylko do połowy zasłonę; niebo było jasne w świetle gorącego poranka. Spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia pięć po dziesiątej. Czas nałgi. Musiała zabierać się do działania.

Właśnie zaczynała składać antenę, kiedy rozległo się szybkie pukanie do drzwi. Kiedy je otworzyła, młody Kurd natychmiast wpadł do środka i rzucił:

- Szybko! Zbieraj sprzęt. Musimy stąd odjechać.
- Dlaczego? Co się stało?

Chłopak popatrzył na nią ze złością i bólem w oczach:

- Dowódca tej operacji powinien zostać powieszony - warknął. - Twoi ludzie to banda głupków. Misja została spalona, kiedy tylko dotarłaś do Bagdadu!

Aria stała nieruchomo, nie wiedząc, co robić. Kurd popatrzył na jej nadajnik i antenę i pomógł je zlikwidować.

- O co chodzi? - dopytywała się gorączkowo.

- Mamy wojskowy skaner radiowy; możemy ich podsłuchiwać. Szukają cię od dwunastu godzin. Mają nawet twoje zdjęcia. Wszystkim rozesłano fotografię twojej twarzy. Żołnierze AMAM z rynku, których widziałas wczoraj, zapamiętali cię. Zameldowali, że wsiadłaś wraz z dwoma mężczyznami do brązowego renault. A w tej chwili przeszukują już wszystkie mieszkania w promieniu półtora kilometra stąd, bo jakiś informator zgłosił, że widział nasz samochód. Ustawiono kilkanaście blokad na ulicach. Jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie.

Aria patrzyła na Kurda, zupełnie zaskoczona. Otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, po czym zakryła je drżącą dłonią. Rozmówca popatrzył na nią przez chwilę podejrzliwie, jak gdyby to ona była wszystkim winna, po czym zaczął zbierać jej rzeczy.

- Pospiesz się - powiedział. - Musimy uciekać. Trzeba zlikwidować wszelkie ślady naszego pobytu, a potem odejść, piechotą. Samochód zostawimy tutaj. Szukają go. Nie przejechalibyśmy tym renault nawet kilometra. Blokad na ulicach jest tyle, że musimy iść piechotą. Oddalić się najbardziej od tego domu i wmieścić w tłum.

- To głupie - jęknęła Aria. - W biały dzień, kiedy nas szukają? Co zrobimy; będziemy biec od domu do domu i chować się za pojemnikami na śmieci? Złapią nas po pięciu minutach. ...Powinniśmy zostać tu - podsumowała. - Tu jest bezpieczniej niż na ulicy.

„Osman” wkładał już rozmontowany nadajnik na dno starego, plecionego koszyka.

- Słuchaj - syknął, tracąc cierpliwość. - Nie znasz AMAM. To nie jest Nowy Jork ani Chicago, gdzie możesz zamknąć drzwi i mieć nadzieję, że policja nie ma nakazu rewizji. AMAM przeszuka po kolei wszystkie budynki, a pierwszą rzeczą, jaką tu zobaczą będzie garaż. Znajdą w nim renault. Wtedy przetrząsną ten dom tak dokładnie, że nawet mysz by się nie schowała. Złapaliby nas natychmiast. ...Dlatego musimy stąd odejść i schować się

gdzieś, albo się wymknąć. Tu zostać nie możemy. W tej chwili każda sekunda jest droga.

Aria pomyślała chwilę i pokiwała głową. Wstała, rozejrzała się, złapała *ghutnę* i owinęła nią głowę i twarz. Długi, bawełniany zawój opadł jej na ramiona i plecy. Założyła sandały i wzięła koszyk, ruszając do drzwi.

- Nie! - krzyknął Kurd. - Zostaw koszyk. Rzuć go w ogrodzie, na inne. Jeśli cię z nim znajdą, rozerwą go na kawałeczki.

Odrzuciła się i odpowiedziała stanowczym tonem:

- Zabieram go ze sobą.

- Aria, zostaw go. W końcu cię zatrzymają i będą wypytywać. Podwójne dno do sprytny pomysł, ale nie ostatni krzyk techniki. To prawie pewne, że je odkryją. Co im powiesz, kiedy twoje radio wypadnie na ziemię? Dlatego zostaw je. I tak już ci się nie przyda.

Dziewczyna odruchowo zacisnęła dłoń na pałaku koszyka.

- Ten nadajnik to moja jedyna nadzieja - odpowiedziała. - Jedyna nić łącząca mnie ze światem zewnętrznym. Mam jeszcze zadanie do wykonania...

- Żartujesz?! - zawołał Kurd. - Jakie zadanie? Przecież już wiedzą o tobie i znają twoją twarz. Nie ma mowy, żeby ci się udało. Jedyne zadaniem, jakie cię czeka może być najwyżej wydostanie się z tego kraju, a i tak jest to prawie niemożliwe. Co ty sobie myślisz? Już dawno po twojej misji.

Aria odwróciła jednak głowę i odparła:

- Nie. Nie rozumiesz. Nie wiesz, jaka jest stawka. Gdybyś wiedział, gdybym tylko mogła ci powiedzieć, sam uznałbyś, że muszę koniecznie próbować dalej.

Kurd zawałał się na moment, przybierając zdesperowany wyraz twarzy. Chciał coś powiedzieć, ale dziewczyna nie dała mu dojść do słowa i oznajmiła szybko:

- „Osmanie”, będę musiała pójść sama. Rozdzielimy się teraz. Nie możemy zostać razem; to byłaby głupota.

Chłopak zaskoczony zastanowił się nad jej słowami. Dziewczyna była tak zdeterminowana, że chciała działać dalej, i to sama. Nie spodziewał się tego.

- Ario, zostań ze mną - powiedział. - Jeżeli zdołamy dotrzeć na dworzec autobusowy, wtedy może nam się uda stąd wydostać. Jeśli dotrzemy na północ, znajdziemy się wśród przyjaciół. Tam będę mógł ci pomóc. Dlatego nie opuszczaj mnie; jestem twoją jedyną nadzieją.

Aria zbliżyła się do chłopaka i dotknęła jego ramienia.

- „Osman” - powiedziała, patrząc mu w czarne jak węgiel oczy. - Jestem ci wdzięczna za pomoc. Wiesz, że naprawdę jestem. Bez ciebie nie dotarłabym nawet tutaj. Jednak musimy się rozdzielić. Szukają trzech osób: dwóch mężczyzn i dziewczyny, dlatego nie możemy poruszać się razem. Nie pojedę na północ, nie mam tam nic do roboty. Sam wiesz, że to prawda.

Kurd pomyślał chwilę, po czym pokiwał głową.

- To co zrobisz? - rzucił.

Aria wyjrzała na ulicę, przez na wpół zasłonięte okno sypialni. Zmarszczyła czoło i zmrużyła oczy.

Nagle odwróciła się i powiedziała:

- Mam pomysł. Myślałam o tym już wcześniej.

Kurd nie odpowiadał, nie wiedząc, co mówić. Wzruszył ramionami i zdecydował, że nie będzie wypytywał dalej. Spojrzał na zegarek i skwitował:

- No, to chodźmy. - Ruszył do wyjścia.

Aria podeszła do stolika przy łóżku, wzięła kartkę i ołówek, po czym napisała szybko coś po arabsku. Złożyła papier w mały prostokąt i odezwała się:

- „Osman”, czy mogę cię o coś prosić? Czy mogę cię błagać, żebyś coś dla mnie zrobił?

Kurd, ledwie dostrzegalnym ruchem, skinął głową.

- Błagam cię - powtórzyła ze łzami w oczach - odnajdź moją siostrę. Przekaż jej ode mnie tę wiadomość. - Podała złożoną kartkę. - Napisałam tu jak dotrzeć na opuszczony plac na przedmieściach. To daleko od głównej drogi, niecałe trzy kilometry stąd. Powiedz jej, że będę tam na nią czekać. Będę tam jutro, dokładnie o siódmej wieczorem. Zrobisz to, „Osmanie”? Dotrzesz do niej i powtórzysz jej wiadomość ode mnie?

- Tak - mruknął. - Spróbuję. Jeszcze nie wiem jak, ale spróbuję.

Aria wyciągnęła znowu rękę i dotknęła chropowatej dłoni chłopaka.

- Pomóż jej, jeśli tylko będziesz w stanie. Wiem, że proszę o bardzo wiele.

Nie mam prawa błagać cię o to. Ale jeśli możesz mi pomóc, zrób tę jedną jedyną rzecz i dowiez ją w to miejsce, o którym napisałam, zabiorę ją stamtąd. I nigdy o tobie nie zapomnę. Będę pamiętać zawsze. Jednak mogę ci tylko zaoferować wdzięczność.

Młody Kurd gapił się na złożony kawałek papieru. Westchnął, schował go do kieszeni i pospieszył do wyjścia:

- Chodźmy stąd wreszcie - powiedział. - Szkoda każdej chwili.

Wyszli na ciemny korytarz, gdzie czekał już niespokojny towarzysz „Osmana”. Podszedł do wychodzącego na ulicę okna i odsłonił je trochę, żeby zobaczyć, czy nie ma policjantów albo żołnierzy. Zobaczył tylko tłumy przechodniów, dzieci, psów; z rzadka przejeżdżały jakieś zwykłe samochody. Popatrzył w drugą stronę.

- Może uliczką za domem? - spytał.

- Tam nic nie ma - odparł drugi mężczyzna. - Uliczka prowadzi na pusty plac, a potem przez podwórko szkolne na rynek. Prawie nikt nią nie chodzi i na pewno zwrócimy na siebie uwagę. Lepiej zostanmy niedaleko głównej ulicy, w tłumie.

Kurd pokazał teraz na zaparkowanego koło straganów z warzywami, odległego może o czterdzieści metrów fiata.

- Co o tym myślisz? - rzucił. Zagadnięty przyjrzał się samochodowi.

- Zrobi się - odpowiedział. - Zajmie mi to cztery - pięć minut.

- Dobrze, w takim razie to będzie nasza droga ucieczki - zdecydował „Osman”.

Zwrócił się do Arii i powiedział:

- Niecałe dwa kilometry stąd jest przystanek autobusowy. Jeśli pójdziesz...

- Nie pójdę tam - przerwała mu dziewczyna.

Kurd zdziwił się po raz kolejny. Chciał się sprzeczać, ale wiedział, że nie polepszy to sytuacji. Dotknął więc dłoni pięknej agentki i powiedział:

- Uważaj na siebie, siostrzyczko.
- Dziękuję ci, „Osmanie” - odparła krótko.

Młody Kurd otworzył drzwi budynku i dwaj mężczyźni wyszli na ulicę, nie odwracając się. Aria stała nieruchomo, nie zamykając drzwi.

Kilkanaście sekund później, Kurdowie zbliżali się już do fiata. „Osman” podszedł do drzwi od strony kierowcy. Wąską ulicą nadjeżdżał duży, czarny samochód, ktoś prowadził szybko i nieostrożnie. Mijając dwóch mężczyzn zwolnił tylko nieznacznie. Wtedy to „Osman” sięgnął do kieszeni i wyciągnął wytrych. Kilka sekund później drzwi były otwarte. Wsiadł do środka i otworzył od wewnątrz drzwi z drugiej strony. Jego towarzysz wskoczył i zniknął pod deską rozdzielczą, zabierając się do rozmontowywania stacyjki. Ulica była pełna ludzi robiących zakupy, i bawiących się dzieci. Z bocznej uliczki wyłonił się mężczyzna z osłem ciągnącym wózek z drewnem na opał. Wąską ulicę wypełnił odgłos zawieszonoego na szyi zwierzęcia dzwonka. Ze sklepiku wyszły trzy kobiety, zbliżając się do fiata. Aria wstrzymała oddech. Kobiety minęły jednak samochód i pobiegły przed siebie, ze śmiechem. „Osman” nawet nie drgnął, zachowując obojętny wyraz twarzy.

Dziewczyna ciągle przyglądała się jego poczynaniom stojąc w cieniu małej werandy.

Wtedy usłyszała odgłos zbliżającej się ciężarówki. Toczyła się powoli; wielki, ciężki silnik dudnił na niskich obrotach. Aria natychmiast wyjęła uwagę. Ciężarówka jechała zbyt wolno; wiedziała, że to zły znak. W głębi ulicy pojawił się ciemnobrązowy, wojskowy pojazd. Ciężarówka wypełniła swoim kształtem wąską ulicę; kurczaki i dzieci pierzchały na boki. Krew napłynęła Arii do głowy. Wycofała się w głąb korytarza i przymknęła drzwi, pozostawiając tylko małą szparę, która pozwalała jej na dalszą obserwację.

Rozległ się odgłos pneumatycznych hamulców, po czym trzask metalowych drzwi kabiny.

- Ej, ty! Wyjdź z samochodu! - zawołał ktoś ostrym głosem. Aria wstrzymała oddech, zmniejszyła szparę w drzwiach i nasłuchiwała.

- Do ciebie mówię, świnió! Wyłaź z samochodu! - powtórzył ten sam głos.

Aria wysunęła głowę i zobaczyła stojącego koło ciężarówki i fiata żołnierza. Na głowie miał czarny beret, a na ramieniu grubą opaskę. AMAM. Patrzył na „Osmana” i wykonywał nerwowe gesty, poganiając go. Mody Kurd nie wysiadał jednak, tylko przybrał zakłopotany wyraz twarzy. Podniósł dłonie, pokazując, że nic w nich nie ma; był to gest wyrażający posłuszeństwo, a jednocześnie zmieszanie. Żołnierz zbliżył się o krok do samochodu. „Osman” zerknął szybko pod deskę rozdzielczą. Funkcjonariusz zatrzymał się i przygotował broń. Aria wiedziała, że dwaj Kurdowie wpadli. Wtedy podjęła decyzję.

Szybko wyskoczyła na ulicę, ruszając w stronę żołnierza. Odśloniła twarz, aż do szyi. Zerknęła na „Osmana”, który patrzył na nią z prawdziwym przerażeniem. Podniósł ręce, chcąc ją przekonać, żeby schowała się z powrotem. W końcu, zaczął wysiadać z samochodu. Aria podeszła do funkcjonariusza AMAM, z determinacją w twarzy. Patrzyła

wprost na niego, aż w końcu odwrócił się do niej. Wtedy, młody Kurd wsiadł z powrotem do fiata, ściskając czarną kierownicę. Żołnierz popatrzył na dziewczynę, zdumiony. Zbyt gwałtownie zakryła twarz i odwróciła się, przykuwając jego uwagę. Powoli dotarło do jego świadomości, kogo zobaczył. Aria znalazła się za prowadzącym osła i wózek.

Żołnierz opuścił broń na biodro, rozpoznawszy dziewczynę. „Osman” nie ruszał się; zrozumiał, że Aria postanowiła się poświęcić. Funkcjonariusz uniósł teraz lufę w górę i ruszył za wrogą agentką. Młody Kurd jęknął, kierując twarz ku niebu. Tymczasem rozległ się chrobot rozrusznika i silnik fiata zaskoczył. Żołnierz zignorował jednak chłopaka w samochodzie, podążając za dziewczyną:

- Ej, ty, kobieto! Stój! - zawołał.

Wtedy Aria puściła się biegiem. Zniżyła głowę i gnała przed siebie, omijając koszyki i skrzynki z różnymi artykułami żywnościowymi. Funkcjonariusz biegł za nią j lufa karabinu objęła mu się o biodro. „Osman” siedział jeszcze przez moment oszołomiony, po czym wcisnął pedał gazu. Żołnierz nawet się nie obejrzał za odjeżdżającym fiatem.

Aria zerknęła przez ramię, zobaczyła, że Kurdowie pojechali, i nagle potknęła się o worek z ryżem. Żołdak natychmiast ją dopadł, wykręcając rękę. Głowa dziewczyny uderzyła o beton. Aria krzyknęła z bólu. Funkcjonariusz AMAM wykręcił jej rękę jeszcze raz, po czym wezwał swoich podwładnych, mówiąc do małego, przypiętego do koszuli nadajnika. Po chwili przybiegło ich kilku. Pokrzykując, związali Arię i wrzucili na platformę ciężarówki.

28.

Biały Dom, Waszyngton, USA  
05.05 czasu miejscowego

Generał Beck wybiegł ze swojego pokoju i pognął korytarzem do windy, a następnie zjechał do znajdującego się głęboko pod ziemią Pomieszczenia Sytuacyjnego. Prezydent już czekał, razem z resztą ludzi, których obowiązki polegały na tym, by dbali o bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. W podziemnej krypcie paliło się przyćmione światło; przede wszystkim jaśniały podświetlone od tyłu mapy, widniejące na ścianach. Przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów zajął swoje miejsce za wielkim, dębowym stołem.

Wzdłuż trzech ścian pomieszczenia stały krzesła dla najrozmaitszych adiutantów i asystentów, specjalistów od łączności i doradców wojskowych. Przy dzwoniących co chwila telefonach siedziała grupa techników. Inny zespół pracował przy szeregu komputerów. Na dużym, umieszczonym wysoko ekranie wyświetlał się status różnych jednostek

sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych na całym świecie. Na wielkim, srebrzystym ekranie po prawej widniał komputerowy obraz, przedstawiający położenie każdego amerykańskiego lotniskowca, dywizjonu myśliwców czy skrzydła bombowców na kuli ziemskiej. Pod jedną ze ścian rząd monitorów pokazywał wiadomości nadawane przez stacje różnych państw świata. W dole obrazów pojawiały się napisy po angielsku.

Koło szczytu stołu siedział Brent Hillard - prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Spoglądał surowo przed siebie. Kiedy Beck usiadł, Hillard zaczął zdrawać prezydentowi SITREP - Situation Report (Raport Sytuacyjny):

- Jak pan widzi, panie prezydencie, mamy już pełny skład Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Spodziewany jest także nasz nowy wiceprezydent. Wyleciał z Miami ponad godzinę temu i powinien wylądować w Andrews za niecałe pół godziny. Zgodził się stanąć na czele delegacji do Europy i na Bliski Wschód.

Powinni stać na lotnisku tylko tyle czasu, ile trzeba na uzupełnienie paliwa i otrzymanie pana instrukcji. Wiceprezydent odleci do Europy najpóźniej w południe. ...Nasz obecny status jest następujący: siły zbrojne i cywilne zostały postawione w stan THREAT-COM ALPHA - najwyższy poziom alarmu antyterrorystycznego. Nie wydawaliśmy takiego specjalnego rozkazu, sir; to automatyczna odpowiedź na zaistniałą sytuację. Regulamin dowodzenia wymaga od nas podniesienia sił w stan gotowości ALPHA; chociaż, jeśli uzna to pan prezydent za rozsądne, może pan w każdej chwili podjąć decyzję o obniżeniu stanu gotowości z powrotem, do jednego z kolejnych stopni.

Generał Beck natychmiast podniósł rękę i odezwał się:

- Sir, proponuję zachowanie obecnego statusu. Zawsze będziemy mogli obniżyć go później, w miarę rozwoju sytuacji.

Andrew Brooks skinął głową. Hillard kontynuował:

- Dywizjon bombowców B-1 szykuje się do misji, która rozpocznie się dzisiaj nocą. ...Sekretariat stanu pozostaje w kontakcie z naszymi głównymi sojusznikami. Poinformowaliśmy ich o pańskich zamierzeniach. Na razie jednak nie zdążyliśmy się jeszcze porozumieć z... - Brent zajął w notatki - ...prezydentami Rosji, Polski, Kanady i...

- Rosji! - przerwał mu Brooks. - Jeszcze nie powiadomiliście Czernogóry?!

- Obawiam się, że nie, sir. Wedle wszelkich danych poluje na dziki na południowym Krymie. Przynajmniej tak nam mówią. Sądzę, że, w rzeczywistości znowu lecą go w tym ukraińskim sanatorium. ... W każdym razie, porozumieliśmy się z premierem Rosji i spodziewamy się nawiązać kontakt z prezydentem w ciągu pół godziny.

- No, dobrze - odparł prezydent, opierając się wygodnie. - A co z państwami bliskowschodnimi? Co z nimi, Patty? - dopytywał się, zwracając się bezpośrednio do sekretarza stanu. - Co powiedzieli Izraelczycy?

Sekretarz natychmiast odpowiedziała:

- Sir, premier Shalev zapewnił mnie, że zachowają spokój. Choć, podobnie jak my, podnieśli swój stopień gotowości. Obiecał jednak, że nie będą wykonywać żadnych prowokacyjnych gestów ani wygłaszać żadnych oświadczeń.... Muszę jednak pana

powiedzieć, panie prezydencie, że Izraelczycy są bardzo zaniepokojeni. Trzeba stwierdzić, że obecną sytuację postrzegają ją jako niezwykle niebezpieczną. Premier prosi mnie o pańskie zapewnienie, że...

- Słuchaj, Patty - przerwał Brooks. - Połącz się z Shalevem. Powiedz mu, żeby trzymał się z dala. I to, że nie zostawimy ich na pastwę losu. Na pewno zna nas dostatecznie dobrze. ... Ale powiedz mu jeszcze, że jeśli w jakikolwiek sposób doprowadzi do wzrostu napięcia, albo będzie próbował wykorzystać sytuację w jakiej my się znaleźliśmy, rozwalę mu łeb, utnę i zatknę na pal. Tego nam tylko brakuje, żeby martwić się jeszcze o to, co robią Izraelczycy.

Sekretarz skłoniła głowę. Prezydent ciągnął:

- Niech mi teraz pani powie, pani sekretarz, kiedy zjawi się tu iracki minister spraw zagranicznych?

- Już jest - odparła sekretarz, pokazując na drzwi. - Był akurat w Nowym Jorku, w siedzibie ONZ. Wezwaliśmy go natychmiast. Czeka na górze, w Białym Domu. Możemy tam wjechać, lub, jeśli pan woli, wpuścić go tutaj, sir.

- Niech go zwozją tutaj - polecił prezydent.

Pięć minut później młody żołnierz marines wprowadził do Pomieszczenia Sytuacyjnego Abdullaha Abbasa, ministra spraw zagranicznych Iraku. Podoficer odwrócił się na pięcie, stuknąwszy obcasami, i zniknął. Irakijczyk stał niezdecydowany, nie wiedząc, co powinien zrobić. Rozglądał się nerwowo po twarzach wpatrzonych w niego ludzi. Zapadła cisza. Wszystkie oczy zwrócone były na Araba.

Sekretarz stanu szepnęła prezydentowi do ucha:

- Sir, może przejdziemy do sali narad? Panuje tam bardziej prywatna atmosfera, i łatwiej będzie rozmawiać.

- Nie. - Brooks nie zgodził się. - To, co mam do przekazania, może zostać powiedziane otwarcie.

Sekretarz stanu siedziała jeszcze przez chwilę, a potem powoli podniosła się z miejsca, Podeszła do Abbasa i skinęła, żeby zbliżył się do stołu. Razem, ruszyli ku patrzącemu zimno prezydentowi. Minister wyciągnął dłoń i natychmiast zapytał źle akcentowaną angielszczyzną:

- Co to ma znaczyć, panie prezydencie? Dlaczego wezwał mnie pan tu o takiej porze?!

Brooks przerwał mu, nie tracąc czasu na słuchanie wymówek:

- Niech pan zostawi swoje pytania na później. Na razie chcę, żeby się pan zamknął i posłuchał, co ja powiem.

Na twarzy ministra pojawił się gniew. Nie był przyzwyczajony do tego rodzaju traktowania.

- Panie prezydencie, obawiam się, że nie rozumiem... - odpowiedział dyplomatycznie.

- Panie ministrze, przejdę od razu do rzeczy: wiemy, mamy absolutny dowód, że Saddam Husajn jest osobiście odpowiedzialny za katastrofę naszego prezydenckiego samolotu, jaka miała miejsce w zeszłym tygodniu.

Abbas zrobił zdumioną minę.



- Panie prezydencie, to po prostu niemożliwe - odpowiedział, - Wie pan, że...

- Chcę was powiadomić - przerwał Brooks - że zniszczenie Air Force One uważam za bezpośredni akt wojny. Uważam, że to najbardziej wroga akcja, jakiej doświadczyliśmy w ciągu naszej historii. Równie zdradziecka, jak atak Japończyków na Pearl Harbor. O wiele niebezpieczniejsza niż radzieckie rakiety na Kubie. Doprawdy, panie ministrze, już podjąłem decyzję, że same słowa nie wystarczą, żeby dać wam do zrozumienia, jak podle postąpiłście.

Brooks zrobił pauzę, żeby wywołać na swoim rozmówcy większe wrażenie. Groźba została wyrażona w zawoalowany sposób, ale bardzo jasno. Irakijczyk nadał się i odpowiedział:

- Ależ, panie prezydencie, to wierutne kłamstwo. Mogę pana z całego serca zapewnić, że nasz prezydent, wielki przywódca Iraku, nie miał najmniejszego pojęcia o katastrofie waszego samolotu. I...

Prezydent Stanów Zjednoczonych przerwał po raz ostatni:

- Panie Abbas, wiemy, że to Irak dokonał tego ataku. Mamy bezpośredni, niepodważalny dowód winy waszego prezydenta. Mogę panu przysiąc, że obserwujemy i nasłuchujemy was uważnie od kilku dni. I związek sprawy z Husajnem jest jasny i oczywisty. ...Do tego, panie ministrze, wiemy o tym, co zrobiliście w Kimisk. Wiemy, że Husajn użył swojej nowej broni biologicznej. I wiemy także, że wydawał rozkazy i rozmawiał z agentem, który znajduje się tutaj, na terenie USA.

Iracki minister nachmurzył się jeszcze bardziej, a w jego oczach błysnęło szczere niedowierzanie.

- Nie, panie prezydencie, to nie może być prawda - odpowiedział. - Na pewno nie wierzy pan w to, co pan teraz powiedział!

- Owszem, panie Abbas, wierzę. I powiem panu jeszcze, co zamierzam zrobić. Chcę, żeby wrócił pan do swojego kraju i przekazał ode mnie Husajnowi następującą wiadomość: ...Po pierwsze - to bardzo ważne - niech pan powie swojemu prezydentowi, że w sytuacji, do której doszło, jeśli choćby wywączamy zamiar dokonania jakiegokolwiek aktu terrorystycznego na terenie Stanów Zjednoczonych, a w szczególności użycia przez was broni biologicznej, wasze państwo i naród będą skończone. Przestaną istnieć. Zetrzemy Irak z mapy świata i pozostawimy na pustyni radioaktywną dziurę, tak gorącą, że będzie świecić jeszcze przez najbliższe tysiąc lat. Mówię absolutnie poważnie, panie ministrze. Zdmuchnę Irak z ziemskiego globu. ...Informuję pana, że za kilka godzin wystartuje dywizjon wyładowanych bombami atomowymi bombowców strategicznych B-1. Samoloty te spotkają się z osłoną myśliwską i zaczną krążyć na południe od Cypru, w odległości niecałych czterdziestu pięciu minut lotu od Bagdadu. Będą czekać na mój rozkaz. I jeśli go wydam, zaatakują i zamienią was w parę, panie ministrze. Pana, pańskiego prezydenta, cały kraj. Jeden nalot dywizjonu B-1 wystarczy. Więc niech pan powie Husajnowi, żeby schował swoją broń biologiczną, dobrze? To jest najważniejsza rzecz, jaką musi mu pan przekazać, jeszcze dzisiaj.

Irakijczyk cofnął się o krok i chciał wyjść ale Brooks uniósł rękę i rzucił:

- Jeszcze nie skończyłem, panie ministrze. Poza tym, chcę, żeby powtórzył pan Husajnowi, że żądamy natychmiastowego i bezwarunkowego ujawnienia wszystkich waszych

obiektów związanych z bronią atomową, biologiczną i chemiczną, abyśmy mogli nie wycelować i całkowicie zniszczyć, raz na zawsze. Nie będzie więcej zabawy z inspektorami ONZ. Ani nazywania magazynów czy bunkrów, w których przechowujecie broń biologiczną, pałacami prezydenckimi. Nie będzie więcej łamania obietnic złożonych Organizacji Narodów Zjednoczonych. Po tylu latach, zmęczyło już nas to wszystko. ...Jest jeszcze trzecia sprawa, panie ministrze. Chcę, żeby Saddam Husajn ustąpił. Oddał władzę. Daję mu siedem dni na przekazanie władzy. Siedem dni na wybór swojego następcy i usunięcie się w cień. Tydzień dłużej sprawowania władzy przez Saddama Husajna to wszystko, co jestem w stanie znieść. ... W bazie Andrews czeka na pana samolot naszych Sił Powietrznych, który odstawi pana do Iraku. Proszę ruszać w drogę. Niech się pan spotka ze swoim prezydentem i przekaze mu moje słowa. Oczekuję odpowiedzi jeszcze przed wieczorem.

Irakijczyk był wściekły. To, co usłyszał było daleko więcej niż zniewagą. Samo rozważanie słów prezydenta USA wydawało się nie do pomyślenia. Wycelował w niego palec i odparł stanowczym tonem:

- Może pan sobie tu siedzieć i grozić, panie prezydencie. Jednak ostatecznie nie wyjdzie to wam na dobre. Czy nie widzi pan, że to wy nieustannie krzywdzicie nasz naród, zabijając nasze dzieci i kobiety bezmyślnym embargiem handlowym? Gdybyście nie odcięli nam importu żywności i lekarstw, najbardziej podstawowych artykułów; gdybyście nie wyrwali serca naszego narodu odcinając nas od świata, który jest nam niezbędny, abyśmy mogli przeżyć; gdybyście nie okaleczyli naszego kraju, pozostawiając go w stanie zadłużenia sięgającego stu miliardów dolarów; gdybyście nie obrazili ducha islamu swoją obecnością w Arabii, tylko po to, żeby nakarmić waszą dumę; wtedy być może nie doszłoby do tego, co się stało. Muszę uznać, że wina obciąża także i was.

Twarz Brooksa nabrała koloru purpury. W końcu, ledwie panując nad sobą, wycedził:

- Zmęczyła mnie rozmowa z panem, panie Abbas. Powiedziałem, co chcę, żeby pan zrobił. A teraz proszę lecieć. Samolot czeka.

Minister rzucił amerykańskiemu przywódcy zimne spojrzenie i ruszył do drzwi. Zanim wyszedł, Brooks zawołał jeszcze:

- B-61, panie ministrze. Czy wie pan, co to jest?

Abbas nie zatrzymywał się, zdecydowawszy, że najlepiej będzie zignorować pytanie. Czuł się obrażony i wściekły. Nie miał ochoty więcej rozmawiać z tym człowiekiem. Poza tym, wiedział, co to jest B-61.

Prezydenckie ruchome centrum dowodzenia  
wschodnie przedmieścia Bagdadu, Irak,  
14.50 czasu miejscowego

Posuwająca się naprzód, srebrzysto-czarna ciężarówka z naczepą wyglądała tak samo, jak inne. Jechała powoli, nie wyróżniała się niczym. Wyglądało na to, że zmierza do jakiegoś magazynu czy fabryki.

Wewnątrz naczepy znajdowało się jednak ruchome centrum dowodzenia. Był tam długi stół konferencyjny i fotele dla dwudziestu osób. Przed wszystkim jednak znajdowały się tam najrozmaitsze urządzenia, pozwalające prezydentowi Iraku zachować łączność ze swoimi siłami, a jednocześnie pozostawać niewykrytym. W podwójnym dachu naczepy roiło się od różnych anten. Burty były zarówno dźwiękoszczelne, jak i kuloodporne. Małe barykady pozwalały coś zjeść albo wypić, a w tylnej ścianie pomieszczenia znajdowały się odsuwane drzwi, prowadzące do ciasnej, ale jednak wygodnej sypialni. Z klimatyzatorów sphywało chłodne powietrze. W jednym z końców naczepy pracował wentylator.

Saddam Husajn stał u szczytu mahoniowego stołu, otoczony ministrami i generałami. Stół zajmował połowę długości pomieszczenia. Nie wszyscy obecni znajdowali się przy nim; niektórzy siedzieli pod ścianami, patrząc niepewnie w podłogę. W czterech rogach naczepy stali ochroniarze prezydenta, trzymając w pogotowiu odbezpieczoną broń.

Jeden z generałów był skrupowany cienką linką, owijającą mu szyję i zaczepioną wokół paska, a dalej, otaczającą nadgarstki. Saddam uderzył go w dłoń wielką, policyjną pałką.

- Powiedz mi! - wrzasnął. - Powiedz, gdzie jest mój syn?!

Zrobił krok naprzód i uspokoił się nieco, choć oczy płonęły mu gniewem. Nachylił się ku przerażonemu oficerowi i dodał niemal szeptem:

- Powiedz mi, Abbu. Powiedz. Co zrobiłeś?

- Panie prezydencie - zająknął się generał - przysięgam na wszystkie świętości, że nie wiem. Nie wiem, gdzie jest Udaj.

Husajn podniósł rękę i uderzył generała pałką prosto w twarz. Krew trysnęła na ścianę, znacząc ją czerwonymi kropelkami. Obryzgała także twarz najbliższego z ministrów, który nie ośmielił się nawet podnieść ręki i wytrzeć jej.

Generał zachwiał się i padł na kolana. Po jego brodzie połała się krew ze złamanego nosa, skapując na szary dywan. Prezydent podniósł rękę z pałką jeszcze raz, a drugą złapał oficera za włosy i szarpnął go, unosząc jego zmasakrowaną twarz.

- Chcę wiedzieć, ty zdradziecki tchórze! - warknął. - Kto wydał rozkaz ataku na wioskę? I co zrobiliście z moim synem? Gdzie go zabraliście? Powiedz: co zrobiłeś?

Generał otworzył usta. Husajn szarpnął go za włosy po raz drugi i syknął:

- Mów prawdę, bracie, a pozwolę ci żyć.

- Mój *Rais* - jęknął torturowany oficer. - Nigdy w życiu nie przyszło mi na myśl, żeby cię oszukać. W jakikolwiek sposób. Ty jesteś wybrany. Żyję i umrę na twój rozkaz. Wierz mi, o *Rais*, pokornie i wiernie wykonuję wszystko, co powiesz.

- W takim razie odpowiedz na moje pytania.

- Nie widziałem go, panie. Nie wiem, gdzie jest. Przysięgam. Nie mam pojęcia.

Pałka spadła na generała po raz kolejny, rozrywając mu ucho niemal na pół. Nieszczęśnik padł na podłogę i przewrócił się na bok. Saddam skinął na jednego z ochroniarzy, który natychmiast schylił się i podniósł generała na nogi. Głowa oficera opadała na boki;

mięśnie szyi nie były w stanie jej utrzymać. Generał nie czekał na następne pytanie:

- *Sayid* - wybąkał. - To twój syn wydał rozkaz ataku na Kimisk. Posłużył się własnymi ludźmi. Nawet nie przedyskutował sprawy ze mną. A teraz, ukrył się. Nie widziałem go prawie od dwóch dni. Ale wiem, że to on. Nie krył swoich zamiarów.

Twarz dyktatora zapłonęła wściekłością. Uniósł pałkę po raz kolejny.

- Kłamiesz!!! - ryknął, ile sił w płucach. - Kłamiesz; wszyscy wiemy, że to ty!

- Nie, *Rais*. To Udaj.

Pałka uderzyła nieszczęśnika w podstawę szyi. Rozległ się straszliwy chrobot zmiażdżonych kręgów. Ciało bezwładnie opadło na podłogę. Leżało bez ruchu, podczas gdy Husajn chodził nerwowo w tę i z powrotem, od czasu do czasu kopiąc lekko butem w głowę skatowanego oficera.

Nikt inny się nie poruszał. Wszyscy wstrzymali oddechy, pełni lęku i grozy, stojąc obok umierającego człowieka.

Dyktator popatrzył mu w oczy, żeby stwierdzić, że mężczyzna jest jeszcze przytomny. Zaczął kiwać głową, a biedak wodził za nim wzrokiem.

- Generale Abbu Nedal-amal - odezwał się Husajn po raz ostatni. - Znowu mnie okłamałeś. Obraziłeś nas wszystkich, generale Abbu Nedal-amal. Zawstydyziłeś nas wszystkich swoimi kłamstwami.

- Nie, *Rais* - wymamrotał ostatkiem sił umierający. - To ty nas zawstydyziłeś. Ty i twój syn.

Niesłychane słowa zawisły w powietrzu. Husajn stanął jak wryty, po czym skinął na ochroniarza. Ten oddał strzał i dobił generała.

Zapadło przepelnione trwogą milczenie. Każdy z ministrów i pozostałych przy życiu generałów patrzył na prezydenta z lękiem, i złamanym sercem. Każdy wiedział, że równie dobrze to on mógłby przed chwilą ponieść śmierć. Co gorsza, wiedzieli też, że zabity generał powiedział prawdę.

Waszyngton, USA

11.37 czasu miejscowego

Rashid Abdul-Mohammad zamieszkał w hotelu Reston Holiday Inn tylko jedną noc. Wczesnym rankiem miał już z powrotem znaleźć się w Nowym Jorku. Odbierając klucze do pokoju, spytał, czy nadeszła dla niego przesyłka. Z ulgą zobaczył niewielką paczkę, nadesłaną pocztą lotniczą. Rzucił okiem na adres zwrotny i znaczek. Paczka została wysłana za pośrednictwem sieci Federal Express, a nadano ją na lotnisku międzynarodowym w Madrycie.

Zabrał przesyłkę do pokoju, położył na klimatyzatorze i nastawił go na ogrzewanie. Poinstruowano go bowiem, żeby paczka pozostawała ciepła. Rozebrał się, wziął prysznic, a potem zszedł do restauracji.

Wróciwszy do pokoju, Rashid ostrożnie otworzył paczkę. Wewnątrz znajdowały się trzy małe, srebrzyste pojemniki. Były metalowe, walcowatego kształtu, wysokości mniej więcej dwudziestu centymetrów. Miały elektroniczne zegary i gumowe uszczelki. Mężczyzna sprawdził godzinę, po czym zabrał pojemniki i zjechał z nimi do wypożyczonego samochodu.

Jechał przez miasto czterdzieści minut. Dotarł do Katedry Narodowej, gdzie wszedł razem z grupą niemieckich turystów. Oglądał olbrzymie wnętrze budowli przez stosowny czas, po czym skręcił do jednej z łazienek. Zajął jedną z kabin i poczekał, aż w łazience nie będzie nikogo, po czym zabrał się do pracy.

Wystarczyły sekundy, żeby umieścić pierwszy pojemnik za kratką osłaniającą otwór wentylacyjny. Kiedy pokrywka odskoczy i śmiercionośny opar zostanie uwolniony, skażone wirusem powietrze przejdzie przez cały system przewodów wentylacyjnych katedry. Wystarczy jeden wirus na miliard cząsteczek powietrza.

Następnym celem Abdul-Mohammada był park George'a Washingtona, znajdujący się w centralnej części miasta, koło rzeki Potomac. Rashid spacerował po parku przez kilka minut, aż znalazł odpowiednie miejsce. Głęboko, pomiędzy drzewami, zaledwie trzydzieści metrów od rzeki, znajdował się błotnisty, pokryty mchem staw. Otaczały go krzaki i sięgająca do kolan trawa. Mężczyzna ustawił zegar, po czym zatopił drugi pojemnik w błocie. Miał otworzyć się za trzydzieści sześć godzin. Wkrótce potem, wokół będą leżały martwe zwierzęta. Komary i muchy dokonają reszty.

Wróciwszy do samochodu, agent pojechał jeszcze do miejskich filtrów. Bardzo prosto było zatruć całą dostarczaną milionowemu miastu wodę. Po prostu przerzucił pojemnik ponad płotem. Nie było żadnych sił bezpieczeństwa, wartowników, szlabanów. Robota zajęła mu mniej czasu niż słuchał jej opisu.

Abdul-Mohammad pojechał z powrotem do hotelu, skąd odbył drugą, krótką rozmowę ze swoim mocodawcą, informując go, że dokonał dzieła. Zdziwił się, ile szczegółów chciał znać *Sayid*. Wypytał o dokładne położenie wszystkich trzech pozostawionych pojemników. Abdul-Mohammad opisał wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Wtedy Husajn, najwyraźniej usatysfakcjonowany, po prostu rozłączył się.

Udaj siedział przy biurku, w jednej ze swoich willi na przedmieściach Bagdadu. Rozparł się w fotelu i uśmiechnął się. Więzień dobrze się spisał. Pozwoli jego rodzinie żyć.

Kiedy wirus rozprzestrzeni się po katedrze, w wodzie i w parku, sytuacja osiągnie stadium, które naukowcy określają jako masę krytyczną, podobnie jak przy opisie wybuchu jądrowego. Od tej chwili nie będzie już możliwości powstrzymania epidemii. Dwadzieścia cztery godziny po otwarciu się pojemników, już około pół miliona ludzi będzie martwych. W tym wszyscy przedstawiciele władz, obecni na pogrzebie wiceprezydenta.

I na tym się nie skończy. Wirus będzie dopiero zaczynał zbierać swoje żniwo.

Baza Sił Powietrznych Dyess, Teksas, USA  
06.10 czasu miejscowego

Odezwał się telefon. Po długiej chwili podpułkownik Jake Chambers, zwany „Wściekłym Psem”, obudził się wreszcie. Zawsze cieszył się mocnym snem. Dopiero po czwartym sygnale przewrócił się na drugi bok i z trudem odnalazł słuchawkę. Przycisnął ją do ucha.

- Słucham?- wymamrotał.
- Czy pan pułkownik Chambers?
- Tak, Chambers - zgodził się oficer. Jego umysł zaczynał się teraz gwałtownie budzić.
- Sir, dzwonię z dowództwa skrzydła. Pan generał Summers chce z panem rozmawiać. Czekaj.

Chambers natychmiast usiadł i zapalił nocną lampkę. Przez jego ciało popłynęła adrenalina. Żona oficera przewróciła się na drugi bok, a potem usiadła nagle, przestraszona. Chambers przetarł oczy i poszukał kartki i ołówka.

Pół sekundy później w słuchawce odezwał się głos:

- Wściekły Psie, mówi generał Summers.
- Tak jest.
- Jak się czujesz, Jake? Obudziłeś się? Chcesz, żebym dał ci trochę czasu?
- Ee, nie, sir; obudziłem się już. Czuję się świetnie.
- To dobrze. Słuchaj, Jake. Nasze skrzydło dostało misję LONGBOW. Mam w rękę rozkaz wykonawczy.

Dowodzący skrzydłem generał dał dowódcy jednego z podległych sobie dywizjonów chwilę na zebranie myśli. Chciał mieć pewność, że to, co mówi, zostanie dobrze zrozumiane.

Po kilku sekundach ciszy, podpułkownik odpowiedział:

- Tak jest, sir. LONGBOW. Rozumiem. Zaraz będę.
- Nie, Wściekły Psie - odparł generał. - Chcę, żebyś poleciał. Będziesz dowódcą misji. Poprowadzisz ją. Dlatego chcę, żebyś został w domu na najbliższe dwanaście godzin czy coś w tym rodzaju. Śpij, jeśli będziesz mógł, chociaż zrozumiem, jeżeli ci się nie uda. Staraj się jednak za wszelką cenę wypocząć. Bądź tu dokładnie o osiemnastej, gotowy do misji bojowej.

Przez plecy pułkownika przeszedł dreszcz. Przesunął dłonią po ciemnych włosach. Nawet żona odczuła drżenie jego pleców i natychmiast się zaniepokoiła. Wiedziała z doświadczenia, że telefony o tej porze nie oznaczały nic dobrego.

- Tak jest, sir - odpowiedział Chambers. - Będę wypoczywał. Stawię się punkt osiemnasta.

- Świetnie. Powiadamy pozostałych członków twojej załogi. Dostaniesz Węza i Dingo. I prawdopodobnie Clancy'ego. To powinien być świetny zespół.

Twój oficer operacyjny, pułkownik Harris, jest już na stanowisku dowodzenia. Zajmiemy się całym planowaniem. Ty masz tylko pojawić się i polecić.

- A samoloty, sir?

- B-1 są już uzbrajane. Wracaj do łóżka. Tak jak powiedziałem, spróbuj jeszcze po spać. Jeśli się da, nie wstawaj przez cały dzień, bo misja może potrwać nawet trzydzieści godzin. Załogi mają się stawić o osiemnastej. Odprawa w pięć minut później; będziecie mieli około godziny na zapoznanie się z planem. Start przewidziany na dziewiętnastą piętnaście czasu miejscowego. Powiedz Cindy, że nie wrócisz na noc do domu.

## Air Force Two, nad północnym Atlantykiem 16.10 czasu waszyngtońskiego

Ted Hardy, nowy wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, pełnił swoją funkcję od niecałych siedemdziesięciu dwóch godzin. Siedział teraz w olbrzymim, rozkładanym fotelu, w przedniej części samolotu. Zmienił pozycję na wygodniejszą i popatrzył na zegarek. Minęła szesnasta czasu waszyngtońskiego. Wyciągnął drugą rękę i przestawił zegarek o pięć godzin naprzód. O północy czasu londyńskiego powinien wylądować na tamtejszym lotnisku Heathrow. Będzie to za niecałe trzy godziny.

Odrzucił się i spojrzął na siedzącego po drugiej stronie przejścia Michaela Crosby'ego, który oparł na dłoniach swoją ogromną twarz, patrząc bez wyrazu przed siebie. Dwaj mężczyźni siedzieli tak już od pięciu godzin, starając się nie budzić wzajemnie. Jednak, mimo że lot przebiegał spokojnie, żaden z nich nie był w stanie uspokoić się na tyle, żeby zasnąć. Pożalają tego jeszcze, bo będą musieli pracować przez całą noc.

Nagle odezwał się wiszący obok telefon. Wiceprezydent poczuł lęk. Podniósł słuchawkę i odezwał się:

- Słucham.

- Ted, mówi Andrew - odezwał się Brooks. Jego głos był cichy i zniekształcony, z powodu połączenia satelitarnego i urządzeń kodujących.

- Tak, panie prezydencie - odparł Hardy. - Co odpowiedział Husajn?

- Jeszcze nic. Do tej pory nie odezwał się nawet słowem.

- Rozumiem. A dziewczyna?

- Dostała instrukcje, zgodne z obecnym stanem sytuacji. Jednak także jeszcze nie mamy od niej wiadomości.

W słuchawce zatrzeszczało, gdyż wiceprezydencki Air Force Two przebijał się właśnie przez sięgającą wysoko ścianę chmur typu cirrus. Wilgoć marznącej pary wodnej powodowała zbieranie się ładunków elektrycznych na metalowej powłoce samolotu, a w konsekwencji, wylądowania i trzaski. Brooks odczekał aż trzaski ucichną i kontynuował:

- Mam dla ciebie rozkład zajęć, Teddy. Możesz notować?

Wiceprezydent chrząknął i wziął długopis, po czym otworzył czarny, skórzany notatnik.

- Już; jestem gotowy, sir.
- Dywizjon B-1 został powiadomiony i wyleci z Teksasu o siódmej piętnaście wieczorem czasu lokalnego. Wcześniej rano znajdzie się w rejonie celu.

Wiceprezydent zanotował, gryzmołąc jak kura pazurem. Pisał tak od czasu, kiedy pierwszy raz w życiu zaczął stawiać litery.

- Zapisałem. Czy sekretariat stanu opracował dla nas odpowiedni rozkład spotkań?
- Tak, Ted. Przekażemy wszystko jeszcze waszej załodze i asystentom, ale podam ci ogólne zarysy. Od razu na Heathrow spotkasz się z brytyjskim premierem. Jednocześnie będzie tam kanclerz Niemiec. Wyjaśnisz im nasze zamiary. Podkreśl, że B-1 zaatakują tylko w przypadku, jeśli będziemy mieli do tego powód. Nie zostają wysłane na misję zaczepną. Jednak przekaz im, żeby uważali, ponieważ jeśli Husajn będzie się szykował do użycia swojej broni biologicznej, wtedy zaatakujemy. Później polecisz do Kairu, a następnie do Izraela. Na końcu zatrzymasz się u króla Arabii Saudyjskiej. Do wieczora zdążysz poinformować wszystkich najważniejszych graczy. Tych, z którymi nie spotkasz się osobiście powiadomimy o wszystkim przez telefon. Pamiętaj, że niektórzy z nich będą próbowali nas przekonać, żebyśmy zmienili swoje zamierzenia. Mam dla nich następującą odpowiedź: informujemy ich po prostu o naszych zamiarach, nie prosząc o żadne wsparcie. Czy pan zrozumiał, panie wiceprezydencie? Jestem absolutnie zdeterminowany, by doprowadzić sprawę do końca.

Hardy przytaknął i mruknął, że rozumie.

- Kiedy tylko odbędziesz ostatnie spotkanie, natychmiast wrócisz - polecił jeszcze Brooks. - Chcę, żebyś jak najszybciej znalazł się z powrotem w Waszyngtonie.

## Baza Sił Powietrznych Dyess, Teksas, USA 19.00 czasu miejscowego

Podpułkownik Chambers wysiadł z mikrobusu rozwożącego załogi. Powietrze było gorące i suche. Panowało lato i w zachodnim Teksasie, pomimo wieczoru, temperatura na płycie lotniska wciąż sięgała czterdziestu stopni Celsjusza. Podpułkownik pocił się, ubrany w kombinezon z nomexu. Po jego klatce piersiowej zaczęły spływać małe strużki. Członkowie załóg bombowców zarzucili na ramiona wyposażenie, powtykali do uszu zatyczki z pianki i ruszyli do maszyn.

Na płycie lotniska stały trzy ciemne B-1B, oświetlone reflektorami. Wokół kręciły się wciąż jeepy z mechanikami. Potężne maszyny otaczał kordon sił bezpieczeństwa. Żołnierze trzymali w pogotowiu swoje M-16, podejrzliwie przyglądając się załogom, wyciągającym z mikrobusu wyposażenie. Turboodrzutowe silniki bombowców już pracowały, napełniając łoskotem powietrze. Przy każdym z samolotów stał szef odpowiadającej za jego stan obsługi naziemnej.

„Wściekły Pies” zbliżył się do swojej maszyny. Szef obsługi zasalutował. Podpułkownik nie mógł mu odpowiedzieć, gdyż był obwieszony wyposażeniem pilota. Mechanik podbiegł do Chambersa i krzyknął mu do ucha, przekrzykując silniki:



- Ptaszek gotowy, sir. Można startować.

Podpułkownik pokazał w odpowiedzi uniesione kciuki, po czym skinął na swoich towarzyszy. Po chwili, załoga zniknęła we wnętrzu wielkiego bombowca.

Chambers zajął miejsce w fotelu pierwszego pilota i zaczął zapinać pasy. Obok usadowił się kapitan Rattle, zwany „Wężem”. Mężczyźni założyli hełmy i wyregulowali długość pasów. Za nimi siedzieli już dwaj oficerowie uzbrojenia. Przygotowanie się załogi musiało zawsze zająć kilka minut. Podpułkownik przypinał sobie właśnie do lewego biodra instrukcję czynności przedstartowych, kiedy usłyszał z tyłu pełen grozy głos:

- Chłopczy, patrzcie! - Oficer uzbrojenia był zdumiony. I trochę wystraszony.

Pułkownik znieruchomiał. Jego umysł przestał na moment pracować. Wiedział, o czym mówi członek jego załogi. Zerknął na „Węża”, po czym odezwał się przez interkom:

- Co tam masz, Clancy? W którym luku są?

- To nie do wiary! - komentował młody oficer. - To znaczy, tyle razy to ćwiczyliśmy, ale nigdy nie myślałem... przysięgam, nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek to zobaczę!

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Przed oczami Chambersa stało znane z filmów wyobrazenie. To, co zamierzali zrobić zdarzyło się do tej pory tylko dwa razy. Zaledwie dwa razy, w całej historii ludzkości.

Potrząsnął głową.

- No dobra, Clancy - odezwał się zniecierpliwiony. - Dostyc tego dziwowania. Nie jesteśmy w baśni o Alicji z Krainy Czarów. Mamy misję do wykonania, więc lepiej nie ekscytujmy się za bardzo. Powiedz mi, w którym są luku?

Clancy patrzył na ekran komputera, pokazujący położenie i status każdego elementu uzbrojenia samolotu. Gapił się w ekran jeszcze przez chwilę, a następnie odpowiedział:

- W środkowym i w tylnym, sir. - Teraz mówił zdeterminowanym, pełnym napięcia głosem. - Na dolnych zaczepach. Tam, gdzie powinny być.

- Czy potwierdzasz, że to B-61?

Nastąpiła kolejna pauza, po czym rozległ się głos:

- Tak, sir. To są B-61. Pięć bomb atomowych niewielkiej mocy, po dwieście kiloton każda.

„Wściekły Pies” nie poruszał się, dopiero teraz poraził go tragizm sytuacji, w jakiej się znajdowali. Pomimo gorąca, przez jego plecy przeszedł zimny dreszcz. Sięgnął do kieszeni na łydce i wyjął małą butelkę wody z lodem. Po paru łykach żołądek mu się skurczył. Podpułkownik znowu obejrzał się na „Węża”. Kapitan czekał, obserwując wyraz jego twarzy. Chambers pociągnął jeszcze jeden łyk wody i schował butelkę na miejsce.

Ujął w dłonie drążek sterowy i skinął głową. Drugi pilot nadał przez radio:

- Dyess, Nietoperz Jeden prosi o zezwolenie na kołowanie. Brak planu lotu. Zamierzony. - Załogi B-1 nie wypełniły formularzy z planem lotu i nie zrobią tego. Nikt nie musi wiedzieć, dokąd dzisiaj leciały.

Chambers zaczął zwiększać obroty silników, aż usłyszał:

- Nietoperzu Jeden, masz zezwolenie na kołowanie. Pas startowy do twojego wyboru. Nie ma obowiązku kontaktu z wieżą. Masz zezwolenie na start.

Podpułkownik wcisnął dwukrotnie guzik mikrofonu, co oznaczało, że odebrał komunikat i zamierza się do niego zastosować. Potężna maszyna ruszyła powoli naprzód. Trzy minuty później wzniosła się w powietrze. Zaraz po niej wystartowały dwie następne.

Trzy B-1 nie polecą najkrótszą drogą do wyznaczonego punktu nad Cyprem, przemierzają taką trasę, żeby cały czas pozostawać ponad wodami międzynarodowymi. Było to niezbędne, jeśli załogi miały nie zdradzać swojego położenia. Przez następne trzynaście godzin pokonają trasę nad Atlantykiem do Cieśniny Gibraltarskiej, a potem ponad Morzem Śródziemnym do południowego krańca Cypru. Tam dołączy do nich osłona myśliwska, zajmując pozycje nad nimi.

Połączona formacja zniży się następnie na wysokość stu pięćdziesięciu metrów i będzie krążyć w oczekiwaniu na rozkaz „Mężczyzny”.

Pałac prezydencki, Bagdad, Irak  
01.00 czasu miejscowego

Udaj Husajn wślizgnął się do pogrążonego w mroku biura. Olbrzymie, zaokrąglone okna szczelnie zasłonięto. W pomieszczeniu unosił się zapach dymu i nasączonego olejem drewna. Jedyne oświetlenie stanowiła stojąca na biurku ojca nieduża lampa do czytania. Saddam Husajn spoczywał wygodnie w fotelu, z zamkniętymi oczami i rękami złożonymi na tłustej piersi. Udaj wszedł po cichu, w towarzystwie dwóch członków ochrony osobistej ojca. Ustawili się przy drzwiach. Syn prezydenta szedł po cienkim, perskim dywanie. Stara, choć elegancka podłoga trzeszczała pod jego stopami. Dyktator słuchał zbliżających się kroków, ale nie otwierał oczu.

- Mój synu - zaczął, głosem pełnym desperacji. - Chodź. Siadaj. Czuję ulgę, że tu jesteś.

Udaj usiadł na niskiej, drewnianej kanapie, stojącej koło biurka ojca. Saddam obrócił się z fotelem i otworzył oczy. Patrzył na swojego syna z bezbarwnym wyrazem twarzy, jakby zabrakło mu sił do życia. Po kilku godzinach rozmyślań, zdecydował już, co zrobi. Udaj popatrzył na niego i nadstawił uszu. Dyktator z wysiłkiem wyprostował się i zaczął mówić ze smutkiem:

- Udaju, jesteś moim synem. Moim jedynym synem. Mam zięciów, bękartów i dzieci, których nie uznaję. Ale moim prawdziwym, jedynym synem byłeś tylko ty. ...Chowałem cię przez trzydzieści siedem lat. Przez trzydzieści siedem lat byłeś moją nadzieją. Albowiem wierzyłem, od dnia, kiedy po raz pierwszy wziąłem cię na ręce, wierzyłem, że kiedyś poprowadzisz ten naród, kiedy już mnie zabraknie. ...Ale co mam zrobić teraz mój synu?

Udaj bez ruchu wpatrywał się w ojca.

- Mój *Rais* - odpowiedział. - Nie pozostawiłeś mi wyboru. Trwoniliśmy na marne potęgę, która należała nie tylko do ciebie. Była moja. Sam to przed chwilą powiedziałeś.

Moje dziedzictwo nie da się oddzielić od twojego życia. Twoje czyny będą dla mnie brzemieniem lub siłą napędową.

- Ale wszystko, co mam, zostałyby przekazane tobie. Nie musiałeś kraść tego, co już i tak było twoje. Zdradziłeś mnie dla czegoś, co już posiadałeś.

Udaj nagle wstał i zrobił dwa kroki w kierunku biurka:

- Co byś mi zostawił, ojczyste; no, co? Jaką wartościową rzecz bym posiadał? To ty mnie zdradziłeś. Zobacz, co zrobiłeś z moim dziedzictwem! Jaką teraz może przedstawiać dla mnie wartość? Zawstydzili nas. Nas i cały Islam. Upadłeś jeszcze niżej niż bezpieczeństwa psy, bo nawet i one od czasu do czasu znajdują jakieś schronienie. Ale nie ty ani nie ja. Jesteśmy wygnańcami wśród naszych braci. Nawet wśród przyjaciół. Od wielu lat napawa mnie to przerażeniem. Ile tysięcy naszych dzieci umarło z głodu w wyniku amerykańskiego embarga? Ile kobiet? Mężczyzn? Dręczą nas głód i choroby. Kiedy to się skończy? Co musimy zrobić? Kiedy zostawią nas w spokoju? Zawiodłeś nas, ojczyste. Zawiodłeś mnie, a także ich wszystkich. Nienawisć w moim sercu omal nie doprowadza mnie do szaleństwa. Ale teraz, po latach przyglądania się, jak doprowadzasz nas do upadku, powstanę! ... Szacunek bierze się z władzy. A władza ze strachu. Wkrótce umrą miliony Amerykanów. Kto wie, jak daleko rozprzestrzeni się wirus? Przesną dominować nad światem i nikt nie będzie chciał się z nimi kontaktować. Upłynie niewiele godzin, a zostaną rzućeni na kolana. Ojczyste, czy nie widzisz jak piękny jest ten plan?

Dyktator siedział zupełnie nieruchomo, niczym sęp. Już podjął, napelniającą go uczuciem rezygnacji decyzję. Musi zabić swojego syna. Mimo iż część jego osobowości żałowała tego, co ma nastąpić, inna część była nawet zadowolona. Niespokojnie oczekiwał momentu, w którym sam pociągnie za spust. To jedyna odpowiednia rzecz, jaką mógł zrobić.

Skinął na syna głową i powiedział, zdeterminowanym głosem:

- Udaj, właśnie rozmawiałem z ministrem spraw zagranicznych. Przywieźli go tu Amerykanie, swoim samolotem. Nad Cyprzem krążą amerykańskie bombowce. Czy ty masz pojęcie, co zrobiłeś?

Udaj siedział w półmroku i nie odpowiadał. Jego ojciec ściszył głos i kontynuował:

- Czuję, że powinienem to zrobić osobiście. W jakiś sposób to dla mnie ważne. To tak, jak wtedy, kiedy człowiek musi zabić swojego ulubionego psa, który stał się stary, bezużyteczny i cierpi. Okazałbym tchórzostwo, gdybym nie zrobił tego sam. Ktoś inny posłuchałby rozkazu, ale to byłoby niesłuszne. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Udaj podszedł i nachylił się nad biurkiem:

- Ojczyste - sarknął, mrużąc oczy - tak mało cię rozumiem. Jednak w tej sprawie wiem, o co ci chodzi. Dobra, ja czuję to samo.

Po tych słowach młodszy Husajn odwrócił się do dwóch strażników, którzy natychmiast powyciągali pistolety z kabur. W zmęczonych oczach przywódcy Iraku błysnęła panika. Udaj skinął głową w kierunku swojego ojca. W ciągu niecałej sekundy padły trzy

strzały. Pierwsza kula ugodziła Saddama w głowę, tuż pod nasadą nosa, rozbryzgując na ścianie kawałeczki mózgu. Druga trafiła w gardło, trzecia w pierś. Zanim ciało dyktatora opadło na podłogę, już nie żył.

W pomieszczeniu rozszedł się swąd spalonego prochu. Udał stał przez chwilę nieruchomo, patrząc na martwe ciało ojca. Na drewnianej podłodze zaczęła rosnać ciemna kałuża krwi. Udał Husajn nachylił się i kopnął ciało, zadowolony, że dokonał dzieła.

## 30.

### Gabinet Owalny, Biały Dom, Waszyngton, USA 20.37 czasu miejscowego

O dwudziestej trzydziści siedem odezwał się telefon, stojący na biurku w Gabiniecie Owalnym. Prezydent siedział i patrzył na Brenta Hillarda, doradcę do spraw bezpieczeństwa. W pomieszczeniu panowała cisza. Dwaj mężczyźni pogrążeni byli w niespokojnych myślach. Hillard siedział przy lewym końcu wypolerowanego, zrobionego z wiśniowego drewna biurka. Wpatrywał się akurat w dzbanek z wodą i grube plastry cytryny, pływające pomiędzy kostkami lodu. Na dworze zachodziło właśnie słońce. W pokoju unosił się zapach hawańskich cygar. Nad brązowym, skórzanym fotelem prezydenta wisiał niebieski dym.

Telefon odezwał się po raz drugi. Brooks spojrzął na Hillarda, podniósł słuchawkę i powiedział:

- Słucham, Moniko; o co chodzi?
- Sir, telefonują do pana z Iraku. Dowódca wachty w centrum łączności połączył mnie.

Brooks wstrzymał oddech.

- Kto dzwoni? - spytał.
- Mówi, że jest prezydentem Husajnem, sir. Weryfikacja głosu nie jest możliwa, ale potwierdziliśmy, że telefonuje z pałacu prezydenckiego Tygrys.

Andrew Brooks znieruchomiał na moment. Zmrużył oczy. Nawet jego serce na chwilę przystanęło. Poczuł się całkowicie nieprzygotowany do rozmowy, jaka miała za chwilę się rozegrać. Jeszcze nigdy w życiu nie rozmawiał z Saddamem Husajnem. Atakował już jego kraj trzykrotnie; raz posyłając kilka rakiet tomahawk, a raz prowadząc całotygodniową wojnę powietrzną. Ponadto przy niezliczonych okazjach obwieszczał, że prezydent Iraku jest największym zagrożeniem dla całego rodzaju ludzkiego, a mimo to ani razu nie miał sposobności odbycia rozmowy z tym człowiekiem. Nigdy go osobiście nie widział ani też nie wymieniał z nim korespondencji. I nigdy nie rozmawiał z nim przez telefon.

Brooks przycisnął mocniej słuchawkę do ucha. Na jego czole wystąpiły kropelki potu. Wytarł je niecierpliwie.

- Łącz go ze mną - polecił.

- Już go daję, panie prezydencie - odpowiedziała pracownica centrali Białego Domu.

Brooks wychylił się naprzód i wduśił przycisk opcji głośnomówiącej. Skinął na Hillarda, który wziął długopis i notatnik, przygotowany do zapisania ważnych treści. Co dziesięć sekund z telefonu prezydenta USA - i tylko z jego telefonu - odzywał się także sygnał informujący o tym, że znajdujące się w podziemiach centrum łączności nagrywa rozmowę.

Po kilku sekundach przełączono dzwoniącego. Brooks odchrząknął i powiedział:

- Mówi prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Panie prezydencie, tu Udaj Husajn. - Słowa te zostały wymówione z przesadną starannością. Brooks był zaskoczony. Pomyślał, że usłyszy głos tłumacza, ponieważ wiedział, że iracki dyktator odmawia rozmów po angielsku.

- Hmm, cóż, a gdzie pański ojciec? - odparł. - Myślałem, że z nim będę rozmawiał.

- Panie prezydencie, ta rozmowa jest bardzo ważna - stwierdził Udaj. - Mamy do omówienia niecierpiące zwłoki sprawy.

- Powtórzę pytanie - mruknął chłodno Brooks. - Gdzie jest pański ojciec? Nie będę rozmawiał przez jakiegokolwiek rzecznika. Chcę mówić bezpośrednio z Saddamem Husajnem.

Po chwili milczenia, Udaj odpowiedział:

- Panie prezydencie, chcę, żeby pan wiedział, że ani moi generałowie, ani ministrowie, ani mój naród nie mają nic wspólnego z niezwykle wrogą i niebezpieczną sytuacją, w której znalazły się obecnie nasze dwa kraje. Cokolwiek zdarzyło się do tej pory, jakiekolwiek skutki wzajemnych żalów albo złej woli zaszyły pomiędzy panem a moim ojcem - chcę, żeby pan wiedział, że to już skończone.

- Nie rozumiem. Co pan ma na myśli? - Brooks słuchał w napięciu. - O co chodzi? Gdzie jest pański ojciec?

- Panie prezydencie, mój ojciec jest, cóż... - nieosiągalny. Nie, poprawię się; chcę, żeby poznał pan prawdę. Mój ojciec nie żyje. Został zabity dzisiaj wieczorem. Naczelnym dowódcą Gwardii Republikańskiej, działając z mojego rozkazu, przejął kontrolę nad elitarną Gwardią Pałacową. Podczas zająć zginął także minister spraw zagranicznych Abdullah Abbas i kilku innych ministrów. Rozwiązałem też rząd mojego ojca, zwalniając ministrów oraz głównych doradców wojskowych. Teraz ja kontroluję sytuację. Cała władza w sposób oficjalny przeszła na mnie.

Prezydent przejechał dłonią po twarzy, zrozumiawszy, co się stało. Poblądł i zerknął na swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa, który siedział nieruchomo w fotelu; długopis zwiślał mu bezwładnie pomiędzy palcami. Mężczyźni nie wymieniali spojrzeń; każdy z nich zatopił się we własnych myślach.

Saddam Husajn nie żył. Jego miejsce zajął następca.

Jak długo starał się o to? Ile lat pracował na ten jeden dzień? Ile wysiłku oraz ludzkich istnień kosztowało obalenie dyktatora?

A teraz, kiedy już się to stało, co zamierzali zrobić Irakijczycy?

Udaj Husajn był bliski uśmiechu. Siedział samotnie w pokoju swojego ojca, w zupełnej ciemności. W powietrzu ciągle unosił się zapach prochu i krwi. Prezydent Stanów Zjednoczonych westchnął po raz kolejny. Udaj słuchał. Wiedział już. Teraz wiedział, że Brooks to człowiek, którego można kontrolować. Wahanie amerykańskiego prezydenta mówiło więcej niż słowa, a Udaj był ekspertem od wykrywania ludzkich słabości.

Siedział ze słuchawką przyciśniętą do ucha i czuł, jak wali mu serce. Pomyślał, że to najbardziej emocjonująca chwila w jego życiu. Ogarniało go poczucie władzy, którego nigdy nie zapomniał.

Udaj uśmiechnął się w ciemności i kontynuował, nie czekając, aż Amerykanin się pozbiera:

- W ciągu ostatnich czterdziestu godzin, kiedy rozwijała się niebezpieczna sytuacja, gdy odkryliśmy zbrodnię dokonaną w Kimisk i to, co stało się z Air Force One, a także otrzymaliśmy potwierdzenie naszych najgorszych obaw z ust ministra Abdullaha Abbasa, zrozumiałem, że los naszego narodu wisi na włosku. Stałem więc w obliczu straszliwej decyzji. Z jej brzemieniem będę musiał sobie radzić przez resztę życia. Pan i cały świat może zakwestionować moje metody. Trudno. Zrobiłem to i dokonałbym tego po raz drugi. Ktoś musiał położyć kres temu szaleństwu. ...Jak już powiedziałem, panie prezydencie, znaleźliśmy się w sytuacji krytycznej. Nadeszła chwila, kiedy cała ludzkość patrzy na nas wstrzymując oddech. Moment, podczas którego jedno słowo, lub najprostszy gest, może oznaczać pokój albo najokrutniejszą z wojen. Wojnę, której skutki dotkną miliony ludzi i na zawsze zmienią historię świata. ...A zatem, panie prezydencie, chcę mieć pewność, że pan rozumiał moje słowa. Nie mam nic wspólnego z tym, co zaszło do tej pory. I podjąłem prawdziwie tragiczne kroki - mój ojciec nie żyje. Czego jeszcze mógłby pan żądać więcej?

Prezydent nie odpowiadał. Hillard nawet się nie poruszył. Minęła chwila milczenia.

- Rozumiem, Udaj... - zaczął Brooks, ale rozmówca natychmiast mu przerwał:

- Przepraszam, panie prezydencie, ale w tych okolicznościach zwykła grzeczność wymaga, żeby zwracał się pan do mnie zgodnie z protokołem dyplomatycznym. Jestem prezydentem Iraku. Dlatego chciałbym pana prosić o uwzględnienie mojej pozycji.

Brooks zawahał się i zerknął na doradcę do spraw bezpieczeństwa, który nieznacznie skinął głową.

- Dobrze, panie prezydencie - odezwał się Brooks, nie mogąc powstrzymać odrobiny ironicznego tonu. - Proszę mi powiedzieć, po co pan zadzwonił?

- Panie prezydencie - ciągnął Udaj. - Chcę powiadomić pana o moich zamierzeniach. Kiedy tylko zakończą się techniczne przygotowania, wygłoszę przemówienie do mojego

narodu. Przemówienie, które - jestem tego pewien - największe stacje telewizyjne świata będą nadawać na żywo do wszystkich krajów. Podczas tego przemówienia oznajmię trzy proste rzeczy. ...Po pierwsze, że my, naród iracki, przyjmujemy na siebie pełną odpowiedzialność za działania naszego poprzedniego kierownictwa, i że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zadośćuczynić tym, z którymi postępowano źle. ...Po drugie, że przestępcy, zarówno cywile, jak i oficerowie, którzy byli odpowiedzialni za wszystko, co doprowadziło nas na skraj przepaści, w tym mój ojciec, zostali już ukarani. ...Po trzecie, i to bardzo ważne, panie prezydencie, powiem, że byłoby równie zdradzieckie, gdyby Stany Zjednoczone uważały mnie albo mój naród za odpowiedzialnych za winy mojego ojca. Atakowanie tego narodu byłoby brutalne i moralnie złe, w sytuacji, kiedy zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby zaprowadzić pokój. ...Nie jestem w stanie zmienić tego, co zrobił mój ojciec. Ale teraz już go nie ma i od nas zależy, co zbudujemy na pozosta-wionych przez niego gruzach. Dlatego też proszę pana, aby nie karał pan niewinnych ludzi za coś, nad czym nie mieliśmy żadnej kontroli.

Brooks przejechał dłońmi po twarzy, odczuwając niespodziewaną ulgę. Po chwili mil-czenia, Udał odezwał się znowu:

- Panie prezydencie, mam panu do powiedzenia jeszcze jedną rzecz. Proszę słuchać. To ważne, a nie macie wiele czasu. ...Widzi pan, dowiedziałem się, że mój ojciec miał agenta. Kogoś, z kim kontaktował się w ciągu ostatnich kilku dni. Człowieka, który do tej pory przebywa na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Ten agent otrzymał rozkazy użycia broni biologicznej. Musicie działać natychmiast. Liczy się każda chwila.

Motel Pontiac, Nowy Jork, USA  
21.18 czasu miejscowego

Rashid Abdul-Mohammad siedział i nasłuchiwał. Ktoś stał pod drzwiami. Podniósł oczy znad gazety. Serce zaczęło bić szybciej. Wyteżył słuch. Spojrzał na zegarek. Było osiemnaście po dziewiątej wieczorem. W pogrążonym w półmroku pokoju panowała cisza. Rashid nie poruszał się, koncentrując się na odgłosach dobiegających z korytarza. Czekał cierpliwie, jednocześnie wymacując koniuszkiem języka dodatkową koronkę na zębie.

Znowu zapadła cisza. Abdul-Mohammad opuścił oczy, a jego oddech i tętno zwolniły do normalnego tempa.

Wtedy drzwi rozwarły się nagle z trzaskiem, odbijając się o ścianę. Do pokoju wpadli umundurowani mężczyźni, z wyciągniętymi pistoletami maszynowymi. Irakijczyk wstał. Funkcjonariusze ruszyli przez pokój wrzeszcząc po angielsku i arabsku, żeby Rashid padł na podłogę.

Rashid nie poruszał się jednak; po prostu dlatego, że był zbyt przerażony i zaskoczony. Po paru sekundach żołnierze w hełmach byli już koło niego, mierząc prosto w jego pierś. Przywarł do ściany, a przed oczami stanął mu obraz jego dzieci, domu. W końcu,

rozgryzł cienką koronkę i przełknął gorzki płyn, padając na podłogę i osłaniając głowę rękami.

Kiedy się prostował, już poczuł palenie w płucach. Wydawało mu się, że wewnętrzny pożar ogarnia jego żebra i dociera do serca. Przewrócił się na plecy, tracąc wzrok. Drużyna z jednostki antyterrorystycznej SWAT patrzyła w jego umierające oczy.

## Pomieszczenie Sytuacyjne, Biały Dom, Waszyngton, USA 23.40 czasu miejscowego

Udaj Husajn, nowy prezydent Iraku, skończył swoje przemówienie. Brent Hillard wyciągnął rękę z pilotem i wyłączył odbiornik. Twarz młodszego Husajna zniknęła, zamieniając się w świecący na środku ekranu punkcik. Prezydent patrzył w podłogę, zagubiony w myślach. Pozostali członkowie Rady Bezpieczeństwa Narodowego patrzyli na niego, nie śmieli się jednak odezwać.

Po dłuższej chwili, Brooks podniósł wzrok i powiedział:

- Dobry był, prawda? Bardzo płynnie mówił, i z dużą pewnością siebie.

Pozostali pokiwali głowami.

- Jest zupełnie inny niż ojciec - skwitował Hillard. - Wystarczy na niego spojrzeć, od razu widać różnicę pokoleniową. Tamten był brutalnym przywódcą klanowym, wychowanym w górach. A ten to zepsuty tyran, wychowany w letnich pałacach, który większość czasu spędzał przed telewizorem.

Prezydent opuścił wzrok na dłoń i w końcu rzucił przekleństwo.

- Daliśmy dupy, że nie dorwaliśmy tego Irakijczyka żywcem! - jęknął. - To było takie ważne! Może nawet bardziej niż nam się wydaje. Trzeba go było przesłuchać! Dowiedzieć się, dla kogo pracował i po co tu przyjechał. Jest tyle ważnych kwestii, na które nie da się w tej chwili odpowiedzieć! Panowie, to się na nas zemści. Czują to. Czują to w kościach!...

Zebrani ponownie pokiwali tylko głowami. Prezydent podsumował:

- Zdaje mi się, że najważniejsze sprowadza się do jednego: czy możemy ufać Udajowi Husajnowi? Czy zgadzamy się, że nie miał nic wspólnego z tym zamieszaniami? I co robimy, jeżeli mu wierzymy?

## Baza lotnicza Prince Sultan, Arabia Saudyjska 08.15 czasu miejscowego

Sygnał z Bagdadu przyszedł zaraz po ósmej rano. Był to zestaw dziesięciu cyfr, nadany irackiemu agentowi przez pager. Mężczyzna natychmiast ruszył do swojej cysterny i wrzucił srebrzysty pojemnik do olbrzymiego zbiornika. Przedtem nastawił zegar, tak jak go uczono na szkoleniu w Sudanie. Wsiadł do kabiny i uruchomił silnik. Dwadzieścia minut później jechał już przez ulice Al Kharj, posuwając się w kierunku amerykańskiej bazy lotniczej, znajdującej się na pustyni.



Pałac prezydencki Tygrys, Bagdad, Irak  
08.25 czasu miejscowego

Udaj Husajn nachylił się nad biurkiem i patrzył na podległego sobie generała.

- A zatem, stało się? - spytał ostro.

- Tak jest, mój *Rais*. Więzień Abdul-Mohammad wykonał swoją misję. Teraz nie żyje i Amerykanie nigdy się nie dowiedzą. Nasz człowiek w Al Kharj potwierdził odebranie sygnału. Jedźcie właśnie do bazy Prince Sultan. W tej chwili nie są w stanie tego zatrzymać.

Udaj oparł się wygodnie i uśmiechnął się. Nawet generał się uspokoił. Była to jedna z tych chwil, którymi można się cieszyć. Husajn wstał z fotela i stanął twarzą w kierunku Mekki. Zaczął modlić się w myśli:

„Allah jest łaskawy. Wynagradza sprawiedliwość.

Musi nadejść koniec cierpienia”.

Teraz nowy dyktator odwrócił się do generała i odezwał się z ulgą:

- Odpowiedzialność za atak na Prince Sultan i na Waszyngton, ciągle możemy zrzucać na mojego ojca. Myślę, że to najlepszy element planu. „To mój ojciec” - powiem. - Nic nie wiedziałem o tych zamierzeniach. Amerykańskie świnie zaś będą kłopotać się nad pytaniem: jak zemścić się na człowieku, który już nie żyje?

# Część trzecia

*Wojna jest złożonym i pełnym chaosu  
działaniem wielu ludzi.  
Naturę wojny kształtuje ludzka ułomność  
i nieracjonalne postępowanie.  
Niepewność i nieprzewidywalność -  
to, co wielu nazywa „mgłą” wojny -  
dołączają się do niebezpieczeństwa,  
stresu fizycznego i ludzkiej skłonności  
do popełniania błędów, powodując,  
że według wszelkich ocen proste działania  
stają się nieoczekiwanie trudne,  
a niekiedy nawet nie do wykonania,*

doktryna Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych  
Dokument 1 (wrzesień 1997)

*Cześć, Tatusiu. Kocham cię.  
Mówi Michael. Mam teraz siedem lat,*

telefoniczna wypowiedź dziecka majora Michaela Glendona,  
który został zestrzelony nad Wietnamem Północnym w 1966 roku

Bagdad, Irak  
Dzień dziewiąty (środa), 13.40 czasu miejscowego

Aria leżała skulona w kącie, trzęsąc się ze strachu. Cela była mikroskopijna, właściwie niewiele większa niż zwykłe pudło. Miała cementową podłogę i stalowe ściany, zbryzgane krwią. Sufit znajdował się na wysokości mniej więcej metra i dwudziestu centymetrów; ściany były tak blisko, że nie dało się rozłożyć szeroko rąk. I panowała tak upiorna duchota!... Niemal sześćdziesiąt stopni Celsjusza. W suchym powietrzu ledwie mogła oddychać. Dziewczyna już dawno wypociła cały zapas płynów, a teraz omdlewała z powodu odwodnienia. Czuła skurcz w nogach. Język zeszytywniał jej i wysychł.

Co jakąś godzinę strażnik zatrzymywał się przy grubych, odsuwanych na bok drzwiach i robił w nich szparę wystarczającą, aby mógł przyjrzeć się więźniarce. Po chwili zasuwiał je z powrotem, z hukiem.

Przez cały upalny dzień Aria prażyła się w celi. Pozostawili ją tak specjalnie po to, żeby łatwiej ją złamać. Za każdym razem, kiedy słyszała kroki, spodziewała się najgorszego. Jednak dzień powoli mijał, a strażnik nie wracał. W końcu, dziewczyna zasnęła. Gorąco ustąpiło. W celi stało się chłodniej, gdyż zapadła noc.

Rano następnego dnia, znowu zaczął narastać upał. Kiedy już słońce dochodziło do zenitu, a cela nagrzała się do maksimum, Aria ponownie usłyszała kroki. Uniosła się na łokciu. Nogi miała zdrętwiałe i bardzo ją bolały.

strażnik odsunął drzwi i zajrzał do środka. Dziewczyna podniosła wyblakłe oczy.

- Muszę się zobaczyć z Udajem Husajnem - wydobyła z siebie chrapliwym głosem. - Mam dla niego wiadomość. Nie rozumiesz?

Żołnierz wykrzywił usta w uśmiešku.

- Rozumiem, co mówisz, ty mały szczurze - odpowiedział. - I będziesz miała okazję porozmawiać. Wkrótce wyjawisz mi tę twoją wiadomość i opowiesz o wszystkich innych przestępstwach. Kiedy skończę, będziesz mnie błagać, żebym pozwolił ci mówić więcej... Więc nie masz się co martwić. Kiedy będę gotowy, pogadamy. A potem, jeżeli jeszcze zechcesz zobaczyć wielkiego Husajna.

Aria ruszyła się powoli naprzód i odpowiedziała błagalnym tonem:

- Dlaczego nie mogę się z nim spotkać? Proszę cię; nie rozumiesz!

Strażnik spojrział na nią, jak pełźnie i zasunął z powrotem metalowe drzwi. Jego kroki ucichły w oddali.

Dwaj mężczyźni przyglądali się dziewczynie za pośrednictwem monitora. W rogu maleńkiej celi znajdowała się ukryta kamera, pozwalająca dokładnie oglądać twarz więźnia. Oficerowie patrzyli i słuchali, jak dziewczyna rozmawia ze strażnikiem. Jej twarz była blada jak u jakiejś zjawy. Usłyszeli, że błaga o rozmowę z Udajem Husajnem i popatrzyli po sobie.

Generał Aziz bin Al-Saud, dowódca Organizacji Bezpieczeństwa Specjalnego, popatrzył na stojącego obok pułkownika i zawołał:

- Ty idioto! Długo ją macie?

Oficer aż się skulił.

- Panie generale, więźniarka została aresztowana wczoraj około południa, w południowej części dzielnicy Khalid. Jeden z moich ludzi schwytał ją na ulicy.

Najwyraźniej nie wiedziała, że jest poszukiwana, bo nie starała się specjalnie ukrywać. Łatwo ją było rozpoznać. Nie stawiała wielkiego oporu.... Sprowadziliśmy ją tutaj i umieściliśmy w tej celi. Postępowałem zgodnie ze zwykłą procedurą, *Sayid*. Chcieliśmy posmażyć ją przez dobę, a potem rozpocząć przesłuchiwanie, dzisiaj po południu.

Generał zrobił pół kroku naprzód i powtórzył:

- Ty idioto! To nie jest jakaś zwykła dziewczucha. Mała złodziejka czy polityczna dziwka. Nie czytałeś raportów?! Ta dziewczyna jest o wiele bardziej wartościowa przez to, kim jest, niż przez to, co wie. To intruz z wrogiego kraju, amerykański szpieg! Ty bałwanie! - ryczał generał.

Pułkownik cofnął się i spuścił głowę.

- Nie wiedziałem, panie generale - odparł potulnie.

- Nie wiedziałeś?! Było wydrukowane we wczorajszym biuletynie! - warknął Al-Saud. - Trzymaj ją dalej. Nie dotykajcie jej czasem! Nie rozmawiajcie z nią. Niech twoi zawszeni strażnicy trzymają się z daleka. Niech nikt nie zagląda do jej celi. Muszę pomóc z *Rais* i spytać go, co z nią zrobić. Do tego czasu dziewczyna jest pod twoją opieką. Pilnuj, żeby nic się jej nie stało, bo, na Allaha, nie doczekasz jutra! Wrócę po nią. Na razie ponosisz pełną odpowiedzialność za wszystko.

Generał odwrócił się i wypadł z pokoju.

Kiedy ruszył korytarzem, był jednak zmieszany. Nie wiedział, co ma robić. Coś wisiało w powietrzu. Coś okropnego, niebezpiecznego. Coś, co nie miało nic wspólnego z dziewczyną. Wśród podległych mu strażników pałacowych rozeszły się dziwne plotki. Nie widziano *Sayida*; nie było także wielu spośród jego ministrów. Generał wyczuwał niebezpieczeństwo. Wiedział, że jest tuż-tuż.

Na razie, musiał znaleźć odpowiedź na pytanie, co zrobić z dziewczyną? Z kim powinien porozmawiać? Komu powiedzieć?

Pułkownik Samih Bakr Hajazi, wysoki oficer Amn-al-Khass - osobiście wybranych przez dyktatora ochroniarzy prezydenckiej rodziny, delikatnie zapukał do drzwi. Po kilku chwilach milczenia powtórzył pukanie. Tylko w wyjątkowych sytuacjach ośmiała się to robić. Sprawa była jednak pilna; musiał zobaczyć się z *Rais*.

Usłyszał wreszcie wołający z głębi wielkiego pokoju głos Udaja Husajna:

- Proszę. O co chodzi?

Pułkownik spokojnym ruchem uchylił drzwi i wsunął się do środka. Udaj stał przy prezydenckim biurku i wyglądał przez okno; ręce założył za plecami. Słuchał pustynnego wiatru. W pokoju było gorąco. Udajowi nie przeszkadzało to jednak. Kochał pustynię i suche powietrze, szept wiatru i palące słońce.

Bakr Hajazi zbliżył się do zwierzchnika, stanął przed biurkiem i powiedział:

- Proszę o wybaczenie, panie. Wiem, że przeszkadzam. Jednak zaistniała sytuacja, o której, jak pomyślałem, powinieneś wiedzieć.

Udaj popatrzył na oficera i skinął głową. Pułkownik spuścił oczy i wyjaśnił:

- Mój *Rais*, generał Aziz bin Al-Saud ma więźniarkę. Została schwytana wczoraj rano. Wiele wskazuje na to, że dziewczyna jest szpiegiem. Prawdopodobnie Amerykanie zaplanowali jakiś atak.

- Co pan opowiada, pułkowniku? Czy przysłał pana generał Al-Saud?

Pułkownik zawahał się tylko na moment.

- Nie, panie - odpowiedział. - Ale mówię prawdę. Przetrzykuje taką dziewczynę. Obywatelkę amerykańską. Ona prosi, żeby jej pozwolić porozmawiać z tobą, panie.

Udaj wyszedł zza biurka i zapytał:

- Gdzie jest ta więźniarka?

- W dowództwie AMAM, *Rais*.

- Dlaczego nie zostałem zawiadomiony wcześniej?

- Nie wiem, panie. Być może generał będzie w stanie to wyjaśnić.

Udaj zastanowił się chwilę. Historia wydawała się nieprawdopodobna. Bo może była fałszywa...

Świeżo upieczony dyktator wydał pułkownikowi rozkazy:

- Sprowadźcie ją tutaj. A także generała Al-Sauda. Chcę pomówić z obojgiem. Natychmiast.

Czterdzieści minut później do prezydenckiego gabinetu wprowadzono generała Aziza bin Al-Sauda oraz młodą więźniarkę.

Dwaj strażnicy pomagali jej stać, podtrzymując ją pod ręce. Patrzyła przerażonym wzrokiem; usta miała suche i poblądłe. Była ubrana w więzienny kaftan, gruby, czarny, z długimi rękawami i kołnierzem. Z wysiłkiem próbowała dotrzymać kroku generałowi. Ręce zwisały jej bezwładnie po bokach; palce miała opuchnięte i sine. Drut krępujący jej nadgarstki przecięto dopiero teraz, przed drzwiami.

Pomiędzy palcami Aria ścisnęła metalową igłę. Zdołała wyciągnąć ją szybko spod włosów, kiedy strażnicy nie patrzyli. Teraz zaciskała w garści nadajnik, gotowa zainstalować go na miejscu.

Wchodząc do biura Udaja Husajna, wzięła głęboki oddech. Próbowwała się skupić, ponieważ musiała okazać się silna. Obrzuciła nerwowo wzrokiem olbrzymi pokój. Zobaczyła czekających za wielkim biurkiem mężczyzn, czarną, skórzaną kanapę i gładką podłogę. Zobaczyła też otwarte okno i poczuła wiejące z pustyni gorąco. Udaj Husajn był tam, za biurkiem. Siedział nieruchomo, jak przyczajone zwierzę; jego ciemne oczy nie poruszały się, pod grubymi powiekami. Aria bała się spojrzeć mu w twarz. Serce stanęło jej na moment. Czuła, jak opanowuje ją strach. Wydawał się ogarniać ją całą, stępiać zmysły, osłabiać. Nagle, popatrzyła w prawo.

Koło biurka, na mahoniowym krześle, leżał wojskowy beret Udaja. Na oparciu wisiła połowa kurtka. Pod krzesłem znajdował się jeszcze skórzany neseser. Każdy z tych przedmiotów nadawał się do tego, aby wpiąć w niego igłę nadajnika.

Zajmie to jedną sekundę. Musiała tylko zbliżyć się do krzesła.

Generał Al-Saud zatrzymał się przed biurkiem Udaja i stanął na baczność, patrząc prosto przed siebie.

Dyktator spojrzął na niego z pogardą. Powoli, przeniósł wzrok na dziewczynę. Popatrzył w jej oczy, przyjrzał się jej twarzy, po czym znowu zwrócił się ku generałowi. Ten zaczął się tłumaczyć. Po dwóch minutach powiedział już wszystko, co wiedział. Było to załośnie niewiele. Aziz Al-Saud trząsł się ze strachu.

- Przyjechała z inspektorami ONZ? - upewnił się Husajn.

- Tak jest. Tego jestem pewien, panie.

- I wie pan, że to Amerykanka?

Tym razem generał odpowiedział bardziej niezdecydowanym tonem:

- Nie mogę być tego pewien, *Rais*. Jeszcze nie miałem okazji jej przesłuchiwać. Mieliśmy zamiar to zrobić dziś po południu.

Udaj popatrzył na niego ponurym wzrokiem i oświadczył:

- Najwyraźniej jest pan za mało kompetentny, żeby wykonać tak proste zadanie, generale, jak przesłuchanie zwykłej dziewczyny. Minęła doba, a ona jeszcze nic nie powiedziała.

Al-Saud spuścił oczy. Udaj skinął głową w stronę stojącej na środku pomieszczenia kolumny z polerowanego marmuru.

- Zostawcie ją ze mną - rozkazał. - Sam wykonam waszą pracę. Przywiązać dziewczynę do kolumny. Zatkąć jej usta szmatą. I przynieście mi moją pałkę.

## 32.

### Baza lotnicza Prince Sultan, Al Khan, Arabia Saudyjska 14.00 czasu miejscowego

**B**aza Prince Sultan nie była w stu procentach zabezpieczona - znajdujący się w niej ludzie musieli jeść i pić; potrzebne było paliwo do samolotów. Zapasy wwożono przez bramę ciężarówkami. Nawet wodę i lód przywożono z daleka - wielkimi, srebrzystymi

cysternami, z destylatami słonej wody położonej koło granicy z Katar. Podpisano liczne kontrakty z Arabami na prace sanitarne, ziemne, budowlane. Właściwie, większość robót wykonywali Pakistańczycy, Hindusi, Koreańczycy, Egipcjanie, Syryjczycy. Wszyscy oni przekraczali ogrodzenie amerykańskiej bazy i pracowali wewnątrz.

Była to dla Udaja nie lada okazja do wykorzystania.

Charlie McKay wszedł do świetlicy i usiadł na kanapie, opierając przystrojone w białe skarpetki stopy na podnóżku. Jediną osobą, która oprócz niego znajdowała się w sali, był Alex Bennett. Charlie rozsunął sobie do połowy na piersi suwak lotniczego kombinezonu - był to wciąż zwalczany, lecz popularny zwyczaj, sugerujący gotowość zarówno do natychmiastowego zapięcia, jak i rozpięcia suwaka do końca. Pilot wyjrzał przez niskie okno na lotnisko i niekończącą się pustynię. Było wczesne popołudnie. Niebo było niesłychanie jasne, od rozpalonego słońca. McKay wiedział, że na zewnątrz panuje temperatura rzędu czterdziestu pięciu stopni Celsjusza.

Odsunął suwak jeszcze odrobinę i sięgnął po colę. Rozparł się wygodnie i popatrzył na betonowe ściany pomieszczenia. Bunkier, w którym przebywano podczas stanu gotowości był wygodny, panowała tu tylko zbyt wysoka temperatura, spowodowana za małą wydajnością klimatyzatora. I tak działo im się tu o wiele lepiej niż na drugim krańcu bazy, we wspólnych namiotach stojących wprost na piasku, w których mieszkali inni. Charlie i „Zabójca” mieli własne pokoje; były to niespotykane tutaj luksusy.

Telewizor ustawiono na jeden z amerykańskich kanałów satelitarnych, który nadawał tanią rozrywkę.

- O co chodzi? - zagadnął przyjaciela McKay.

Kapitan Bennett nie odwracał wzroku od telewizora.

- Andy zabrał kulę Barney'a - wyjaśnił. - Wiesz, tę jedyną kulę, którą pozwalał mi nosić w kieszeni. To dla mnie klasyka. Pamiętam, że oglądałem to jako dziecko.

Charlie popatrzył na czarno-biały obraz. Oglądał przez chwilę. Myślni szybko znalazł się gdzie indziej.

Przez ostatnie parę dni narastał w nim ponury nastrój, którego nie umiał do końca wytłumaczyć. Czuł złość z powodu Arii. Myślał o delikatności jej twarzy, ciemnych włosach, uśmiechu, wielkich, szeroko rozstawionych oczach. Musiał uczciwie przyznać, że ta dziewczyna była jedynym obiektem jego myśli w ciągu ostatnich dni. Po raz tysięczny zastanawiał się, gdzie też może ona w tej chwili się znajdować. Co robi? Czy jest bezpieczna? Czy uda jej się dotrzeć do Udaja Husajna?

Charlie nachylił się ku „Zabójcy” i zagadnął:

- Ali-babo, mogę ci zadać pytanie?

Bennett odwrócił się do przyjaciela.

- Myślę o Arii - wyjaśnił McKay. - Wiesz, rozmawiałeś z nią. Przebywaliście we dwoje przez pewien czas, więc wiesz, jaka ona jest. Nie wygląda na Jamesa Bonda, ani

nawet na jedną z jego dziewczyn. Obawiam się, że popełniliśmy straszny błąd. Nie powinna tam jechać. Przecież od razu było wiadomo, że zginie.

- No i jakie jest to pytanie? - zainteresował się Alex.

- Nie wiem. Po prostu, wydaje mi się, że... no, nie wiem...

- Wiesz co? Chcesz, to ci powiem, co naprawdę myślę - stwierdził Bennett. Charlie skinął głową.

- Myślę, że mylisz się co do kilku rzeczy, chłopie. Po pierwsze, nie doceniasz Arii ani jej umiejętności. To nie jest jakaś sierotka, Księżę Karolu. Zastanów się nad jej życiem! Co potrafiła osiągnąć! Pomyśl o tym, przez co przeszła i co straciła. Ma bardzo silną osobowość, Charlie. Nie lekceważ tego. ...Poza tym, nie zapominaj, co się działo, kiedy mieszkała z Kurdami na tamtej górze. Myślę, że nauczyła się jak przeżyć... I przypomnij sobie, że sama się zgłosiła. Nie znalazła się w Bagdadzie dlatego, że nie umiała powiedzieć „nie”. Robi to, z tego samego powodu, co ja czy ty.

Czuje, że musi. Po prostu. Wie, że jej potrzebujemy i postanowiła nam pomóc.

McKay popatrzył na przyjaciela. Nic nie odpowiedział. Po chwili „Zabójca” skinął głową w stronę drzwi.

- Gdzie jest pułkownik Wisner? - zagadnął. - Nie widziałem go ostatnio.

- Spotkałem go, jak szedł do głównej części bazy - odpowiedział Charlie. - Powiedział, że wróci pewnie dopiero późnym popołudniem.

Alex odruchowo popatrzył znowu w telewizor i spytał:

- Może coś słyszał?

- Wiem, że rozmawiał dzisiaj z Arią. Powiedział, że udało jej się znaleźć w Iraku, ale tylko tyle. Ale myślę, że on nie mówi nam wszystkiego, co się dzieje. Rano pułkownik przez całe godziny rozmawiał przez telefon satelitarny z Waszyngtonem i Europą. Kiedy się tam pojawiłem, poprosił mnie, żebym wyszedł. To mnie denerwuje. Nie lubię tajemnic. Takie tajemnice nigdy nie oznaczają nic dobrego.

Bennett skinął głową. Charlie popatrzył przez chwilę w ekran, a potem wstał i wrócił do swojego pokoju.

Trzej Amerykanie przeszli osiemset metrów jakie dzieliły ich od lotniska do kantyny. Zdązali na lunch. Kiedy minęli drewnianą bramkę zastępującą drzwi do ogromnego namiotu uderzył ich zimny podmuch powietrza z przenośnych klimatyzatorów, które pracowały na pełnej mocy, chłodząc powietrze w kantynie do znośnej temperatury. Pot szybko zniknął z ich twarzy. Posuwali się w kolejce po posiłek.

Trzej młodzi mężczyźni wzięli danie główne, to znaczy mieszaninę makaronu i mięsa, którą kucharz nazywał spaghetti, i usiedli przy najbliższym stoliku. Najmłodszy z trójki, świeżo upieczony podoficer Sił Powietrznych, prosto po zakończeniu szkolenia, wstał i podszedł do lady, żeby przynieść dwa wielkie dzbanki wody z lodem. Wrócił, postawił wodę pomiędzy tacami i usiadł koło swoich nowych kolegów. Rozmowa, jak zwykle, skupiała się wokół dwóch rzeczy: ich zajęć oraz powrotu do domu.

Trzej żołnierze byli mechanikami silników odrzutowych. To trudna praca, wymagająca sporych umiejętności; zwłaszcza na pustyni. Nawiewany nieustannie piasek niszczył



delikatne silniki myśliwców i mechanicy zawsze mieli pełne ręce roboty.

Tego dnia jednak niewiele się działo. Większość kluczy, które startowały, wyleciała jeszcze wczesnym rankiem. Nocne loty miały się rozpocząć dopiero za sześć godzin. Dlatego, zamiast połykać niedogryzione kęsy i spieszyć się do wyjścia, mechanicy mogli spokojnie posiedzieć i zjeść posiłek.

Czterdzieści minut później szli z powrotem w stronę płyty lotniska. Najstarszy stopniem z trójki, dwudziestotrzyletni sierżant nazwiskiem Billy Cross, pożegnał się z kolegami i ruszył przez rozpalony beton ku warsztatowi, w którym pracował.

Po następnych pięciu godzinach, sierżant Cross dziwnie się poczuł. Jeśli łapała go grypa, to zapowiadał się ostry atak. Żołądek bolał go, jak nie wiadomo co, czuł zimno w całym ciele. Dziwił się przede wszystkim, że dopadło go tak szybko. Wydawało mu się, że jeszcze przed chwilą czuł się normalnie, a tu nagle osłabł tak, że ledwie mógł stać.

Oparł się o wysoki, metalowy blat, na którym leżały części silnika i narzędzia. Poczul zawroty głowy. Był jedynym człowiekiem w warsztacie. Słyszał tylko własny oddech i muzykę jazzową z megafonu.

Jęknął, czując straszliwy ścisk w żołądku.

W jego ciele szalał wirus. Wpadł do żołądka razem z wodą z dzbanka i natychmiast zaatakował mózg. Przez następne sześć godzin mnożył się w zastraszającym tempie; najpierw wolniej, a potem tak, że liczba jego komórek podwajała się co kilkanaście minut.

W tej właśnie chwili, kiedy Cross oparł się o stół, wirus osiągnął krytyczną masę.

Nagle, pole widzenia chłopaka zawężyło się znacznie. Pomieszczenie wydawało się ciemne i przekrzywione; wreszcie wszystko zmieniło się w czerń. Sierżant upadł na podłogę i patrzył na sufit niewidzącymi już oczami. Poczul, jakby wokół jego szyi narastała straszliwa opuchlizna. Rosła i sztywniała, aż po krótkim czasie odcięła dopływ krwi do mózgu Billy'ego. Zaczynało brakować mu oddechu. Krzyknął, ale rozległ się tylko gulgot, niewiele głośniejszy od szeptu. Uczul nieopisane palenie w tyle głowy, głęboko pod skórą, jakby ze środka. Przewrócił się na bok, ogarnięty potwornym bólem. Zdał sobie sprawę, że umiera; nie wiedział tylko, dlaczego. Pomyślał o swoich najbliższych. Czul się zupełnie sam, odcięty od świata, w ciemności, jaka go opadła. Próbował zawołać jeszcze raz, a potem nie miał już siły unieść głowy, która opadła bezwładnie na podłogę. Ból rozprzestrzenił się ciągle. Ogarnął jego oczy, jak gdyby ktoś ścisnął mu je obcęgami. Sięgnął i próbował go oddalić, przyciskając palce do twarzy. Nie zdając sobie z tego sprawy, wydrapał sobie oczy, okrwawiając dłonie.

W końcu, poczul, że jakimś cudem, ból słabnie - jego mózg zaczął umierać, z powodu braku bogatej w tlen krwi. Nie widział i nie słyszał już. Nie mógł mówić, stracił czucie, nie mógł oddychać. Krzyknął w desperacji po raz ostatni, po czym znieruchomiał, westchnąwszy jeszcze raz.

Już nie żył.

Aria została przykuta kajdankami do kolumny, stała twarzą do marmuru. Udał uderzył ją pałką po nogach już tyle razy, że nie mogła ustać. Zwisła, oparta o słup; kolana rwały jej ramiona napięły się, żeby utrzymać ciało.

Husajn stanął koło niej z dębową pałką, brudną i poplamioną krwią. Musiał używać jej już wcześniej. Teraz uderzył Arię przed zadaniem pytania, sądząc, że złamie ją od razu i oszczędzi czas. Zadając ciosy, zwracał uwagę na siłę każdego uderzenia. Razy spadały od pośladków do połowy łydek, nie chciał połamać dziewczynie kości.

- Powiedz mi - odezwał się ostro, wyciągając w końcu szmatę z jej ust - powiedz, po co tu jesteś?

- Mam siostrę - wydobyła z siebie jęk. - Przybyłam z powodu siostry. Błagam, *Sayid*, to jedyny powód.

Udał rzucił przekleństwo, obrażając Allaha, po czym zaczął warczeć, opluwając jej twarz:

- Kłamiesz! Jesteś amerykańskim szpiegiem. Przyleciałaś do Iraku razem z inspektorami ONZ! Mamy twoje zdjęcia! A teraz powiedz, dlaczego tu jesteś?

Aria podniosła oczy i popatrzyła na Araba, a potem opuściła głowę na piersi. Dyktator złapał ją za włosy i odciągnął, po czym przyjrzał się dziewczynie uważnie. Zauważył, że w jej oczach ciągle błyszczy opór.

Odrzucił się do stojącego koło drzwi pułkownika Hajazi. Ten zrobił krok naprzód i poprosił po raz kolejny:

- Pozwól mi ją zabrać, *Sayid*. To nie jest odpowiednia praca dla ciebie. Wystarczy, że dasz mi godzinę, panie. Nie brudź sobie rąk tą przykrą robotą. Pozwól mi się nią zająć. Wiesz, że z niecierpliwością oczekuję, kiedy będę mógł oddać ci tę przysługę.

Dyktator znieruchomiał i przyjrzał się uważnie swojemu ochroniarzowi. Już trzeci czy czwarty raz prosił o zlecenie mu przesłuchania. Do tej pory pułkownik nigdy nie wyrażał zainteresowania podobnymi zajęciami, mimo że okazje się mnożyły.

Udał ocenił pułkownika wzrokiem i powoli pokręcił głową. To była delikatna dziewczyna i sprawa, przesłuchanie musiało więc zostać przeprowadzone właściwie. Jako Amerykanka, więźniarka przedstawiała dużą wartość; dlatego może pozwoli jej żyć. Skomplikowało to jednak zadanie, gdyż dyktator nie chciał pozostawić na jej ciele żadnych blizn. Zatem przeprowadzi przesłuchanie sam. Poza tym, dawno już tego nie robił, a sprawiało mu to przyjemność.

Husajn odwrócił się i podszedł do biurka. Sięgnął do kieszeni, wyjął papierosa i wtknął delikatną bibułkę pomiędzy grube wargi. Zapalił, wciągnął w nozdrza dym i usiadł.

Aria opadła, zwisając bezwładnie na kolumnie. Jej wzrok stał się nieobecny; czuła ból i strach. Zerknęła błagalnie na pułkownika. Ten popatrzył na nią przez chwilę, po czym powoli odszedł.

Szef sztabu Husajna siedział w pałacowym centrum łączności, kiedy nadeszła wiadomość od agenta z bazy Prince Sultan. Generał odczytał ją szybko i spojrzął na zegarek.

Dokonał w pamięci prostego przeliczenia i rzucił przekleństwo. To było za wcześnie. O wiele za wcześnie. Coś stało się nie tak. Pogrzeb w amerykańskiej katedrze miał się zacząć dopiero za dwie godziny.

A tymczasem w Prince Sultan były już pierwsze ofiary wirusa! To powinno nastąpić dopiero za kilka godzin! Co będzie, jeśli wiadomość dotrze do Stanów, zanim prezydent Brooks wyruszy na pogrzeb? Jeżeli Amerykanie dowiedzą się o irańskim ataku na bazę w Arabii Saudyjskiej?...

Generał zebrał się w sobie, po czym ruszył w górę po wąskich schodach, zmierzając do gabinetu prezydenta.

Udaj Husajn siedział w fotelu, kończąc papierosa. Z lubością wciągał w płuca dym. Patrzył na pustynię, wiedząc, że niedługo będzie musiał opuścić pałac.

Wirus w Prince Sultan zaczął już działać. Za parę godzin będą pierwsze ofiary. Mniej więcej w tym samym czasie, po otwarciu się pojemników, wirus rozproszy się po waszyngtońskiej katedrze.

Wtedy Husajn będzie już w bezpiecznym, podziemnym bunkrze. Zamierzał wyruszyć z konwojem pojazdów i pojechać do bunkra, który znajdował się sto dziesięć kilometrów na wschód od miasta. Nie była to łatwa podróż; zajmie parę godzin. Udaj schowa się tam na dwa - trzy dni, podczas których sprawy się uspokoją, a zniszczenie się dopełni. Spojrzał na zegarek. Wkrótce będzie musiał wyruszyć.

Pociągnął niedopałek jeszcze raz, po czym popatrzył na dziewczynę, zastanawiając się, czy nie powinien po prostu jej zabić. W ciągu najbliższych kilku godzin miało zajść tyle zmian. Cała światowa równowaga sił się zmieni. Jutro rano misja tej dziewczyny nie będzie już miała wielkiego znaczenia. Może po prostu zastrzeli ją i wyruszy się ukryć...

Zapadła chwila ciszy. Nagle przerwało ją pukanie do drzwi. Wszedł szef sztabu, nie czekając na wezwanie. Podszedł szybko do dyktatora, nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Udaj zerwał się na nogi.

- Pilnuj jej! - rzucił pułkownikowi Hajazi i wypadł z pokoju; generał podążył z nim.

Hajazi popatrzył za wychodzącymi, po czym podszedł do dziewczyny, poruszając się cicho, jak kot. Wyciągnął rękę i przesunął palcami po jej włosach, mając nadzieję, że spinka jeszcze tam będzie. Uniósł jej twarz i spytał cichutko:

- Gdzie jest nadajnik? Nie mamy wiele czasu.

- Kim jesteś? - szepnęła Aria.

- Jestem pułkownik Samih Bakr Hajazi - odparł. - Proszę mi powiedzieć, gdzie jest nadajnik, tylko cichutko. Tu wszędzie są mikrofony.

Aria popatrzyła na pułkownika wzrokiem pełnym nadziei i wątpliwości zarazem. Zaczęła mówić, ale odwróciła się w końcu.

- Posłuchaj - szepnął oficer, ponownie unosząc jej głowę, żeby mógł patrzeć jej w oczy. - Wiem, kim jesteś i co robisz. Zaofiarowałem się pomóc, ale nie za wszelką cenę. Nie będę ryzykował życia, a nie mamy wiele czasu - powtórzył.

- Skąd mogę wiedzieć, czy mówisz prawdę? - mruknęła Aria.

- Wiele lat temu - zaczął wyjaśniać pułkownik - zanim zostało to uznane za przestępstwo i zaczęło oznaczać wyrok śmierci dla całej rodziny, ożeniłem się z Kurdyjką. Kilka dni temu moja żona z dziećmi wybrała się potajemnie w góry, żeby odwiedzić rodzinę. Była akurat w Kimisk, tej nocy, kiedy użyto wirusa. Cała moja rodzina zginęła. Żona, dwóch synów i córka.... A teraz, powiedz mi wreszcie, gdzie jest ten nadajnik, bo Husajn zaraz wróci!

Kiedy tylko Husajn wpadł do centrali łączności, adiutant wręczył mu wiadomość:

*DO: WADI*

*OD: WADI V*

*1346/06/99 kod ALFA <ALFA*

*Woda dostarczona. Zegar uruchomiony.*

*Ofiary zaczęły umierać znacznie wcześniej niż się spodziewaliśmy.*

*Brak kontaktu wroga z „Mamą”. Kilku żołnierzy z bazy zdołało uciec na pustynię.*

*Czekam na instrukcje.*

- A zatem, już się zaczęło... - skwitował Udaj, odkładając kartkę.

- Tak jest. Zaczęło się. Najwyraźniej wirus wprowadzony do organizmu za pośrednictwem wody działa szybciej niż obserwowaliśmy przedtem. Podczas naszych eksperymentów z irańskimi więźniami objawy nigdy nie występowały tak szybko. Jest kilka możliwych przyczyn szybszego działania wirusa, jednak najbardziej prawdopodobnym wydaje mi się...

Udaj uniósł palec, natychmiast uciszając generała.

- Czy przechwyciliśmy jakiegokolwiek meldunki nadane z bazy? Wie pan, czy ostrzegli Waszyngton o ataku?

Generał pokręcił głową.

- Nie możemy wiedzieć na pewno, że nie zameldowano o ataku, mój *Rais* - odpowiedział. Są sposoby przesyłania komunikatów, których nie możemy odebrać ani rozkodać. Nie sądzę, żeby powiadomili Amerykę, ale na pewno nie wiem.

- W takim razie musimy ruszać - podsumował Husajn ze złością. - Jeśli Amerykanie zostali ostrzeżeni, ich prezydent odpowie na atak. Muszę znaleźć się w bunkrze. To jedyne bezpieczne miejsce. Niech pan zbiera ludzi i natychmiast ruszamy!

Aria patrzyła pułkownikowi w oczy. W końcu, namyśliła się.

- Wetknęłam go w rękaw kaftana - szepnęła. - Za mankiet.

Pułkownik wysunął rękę i wymacał pod płótnem igłę. Wyciągnął ją natychmiast.

- Niech pan wciśnie ją od góry trzy razy - wytłumaczyła dziewczyna słabym głosem. - To uruchamia sygnał. - Pułkownik zaczął naciskać lekko igłę.

Aria patrzyła wyblakłym spojrzeniem. - Nie tak - wyjaśniła. - Trzeba naciskać mocno. Poczuj pan pstryknięcie, wtedy bateria się włączy.

Pułkownik zrobił, jak go poinstruowano. Poczul, że igła poddaje się, a następnie coś w niej przeskakuje. Ruszył do biurka i wyciągnął rękę po beret dyktatora. Właśnie go podnosił, kiedy Udaj wpadł do pokoju, w towarzystwie swojego szefa sztabu i dwóch żołnierzy.

Pułkownik podniósł wystraszony wzrok, nie wiedział, co ma zrobić. Zachował zwykły wyraz twarzy, jednak w jego oczach błysnął strach. Husajn przyjrzał mu się uważnie, a potem popatrzył na beret w jego rękę.

Pułkownik wbił igłę pod otok i wyciągnął rękę, podając dyktatorowi jego nakrycie głowy.

- Czy możemy ruszać, panie? - spytał.

Udaj stał jeszcze przez moment, po czym podszedł i odebrał beret. Założył go na głowę.

Skinął na szefa sztabu i powiedział:

- Generale, pan i pułkownik Hajazi jadą ze mną. Pojedziemy karawaną na południe, do bunkra. Ja będę siedział w jednym z range roverów. Wy będziecie za mną, w jednej z ciężarówek.

- A więźniarka, panie?

- Zabierzcie ją z nami - odpowiedział Husajn.

## Baza lotnicza Prince Sultan, Arabia Saudyjska 16.15 czasu miejscowego

Charlie leżał na łóżku i drzemał.

Ktoś zaczął dobijać się do drzwi. McKay zerwał się, słysząc przerażony głos Alexa:

- Charlie, wychodź stąd, natychmiast! Błagam cię!

Pilot wyskoczył z łóżka i pognął do drzwi. Wpadł na korytarz i zobaczył przyjaciela, który wbiegał już na górę po schodach, prowadzących do hangaru. „Zabójca” przystanął na moment i obejrzał się, żeby się upewnić, iż Charlie podąża za nim. Wykonał nieokreślony, pełen przerażenia gest i wypadł przez ciężkie drzwi.

McKay popędził za nim, przeskakując po trzy schodki na raz. Znalazł się w hangarze. Jego F-15 stał na samym środku, zatankowany i gotów do lotu. Wielkie wrota hangaru pozostawały jednak zamknięte, powodując półmrok.

- Al, gdzie jesteś?! - zawołał pilot, nie widząc nigdzie Bennetta.

Ruszył w stronę samolotu i wtedy zobaczył Alexa, stojącego przy drzwiach wiodących na dwór. Na jego twarzy widać było prawdziwą desperację; błyszczały na niej łzy. Trzymał z całych sił za klamkę i krzyczał przez małe okienko w drzwiach:

- Nie mogę, sir! Nie mogę pana wpuścić!

Charlie ruszył biegiem ku przyjacielowi. Poczul ucisk w piersiach - ton głosu „Zabójcy” zwiastował coś przerażającego. Dосkoczył do niego i położył mu dłonie na ramionach. Ten uparcie ciągnął za klamkę:

- Proszę się cofnąć, sir! - zawołał. - Błagam; nie może pan wejść!

Charlie wyjrzał przez okienko, niemal dotykając nosem szybki. Po jej drugiej stronie, w odległości zaledwie paru centymetrów, zobaczył pułkownika Wisnera. Miał krwistoczerwone oczy, usta pokrywała mu ciemna maź, z obydwu uszu sączyły się strużki krwi. Szarpał za klamkę z drugiej strony, usiłując dostać się do środka.

- Błagam!... - odezwał się słabym głosem. - Umieram! Proszę cię, wpuść mnie!...

Charlie sięgnął do klamki, chciał otworzyć drzwi.

- Nie!!! - wrzasnęła rozdzierająco Bennett. McKay poczuł, że dwie dłonie ścisnęły jego dłoń. - Nie otwieraj! Nie widzisz, co się dzieje?!

Charlie pokręcił głową, po czym pociągnął razem z przyjacielem. We dwóch zdołali zatrzaskać drzwi. McKay przekręcił klucz. Pułkownik szarpnął z zewnątrz jeszcze raz i zorientował się, że zamknięto. Z rezygnacją przyłożył twarz do szybki. Z przekrwionych, błękitnych oczu spłynęły dwie czyste łzy.

- O Boże!... - mruknął cichutko.

Charlie patrzył na pułkownika Wisnera ze ściśniętym gardłem. „Zabójca” oparł się o ścianę, a potem pochylił się i wsparł dłonie na kolanach. McKay popatrzył na przyjaciela. Ten ledwie zareagował. Był błąd jak papier.

- Zamknąłeś drugie drzwi, Alex? - spytał Charlie. - Czy budynek jest zabezpieczony?

Bennett popatrzył na swoje zaciśnięte pięści.

- Zobaczyłem jak idzie drogą - wydobył z siebie. - Wyglądał... jakby chwiał się i był chory. Podeszedłem, żeby mu pomóc. Zaczął kaszleć krwią. Popatrzył na mnie i zaczął błagać, żebym zaprowadził go do środka. Uciekłem. Boże, Charlie, co miałem zrobić innego?...

McKay zignorował pytanie. Złapał Bennetta za ramiona i powtórzył pytanie, stanowczym tonem:

- Czy zamknąłeś drugie drzwi? Powiedz mi, Alex!

„Zabójca” powoli pokiwał głową.

- Budynek zabezpieczony. Wszystkie drzwi zamknięte na klucz - odpowiedział.

Charlie spojrzął znowu na okienko. Pułkownik opierał się ciągle o szybę, chociaż zsunął się kilkanaście centymetrów ku ziemi. Podniósł oczy, które wydawały się już słabiej widzieć. McKay nie odwracał się, patrząc prosto w nie.

- Przepraszam - szepnął Wisner, opuszczając głowę. - Sprowadźcie go - wymamrotał. - Lećcie, dopadnijcie go i sprowadźcie. Zróbcie to dla mnie.

Charlie przytaknął, po czym odwrócił się do przyjaciela i podniósł go na nogi.

- Musimy stąd odlecieć! - rzucił. - Zbierajmy wyposażenie! Może i tak jesteśmy zaarażeni! Nie wiem, czy już nie jest za późno!...

- Ale dokąd polecimy?... - spytał rozpaczliwie Bennett.

- Nie wiem! Może do Bahrajnu, albo do Tel Awiwu. A może uda nam się dotrzeć do Turcji. Ale musimy się stąd wydostać, Al! Jeżeli tego nie zrobimy, umrzemy!

Bennett pokiwał głową, po czym ruszył ku schodom. Razem zbiegli do magazynu, gdzie znajdowało się ich wyposażenie.

Dziesięć minut później siedzieli już w kabinie myśliwca, zapiawszy pasy. Osłona kabiny zatrzasnęła się, oddzielając ich od świata zewnętrznego. Stalowe wrota hangaru zaczęły się rozsuwać, a Charlie rozpoczął kontrolę czynności przedstartowych, szykując się do uruchomienia silników. Siedzący z tyłu „Zabójca” włączył systemy nawigacyjne. Dwaj przyjaciele uwijali się, jak w ukropie. Już po chwili wał prawego silnika zaczął się obracać; przez kadłub przeszła delikatna wibracja. Lewy silnik ruszył, zanim jeszcze prawy osiągnął jałowe obroty. Rozległ się cichy warkot dwóch uruchamiających się generatorów. Włączyły się żyrokompassy i programy komputerowe. Samolot zakołysał się, gdyż Charlie sprawdzał działanie lotek, sterów pionowych i poziomych. Chłopcy wymienili kilka krótkich, kodowanych komunikatów. W ciągu niecałych czterech minut zdążyli dokonać niemal osiemdziesięciu kroków, wymienionych na liście. McKay zwiększył obroty. Sprężarki silników zaczęły wirować z prędkością dwudziestu pięciu tysięcy obrotów na minutę, wyjąc straszliwie. Myśliwiec wytoczył się z hangaru i pojechał z dużą szybkością ku końcowi pasa.

Charlie nie próbował nawet porozumiewać się z wieżą. Ustawił maszynę na początku długiego pasa betonu i dał pełną moc. F-15 przyspieszył; z wylotów silników wychyły się płomienie dopalaczy. Dwumiejscowa maszyna wzniosła się w powietrze.

Zbliżała się do końca długiego na trzy kilometry pasa, a wciąż znajdowała się na wysokości zaledwie piętnastu metrów. Charlie zerknął na prędkościomierz i ze zdziwieniem zobaczył, że osiągnęli dotychczas tylko trzysta siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Za chwilę mieli minąć linię, poza którą nie zdążą już wylądować z powrotem; a szybkość nie wzrastała. McKay dopchnął przepustnicę do końca, lecz były wychylone maksymalnie. Zwolnił więc nieco nacisk na drążek, ściągając go na siebie odrobinę delikatniej, starając się wyczuwać każde drgnienie samolotu i słyszeć każdy dźwięk.

Patrzył przez HUD - prędkość wzrastała stopniowo. Myśliwiec przyspieszał, choć nadal nie chciał się wznosić. W końcu, przy prędkości pięciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zaczął odpowiadać na ruchy pilota. Przy sześciuset pięćdziesięciu wreszcie zachowywał się jak myśliwiec i reagował na wszystko, na co powinien. McKay pociągnął drążek na siebie i maszyna ruszyła w górę. Po kilku minutach przekroczyła wysokość trzech tysięcy metrów.

Wtedy to właśnie dwaj mężczyźni usłyszeli sygnał z Satelitarnego Odbiornika Nawigacyjnego - specjalnego urządzenia, które zostało dodane do ich samolotu.

„Zabójca” natychmiast popatrzył na swój ekran.

- Chryste! - zawołał. Charlie zmrugał oczy i popatrzył na ekran przed sobą.

Biały Dom, Waszyngton, USA  
07.10 czasu miejscowego

Kawalkada prezydenckich samochodów podjeżdżała pod Biały Dom. Brooks już czekał. Wprawdzie uroczystości pogrzebowe miały rozpocząć się dopiero za niecałe dwie

godziny, jednak zaplanował prywatne spotkania z rodzinami wiceprezydenta i byłego prezydenta. O siódmej trzydzieści miał spotkać się z żoną byłego prezydenta i jego trojgiem dzieci. O ósmej - z żoną nieżyjącego wiceprezydenta. Następnie, on i rodziny dołączyła do pozostałych żałobników, zgromadzonych w Katedrze Narodowej.

Już w tej chwili położona na północnych krańcach miasta katedra zaczęła się wypełniać zagranicznymi dygnitarzami i szefami rządów. Wkrótce mieli przybyć sędziowie Sądu Najwyższego, członkowie gabinetu, kongresmani, generałowie oraz inni notable.

Prezydent patrzył przez okno swojego prywatnego gabinetu jak szereg samochodów wjeżdża na półkolisty prywatny podjazd pod Białym Domem. Na czele znajdowało się czterech policjantów na motocyklach. Lampy maszyn migały na biało i niebiesko, w niezbyt jasnym jeszcze świetle poranka. Prezydencka limuzyna znajdowała się pomiędzy innymi, mniejszymi, oraz osobowo-terenowymi chevroletami suburban, pełnymi ochroniarzy. Aby przewieźć prezydenta do katedry uruchomiono dwadzieścia osiem pojazdów rządowych i trzydzieści policyjnych.

Brooks pocałował żonę i wziął ją za rękę. Wyszli z gabinetu i ruszyli do wyjścia Zachodniego Skrzydła. Pomachali do stojących w milczeniu w trawie, za żółtą barykadą, reporterów. Kilkoro z nich wykrzyknęło jakieś pytania, ale prezydent zignorował ich, pogrążony w prawdziwym smutku. Szedł ramię w ramię ze swoją żoną, aż dotarli do otwartych drzwi limuzyny. Wsiadli.

W środku czekał już Brent Hillard. Prezydent ściągnął marynarkę i położył ją na kolanach.

Hillard podniósł wzrok.

- Dzień dobry, panie prezydencie - odezwał się.

Brooks nie odpowiadał. Wyrzwał przez przednią szybę, żeby zobaczyć, czy poprzedzające samochody już ruszają. Kawalkada zaczęła posuwać się naprzód. Nabierała stopniowo szybkości. Wkrótce znalazła się na ulicy; po dwudziestu minutach jazdy miała dotrzeć do katedry.

- Panie prezydencie, chciałbym pana o czymś poinformować - odezwał się Hillard w miarę spokojnym głosem, choć nie był spokojny ani trochę.

- Słucham? - odpowiedział Brooks, chociaż widać było, że jest zatopiony w myślach. Zastanawiał się nad słowami, które miał wygłosić podczas nabożeństwa.

- Sir - kontynuował Hillard - otrzymaliśmy wiadomość z placówki dowodzenia bazy w Prince Sultan.

Prezydent popatrzył na swojego doradcę. Pierwsza Dama odwróciła wzrok.

- Jaką wiadomość? - spytał Brooks.

- Był to niedokończony OPREP; to znaczy, przepraszam: Raport Operacyjny. Nadzedł tylko w połowie. Od tego czasu Pentagon nie zdołał nawiązać jakiegokolwiek ponownego kontaktu z bazą.

Prezydent wbił wzrok w Hillarda i sapnął, zagniewany:

- Jak to: nie zdołał nawiązać kontaktu? Nie mogą po prostu zatelefonować?

- To nie jest takie proste, sir. Połączenia telekomunikacyjne z bazą na pustyni są bardzo ograniczone; to nie pierwszy raz, kiedy zostały przerwane. Łącze satelitarne działa



tylko sporadycznie. ...Ale nie sądzę, żebyśmy musieli się tym w tej chwili zajmować. Gdyby coś się tam działo; gdyby nastąpił jakiś poważny kryzys, dowódca bazy z pewnością znalazłby sposób, żeby nas zawiadomić. Następny raport powinien nadejść w południe. Jestem pewien, że chłopcy z Prince Sultan do tego czasu rozwiążą już problem.

- No, dobrze - mruknął prezydent. - Powiadom mnie, kiedy tylko nawiążą z powrotem łączność.

Hillard skinął głową i uśmiechnął się uspokajająco. Odwrócił się od okna i skrytykował się w myśli, zły na siebie za to, że nie powiedział więcej. Jednak nie był w stanie. Nie chciał, dopóki nie będzie miał pewności. Nie powinien denerwować prezydenta.

Jednak doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego wiedział. To znaczy, podejrzewał, że nie chodzi o zwykłą awarię połączeń telekomunikacyjnych. Wręcz przeciwnie, przetestowano je i okazało się, że pracują idealnie.

Dlaczego zatem w centrum łączności Prince Sultan nikt nie odbierał telefonów?

W wojskowym, namiotowym miasteczku zapanowała śmierć. Wirus rozprzestrzenił się już po całym obozie. Jęki przerażenia i bólu rozlegały się pośród pustynnego wiatru. Żołnierze padali na kolana na środku drogi, skręcając się z bólu. Zaciskali palce na twarzach i próbowali złapać oddech. Oficerowie zginali się w pół, wykasłując płuca, po czym umierali, w kałużach krwi.

Część żołnierzy - ci, którzy mieli mniej szczęścia - nie umarli tak szybko jak inni. Podobnie jak w Kimisk, niektórzy oszaleli od wirusa, doświadczając straszliwych halucynacji. Biegając po obozie strzelali do upiórów i dzikich bestii, które widzieli wszędzie wokół siebie.

W ciągu sześciu godzin, niemal wszyscy, którzy przebywali w Prince Sultan, umarli. Ci, którzy przeżyli, uciekli, gnając przez pustynię. Przed zapadnięciem zmroku w całej bazie nie było już ani jednej żywej duszy.

## 33.

### Ogar Jeden, nad pustynią w północnej części Arabii Saudyjskiej 16.49 czasu miejscowego

Charlie, odbiornik satelitarny! Radiolatarnia została uruchomiona! - zawołał Bennett. - Sygnał jest przerywany i słaby, ale mam go; mam na sto procent!

- Jesteś pewien? To o wiele za wcześnie. Ładne parę dni przed czasem.

- Kto wie, Charlie? - Oficer uzbrojenia nie ustępował. - Pomyśl o tym, co stało się w bazie. Sam mówiłeś, że coś się szykuje. Sprawy uległy przyspieszeniu.

Wymknęły się spod kontroli. ...Nie wiemy, dlaczego nadajnik został już włączony, ale jedno jest pewne. Aria znalazła Udaja Husajna. Pytanie tylko, co teraz zrobisz?

McKay już wykonywał zakręt, kierując myśliwiec ku północy. Dodał gazu, przyspieszając do prędkości bojowej, tuż poniżej poziomu dopalaczy. Poczul pchnięcie oparcia fotela. Prędkościomierz pokazywał, że lecą coraz szybciej.

„Zabójca” usadowił się wygodniej i zabrał do pracy.

W tylnej części kabiny F-15, zwanej „dołem”, jest zaskakująco mało przyrządów. Nie ma konstelacji przełączników, ekranów, przycisków, gałek, których można by się spodziewać w tak skomplikowanej maszynie. Są tam tylko cztery wielofunkcyjne ekrany, sterowane za pomocą czegoś w rodzaju nieruchomych, komputerowych myszy. Dzięki nim oficer uzbrojenia kontroluje obraz na ekranach, wyświetlane dane, stan awioniki, identyfikację celów, celowanie, status uzbrojenia, informacje o locie, łączność. Wszystko za naciśnięciem dosłownie paru guzików. Nieważne, że samolot mknie na wysokości zaledwie sześćdziesięciu metrów z prędkością tysiąca stu kilometrów na godzinę.

Bennett uaktualnił wskazania przesuwającej się na jednym z ekranów kolorowej mapy, która uwidaczniała, jak F-15 przemieszcza się w poziomie, względem ziemi. Sprawdził status uzbrojenia, a potem ustawił zasięg radaru powietrze-powietrze na sto pięćdziesiąt kilometrów. Wreszcie, uruchomił satelitarną radiolatarnię, pozwalając komputerom pokładowym dostroić się do odbierającego naziemny sygnał satelity.

- Uwaga, Książę Karolu, mam następujące dane. Współrzędne odbieranego sygnału to 44,37 i 32,96. To wychodzi jakieś trzydzieści pięć - czterdzieści kilometrów na południowy wschód od Bagdadu. Brak informacji o kierunku czy prędkości. Sygnał z ziemi jest zbyt słaby, albo oprogramowanie nie do końca kompatybilne. W dodatku, za około dziesięć minut, satelita wyleci z zasięgu radiolatarni Pająka. Wtedy sami będziemy musieli go znaleźć. Ale to, co na razie mamy wystarczy, żebyśmy się przynajmniej do niego zbliżyli.

Alex wcisnął kilka guzików sterujących ekranem nawigacyjnym i dodał:

- Leć w zaznaczonym kierunku. To powinno doprowadzić w przybliżeniu do spotkania. W miarę lotu będę cię korygował.

McKay skręcił o siedem stopni w prawo, tak, że małe „V” na jego projektorze HUD znalazło się na kierunku 349 stopni. Następnie, sięgając do środkowej konsoli, włączył nadajnik wysokiej częstotliwości.

- Cobra, Cobra, tu Ogar Jeden - odezwał się. Odpowiedziały mu jedynie trzaski. Radio wysokiej częstotliwości było świetne do porozumiewania się na duże odległości, jednak bardzo czułe na zakłócenia elektromagnetyczne, występujące w dużym nasileniu na pustyni. Po chwili nasłuchiwania, McKay powtórzył komunikat:

- Cobra, Cobra, tu Ogar Jeden. - Wtedy odezwał się cichutki głos:

- Ogar, odpowiedz na Bravo, Hotel.

McKay odczekał chwilę, aż Alex odszuka w supertajnej książce kodowej poprawnego odzewu. Bennett przerzucił szybko strony, przesuwając palec po kolorowych kolumnach. Po chwili, odczytał:

- Sierra, Osiem.

- Na pewno? - chciał się upewnić Charlie.

- Stoi jak wół. Sierra Osiem.

Pilot powtórzył odzew, wymawiając starannie słowa. Wiedział, że w przypadku podania złej odpowiedzi, Obóz Cobra natychmiast się wyłączy. Lokalizacja znajdującej się w głębi Iraku bazy śmigłowcowej była jedną z największych tajemnic amerykańskich sił

zbrojnych. Fakt, że Stany Zjednoczone przeprowadzają operacje bojowe z opanowanego przez rebeliantów terytorium w południowej części kraju zaskoczyłyby wielu, w tym nawet amerykańskiego sekretarza obrony.

Dwaj lotnicy nadstawili uszu. Po kilku sekundach trzasków, głos odezwał się znowu:

- Ogar, przejdź na bezpieczny.

McKay zsynchronizował swój nadajnik z dekodermem Have Quick, który pozwalał teraz prowadzić dalszą część rozmowy w tajemnicy.

Charlie wcisnął guzik nadawania po raz kolejny i powiedział:

- Pilne, Cobra. Pilne. Misja na Bagdad rusza. Powtarzam: misja rusza. Jesteśmy w powietrzu. Spodziewany czas dotarcia do celu...

- Czterdzieści jeden minut - zawołał z tyłu „Zabójca”.

- .. .Czterdzieści jeden minut, Cobra - powtórzył pilot. - Potwierdź.

Radio zasyczało. McKay pogłośnił odrobinę i zaczął obserwować horyzont.

Zbliżali się do strefy neutralnej - kawałka porośniętej ostami pustyni oddzielającej Arabię Saudyjską od Iraku. Wkrótce wleczą nad terytorium wroga. Pilot popatrzył na prawo i przyjrzał się zsuwającym się z góry po wyświetlanej mapie małym okręgom, oznaczającym zagrożenia, białym kołom symbolizującym strefy objęte zasięgiem nieprzyjacielskich radarów wczesnego ostrzegania. Cofnął przepustnicę i zaczął zniżać lot.

Myśliwiec zanurkował łagodnie. W radiu znowu odezwał się głos:

- Ogar, odpowiedz na Oskar Trzy.

Znowu odbyła się formalność przekazania odzewu. Było to irytujące, jednak konieczne i lotnicy rozumieli, a nawet spodziewali się tego. Byłoby nierozważne. Gdyby „Cobry” wystartowały po otrzymaniu zaledwie jednego potwierdzenia ich dowódcy postąpiłoby nierozważnie. Zbyt wiele zależało od tego, czy rzeczywiście rozmawia się z właściwymi ludźmi.

Tym razem „Zabójca” musiał wyciągnąć inną plastikową książkę; starsze wydanie. Uznał, że to sprytny pomysł. Zdarł opieczętowującą ją folię. „Cobra” zmuszała ich do wykorzystania dwóch różnych książek kodowych, chcąc mieć pewność, że ktoś nie ukradł jednej z nich. Oficer uzbrojenia odnalazł właściwy odzew i podał go przyjacielowi. Charlie przekazał go „Cobrze”, po czym dodał:

- Cobra, to my. Teraz już wiecie. Słuchajcie. Zbliżamy się do granicy irackiej i schodzimy nisko, żeby pozostać poza zasięgiem radarów. Podaję przybliżone współrzędne celu: 44,37 i 32,96. To około czterdziestu kilometrów na południowy wschód od Bagdadu.... Startujcie. Uwaga, startujcie. Spotkamy się z wami. Powodzenia.

Czterysta dwadzieścia kilometrów na północ od myśliwca, głęboko w bagnach Shatt-al-'Arab, obudził się nagle do życia obóz Cobra, przyciśnięty do wschodniego brzegu majestatycznej rzeki Tygrys. Już po paru minutach ruszyły wirniki czterech śmigłowców szturmowych Apache. Podobnie było z wykorzystywanymi do operacji specjalnych MH-60, mimo że drużyny Delta Force dopiero wskakiwały do środka. Podnośniki hydrauliczne odsunęły sieć maskującą, zasłaniającą jeszcze przed chwilą śmigłowce. Uniosły się z

terkotem, wzbijając tumany kurzu i piasku. Pochyliły się i skrzyły na północ. Piloci rozpedzili je do maksymalnych prędkości. Leciwały tylko kilka metrów nad powierzchnią pustyni, rozciągnięte w formie luźnego „V”.

Piloci śmigłowców rozglądali się uważnie. Niczym nietoperze byli przyzwyczajeni do latania w nocy, nie w dzień. Szkolono ich do walki w ciemności. Nie znosili słońca, jak wampiry. Mogło łatwo zdradzić ich pozycję. No i pozwalało widzieć. Znikała zatem przewaga wynikająca z zainstalowanych na pokładach śmigłowców systemów awioniki za miliony dolarów. Słońce odbijało się od szyb kabin, niczym od lusterek. Powolne śmigłowce były łatwym celem dla wrogiego lotnictwa.

Dowódca lecącego na przedzie MH-60 rzucił przekleństwo i przeskoczył maszyną ponad dużą skałą. Popatrzył na wysokościomierz i zaklął po raz drugi.

Lecieli pod Bagdad. Do samej jaskini lwa. W biały dzień, tracąc element zaskoczenia. Nie znali dokładnego położenia celu w momencie spotkania. Nieprecyzyjne współrzędne to za mało. W dodatku, siły irackie i tak znajdowały się już w stanie najwyższej gotowości. Pilot popatrzył po raz kolejny na mapę, licząc zagrożenia. Po drodze musieli minąć aż osiem baterii rakiet powietrze-powietrze i artylerii przeciwlotniczej. Nie mówiąc już o groźbie irackich myśliwców, stacjonujących w bazach w Shithatha i Al Musaiyib.

Pilot patrzył przed siebie, na pustynię. Pokręcił głową. Co stało się z naszym planem? - pomyślał.

## Ogar Jeden

Charlie wyrównał lot na wysokości tysiąca metrów. Zniżywszy się bliżej rozpalonego od słońca piasku, maszyna zaczęła podskakiwać na wywołanych gorącym prądach wznoszących. McKay sprawdził ekran informujący o zagrożeniach, potem stan silnika i parametry lotu. Zatrzymał wzrok na wskaźniku poziomu paliwa.

- Oho, mamy problem - oznajmił.
- Co się stało? - spytał Alex.
- Liczę w pamięci. Nienawidzę tego; to jak publiczny egzamin z matematyki. Wychodzi mi jednak, że nie starczy nam paliwa. Nawet jeżeli zachowamy odrzucany zbiornik, nie ma mowy, żebyśmy dolecieli do Bagdadu, wykonali robotę i wrócili. Potrzebne nam tankowanie w powietrzu. Uruchom nadajnik i spróbuj wezwać jakiś tankowiec.

Minęła chwila ciszy. W końcu, „Zabójca” odpowiedział:

- Żartujesz? Skąd weźmiemy tankowce? Wszystkie zostały w Prince Sultan. Ci chłopcy już nie żyją. Cokolwiek zrobimy, musimy poradzić sobie sami.

## Szosa do Al Aziziya trzydzieści pięć kilometrów na południe od Bagdadu, Irak

Prezydencki konwój posuwał się szybko przez pustynię. Składał się z dwóch transporterów opancerzonych, kilku ciężarówek z żołnierzami, dwóch czarnych mercedesów i

dwóch wielkich, terenowych range roverów. Udaj Husajn rozparł się wygodnie w drugim range roverze, który jechał w szeregu pojazdów czwarty. Siedział z tyłu, pomiędzy dwoma najbardziej zaufanymi ochroniarzami. Patrzył na przesuwały się za szybami pustynny krajobraz. Kawalkada jechała tak szybko, jak to tylko było możliwe.

Udaj Husajn chciał jak najprędzej znaleźć się w bunkrze 86A, który wybudowano w głębi pustyni, dwanaście kilometrów od utwardzonej drogi. Można było do niego dotrzeć jedynie szlakiem ubitego piasku. Na powierzchni nie było nic, co zdradzałoby obecność podziemnego bunkra. Żadnego wejścia, płotów, przewodów elektrycznych, linii telefonicznych. Nic, tylko piasek, taki sam jak wszędzie. Bunkier 86A, podobnie jak i inne bunkry prezydenckie, został zbudowany przez robotników, którzy pracowali tylko w nocy. Ostatnim etapem budowy było doprowadzenie okolicy do pierwotnego stanu. W centralnym Iraku znajdowało się około pięćdziesięciu podobnych obiektów. Amerykanie znali położenie zaledwie dwóch czy trzech.

Udaj zerkał w górę, na niebo, a także na zegarek. Musieli pokonać jeszcze pięćdziesiąt trzy kilometry, tam skręca w głąb pustyni i będą brnąć przez piasek około dziesięciu minut.

Za czterdzieści pięć minut nic mu nie zagrozi.

Ostatnia jechała czarna, wojskowa ciężarówka. Aria siedziała na tylnym siedzeniu kabiny potężnego, terenowego pojazdu. Dłonie miała skrępowane drutem, stopy sznurem a na głowę zarzucono jej czarny, nieprzejrzysty kaptur. Zmaltretowane nogi bolały ją szarpiącym w rytm podskakiwania ciężarówki bólem. Wysuszona skóra dziewczyny stała się krucha i wrażliwa na ból bardziej niż zwykle. Gruba tkanina, którą omotano jej głowę powodowała, że ledwie dało się oddychać. Aria siedziała samotnie; nikt nie zwracał na nią uwagi.

Mimo, że nie mogła widzieć, wiedziała na pewno dwie rzeczy.

Po pierwsze, ciężarówka, którą jechała, była ostatnim pojazdem konwoju. Wiedziała to, gdyż z tyłu dolatywały jedynie odgłosy wiatru.

Po drugie... to, co wiedziała po drugie, napełniało ją lodowatym lękiem.

Kiedy zacznie się atak - a przecież tak bardzo jej na tym zależało - pierwszy i ostatni pojazd zostaną zniszczone najpierw. Śmigłowce szturmowe zaatakują pierwszy, a F-15 - ostatni. Tylko w ten sposób można było zatrzymać konwój, szczególnie, że na tej trasie nie ma żadnych mostów. A skoro Udaj Husajn miał zostać schwytyany żywcem, konwój trzeba zatrzymać.

Domyślała się trzeciej rzeczy - tego, że atak nadciąga.

## Ogar Jeden

Charlie zdalnie obrócił wokół osi patrzący do przodu czujnik podczerwieni. Uruchoił wyświetlanie wskazań radaru i uzbroił dwie rakiety AMRAAM. Na HUD świeciły się wszystkie potrzebne informacje. Dzięki temu mógł koncentrować się na prowadzeniu samolotu i obserwowaniu przemykającego pod spodem terenu.

Leciał na wysokości sześćdziesięciu metrów z prędkością prawie tysiąca stu kilometrów na godzinę. Pustynny krajobraz przesunął się w dół taką prędkością, że przypominał kaskady wody. Od czasu, kiedy wlecieli nad terytorium Iraku, minęli zaledwie dwa miasteczka. Składały się ze zbudowanych z pustaków domów -były to miejsca postoju beduińskich pasterzy, którzy zaopatrywali się tam w potrzebne produkty. Spoglądając przez ramię, kapitan popatrzył na blaszane dachy i nierówne zagrody kóz i owiec.

Znowu patrzył naprzód; poprawił pasy, przyciskając się mocniej do katapultowanego fotela typu ACES II. Grube oparcie dawało uczucie miękkości, pomimo ukrytego z tyłu spadochronu i silniczka raketowego.

- Przybliżona odległość do celu - sto siedemdziesiąt pięć kilometrów - oznajmił z tyłu „Zabójca”. - Powinniśmy do niego dotrzeć za niecałe dziesięć minut. Pewnie będzie gdzieś na szosie do Al Aziziya. To jedyna droga w tym sektorze. Chyba, że brnie przez piasek pojazdami terenowymi.

Charlie popatrzył na mapę i kiwnął głową. Odwrócił głowę w lewo, tak, żeby mógł mówić do maski, którą odłączył od hełmu; zwisła na pasku nad ramieniem.

- Zgadzam się - odpowiedział. - Podlecimy na jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów, a potem wzniesiemy się na tysiąc dwieście metrów i skręcimy w lewo.

Wtedy radar powinien pokazać ci wszystko jak na dłoni. Znalezienie konwoju na pustyni nie powinno być trudne. Będzie jedynym obiektem w tym oceanie piasku.

Kiedy już go znajdziemy, znowu zejdziemy w dół.

„Zabójca” chrząknął, że się zgadza, po czym nastawił radar do wykrywania celów na maksymalny zasięg.

Nagle, odezwał się antyradar samolotu. Dwaj mężczyźni aż podskoczyli. McKay zaczął rozglądać się na boki, szukając na horyzoncie nadlatujących od strony słońca „bandytów”. Bennett spojrział na wyświetlacz sytuacji taktycznej i poczuł ucisk w gardle.

- Bandyci! - zawołał. - Pięćdziesiąt siedem kilometrów, prosto przed nami!

Charlie wyglądał na zewnątrz; „Zabójca” skoncentrował się na ekranie radaru.

- I co tam masz? - zapytał pilot, zakładając szybko z powrotem maskę. Bennett patrzył na ekran informujący o zagrożeniach.

- Radar Slot Back. Dwa. Anioły, osiem tysięcy pięćset. Prosto jak strzelił. Odległość - pięćdziesiąt pięć kilometrów.

Oznaczało to dwa MiG-i 29, nadlatujące z przeciwka na wysokości ośmiu i pół kilometra.

McKay wyteżył wzrok, szukając śladu wrogich samolotów. Zawsze odruchowo najpierw sam wypatrywał celu. Ta technika już nieraz go ocaliła. Jak wszyscy piloci myśliwscy od czasów pierwszej wojny światowej, bardziej ufał własnym oczom niż najwymyślniejszym nawet urządzeniom.

Następnie, skupił uwagę na wyświetlanym na projektorze HUD obrazie radarowym. Zobaczył dwie małe kreseczki, zbliżające się do środka pola. Patrzył na nie przez dwie czy trzy sekundy, co w świecie walk powietrznych równa się wieczności. Wyobraził sobie czterowymiarowy obraz sytuacji - jak wysoko i w jakich odległościach znajdują się samoloty, z jakimi prędkościami i w jakich kierunkach lecą, i jak będzie się to zmieniać w

czasie. W tej chwili wrogie maszyny zbliżały się z prędkością niemal 2 macha, biorąc pod uwagę sumujące się prosto prędkości. McKay przypomniał sobie, w jakie rakiety są najprawdopodobniej wyposażone nieprzyjacielskie myśliwce, jaki mają efektywny zasięg i jak najlepiej się przed nimi bronić.

Nie zmieniał kierunku, zbliżając się nadal do celu, i jeszcze szybciej, do przeciwników.

Musiał w ciągu paru sekund podjąć trafną decyzję.

Mógł się wznieść i zaatakować „bandytów”, lub pozostać w dole i mieć nadzieję, że nie wiedzieli o nim. Gdyby pozostał tuż nad pustynią, mógłby się pod nimi przemknąć, niezauważony. Jednak jeśli Irakijczycy zdołają go odnaleźć, albo już zdołali, będą mieli zasadniczą przewagę - zaczną walkę spadając z wysokości ponad ośmiu kilometrów, wykorzystując olbrzymią energię potencjalną, zawartą w wysokości. A energia oznaczała dla myśliwskiego pilota prędkość i zdolność do manewrowania. Prędkość i wysokość równały się przeżyciu. Rachunek był prosty.

Charlie zastanowił się chwilę, po czym popatrzył jeszcze na wskaźnik ilości paliwa

- Podaj odległość od celu - rzucił.
- Sto trzydzieści kilometrów - odpowiedział „Zabójca”.

McKay mknął naprzód, pocąc się z napięcia i strachu. Zaszło mu w ustach, podczas gdy wpatrywał się w ekran.

Iraccy piloci także nie zmieniali kierunku, nadal lecieli wprost na F-15E. Czy go widzieli? Namierzili go? Wiedzieli, że się zbliża? Czy też uda mu się prześlizgnąć pod nimi, tuż nad pustynią?

Nagle w słuchawkach McKaya rozległo się głośnie wycie. „Zabójca” zawołał:

- Zrób zwrot! Szukają nas, Charlie! Namierzają nas!

## 34.

### Ogar Jeden nad pustynią w południowym Iraku

Charlie wykonał ostry zwrot w lewo i otworzył przepustnice do oporu. Z wylotów silników wyłoniły się płomienie z dopalaczy. Pilot wznosił maszynę, jednocześnie zakręcając, aż do osiemdziesięciu stopni od pierwotnego kierunku. Pociągnął drążek sterowy, wykonując taki manewr, żeby znaleźć się jak najdalej od przeciwników. Przeciężenie wgniotło go w fotel i pociągnęło w dół ręce. Każda ważyła przez kilka sekund trzydzieści pięć kilogramów. Głowa wcisnęła mu się w szyję, a pole widzenia nieco się zawężyło - wartość przeciężenia wyniosła 9 g. Antyprzeciężeniowy kombinezon zacisnął się mocno wokół nóg i brzucha pilota. Charlie stęknął, walcząc o to, żeby krew nie odpłynęła mu z głowy. Słyszał w słuchawkach stek Alexa.

Teraz Charlie zniżył maszynę, kierując się w kierunku wydmy, a potem znowu skrzył, tak, aby trzymać „bandytów” cały czas po prawej. Wduśli przycisk umieszczony na drążku sterowym, wypuszczając w ten sposób trzy kłęby cienkich jak papier paseczków aluminiowej folii, aby zasłonić samolot przed radarami wrogów. Nerwowo szukał wzrokiem nieprzyjacielskich MiG-ów.

Zobaczył na radarze, że znajdują się już w odległości trzydziestu pięciu kilometrów. Właśnie wchodził w zasięg ich rakiet powietrze-powietrze.

Osiem i pół kilometra wyżej, w tej chwili pod kątem pięćdziesięciu stopni w prawo w stosunku do Amerykanów, lecieli dwaj Irakijczycy pilotujący MiG-i 29. Śledzili F-15 za pomocą patrzącego w dół radaru zwanego przez Amerykanów Slot Back. Jest to jedno z najlepszych urządzeń tego typu na świecie. Z łatwością mogli wyodrębnić na tle pustyni zbliżający się samolot. Zamontowany w hełmach pilotów system śledzenia celów oparty na podczerwieni ułatwiał im zadanie. Dalmierz laserowy mierzył odległość od przeciwnika, podając ją na wyświetlaczu z dokładnością do kilku metrów.

Kiedy amerykański myśliwiec znajdował się w odległości trzydziestu kilometrów od Irakijczyków, dowódca klucza odpalił dwie rakiety. Rakiety typu Alamo wystrzeliły naprzód, a potem runęły z oszałamiającą prędkością w dół, ku pustyni.

Pilot drugiego MiG-a odczekał aż rakiety jego dowódcy znikną z widoku i wtedy odpalił dwie swoje. Następnie Irakijczycy rozdzielili się: jeden skierował się na zachód, drugi na wschód. Czekali na wynik akcji.

- Atakują! - zawołał z tyłu „Zabójca”. - Rozdzielili się, wschód i zachód! Musimy walczyć! - Charlie zobaczył na ekranie radaru, że istotnie, dwa myśliwce oddalają się od siebie. Poczuł przyływ adrenaliny. Wiedział już, co zrobili przed chwilą „bandyci”. Zerknął ponad ramieniem ku północy, w srebrzyste niebo.

Zobaczył je. Cztery długie, cienkie strugi pary, przesuujące się po niebie. Rakiety mknęły ku samotnemu myśliwcowi jak strzały.

McKay poczuł ucisk w piersiach. Strach nie pozwalał mu oddychać. Wszystkie mięśnie napięły się aż do bólu. Wreszcie, instynkt przeżycia i wyszkolenie pilota wzięły górę.

- Rakiety!!! - wrzasnął. - Cztery sztuki, na trzeciej! - Bennett obejrzał się i serce skoczyło mu do gardła. Cztery rakiety! Odległe zaledwie o kilkanaście kilometrów!

Charlie natychmiast wcisnął przycisk uwalniający chmurę cieniutkich pasków aluminiowej folii. „Zabójca” zastukał w umieszczoną przed nim klawiaturę.

- Dwanaście-jedenaście!- zawołał, głosem pełnym desperacji.

- Co?! Nie! Jesteś pewien?

- Tylko to! - upierał się oficer uzbrojenia. - Jesteśmy niżej niż Irakijczycy i czyste niebo przepuści nasze sygnały. To nasza jedyna szansa!

- Dawaj! - odpowiedział krótko McKay.

Bennett zabrał się do pracy.

Charlie wyrównał lot, po czym zanurkował. Pustynia przybliżyła się; McKay wyrównał znowu na wysokości zaledwie piętnastu metrów, wzbijając wielką chmurę piasku.



Pilot przyglądał się nadlatującym rakietom. Rzucił przekleństwo, jedno, drugie, trzecie. Da „Zabójcy” jeszcze jakieś pięć czy sześć sekund, a potem sam spróbuje wymknąć się rakietom.

Bennett stukał w klawiaturę jak oszalały, wydając komputerowi polecenie uruchomienia nowej zagłuszarki, którą dla niepoznaki nazwano dwanaście-jedenaście.

Cztery rakiety sunęły dalej ku celowi. Dwie pierwsze były teraz w odległości zaledwie czternastu kilometrów; trzecia i czwarta mknęły o trzy kilometry za nimi. Sunęły w idealnie wymierzonym kierunku i właśnie osiągnęły prędkość maksymalną. Głowice były uzbrojone i nastawione na zapalniki zbliżeniowe. Miały dopaść myśliwiec za trzydzieści sekund.

„Zabójca” uruchomił system. Z zagłuszarki F-15 - najbardziej skomplikowanego urządzenia w całym samolocie - natychmiast zaczęły się wydobywać komputerowo generowane sygnały.

Nagle systemy celownicze rakiet zobaczyły przed sobą liczne cele. Trzy, pięć, po chwili już dziesięć. Dziesięć identycznych celów znalazło się nagle przed rakietami. Alamo nie były w stanie odróżnić ich od prawdziwego F-15. Fałszywe cele zaczęły się rozdzielać; jedne wzbijały się wysoko, inne pozostawały nisko.

Komputer sterujący każdą z rakiet natychmiast zaczął korygować kurs pocisku, żeby dopaść celu pomimo skomplikowanego zagłuszania. Następnie, z przodu każdej rakiety wydobył się potężny strumień fal radarowych, o bardzo wysokiej energii. Nic z tego. Fałszywe cele pozostały. Ściana energii pojawiła się jeszcze raz. I nic. Cele rozpraszały systemy naprowadzające rakiety, lecąc każdy w innym kierunku.

Rakiety nie wiedziały, który z celów jest prawdziwy. Który był F-15?

Charlie obejrzał się po raz kolejny i zobaczył, że trzy spośród rakiet zaczynają się oddalać, skręcając ku różnym fałszywym celom.

- Tak! Dawaj, stary! - zawołał. - Odciągaj je!

Czwarta rakietka zachwiała się w dół, potem chciała skręcić na zachód, wreszcie jednak wycelowała z powrotem prosto w Amerykanów. I była w odległości tylko pięciu kilometrów.

- Rakiety pięć kilometrów! - krzyknął McKay. Pociągnął drążek z całych sił na siebie, trzykrotnie wypuszczając paski folii. Samolot zaczął się wznosić; „Zabójca” stęknął z powodu nagłego wzrostu przeciążenia. Po kilku sekundach myśliwiec leciał pionowo w górę. Wznosił się z prędkością dziesięciu kilometrów na minutę, czyli niecałych dwustu metrów na sekundę. Wtedy Charlie wcisnął przycisk wyrzucania zbędnego ładunku, postanowił pozbyć się zapasowego zbiornika mimo że w było w nim jeszcze pięć ton paliwa. Trzeba było odciążyć maszynę. Odrzucony zbiornik paliwa oderwał się od samolotu, i zaczął koziolkować w powietrzu.

Rakietka zbliżyła się do powierzchni pustyni, po czym ruszyła za F-15 w górę. Charlie odwrócił się i patrzył na znikającą w oszalamiającym tempie ziemię. „Zabójca” także patrzył w dół. Obaj szukali wzrokiem śmiertelnościanego pocisku.

Stery Alamo pracowały bezbłędnie. Po chwili rakieta sunęła już pionowo w górę, prosto za myśliwcem. Amerykanie przekraczali właśnie wysokość pięciu tysięcy metrów. Alamo wznosiła się zaledwie o tysiąc trzysta metrów za nimi. Charlie chciał dopchnąć jeszcze dźwignie przepustnic, ale były dosunięte do oporu. Samolot obładowany bombami nie przyspieszał zbyt szybko. McKay szarpnął maszynę w prawo. Rakieta powtórzyła jednak manewr i znalazła się w odległości poniżej stu pięćdziesięciu metrów. Charlie pobladł i zagryzł usta. Alamo wciąż się zbliżała. Robiła się coraz większa; teraz widzieli już każdy jej szczegół. Biała głowica połyskiwała w słońcu.

- Malutka, rusz się! - jęknął pilot, mając nadzieję, że maszyna zacznie szybciej się wznosić. Nawet nie przeszło mu przez myśl, żeby się katapultować - skoncentrował się wyłącznie na tym, by umknąć wrogiej rakiecie. „Zabójca” zastanawiał się, czy nie użyć katapulty. Jego lewa ręka opuściła się na znajdującą się niedaleko kolana dźwignię.

Charlie nie odwracał teraz wzroku od rakiety, która ciągnęła za sobą długą smugę pary. Zbliżała się i zbliżała. Pilot szarpnął samolot w lewo, ale rakieta zrobiła to samo. F-15 wznosił się już powyżej ośmiu tysięcy metrów. McKay wstrzymał oddech i patrzył na wskazania wysokościomierza. Wiedział, myślał, czy tylko miał nadzieję, że ma rację.

Rakieta wypuściła z siebie ostatnią resztkę gazów wylotowych i zachwiała się w locie. Skończyło jej się paliwo. Wznosiła się dalej, długim, pełnym gracji łukiem, aż wreszcie jej dziób zaczął powoli ciężać ku ziemi. Kiedy Charlie zobaczył, że Alamo przystanęła na moment, wiedział, że się udało. Silnik rakiety przestał pracować w ostatnim momencie. Brakowało zaledwie dwóch czy trzech sekund, żeby samolot został zniszczony.

Wznosząca się jeszcze trochę rakieta zwolniła nagle. Kiedy jej prędkość zmalała do dziewięciuset kilometrów na godzinę, zadziałał mechanizm samozniszczenia, zaprojektowany po to, by rakieta wybuchając poczyniła dookoła jak największe spustoszenia. Niegroźna kula ognia i czarnego dymu błysnęła jednak dwieście pięćdziesiąt metrów poniżej amerykańskiego myśliwca.

Charlie nie czekał na ten widok, zdawał sobie bowiem sprawę, że w powietrzu ciągle znajdują się dwie maszyny wroga. Pociągnął drążek do siebie, wyrównując lot, ale w ten sposób, że znajdował się głową do ziemi. Następnie zrobił półbeczkę, odwracając F-15 z powrotem plecami ku niebu. Znajdował się na wysokości prawie ośmiu tysięcy metrów, i leciał z prędkością zaledwie trzystu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Podczas gdy McKay pilotował, „Zabójca” zajmował się radarem, szukając na niebie dwóch Irakijczyków.

Natychmiast ich znalazł. Maszyny połączyły się znowu w klucz i leciały na północ, przyspieszając szybko; były na wysokości pięciu tysięcy dwustu metrów.

Charlie zobaczył na HUD, że Irakijczycy znajdują się w odległości osiemnastu kilometrów w bok od niego.

- Mam radar - poinformował przyjaciela. Ustawił radar tak, żeby świeciły się symbole oznaczające „bandytów”. Wybrał dwie rakiety typu AMRAAM. Bennett wyteżył wzrok, żeby ze swojego miejsca zobaczyć lecące poniżej cele. McKay opuścił dziób samolotu pod kątem trzydziestu stopni, aby nabrać prędkości. Wybrał lecącego przodem

MiG-a. Na projektorze HUD przed Charliem świeciło teraz na pomarańczowo światelko oznaczające, że cel został namierzony. Wcisnął przycisk odpalania. Spod brzucha samolotu śmignęły dwie rakiety. Ciągając strugi białego dymu, rakiety oddaliły się z wyraźnym szumem. F-15 popędził w dół za nimi. „Zabójca” patrzył uważnie na radar. MiG-i znowu się rozdzieliły. Pierwszy z nich zanurkował pionowo w dół. Drugi, wykonując ciasną spiralę w prawo.

Charlie ustawił ponownie radar i znalazł się za drugim Irakijczykiem, aby mogły go znaleźć rakiety kierowane na podczerwień. Odpalił dwie kolejne. Obydwa MiG-i zygza-kowały teraz, aby ujść układom naprowadzającym rakiet. Piloci przeciążali płatowce do ostatecznych granic. „Zabójca” zobaczył na radarze wypuszczone przez nich paski aluminiowej folii.

Rakiety mknęły jednak prosto ku celom.

Jeden z MiG-ów został zniszczony pierwszą rakieta AMRAAM, wystrzeloną przez McKaya. Następną przeleciała pomiędzy szczątkami wraku. Drugiego MiG-a trafiły jednocześnie trzecia i czwarta rakiet. Na oczach Amerykanów oba irackie myśliwce rozpadły się pośród błysków ognia i dymu. Szczątki zaczęły opadać ku ziemi. Dwie ogniste kule szybko zniknęły.

Nie wyrażając na zewnątrz żadnych emocji, przyjaciele znowu zabrali się do pracy. Charlie zaczął ponownie obserwować horyzont, a „Zabójca” - ekran radaru.

- Co masz? - spytał sucho pilot.

- Nic. Tutaj nikogo więcej nie ma. Mógłbym poszukać, ale musielibyśmy obejrzeć po kolei wszystkie sektory. To zajęłoby parę minut. Chcesz?

McKay popatrzył na zegar.

- Nie - odparł. - Teraz nie ma czasu. Śmigłowce zbliżają się do Pajaka. Mamy tylko parę minut, żeby tam dotrzeć. To najważniejsza sprawa - to nasze zadanie.

„Zabójca” pokiwał głową:

- Zgadzam się z tobą - odpowiedział. - Kierunek zero jeden zero. Ostatnia znana pozycja konwoju - pięćdziesiąt siedem kilometrów stąd. Mamy pięćdziesiąt sekund opóźnienia. Śmigłowce będą tam przed nami.

Charlie popatrzył na północ. Widział znajdującą się w dużej odległości cieniutką wstążkę drogi, idącej przez piasek pustyni. Przewrócił maszynę na plecy i zaczął się zniżać. Skręcił na północ i spojrział na wskaźnik czasu by wiedzieć za ile znajdą się w rejonie celu. Byli w odległości nieco ponad trzech minut lotu od szosy.

McKay włączył radio, wybierając częstotliwość ataku i nadał:

- Cobra, podaj czas do celu?

- Dwie minuty. Czekaliśmy, Ogar. Gdzie byłeś?

Charlie uruchomił dopalacze i zaczął zniżać się coraz szybciej.

- Już nadlatujemy, Cobra - odpowiedział. - Zaraz będziemy.

F-15 przyspieszał.

- Zaczynam odbierać coś, co może być naszym celem - odezwał się Bennett. - Tak, to na pewno to. Sześć, nie, siedem dużych pojazdów w konwoju. Odległość - pięćdziesiąt dwa kilometry, kierunek - na wprost. Widzę też wyraźnie Apache. Wiszą w powietrzu w odległości trzech kilometrów na południe od drogi.

Charlie popatrzył na ekran radaru. Właśnie pojawiały się na nim śmigłowce. Po chwili widział już ich ciemne sylwetki. Były rozproszone w szeregu, przyjąwszy ustawienie bojowe. McKay zobaczył nagły skok we wskazaniach wysokościomierza - przekroczyli barierę dźwięku, bez specjalnego wysiłku. Popatrzył na prędkościomierz, podający prędkość w liczbie macha. Wynosiła 1,12 i rosła. Przyciągnął dźwignie przepustnic odrobinę do siebie. Zdąży na czas. Jeszcze dwadzieścia osiem kilometrów. Wkrótce zacznie się nierówna potyczka.

Charlie zawahał się na moment. Podniósł wzrok znad drogi i popatrzył w jasne niebo, ogarniając je wzrokiem, aż do wysokości dziesięciu kilometrów. Obejrzał się przez ramię, żeby zobaczyć, co dzieje się z tyłu.

Coś kazało mu przez cały czas patrzeć na niebo, ponieważ iraccy piloci zbyt chętnie zaatakowali.

Ich doktryna nie zmieniła się od pierwszych dni wojny w Zatoce Perskiej. Nigdy nie atakowali, chyba że przewyższali liczebnie Amerykanów w stosunku co najmniej cztery do jednego.

Jednak tamte dwa MiG-i zaatakowały bez wahania. Piloci zachowywali się zupełnie inaczej niż dotąd. Irakijczycy po prostu nigdy nie atakowali „dwóch na jednego”. F-15 zniżał się ku przemierzającemu pustynię konwojowi, więc Charlie pokręcił głową i spróbował znowu skupić się na celu misji. Jednak ciągle miał wątpliwości. Irakijczycy musieli gdzieś tu być. Więcej myśliwców. Czuł to po prostu.

Jego śladem podążały już dwa kolejne MiG-i, lecąc na wysokości dziesięciu kilometrów. Irakijczycy pozostawali za amerykańskim myśliwcem, jednak ciągle go obserwowali.

35.

## Szosa do Al Aziziya pustynia w południowym Iraku

**A**ria poczuła nagle szarpnięcie za kaptur, który zasłaniał jej widok. Czarny wór zniknął. Pułkownik Samih Bakr Hajazi patrzył jej w oczy, trzymając twarz zaledwie kilkanaście centymetrów od jej twarzy.

- Czy przylecą? - spytał. - Nadlatują, żeby go zabić?

Dziewczyna zmrugała oczy, gdyż jaskrawe słońce oślepiło ją teraz. Nic nie widziała. Z początku nie odpowiadała, jednak po chwili pokiwała głową.

- Tak, nadlatują - potwierdziła. - Jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie. Pułkownik wyciągnął nóż i przyłożył jej do gardła.
- Kiedy? Gdzie? Co zrobią? - rzucił.
- Śmigłowce szturmowe i samolot - szepnęła dziewczyna, wystraszona. Odezwała się tak słabym głosem, że pułkownik musiał się wysilać, żeby ją usłyszeć.
- Lecą teraz? - upewnił się. - W biały dzień?
- Tak, będą tu - mruknęła Aria. - Sam pan wie. Mają się pojawić, kiedy tylko odbiorą sygnał nadajnika. Z pewnością są już w powietrzu. - Wyjrzała przez okno, spoglądając na południe, w stronę, z której nadejdzie atak.
- Musi mi pan pomóc - oznajmiła. - Wydostaniemy się z tego konwoju.
- Nie! - warknął pułkownik, zastanawiając się nad sytuacją. - Zostaniemy. To najlepsze miejsce. Kiedy przylecą - jeżeli w ogóle to nastąpi - będą szukać jego. Przecież kierują się sygnałami nadajnika. Łatwo odnajdą pojazd, który mają zaatakować. Jesteśmy bezpieczni tak długo, jak długo pozostaniemy zdale od niego.
- Nie... - Aria zająknęła się. - Nie wie pan. Oni nie chcą go zabić. Chcą pochwycić go żywcem! To my jesteśmy celem, a nie Udaj Husajn. To nie jest zamach, tylko coś znacznie bardziej skomplikowanego. Rozumie pan - pozabijają wszystkich innych, cały konwój. Nadajnik jest im potrzebny po to, żeby mogli złapać Husajna żywcem...

Urwała i nasłuchiwała.

Słyszała coś, od strony horyzontu. W suchym powietrzu rozlegał się cichutki, na razie, terkot śmigłowców.

Na jasnym niebie rozbłysła żółtoczerwona kula. Rozeszła się widoczna, pomimo przezroczystego powietrza, fala uderzeniowa; rozszerzająca się sfera wysokiego ciśnienia. Jadąca na czele konwoju ciężarówka eksplodowała, przewracając się na bok, pośród płomieni. Na boki poleciały kawałki pogiętej stali i spalonej gumy. Kierowcy następnych pojazdów natychmiast wcisnęli hamulce. Aria wyjrzała za okno i zobaczyła nadlatujący myśliwiec - rosnącą, czarną plamkę nad południowym odcinkiem horyzontu. Dziób myśliwca celował dokładnie w nią.

Wstrzymała oddech, a jej serce stanęło na moment. Przycisnęła ręce do piersi. Wszystkie obrazy, dźwięki i uczucia zdawały się teraz napływać z odległości setek kilometrów. Wpatrywała się w iskrzący się w słońcu szary dziób samolotu.

Charlie usłyszał przez radio wołanie pilota pierwszego ze śmigłowców:

- Widzę cel! Cobra Jeden odbiera silny sygnał radiolatarni. Cel znajduje się w pojeździe numer cztery. Powtarzam: cel jest w pojeździe czwartym. - Po trwającej pół sekundy pauzie, mężczyzna krzyknął znowu:

- Lot Cobra, odpalać rakiety Helfire. My strzelamy w pierwszy pojazd. Ogar - zasnij od ostatniego.

McKay potwierdził odebranie komunikatu, po czym wycelował maszynę ku ostatniemu z pojazdów konwoju. Była to wielka, czarna, wojskowa ciężarówka, wlokąca się czterdzieści metrów za poprzedzającym samochodem. Zbliżał się do niej bardzo szybko,

choć ciągle znajdował się jeszcze w odległości ośmiu kilometrów. Obraz ciężarówki świecił się jasno na ekranie noktowizora.

- Bomba uzbrojona i gotowa! - oznajmił „Zabójca”
- Czterdzieści sekund! - rzucił Charlie, uzbrajając broń, którą dysponował.

Pułkownik zobaczył mknącego nad pustynią F-15E. Przez moment wpatrywał się w niego, ogarnięty grozą. Aria gapiała się na myśliwiec, sparaliżowana strachem. Jeśli natychmiast czegoś nie zrobią, umrą w ciągu najbliższej minuty. Dziewczyna szarpnęła za klamkę. Kabina była zamknięta z zewnątrz. Nie mogła wysiąść. Popatrzyła więc na ręce, które były skrępowane drutem; szarpnęła nogami, ale sznur nie chciał się poddać. Krzyknęła i zacisnęła powieki. Opuściła głowę. Nie była już w stanie patrzeć.

Za chwilę miała zginąć z rąk przyjaciela, o którym myślała, że mogłaby go pokochać, jak niewielu ludzi w swoim życiu. Był śmiały, przystojny i miły jak dziecko.

Pomodliła się przez chwilę, żeby się nigdy nie dowiedział. Świadomość ta ciążyłaby mu do końca życia, a przecież to nie była jego wina. Tak jak każdy, wykonywał po prostu swoje zadanie. Na wojnie dochodzi czasem do nieoczekiwanych sytuacji. Skąd mógł wiedzieć...?

Myśliwiec runął w dół. Konwój widniał przed kabiną jak na dłoni. Charlie przyglądał się zawieszonym w powietrzu szturmowym śmigłowcom, ukrywającym się w tej chwili za powstałą wokół skały wydumą. W tyle, czaiły się tuż nad ziemią MH-60, czekając, aż będą mogły włączyć się do akcji. Na oczach Charliego ku swojemu celowi pomknęła kolejna rakietą Helfire. Sunęła ku drugiemu pojazdowi konwoju, pozostawiając za sobą długą smugę. Iracki transporter opancerzony szarpnęła się naprzód, rozbijając płonące resztki ciężarówki. Rakietą skorygowała tor lotu o kilka stopni w prawo. Wszyscy, którzy znajdowali się wewnątrz transportera mieli umrzeć za niecałe cztery sekundy.

McKay usłyszał piski radiolatarni. Na środku ekranu radarowego zaczęła migać mała, niebieska plamka, uczeplona czwartego z kolei pojazdu. Bez wątplenia znajdował się w nim Udaj Husajn. Był tam. Charlie spojrzął na samochód Udaja - wielką, czarną limuzynę. Stała w poprzek drogi; dwa koła zakopały się w piasku.

W tym momencie Charlie pomyślał o czymś innym. Zobaczywszy czarny samochód, wyobraził sobie, jak łatwo mogło wszystko się rozegrać. Przypomniał sobie sceny z Prince Sultan. Przed oczami stanęła mu zdesperowana twarz pułkownika Wisnera, błagającego go o pomoc. Widział przekrwione, zażawione, błękitne oczy pułkownika. Poczut znowu dłońe Alexa zaciskające się na jego dłoni i to, jak razem zatrzasnęły drzwi przed swoim dowódcą i - przyjacielem. Jeszcze raz zobaczył, jak Wisner z rezygnacją patrzy na nich gasnącym powoli wzrokiem.

„Sprowadźcie go - powiedział wtedy ostatkiem sił pułkownik. - Lećcie, dopadnijcie go i sprowadźcie. Zróbcie to dla mnie”.

Nagle Charlie szarpnęła myśliwiec o cztery stopnie w prawo. Na celowniku znalazła się czarna limuzyna Udaja Husajna. Krzyżujące się linie ustawiły się na samochodzie. W słuchawkach rozległ się elektroniczny odgłos, sygnalizujący o namierzeniu celu.

Laserowy dalmierz wysłał niewidzialny promień światła ku limuzynie. Fotony trafiły w dach samochodu. Dwie bomby zawieszona na końcach skrzydeł obudziły się do życia - ich głowice zaczęły odbierać niewidzialne światło. Uderzą w sam środek pojazdu.

McKay mógł go zabić. W jednej chwili zakończyć to wszystko.

Unióś palec i dotknął nim przycisku, który spowodowałby wyrzucenie bomb. Czuł niewielki guzik przez rękawicę kombinezону.

Mógł zabić tego człowieka. Mógł posłać go do piekła.

Przez następne pół sekundy Charlie znowu widział przed sobą zrozpaczone, błękitne oczy Wisnera. Alex popatrzył na wskazania radaru i wrzasnął:

- Nie!!! Charlie, nie! - McKay zawahał się na moment - Wracaj do naszego celu!!!

Pilot pokręcił głową, odpędzając straszliwą wizję. Poczul przyływ adrenaliny. Odechnął głęboko i z powrotem skierował maszynę w lewo. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez dłuższy czas nie oddychał. Jego dłoń ścisnęła u góry drążek sterowy jak imadło. Zaczepnął powietrza jeszcze raz, poprawił ułożenie palców i zmusił się, żeby nie wyobrazić sobie tego, co stało się w Prince Sultan. Spojrzał na projektor HUD i popatrzył na ostatni pojazd. Teraz znów celował w sam środek ciężarówki.

- Gotów! - zawołał „Zabójca”.

- Mam ją! - odparł pilot.

F-15 zatrząsł się nagle. Dwie kierowane laserem bomby opuściły swoje zaczepy. Leciały w kierunku celu, podążając za niewidzialnym promieniem światła.

Aria poczuła szarpnięcie za krępujący jej nogi sznur. Otworzyła oczy i zobaczyła, że pułkownik przecina więzy. Lewą ręką otworzył drzwi po swojej stronie kabiny.

- Wytocz się na zewnątrz! - krzyknął, walcząc z liną. Przeciął ją w końcu.

Ciężarówka posuwała się powolutku naprzód; kierowca nie wiedział, co ma robić.

Hajazi wyskoczył na ziemię. Aria sturiała się z siedzenia i upadła. Pułkownik chwycił ją za ramiona i ściągnął z drogi. Dziewczyna starała się jak najszybciej oddalić od ciężarówki. Słyszała przedziwny dźwięk, wysokie wycie, niepodobne do niczego innego. Jak gdyby jakiś silnik rozkręcił się do wysokich obrotów, albo jakby szalał rój wściekłych pszczoł. Podniosła wzrok i zobaczyła nadlatujące bomby. Pułkownik skoczył do płytkiego rowu, idącego wzdłuż drogi, pociągając Arię za sobą.

Upadła na twarz. Hajazi wtoczył się na nią i zasłonił jej głowę ramionami.

Dwie dwustudwudziestopięciokilogramowe bomby GBU-15 eksplodowały, trafiwszy w sam środek ciężarówki. Poderwały ją niemal na trzy metry w górę. Ogluszający wybuch ogarnął ciało Arii, przyciskając ją z siłą kilkuset kilogramów do podskakującego w tym momencie gruntu. Omal nie pękły jej bębenki w uszach. Świat zaczął wirować wokół, mimo że leżała w piasku. Czuła się ogłuszona.

Potężna, ciężarówka z napędem na cztery koła opadła na środek drogi, przekręcona w poprzek i wygięta; eksplodujące paliwo wystrzeliło ze zbiorników na boki wydłużonymi językami ognia. W górę unióś się gęsty, czarny dym, wydobywający się ze środka pożaru.

Aria poczuła przesuwającą się wokół niej falę palącego powietrza. Dziesięć metrów dalej rozległa się kolejna eksplozja - trzecia bomba trafiła w następną ciężarówkę. Tuż nad głową dziewczyny przeleciały tysiące kamieni i kawałeczków rozgrzanej stali. Poczuła nagle jakby się coś zapadło. Pułkownik zwiśł na niej bezwładnie. Próbowwała go zepchnąć, ale był ciężki. Pchała z całych sił, aż wreszcie stoczył się na bok. W jego szyi tkwił kawał metalu.

Hajazi podniósł zdziwiony wzrok. Na jego smagłej twarzy pojawił się wyraz bólu i wielkiego smutku, który zaczął stopniowo ustępować, wraz z życiem. Mężczyzna wyglądał teraz niemal spokojnie. Leżał rozciągnięty na piasku. Wyciągnął rękę w stronę Arii, przysunął ją do siebie i wyszeptał z trudem, dławiąc się krwią:

- On ma zamiar użyć broni biologicznej. Dzisiaj, w Waszyngtonie. Nic więcej nie wiem...

Charlie obejrzał się i patrzył bez emocji, jak czwarta bomba uderza w ostatni transporter opancerzony, zmieniając go w kulę ognia. McKay pociągnął do siebie drążek sterowy samolotu, wykonując zakręt i wznosząc się jednocześnie. Zawracał gwałtownie. W połowie zwrotu, znowu zobaczył szereg płonących irackich pojazdów. Wzdłuż drogi dopalało się teraz pięć wraków. Jedna z ciężarówek skręciła i przejechała przez rów, a potem ruszyła przez piasek. Wielkie, terenowe opony wzbijały tumany piachu. Charlie uzbroił działko. Wycelował w samochód i wcisnął spust. Poczuł nagłą wibrację - dwudziestomilimetrowe działko wypluło osiemdziesiąt pięć pocisków. Każdy z nich wystarczyłby, żeby przebić pojazd na wylot, lub spowodować eksplozję któregoś ze zbiorników paliwa.

Z pustyni poderwały się gejzery piasku, wzbijane poszczególnymi pociskami. Linia eksplozji kroczyła w stronę czarnej ciężarówki. Pojazd zakołysał się, skręcając w lewo, a zaraz potem w prawo. Omal się nie przewrócił. Charlie wypuścił drugą, trwającą dwie sekundy serię, po czym skierował się odrobinę bardziej w lewo. Przy trzecim naciśnięciu spustu ciężarówka eksplodowała pośród płomieni.

McKay obejrzał się, gdy znów przelecieli nad drogą. Samochód Udaja był ciągle na miejscu. Stał samotnie na drodze; był teraz jedynym pojazdem, który nie płonął.

- Śmigłowce wchodzą! - zawołał z tyłu „Zabójca”.

Charlie popatrzył jeszcze raz na płonącą na piasku ciężarówkę. Uciekali od niej dwaj iraccy żołnierze. Teraz popatrzył w stronę nadlatujących MH-60. Zwolniły i zawisły, koło prezydenckiej limuzyny. Z otwartych drzwi maszyn wyglądali już żołnierze Delta Force. Zainstalowani w drzwiach strzelcy siekli po obu stronach drogi kulami z cekaemów. Charlie wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, kogo próbują zabić. Z prezydenckiej limuzyny wyskoczył ochroniarz i padł, zanim zdążył podnieść broń. Śmigłowce błyskawicznie wylądowały koło szosy, wzbijając tumany piasku. Pierwsza z drużyn Delta wyskoczyła na ziemię. McKay zaczął krążyć na wysokości stu pięćdziesięciu metrów.

Gdyby patrzył, mógłby ich pewnie zobaczyć. Ale przyglądał się temu, co działo się na ziemi. Wystarczyło niewiele czasu.



Dwa irackie MiG-i nadleciały od zachodu, chowając się w blasku zachodzącego powoli słońca. Piloci zaplanowali, że zaatakują polegając tylko na własnym wzroku. Nie włączali radarów, które by ich zdradziły - F-15 natychmiast wykryłby radarową wiązkę i jego załoga zostałaby ostrzeżona o parę sekund wcześniej. Dlatego też Irakijczycy mieli zamiar odpalić tylko rakiety kierowane na podczerwień. Mknęli ponad piaskiem, cicho jak wiatr; cofnięte skrzydła ich maszyn rzuciły na pustynię przesuwające się błyskawicznie cienie.

Kiedy znalazły się w odległości trzech kilometrów, pierwszy MiG wystrzelił dwie rakiety.

Charlie nie widział „bandytów”, nie miał nawet pojęcia, że znajdują się w pobliżu. Nie zobaczył także zmierzających ku wylotom silników jego maszyny rakiet. Rakiety na podczerwień nie mają radaru, więc antyradar nie mógł go ostrzec. Kiedy rakiety znalazły się w odległości sześciuset metrów, mknęły już prosto do celu. Gdyby teraz amerykański pilot wiedział o nich, i tak nie mógłby już nic zrobić.

Pierwsza rakietka wleciała od tyłu do lewego silnika. Ekspłodowała. Dziesięciokilowa głowica rozerwała samolot. Atak był niespodziewany i skuteczny. F-15 spadał. Oba silniki zostały oderwane od kadłuba. Zapaliły się nagle dwie tony paliwa, znajdującego się przed nimi. Kabina załogi, wraz ze środkową częścią kadłuba pozostały w zasadzie całe, chociaż obracając się zmierzały ku ziemi. Siła eksplozji zerwała Charliemu maskę z twarzy. Uderzył głową w osłonę kabiny. Ręce przycisnęło mu do tułowia, z płuc wygniotło powietrze. Próbował otworzyć oczy. Widział tylko ciemność. Przeciężenie tłoczyło mu teraz całą krew do głowy. Osłona kabiny pękła z trzaskiem. Poczul na twarzy wiatr o prędkości tornado. Poszarpany wrak myśliwca opadał pośród płomieni.

McKay natychmiast zdał sobie sprawę z pożaru - błyskawicznie otoczył go żywy ogień. Sięgnął do dźwigni katapulty, o pół sekundy za późno. „Zabójca” uruchomił już wyrzucenie foteli załogi. Charlie poczul, że przyspiesza nagle w górę; przeciężenie wcisnęło mu głowę w szyję. Następnie uczul gorący podmuch wiatru, a wreszcie straszliwe szarpnięcie - to spadochron zdążył się już rozwinąć i wypełnić.

Przez długą chwilę McKay opadał bezwładnie na swoim pomarańczowo-brązowo-białym spadochronie, słysząc nad głową łagodne trzepotanie tkaniny. Był zaszokowany i ledwie zdawał sobie sprawę, gdzie jest. Dopóki do jego uszu ponownie dotarły odgłosy walki.

Pod nim trzaskał płomień. Gryzący dym zakłuł go w oczy. Charlie słyszał, a nawet czuł poprzez drgania powietrza serie z karabinów maszynowych zainstalowanych na śmigłowcach. Potem usłyszał łoskot MiG-ów, które przemknęły zaledwie piętnaście metrów nad jego głową. Dwa myśliwce poleciały kilkaset metrów na zachód, po czym gwałtownie zawróciły, opadając tuż ku ziemi. Obezwładniony pilot patrzył w przerażeniu, że Irakijczycy przygotowują się do ataku. Bezwiednie wykrzyzczał w stronę załóg śmigłowców ostrzeżenie. Zobaczył jak od pierwszego MiG-a oddzielają się dwie rakiety, a po odpaleniu silników dostrzegł ich krótki, coraz szybszy lot w kierunku jednego ze stojących na drodze MH-60. Śmigłowiec eksplodował niczym rozgrzana do białości ognista kula. Kolejny MH-60 został poderwany siłą wybuchu i zdmuchnięty do tyłu, aż wreszcie opadł

z powrotem na piasek. Drugi MiG skierował się ku Apache'om. Rozległa się szybka seria z działka. W ciągu paru sekund, następny śmigłowiec został rozerwany na strzępy. Piloci pozostałych zdołali wystartować i zaczęli zygzakować. Przyspieszyli, kierując maszyny na południe. Przysłaniał je słup czarnego dymu. Charlie patrzył jak znikają i zastanawiał się, co teraz zrobi.

Obejrzał się i zobaczył opadający powoli spadochron Bennetta. Przyjaciel zniżał się ku ziemi zupełnie znieruchomiąły.

Teraz McKay popatrzył w dół i zobaczył, że pustynia unosi się na jego spotkanie. Po-  
czuł silne uderzenie w stopy i znalazł się na ziemi nieprzyjaciela.

## 36.

Katedra Narodowa, Waszyngton, USA  
08.27 czasu miejscowego

Prezydent Stanów Zjednoczonych siedział w pierwszej ławce Kaplicy Ofiar Wojen -  
ciemnej, wysokiej dobudówki do waszyngtońskiej Katedry Narodowej. Nad dwiema  
trumnami widniał olbrzymi witraż, rzucając na boczną ścianę kolorowe cienie. W kaplicy  
panował półmrok. Mahoniowe ławki i zimna, marmurowa podłoga wywoływały w lu-  
dziach wrażenie pustki. Rodziny zmarłych podzieliły się na grupki, wszyscy wspominali  
swoich najbliższych i płakali. Żona zmarłego wiceprezydenta stała koło Brooks. Ścisnął  
ją za ramię, a potem ruszył, żeby przytulić jej dzieci, znajdujące się w tyle kaplicy.

Prezydent długo patrzył na dwie trumny. Właśnie dodał nazwiska, wykaligrafowane  
własnoręcznie, do Narodowej Listy Zasłużonych. Siedział w ławce sam, ze spuszczoną  
głową.

W pewnym momencie olbrzymie, drewniane drzwi otworzyły się na dobrze naoliwio-  
nych zawiasach. Do kaplicy wkroczył kardynał, ciągnąc za sobą po podłodze długie szaty.  
Rozległy się dźwięki żałobnej muzyki, wykonywanej na Wielkich Organach. Dziesięć  
tysięcy piszczałek wygrywało każdą nutę z potęgą brzmienia i precyzją; dźwięk odbijał  
się dostojnie od wysokich ścian katedry. Prezydent podniósł wzrok. Kardynał skłonił  
głowę. Popatrzył na pozostałych i zaczął zbierać ich razem, idąc z rozłożonymi szerokim  
gestem rękami. Ścisłym głosem oznajmił, że nabożeństwo zaraz się zacznie.

Prezydent sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął z niej plik karteczek. Po raz ostatni  
powtórzył sobie główne punkty mowy pogrzebowej.

Na tyłach katedry, niedaleko zachodniego portalu, pod tympanonem, przedstawiają-  
cym w kamieniu historię stworzenia, w małej, publicznej toalecie, leżał ukryty za osłoną  
kanału wentylacyjnego stalowy pojemnik. System wentylacyjny tłoczył z cichym szumem  
przez kanał powietrze, które po schłodzeniu, wydostawało się do wnętrza katedry. Na  
pojemniku uruchomił się ostatni elektroniczny chronometr, zaczynając wyświetlać male-  
jące cytry. Pozostało jeszcze sześćdziesiąt minut.

## Szosa do Al Azizya pustynia w południowym Iraku

Aria pozostała w rowie, gdyż atak trwał. Przyciskała się do piasku, zbyt przerażona, żeby się rozglądać i zbyt zszokowana, żeby jakoś specjalnie reagować na poszczególne odgłosy. Leżała w bezruchu, podczas gdy powietrze wypełniał dym. Po kilku straszliwych sekundach, atak ucichł. Usłyszała głośny warkot śmigłowców. Podniosła głowę i wyjrzała z rowu. MH-60 zawisły nad drogą. Były odległe o niecałe pięćdziesiąt metrów. Dziewczyna widziała czekających przy drzwiach żołnierzy. Zerknąwszy na drogę zobaczyła, czarną limuzynę. Jej drzwi otworzyły się gwałtownie i ze środka wypadł ochroniarz. Rozległ się ostry terkot cekaemu i Irakijczyk padł na piasek. W otwartych drzwiach samochodu nie pojawiał się nikt inny.

Dziewczyna przekręciła się na plecy i w panice zastanawiała się jak zbliżyć się do śmigłowca, żeby nie zostać zabita? Nieustanny terkot karabinów wyjaśniał, co by się z nią stało. Strzelali do wszystkiego, co się ruszało.

Popatrzyła na swoją ciemną szatę i upewniła się, że drut krępujący nadgarstki jeszcze trzyma. Poczula ostry ból w poobijanych nogach. Znowu podniosła wzrok, wystawiając głowę ponad rów. Pojazdy płonęły. Dym stał się bardzo gęsty. Z obu śmigłowców nieustannie terkotały cekaemy. Strzelcy chcieli zlikwidować wszelkie zagrożenia, czające się na ziemi. Dziewczyna zobaczyła dwóch irackich żołnierzy, uciekających w panice przez piasek. Zygzakowali, próbując ująć ewentualnej serii. Jeden z nich pokazał na rów. Ruszyli prosto ku Arii. Drugi uniósł broń. Kiedy znajdowali się w odległości zaledwie dziesięciu metrów od rowu, zostali ścięci przez amerykański cekaem.

Aria wzięła głęboki oddech i zdecydowała się wreszcie.

Uniosła ręce wysoko ponad głowę i wstała. Słaniając się na nogach, zaczęła posuwać się w kierunku śmigłowca.

- Pomocy! Pomocy! krzyczała. Jej głos ginął jednak wśród wrzawy walki.

Strzelec, czuwający w lewych drzwiach śmigłowca zobaczył wyłaniającą się z dymu postać w obszernych szatach. Wycelował w sam jej środek. Oparł palec na spuście. Oczekał, aż mężczyzna przejdzie przez gęsty dym, żeby mógł oddać pewną serię.

Zawahał się jednak chwilę. Coś wydawało się nie tak. Wyteżył wzrok. Irakijczyk poruszał się bardzo powoli. I chwiał się na nogach. Wtedy dopiero Amerykanin zobaczył, że ten człowiek trzyma uniesione nad głowę ręce. Był ubrany cały na czarno, w zwiewną szatę. To z pewnością nie jest iracki żołnierz. Ale w takim razie kto? Jakiś Beduin? Pasterz? A któżby inny? Amerykański strzelec poczuł głęboki smutek, graniczący z paniką. Czy zabili także cywilów? Nie uważali, do kogo strzelają?!

Strzelec patrzył i patrzył; aż nagle otworzył szeroko usta ze zdziwienia. Zmrużył oczy. Tak, to była dziewczyna! Kobieta. I wołała coś do niego. Potknęła się i upadła. Nie wiedział, co robić. Powstała z trudem; zobaczył, że młoda kobieta ma skrupowane ręce.

- Wstrzymać ogień! - warknął do zainstalowanego w hełmie mikrofonu. - Od mojej strony do śmigłowca podchodzi kobieta. Ma skrupowane ręce. Co mam zrobić? - Pozostali członkowie załogi obrócili się w fotelach jak jeden mąż.

Aria była jeszcze dwadzieścia metrów od amerykańskiego śmigłowca. Strzelec opuścił lufę. Potknąwszy się po raz kolejny, dziewczyna opuściła ręce i zaczęła biec.

Zrobiła zaledwie dwa kroki, kiedy w burtę śmigłowca uderzyła rakietą, zamieniając go w chmurę zwęglonych odłamków. W górze przemknął MiG. Pilot skręcił maszynę, żeby uniknąć skutków eksplozji własnej rakiety.

Siła wybuchu odrzuciła Arię w tył. Znowu poczuła jak ogarniają straszliwe gorąco. I znów ogłuszył ją wybuch. Z osłupieniem patrzyła jak śmigłowiec staje w płomieniach i przewraca się na bok.

Maszyna eksplodowała jeszcze raz, kiedy wybuchł mniejszy zbiornik paliwa. W stronę Arii nadleciał jakiś dymiący przedmiot. Spojrzała pod nogi i zamarła. Był to wojskowy but.

Zbladła z przerażenia. Potykając się, odwróciła się od płonącego wraku. Usłyszała w pewnej odległości odgłos lotniczego działka, a potem dwa, następujące po sobie wybuchy - dwa szturmowe Apache także ogarnęły płomienie. MiG przeleciał teraz nad jej głową na wysokości zaledwie piętnastu metrów. Upadła na kolana i zaczęła jęczeć w rytm urywanego oddechu. Wydawało jej się, że odgłosy pożarów narastają w jej uszach. Czowała odór płonących ciał. Zrobiło jej się niedobrze. Pochyliła się i zakryła głowę rękami. Nagle, omal nie podskoczyła, czując na ramieniu czyjąś silną dłoń. Podniosła wzrok. Charlie podał jej rękę i pomógł wstać.

Zamknęła oczy, przekonana, że to halucynacje. McKay podtrzymał ją, nachylił się do jej ucha i spytał drżącym głosem:

- Czy ty byłaś w jednym z pojazdów konwoju? - skinęła tylko głową. Charlie pobladł jeszcze bardziej niż dotąd. Sięgnął do swojej kamizelki przeżycia i wyciągnął z niej wielki nóż. Szybko przepiłował drut wokół nadgarstków Arii.

- On chce tego użyć - szepnęła mu do ucha. - On ma zamiar użyć broni biologicznej.

- Już to zrobił - mruknął McKay głosem pełnym smutku. Szarpnął i rozciął ostatnią pętlę drutu. Dziewczyna oparła się lekko o niego, ujęła twarz Charliego w dłonie i spojrzała mu w oczy.

- Nie rozumiesz - wyjaśniła. - Zaatakuję dzisiaj. W Waszyngtonie. Umrą miliony ludzi.

McKay popatrzył uważnie w oczy Arii, po czym pokiwał głową. Nie był ani zaszokowany ani zdziwiony. Wyglądało to na następny, logiczny krok. Nie miał wątpliwości, że tak wyglądał cały plan od początku. Młody pilot po tym, co przeżył w Prince Sultan, już się nie bał. Żaden kolejny pomysł przywódców Iraku już nigdy go nie zaskoczy.

Podniósł wzrok i zobaczył wzbijającego się w powietrze ostatniego MH-60. Śmigłowiec zawisł na chwilę, a potem ruszył. Kapitan skinął głową w stronę amerykańskiej maszyny i pociągnął dziewczynę za ramię.

- Chodźmy! - zawołał i zaczęli biec.

Drugi pilot ostatniego MH-60 rozglądał się nerwowo nad głową, w poszukiwaniu myśliwców, które zabiły przed chwilą jego kolegów. Żołnierze z Delta Force, wystraszeni

czekali, przy otwartych drzwiach. Nagle, w górze przemknął drugi MiG. Jego cień przesunął się błyskawicznie po piasku.

- Ruszaj! - krzyknął drugi pilot. - Spadamy stąd, natychmiast!

Pilot ustabilizował maszynę i zwiększył moc. Śmigłowiec przyspieszył gwałtownie, wzbijając wielki tuman piasku. Wtedy nagle strzelec zobaczył przez dym biegnącą w ich stronę parę ludzi.

- Stój! - zawołał. - Na ziemi jest żywy Amerykanin. To musi być Ogar. W dodatku, nie jest sam!

Śmigłowiec natychmiast zwolnił i z powrotem osiadł na ziemi. Charlie biegł ku niemu, ciągnąc ze sobą Arię, która poruszała się tak szybko, jak tylko pozwalały jej obolałe nogi. Podtrzymał ją ramieniem. Zbliżali się do śmigłowca, od którego wiał im w oczy piasek. Strzelec wyciągnął rękę, złapał dłoń Aarii i szybko wciągnął dziewczynę do wnętrza maszyny. Łapiąc się czego popadło, zaczęła posuwać się ku środkowi śmigłowca. Charlie wskoczył za nią na pokład. MH-60 natychmiast wzleciał w powietrze i ruszył na pełnej mocy przez pustynię. Trzymał się blisko ziemi, nie wznosząc się wyżej niż na dwa metry.

Na ziemi pozostały wraki innych amerykańskich i irackich maszyn.

Strzelec gapił się w zdumieniu na Arię, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Zaszokowana dziewczyna leżała bez ruchu. Dłonie ciągle drżały jej ze strachu. Oparła głowę o tylną ściankę kabiny. Żołnierze Delta Force ścisnęli się, robiąc miejsce pilotowi i dziewczynie. W dole przesunął się szybko krajobraz. McKay leżał chwilę bez ruchu, po czym podniósł się na kolana. Pełznąc naprzód, dotarł aż do dwóch pilotów i zawołał:

- Co wy wyprawiacie?!

- Uciekamy od śmierci! - odparł jeden. Zerknął na Charliego. McKay zobaczył w oczach pilota lęk i desperację. Tak wyglądał człowiek, który musiał pozostawić za sobą zabitych przyjaciół. Charlie pomyślał o „Zabójcy” i zadrzał.

- Nie! - krzyknął znowu. - Musimy wracać. Potrzebujemy Pająka. Poza tym, być może mój oficer uzbrojenia żyje!

- Ale MiG-i!... - wybąkał pilot, pokazując ze strachem na niebo. - Ta misja jest skończona. Nic nie możemy zrobić!

Katedra Narodowa, Waszyngton, USA  
09.03 czasu miejscowego

Prezydent i jego małżonka ruszyli środkiem kościoła na czele procesji pogrzebowej. Wokół granitowe iglice sięgały na trzydzieści metrów w górę. Wielkie organy grały poważny i piękny utwór. W katedrze było parno, tłumnie i przede wszystkim gorąco. W wąskim budynku nie zmieściłaby się już chyba ani jedna osoba więcej. Za prezydencką parą szły rodziny zmarłych. Nabożeństwo nadawano we wszystkie zakątki świata za pośrednictwem kilku kamer. Kiedy prezydent i jego żona ruszyli powoli przez środek, zebrani z szacunkiem powstali.

## Pustynia na południu Iraku

Słuchaj! - wołał Charlie do pilota, przekrzykując łoskot maszyny. - Mam tam przyjaciela! Prawdopodobnie żywego! Nie zostawimy go tak! I nie przerwiemy misji!

Pilot nie reagował. McKay złapał go za ramię.

- Musimy dopaść Udaja! - krzyknął po raz kolejny. - Nie wiesz, o co chodzi. To sprawa niecierpiąca zwłoki!

Pilot śmigłowca obejrzał się, w jego oczach widać było frustrację i gniew. Nie bał się, jednak sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli. Misja nie udała się, co jeszcze mogli zrobić? Mężczyzna pokazał głową na niebo i powiedział:

- Słuchaj, Ogar. Wszyscy chcemy być bohaterami. Ale trzeba też wiedzieć, kiedy czas podkulić ogon pod siebie. Te MiG-i mają nad nami taką przewagę, że jesteśmy po prostu bezbronni. Pomyśl o żołnierzach, którzy tu siedzą. Zastanów się, czy ich życie też chcesz poświęcić.

Charlie zbliżył się do pilota jeszcze bardziej i wołał:

- Zapomnij o tym, że nasze życie jest w niebezpieczeństwie! Co z tego, jeśli nas zabiją? Ta sprawa jest ważniejsza niż los nas wszystkich. Jeśli nie wrócimy, umrze milion ludzi! Udaj Husajn użył już swojej broni biologicznej, atakując Prince Sultan. Dzisiaj zginęło pięć tysięcy amerykańskich żołnierzy!

Pilot śmigłowca patrzył na McKaya oniemiały.

- Nie...! - wydusił z siebie.

- Tak! - potwierdził Charlie. - Byłem tam. Ledwie uszliśmy z życiem!

- No, ale MiG-i... - zauważył pilot.

- Zapomnij o nich! - krzyczał McKay. - Kończy im się paliwo. A nawet, jeśli im się nie skończy, to jaki masz wybór? Husajn umieścił zasobniki z wirusem na terenie Stanów Zjednoczonych! Nie możemy uciekać. Musimy coś zrobić! A teraz, jako dowódca misji, rozkazuję ci, zawróć ten śmigłowiec!

Pilot obrócił się z powrotem naprzód. Patrzył przez chwilę na pustynię, a potem przemówił do mikrofonu.

Sześciu żołnierzy Delta Force poruszyło się; przycisnęli swoje M-16 do piersi. Celowniczo cekaemów zajęli z powrotem miejsca i sprawdzili pasy amunicyjne. Zachowując minimalną wysokość, pilot zawrócił na północ. Znowu zobaczyli słupy czarnego dymu i pożary. Popołudniowy wiatr ciągnął dym ku wschodowi.

Charlie czuł w gardle narastający strach. Odpiął pistolet kalibru 9 mm, wchodzący w skład zestawu przeżycia pilota. Odbezpieczył i sprawdził magazynek, w którym znajdowało się dziesięć kul. Schował broń z powrotem do skórzanej kabury.

Zobaczył koło drogi piaszczyste urwisko i spytał pilota śmigłowca:

- Jak daleko mogą celować twoi chłopcy?

Ten przekazał pytanie przez interkom dowódcy drużyny. Po chwili powtórzył odpowiedź:

- Dwieście metrów; być może trzysta. Mają tylko zwykłe M-16.

McKay zastanowił się chwilę, po czym pokazał na małe wzniesienie i polecił:

- Podlec do tego urwiska. Biegnie od niego do drogi wyschnięte koryto. Zauważyłem, opadając na spadochronie. Wyląduj po tej stronie grzbietu, w samym dole. Jeśli zostaniesz nisko, śmigłowiec będzie osłonięty. Dym też nam pomoże.

Pilot skinął głową, a następnie skręcił o dwadzieścia stopni w prawo. Zbliżył się do piaszczystego wąwozu.

Udaja Husajna otaczało sześciu mężczyzn. Byli to członkowie jego osobistej ochrony oraz żołnierze elitarnej Gwardii Republikańskiej. Jedyni Irakijczycy, którzy przeżyli atak. Husajn stał teraz na środku drogi. Widział zachodzące powoli słońce. Spojrzawszy w górę, zobaczył także MiG-i. Okrążyły miejsce walki i odleciały na zachód. Piloci wykonali swoje zadanie, a teraz wracali do bazy, gdyż kończyło im się paliwo.

Udaj opuścił głowę. Wiatr wzmógł się, syjąc mu w twarz ziarnkami piasku. Husajn był otoczony pożarami, które zwiększały jeszcze panujące na pustyni gorąco. W nozdrza kłuł go ostry zapach palącej się gumi i oleju. Do spoconych rąk dyktatora przyklejały się drobiny sadzy. Ogień będzie trawił wraki jeszcze przez kilka godzin, ale Udaj zaraz stąd odjedzie.

Już wezwał posiłki. Za dwadzieścia minut pojawi się Trzeci Batalion Gwardii Republikańskiej.

Husajn musi trochę poczekać, ale nie będzie tracił czasu.

Zbliżył się do Amerykanina, z dziką nienawiścią w oczach. Przyklęknął, żeby spojrzeć lotnikowi prosto w twarz. Kapitan Alex Bennett klęczał pośrodku drogi. Jego lewa powieka spuchła tak, że oko było zamknięte; górna warga była rozerwana niemal na dwie części. Podniósł wzrok na Udaja, czując okropny ból. Parę chwil bicia wystarczyło, że Alex miał już złamaną rękę.

- Powiedz mi! - wrzasnął dyktator. - Chcę wiedzieć, jak mnie znaleźliście! Skąd wiedzieliście, gdzie jestem?!

Husajn nie był kompletnie zdezorientowany. Wyciągnął z amerykańskiego ataku proste wnioski: został zdradzony. Miał pewność, że ktoś z jego najbliższego otoczenia przekazał informacje o jego położeniu Amerykanom. Chciał wiedzieć, kto. Ukarze go. Sama myśl o zdradzie napełniała dyktatora wściekłością. Fakt, że dopuścił się jej ktoś, komu zaufał, doprowadzał go do ostateczności. Ledwie mógł mówić.

Udaj patrzył na pilota przez moment. „Zabójca” zachwiał się na klęczkach. Już zdążyli zderzyć z niego lotniczy kombinezon, więc rozgrzana nawierzchnia szosy paliła go w gołe kolana. Ze środka ramienia wystawał fragment złamanej kości, który przebił ciało na wylot.

Husajn nachylił się i wrzasnął jeszcze raz:

- Słuchaj, mała, amerykańska świnió! Powiedz mi zaraz, bo inaczej natychmiast cię zabiję! Jak mnie znaleźliście? Kto wam powiedział, gdzie jestem?!

Kapitan Bennett odwrócił wzrok. Prezydent Iraku skinął na swoich ludzi.

- Połamać mu dłońe - rozkazał chłodno. - Wszystkie palce, po kolei.

Żołnierz w stopniu sierżanta wysunął się naprzód i złapał Alexa za złamaną rękę. Szarpnął za nią. Drugi Irakijczyk chwycił kapitana za głowę i uderzył jego twarzą w asfalt. Następnie usiadł mu na szyi. Trzeci żołdak podszedł z młotkiem w rękę - jedynym narzędziem, jakie dało się znaleźć w bagażniku samochodu Udaja. Wszyscy trzej przycisnęli nadgarstek Amerykanina do nawierzchni drogi. Następnie sierżant uderzył z całej siły młotkiem w lewą dłoń Bennetta, łamiąc mu kości i zrywając ścięgna. Alex krzyknął tak, że zdawało się iż wiatr niesie echo. Zaczął przeklinać, błagać oprawców, żeby przestali, szarpać się ile siły. Udaj skinął głową po raz kolejny i młotek znowu spadł na dłoń lotnika. Kapitan aż rozgryził wargę, tak bardzo cierpiał. Próbował myśleć o domu, żonie, córeczkach.

Jednak nic nie mogło powstrzymać straszliwego bólu jego dłoni, która zamieniała się w miazgę.

MH-60 usadowił się pod niewysokim, piaszczystym urwiskiem. Wąwóz był wąski, miał strome ściany; powstał w ciągu stuleci, wyżłobiony przez spływającą rzadko ale intensywnie wodę deszczową. Dwaj żołnierze z drużyny pozostali w śmigłowcu. Czterej inni szybko wyskoczyli prawymi drzwiami i pobiegli ku wierchołkowi małego wąwozu, znajdującemu się w odległości dwustu metrów. McKay ruszył szybko ku drzwiom, przystanął i popatrzył na Arię. Dziewczyna spoglądała na niego z niepokojem. Charlie uśmiechnął się nieznacznie, po czym wyskoczył na ziemię.

Wspiął się po ścianie wąwozu, pochylając się naprzód i pomagając sobie rękami. Łapał się rosnących tu i ówdzie krzaków, podążając za członkami elitarniej jednostki Armii, którzy byli już w połowie drogi na górę. Trzy minuty później padł na ziemię, koło nich. Leżeli na krawędzi rozpadliny, wystawiając głowy ponad nią.

Dowódca drużyny obserwował okolicę przez lornetkę. McKay zobaczył, że znajdują się dokładnie na tej samej wysokości, co droga. Zmrużył oczy i patrzył pod słońce. W odległości stu metrów dymiły płonące wraki pojazdów. W pewnym miejscu stało w półkolu kilku ludzi. Znad piasku unosiło się rozgrzane powietrze, powodując falowanie obrazu. Charlie rozejrzał się wzdłuż drogi w poszukiwaniu śladu przyjaciela. Próbował wypatrzyć pomarańczowo-brązowy spadochron. Oglądał pustynię, chcąc znaleźć wrak swojego samolotu. Dostrzegł go, leżał w odległości niecałego kilometra na południe. Była to tylko góra poczerniałych i srebrzystoszarych kawałków metalu. Popatrzył ku północy.

Nagle wydobyl z siebie nieartykułowany dźwięk. Dowódca drużyny Delta opuścił lornetkę, a potem przyłożył ją do oczu jeszcze raz.

- Pomóżmy mu! - szepnął.



McKay zabrał lornetkę z jego rak. Zobaczył stojących na środku drogi irackich żołnierzy i twarz „Zabójcy”, zwróconą akurat w swoją stronę. Następnie dostrzegł spadający młotek. Widział, że Alex krzyczy z bólu, choć z tej odległości nie było go słychać. Młotek uderzył po raz kolejny. Oczy Bennetta powoli się zamknęły.

Charliemu ścisnęło się serce. Zaczął ciężko oddychać. Jego tętno prawie się podwoiło. Poczul w uszach pulsującą krew. Rzucił lornetkę i kaszłąc przewrócił się na bok.

- Złapali go! - krzyknął. - To mój oficer uzbrojenia! Patrzcie, co mu robią! ... - McKay odwrócił się z powrotem i znów spojrzął przed siebie. - Musimy coś zrobić! Pozabijajcie tych wszystkich drani, szybko!

Dowódca drużyny Delta Force wydawał już komendy, zachowując jednak absolutnie zimną krew.

- Ruszcie się! - darł się Charlie.

Dowódca drużyny oparł ciężką dłoń na ramieniu pilota.

- Spokojnie, Ogar - powiedział. Wydał ostatnie komendy. Zakończył:

- Uwaga trzeci - nie - teraz czwarty człowiek, ten w czarnym berecie, to Udaj Husajn. Wszystko jasne? - Żołnierze pokiwali głowami, ciągle patrząc wzdłuż linii celowania.

- Potwierdzić! - zażądał dowódca.

- Jedynek widzi! - odpowiedział natychmiast pierwszy z żołnierzy.

- Dwójka widzi! - krzyknął drugi; podobnie trzeci i czwarty. Potwierdzili, że wiedzą, który z Irakijczyków jest Udajem Husajnem. On jeden miał pozostać przy życiu. Żołnierze szybko rozdzielili cele między siebie. Przygotowali się do oddania salwy.

- Gotów - zawołał dowódca - cel -....

- Błagam!... - wydobył z siebie Bennett - proszę... powiem wam. Co chcecie wiedzieć?

Udaj szarpnął Amerykanina za włosy. Uniósł jego twarz i spojrzął mu w oczy. Ciągnął tak, że Alex z trudem oddychał.

- Wiesz, o co pytam - warknął Husajn. - Nie udawaj głupka.

- Proszę... mnie... tylko puścić!... - sapał „Zabójca”. Dłoń bolała go wprost nie do opisania. Każdy mięsień, ścięgno, nerw i kość paliły żywym ogniem. Ból złamanej ręki w porównaniu z tym wydawał się niczym. Nerwy w zmiążdżonych palcach po prostu paliły go żywym ogniem. Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, kiedy Udaj ponownie szarpnął go za włosy.

- Słuchaj no - rzucił dyktator - nie będę się z tobą cackał. Nie mam czasu. Nie tu, na środku pustyni. Wiesz, czego chcę się dowiedzieć i powiesz mi. Pytanie tylko, czy teraz, czy dopiero wtedy, kiedy połamię ci wszystkie kości, co do jednej? Jeśli powiesz natychmiast, zostawię cię tu.

„Zabójca” opuścił oczy.

- Nazywam się Alex Bennett - wykrztusił. - Mój numer polisy ubezpieczeniowej ...

- Jeszcze raz! - wrzasnął Udaj. Sierżant złapał dłoń Amerykanina, przycisnął ją do asfaltu i uniósł młotek aż nad głowę.

Młotek spadł w dół ze straszliwą siłą, przebijając ciało z okropnym trzaskiem, aż zatrzymał się pod wpływem oporu asfaltu. Udaj patrzył na cierpiącego lotnika. Bennett wydobył z siebie żałosny jęk.

Dyktator czuł nienawiść i frustrację, których nie był w stanie opanować. Prawdziwą furję. Wyszarpał podoficerowi młotek.

- Sam się tym zajmę! - krzyknął. - Zabiję go! Wszystko mi jedno, czy będzie żył, czy nie!

Nachylił się i zaczął tłuc kapitana młotkiem w głowę, raz po razie. Wyobraził sobie przy tym martwą Amerykę - wizję, o której śnił co noc przez ostatnią dekadę. Stracił na chwilę kontakt z rzeczywistością. Myślał o pustyni i śmigłowcu szturmowym, który odstrzelił mu nogę. Myślał o swoim ojcu i o tym, że jego kraj został rzucony na kolana. Myślał wreszcie o tylu rzeczach, które wydawały się bezsensowne, a wynikały najwyraźniej z amerykańskiej dumy. Jednak, zapłacą mu za to. Ten jeden Amerykanin zapłaci. Zginie.

Po dwudziestu sekundach szaleństwa, Udaj wypuścił młotek na ziemię.

W tym momencie usłyszał dziwny, bzyzczący dźwięk. Jeden z żołnierzy padł na ziemię, obracając się w tył. Drugi także padł; widać było w jego piersi dziurę średnicy siedmiu centymetrów. Zanim Udaj zdążył podnieść się na nogi, zdumiony i przerażony, trzej następni ludzie także padli. Zobaczył wyłaniający się z zagłębienia pustyni śmigłowiec. Usłyszał ostatnią kulę, która ugodziła ostatniego pozostającego dotąd przy życiu żołnierza.

Śmigłowiec nadlatywał szybko, dmuchając tumanami piasku. Zagrzmiały dwa cekaemy, syjąc kulami wokół Husajna. Nie miał dokąd uciekać. Zobaczył wychylających się z drzwi maszyny dwóch żołnierzy, celujących w niego z M-16. Nie wiedział, co robić. Piasek zaczął siekać mu w twarz. Odruchowo pomyślał, żeby puścić się pędem przed siebie, ale wiedział, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Popatrzył na leżącego u jego stóp kapitana lotnictwa. Uśmiechnął się nieznacznie. Przynajmniej ten jeden nie żył.

## 38.

### Szosa do Al Aziziya pustynia w południowym Iraku

Charlie obserwował. Żołnierze Delta Force wystrzelili prawie jednocześnie. Sześciu irackich żołnierzy padło na ziemię. Popatrzył przez lornetkę na „Zabójcę”. Jego przyjaciel leżał bez ruchu. McKay przyciskał lornetkę do oczu. Zerknął na Udaję Husajna, stojącego nieruchomo i wpatrującego się w nadlatujący śmigłowiec, a potem znowu zaczął przyglądać się Alexowi.

Widział krew. I jeszcze... Wiedział, że Bennett nie żyje. Jego przyjaciel i towarzysz

broni. Charlie patrzył na leżące na środku pustyni ciało, a potem krzyknął, przewrócił się na bok i zakrył twarz rękami.

W tym właśnie momencie, Charlie McKay doświadczył nagłej i nieodwracalnej zmiany. Coś w nim pękło. Jego charakter się zmienił. W duszy powstała blizna. Podniósł się, wykrzyknął znowu i puścił się biegiem przed siebie. Cztery żołnierze Delta Force ruszyli za nim, dochodząc do wniosku, że tak będzie najlepiej. McKay pędził przez pustynię, ze łzami w oczach. Wdepnął w sypki piasek i przewrócił się. Podniósł się i pobiegł znowu. Krzyczał i jęczał, dysząc ze zmęczenia. Zbliżywszy się do śmigłowca zobaczył z bliska Udaję Husajna. Irakijczyk siedział już w maszynie, patrząc posępnym wzrokiem. Jednocześnie uśmiechał się pogardliwie, z wyższością. Dwaj żołnierze Delta Force skrzepowali go cienkimi, plastikowymi kajdankami. Stali przy drzwiach śmigłowca, czekając na Charliego i resztę. Aria klęczała na środku drogi, tuląc ciało Alexa. Oddała kawał swojej szaty i owinęła nim jego głowę. Teraz nachylała się i szeptała mu coś do ucha.

McKay podbiegł do śmigłowca starając się nie przyglądać Arii. Dość już tego dnia widział.

Zatrzymał się przy burcie i spojrzał na siedzącego w środku potwora. Udaj popatrzył na pilota spod grubych powiek. Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie, nie mówiąc ani słowa.

- Zabiłeś dwóch moich przyjaciół - oświadczył w końcu Charlie posępnym tonem.

Udaj patrzył nieruchomo i milczał.

- Zabiłeś dwóch moich przyjaciół! - krzyknął tym razem McKay.

Husajn powoli odwrócił wzrok i mruknął:

- To nie są ostatni Amerykanie, którzy umrą. - Popatrzył na zegarek i uśmiechnął się zadowolony. Było pięć po ósmej. Pojemnik w katedrze miał się otworzyć już za dwadzieścia minut. Pozostałe dwa - niecałą godzinę później. Było po wszystkim. Teraz Amerykanie w żaden sposób nie zdołają go już powstrzymać. Zwrócił się znowu do Charliego i oznajmił: - Nadszedł czas. Nadeszła godzina, a wy nie możecie nic zrobić. ...Nie możecie mnie zabić. Nie możecie mnie dotknąć. Jestem prezydentem Iraku.

- Nie - warknął McKay. - Nie jesteś żadnym prezydentem. Jesteś tylko śmieciem, który przynosi hańbę tej ziemi.

- Nie rozumiesz - odparł Husajn. - Jeśli chcesz, żeby było dla was lepiej, to posłuchaj, co powiem.

Charlie runął ku niemu tak gwałtownie, że Udaj omal nie wyskoczył z fotela. McKay wpadł do śmigłowca, klnąc na czym świat stoi.

- Nie!! - wrzasnął. - To ty mnie posłuchaj! Zabiłeś moich dwóch przyjaciół i pięć tysięcy amerykańskich żołnierzy! Nie będę tu siedział z założonymi rękami, podczas kiedy ty zamordujesz jeszcze milion ludzi!

Udaj cofnął się znowu. W jego oczach błysnęła strach, choć nie pokazał tego po sobie. W głosie lotnika usłyszał determinację i wściekłość. Przeraziło go to. Wiedział, że jego życie wisi na włosku.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknął. - Nic nie możesz zrobić! Jest już za późno! Więc nie trać czasu na bezsensowne groźby.

Charlie dopadł dyktatora i złapał go za ramiona. Potrząsnął nim i zaczął wołać:

- Powiedz mi, gdzie są pojemniki z wirusem! Wiemy, że tam są! Powiedz, jeśli chcesz żyć!

Udaj odwrócił się, zachowując obojętny wyraz twarzy. Niech się Amerykanin wścieka. Niech sobie krzyczy i grozi. Niech się wszyscy wściekają.

McKay przyjrzał się uważnie Irakijczykowi, po czym podjął decyzję. Nie było czasu na czekanie.

- Wsiadajcie do śmigłowca! - zawołał do żołnierzy. - Zabierzcie mojego przyjaciela i dziewczynę.

Wszyscy wskoczyli na pokład. Ciało „Zabójcy” ułożono ostrożnie na podłodze. Jeden z żołnierzy ściągnął bluzę i okrył twarz zamęczonego, podwijając koszulę pod bezwładny korpus.

Charlie rzucił pilotom komendę:

- Wznieście się na wysokość pięciu metrów. - Drugi pilot spojrzał na niego, zdumiony. Pierwszy pilot skinął głową i śmigłowiec uniósł się w powietrze. McKay popatrzył na wyglądającego przez otwarte drzwi Udaja. Jego oczy rozszerzyły się ze strachu, kiedy maszyna zawisła nieruchomo.

Charlie zwrócił się do dowódcy drużyny.

- Wyrzućcie go! - zawołał, na tyle głośno, żeby dyktator usłyszał i zrozumiał.

Husajn odwrócił się szybko, trzęsąc się ze strachu.

- Nie, zaraz, co robicie?!... - krzyknął.

Żołnierze skoczyli ku niemu. Udaj złapał się poręczy fotela, trzymając się kurczowo metalowej rurki. Aria odwróciła głowę. Dwaj żołnierze jednostki specjalnej szarpnęli dyktatora za ramiona i wypchnęli go przez drzwi. Krzyknął, spadając. Trwało to mniej niż sekundę.

McKay wyjrzał na dół. Udaj leżał na środku drogi. Przewrócił się, ale nie było widać, żeby coś mu się stało. Podniósł się na drżące kolana i pomasaował siniak w tyle głowy. Zaczął uciekać, ale znowu padł na kolana. Śmigłowiec zniżył się tymczasem z powrotem, lądując półtora metra od niego. Łopaty wirnika pracowały nieubłaganie. Ci sami dwaj żołnierze wyskoczyli i wciągnęli Husajna z powrotem do środka. Siedział, oszołomiony, podczas gdy śmigłowiec wznosił się znowu.

- Wznieście się na wysokość dziesięciu metrów - polecił tymczasem Charlie.

Dyktator zaczął wrzeszczeć:

- Co robicie?! Mordercy! Jestem prezydentem Iraku! - Żołnierze złapali go i ruszyli z nim w stronę otwartych drzwi. - Zaraz! Czekajcie! - krzyczał. Żołnierze wychylili go tak, że patrzył prosto w dół. Śmigłowiec wisiał piętnaście metrów nad drogą,

- Czekajcie! Powiem wam! Co chcecie wiedzieć?

Charlie nachylił się koło Udaja i krzyknął mu do ucha:

- Gdzie są pojemniki z wirusem?! O której mają się utworzyć?!

- Jutro - rzucił Udaj. - Są w Nowym Jorku. W metrze, koło siedziby ONZ.

- Kłamiesz! - zawołał McKay.

- Nie, przysięgam!
- Wyrzucicie go - polecił kapitan.

I wyrzucili. Stłumiony krzyk Husajna oddalił się szybko.

Charlie wychylił się z lądującego śmigłowca. Udaj nie poruszał się. Bezwładne ciało leżało na środku drogi. Żołnierze wciągnęli je do środka. Dyktator był przytomny. Miał załzawione oczy i trzymał się za pierś. Pobladał. Znać było pulsujące na jego szyi tętnice. Kaszłał, plując krwią. Miał uraz wewnętrzny.

- Nie mogę... oddychać!... - sapnął. - Moje... żebra... I ramiona... Zabijecie mnie! Przysięgam...!

- Masz zupełną rację - pochwalił McKay. - Wzniesicie się na wysokość trzystu metrów.

Śmigłowiec natychmiast wystartował. Wznosił się prościutko jak świeca, cały czas pozostając ponad asfaltem. Dwa silniki turbinowe wyły równomiernie, przeciwstawiając się wiejącym wyżej wiatrom. Piloci nie starali się aż tak bardzo utrzymywać maszyny dokładnie nad szosą. Jaka to różnica, przy tej wysokości?

Charlie nachylił się nad uchem dyktatora.

- Słuchaj no - warknął, spoglądając na zegarek. - Teraz zapytam cię po raz ostatni. Wiem, że kazałeś pozostawić zbiorniki z wirusem, które samoczynnie się otworzą. Dzisiaj. Tyle powiedział nam już pułkownik Hajazi. Chcę także wiedzieć, gdzie znajduje się laboratorium produkujące wirusa. Musimy się tego dowiedzieć, żeby je zniszczyć. A teraz powiedz mi. Albo umrzesz.

Udaj skrzywił się i odwrócił głowę, zaciskając usta. Miał złamany obojczyk i połowę żeber. Dręczył go nieustępliwy, przeszywający ból. Choć ból nie miał decydującego znaczenia. Husajn potrafił go przetrwać. Ale panicznie bał się śmierci. Najbardziej na świecie bał się tego, co spotka go po drugiej stronie. Wiedział bowiem, w głębi duszy, że będą na niego czekać. Przed oczami stanęło mu wyobrażenie udręczonych dusz, które chcą go rozszarpać na strzępy i rzucić prosto do piekła. *Johannom*, jak nazywają je Arabowie. Wiedział, że go to czeka. Wiedział, już od lat.

Poczuł cień wątpliwości. W pobliżu czaił się gdzieś zapach śmierci.

Czy Amerykanin zrobi to naprawdę? Czy Udaj nie docenił tego człowieka? Czy potrafił wydać rozkaz zabicia kogoś?

Husajn odwrócił się do McKaya i otworzył usta. Nagle, ogarnęła go ponowna fala nienawiści. Rozmyślił się. Obliznął wargi, zamknął oczy i powoli pokręcił głową.

- Pozbądźcie się go - polecił Charlie. - A potem, zjeżdżajmy stąd. Nigdy w życiu nie chcę już oglądać tego żalostnego kraju.

Żołnierze zbliżyli się i szarpnęli dyktatora za ramiona. Zaciągnęli go do otwartych drzwi. Krzyknął z przerażenia, zupełnie zapominając o bólu. Otworzył oczy tylko na chwilę, żeby zobaczyć rozciągającą się daleko w dole pustynię. W pewnej odległości widniały na niej płonące pojazdy, malutkie jak dziecinne zabawki. Przez piasek biegła wstęga drogi. Z tej wysokości widział niemal Bagdad. Trzysta metrów! Miał spaść z trzystu metrów!

Jak długo to będzie trwało? Za ile czasu umrze? Po minucie? Po dwóch? Nie miał pojęcia. Co poczuje? Czy rozbryźnie się w krwawą miazgę? Czy jego krewni zdołają go

rozpoznać? Czy zobaczy zbliżającą się ziemię? Czy zdąży go zabołec?

Zacisnął ręce na burcie śmigłowca, trzymając się metalu starannie wypielęgnowanymi przez manicurzystkę dłońmi. Strach był tak realny, że opanował go niepodzielnie. Husajn próbował krzyknąć, ale nie miał dość siły. Chciał jeszcze złapać się czegoś, ale nie było czego. Żołnierze trzymali go teraz tylko za nogi. Cała górna połowa jego ciała zwiisała na zewnątrz. Uniósł głowę. Ziemia była tak daleko w dole.

Kapitan zbliżył się znowu i zawołał przekrzykując łoskot maszyny:

- Umrzesz tutaj, tchórze i nic się nie zmieni. Nie będzie Nowego Świata. Nie będzie wielkiego, arabskiego powstania. Irak nie stanie się nowym supermocarstwem. Pozostanie tylko zabity, żałosny człowiek i jego żałosny plan, który spowoduje śmierć tak wielu ludzi. ...Umrzesz tak, jak twój przodek; jak zwykły robak na piasku i kamieniach. I nikt nie będzie cię opłakiwał.

McKay skinął głową na dwóch żołnierzy, Powoli, zaczęli wypuszczać buty dyktatora. Udaj zaczął się stopniowo zsuwać, wymachując rozpaczliwie rękami w powietrzu, w którym nie było się czego chwycić.

- Powiem wam! - zawołał. - Już wam mówię! Pojemniki są w katedrze! I w filtrach miejskich! Powiem wam, gdzie dokładnie, tylko trzymajcie mnie!!! Błagam, trzymajcie!! Nie puszczajcie mnie!...

Charlie przykleknął, a żołnierze wciągnęli Udaję do środka. McKay był tuż koło niego. Husajn powiedział mu wszystko. Pilot śmigłowca uruchomił już tymczasem nadajnik satelitalny. Wywołał na tajnej częstotliwości Narodowe Centrum Dowodzenia Wojskowego w Waszyngtonie. McKay rozmawiał z dyktatorem jeszcze przez minutę, po czym założył słuchawki i zbliżył do ust mikrofon. Po niewielu sekundach, było już po wszystkim. Naczelne dowództwo zostało powiadomione.

Charlie siedział, oparty o zamknięte drzwi kabiny. Udaj leżał na podłodze z zaciśniętymi powiekami i trzęsącymi się rękami na piersi. Kapitan popatrzył na niego. Stany Zjednoczone wytoczą mu proces za zbrodnie przeciwko ludzkości, zabójstwo, morderstwo. Z pewnością dokona żywota w amerykańskim więzieniu. Pytanie tylko, kiedy. McKay wiedział, że będzie to trwało wiele długich lat.

MH-60 skręcił w prawo; pilot opuścił dziób maszyny. Śmigłowiec nabrał szybkości i poleciał z powrotem na południe, do obozu Cobra, w południowym Iraku.

Charlie siedział bez słowa, kompletnie wyczerpany. Nikt się nie odzywał. Nikt nie poruszał. Wnętrze maszyny zdawał się wypełniać smutek. Nikt się nie cieszył. Nie było powodu do radości. Teraz McKay popatrzył znowu na martwe ciało leżące na podłodze. Ruszył w jego stronę, kiedy zbliżyła się do niego Aria i szepnęła błagalnym tonem:

- Charlie.... Jest jeszcze jedna sprawa.

Katedra Narodowa, Waszyngton, USA  
09.20 czasu miejscowego

Agenci Secret Service ruszyli do prezydenta niczym błyskawica. Po niecałej minucie był już na zewnątrz, wepchnięto go do limuzyny. Policjanci oraz inni agenci prezydenckiej

ochrony zaczęli wypędzać wszystkich głównymi drzwiami. Odezwał się hałaśliwy alarm przeciwpożarowy. Z parkingu dobiegało wycie syren. Policja lokalna zabarykadowała ulice, zawracając samochody i pieszych. Ewakuowano ludzi, aby wokół katedry powstała strefa bezpieczeństwa o średnicy pięciu kilometrów.

Nagle, nadleciały dwa czarno-srebrne śmigłowce. Nie miały żadnych napisów ani nawet numerów. Zniżyły się i wylądowały po zachodniej stronie budowli, na kamiennym dziedzińcu. Wskoczyły z nich postaci ubrane w pomarańczowe skafandry kosmiczne typu Racal. Byli to członkowie Drużyny Szybkiego Reagowania. Ta supertajna jednostka wojskowa składająca się ze specjalnie wyszkolonych ludzi, specjalizowała się w neutralizacji ataku biologicznego. Wyglądający jak astronauta ludzie wbiegli przez zachodnie drzwi do katedry. Wtoczono sprzęt wykrywający. Po paru chwilach zlokalizowano położenie pojemnika. Chromowy cylinder został wrzucony do większego pojemnika, o powietrznym zamku przeciwbiologicznym z potrójnym uszczelnieniem.

Stało się to na trzy minuty przed wypuszczeniem wirusa.

W stacji pomp numer trzy miejskich filtrów zakrecono już wodę. Drużyna przeciwbio-logiczna dotarła tam w błyszczących nowością mikrobusach, pod eskortą samochodów policyjnych na sygnale. Po drodze specjaliści założyli skafandry typu Racal. Inna część drużyny zmierzała w tym samym czasie identycznymi mikrobusami do Parku Waszyng-  
tona.

W ciągu dwudziestu minut, pozostałe dwa pojemniki z wirusem także zostały znale-  
zione i zamknięte szczelnie w większych.

## Nietoperz Jeden (bombowiec B-1B) nad prowincją Kirkuk, północny Irak

O 14.47 czasu Greenwich satelitarne radio przesała do bombowca B-1 zakodowany rozkaz ataku. Odebrawszy go, załoga potwierdziła odebranie wytycznych, a następnie odczytała kod. Po paru chwilach do komputera bombardierskiego wprowadzono współ-  
rzędne celu. Olbrzymia maszyna przestała krążyć i skierowała się na wschód, ku pustyni  
zajmującej dużą część Iraku.

Osiemnaście minut później B-1 nadlatywał już nad cel.

- Bomba gotowa - zameldował oficer uzbrojenia, zwany ofensywnym.

Pilot, nazywany „Wściekłym Psem”, podniósł czerwoną klapkę, odstawiając przycisk.

- Gotów z przodu - odpowiedział z pozoru spokojnym głosem.

- Główny panel sterowania włączony - rzucił oficer uzbrojenia. - Prośba o zgodę z  
kabiną pilotów.

„Wściekły Pies” bez wahania wcisnął przycisk. Dopełniono procedury opierającej się  
na wspólnej decyzji dwóch niezależnych oficerów. Teraz komputer bombardierski na-  
tychmiast wysłał bombie atomowej typu B-61 ostateczny kod uzbrojenia.

- Odległość od celu - sześćdziesiąt kilometrów - zameldował oficer uzbrojenia.

Drugi oficer uzbrojenia, zwany defensywnym, oznajmił:

- Radary czyste. Nie widzę żadnych zagrożeń. Na niebie nie ma ani jednego samolotu. Na ziemi także nic. Wywiad ma chyba rację - w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od nas nie ma ani jednej rakiety ani baterii przeciwlotniczej.

„Wściekły Pies” wyjrzał przez przednią szybę, a potem popatrzył na panel uzbrojenia. Jeszcze trzy minuty. Bombowiec mknął z prędkością tuż poniżej prędkości dźwięku. Pilot zredukował odrobinę obroty silników, zwalniając do tysiąca stu kilometrów na godzinę. Wielki odrzutowiec posuwał się na wysokości zaledwie sześćdziesięciu kilometrów nad ziemią. Zachodzące słońce rzucało długie cienie na brunatny piasek. Podpułkownik patrzył na pustynię, na karłowate dęby i porozrzucane tu i ówdzie jałowce. Nie wiedział, że drzewa, które widzi, są równie stare jak islam. Przetrwały w suchym, pagórkowatym terenie tysiąc dwieście lat.

Kiedy maszyna znajdowała się sześćdziesiąt sekund lotu od celu, dwaj piloci zasłonili okna kabiny ciemnymi zasłonami, chroniącymi ich oczy przed ewentualnym nuklearnym błyskiem. Po następnych piętnastu sekundach, „Wściekły Pies” zmówił w myśli krótką modlitwę, zapewniając Boga, że nie chce zrobić nic złego. Dziesięć sekund przed celem bombowiec znajdował się jeszcze trzy kilometry od niego. Drzwi luku bombowego zaczęły się otwierać.

- ...dwa... jeden... bomba za burtą! - zawołał oficer uzbrojenia. Samolot zakołysał się łagodnie, a luk z powrotem zamknął. „Wściekły Pies” szarpnął ciężką maszynę na skrzydło, wznosząc się pod ostrym kątem. Ciągnął drążek sterowy do siebie i usadowił się wygodniej w fotelu, w który zaczęła go wgniatać siła bezwładności wywołana przeciążeniem. Pilot otworzył maksymalnie przepustnice, uruchamiając dopalacze i bombowiec przekroczył barierę dźwięku.

B-61 uderzyła w miękki piasek pustyni. Wpadła w luźną glebę, zagłębiając się w nią. Bomba została zaprojektowana właśnie do niszczenia tego typu celów - podziemnych bunkrów, przykrytych grubą warstwą skał i ziemi. Mogła przebijać się przez grube, betonowe mury, licząc kolejne pomieszczenia bunkra.

Bomba zadziałała poprawnie. Brnęła przez glebę aż dotarła do bunkra, przebiła się przez kolejne poziomy do samego środka laboratorium i eksplodowała.

Dziewięćdziesiąt osiem setnych sekundy po zatrzymaniu się bomby, zadziałał detonator. Z baterii popłynął krótki, intensywny strumień prądu. W środku detonatora nastąpiła eksplozja ładunku wybuchowego, która wywołała ponaddźwiękową falę uderzeniową, niknącą w kierunku uranowego rdzenia. Zaczęła się reakcja łańcuchowa. Z głowicy bomby rozeszła się kula gorąca - temperatura eksplozji wyniosła ponad milion stopni. Skała i beton zamieniały się w parę. Ziemia zatrzęsa się na podobieństwo falującego morza. Na zewnątrz rozniosła się fala uderzeniowa. Podziemna placówka przestała istnieć.

Na powierzchnię ziemi nie dotarło żadne promieniowanie ani nawet błysk. Niezliczone warstwy skał i kamieni zapadły się w powstałą nagle pod nimi rozpadlinę. Była to eksplozja podziemna. Niewielu dowie się kiedykolwiek, że w ogóle miała miejsce.



## Południowy Bagdad, Irak

MH-60 leciał nisko nad pustynią. Światła miasta błyszcząły w ciemności, Śmigłowiec pozostawał tuż nad piaskiem. Zbliżył się do głównego skrzyżowania, od którego odchodziła szosa do Al Aziziya i skręcił w prawo, wzdłuż lokalnej drogi prowadzącej na wschód. Strzelcy czuwali przy drzwiach.

MH-60 zwolnił, a następnie zaczął się zniżać i wylądował na pustym, zaśmieconym polu. Przyglądało się temu kilka Irakijek. Nie widziały po ciemku, że to amerykańska maszyna. Aria czekała, przerażona, że nie zobaczy siostry. Rozglądała się, wytężając wzrok. Nikt się nie poruszał. Chyba nikogo nie było.

Nagle zobaczyła ją, biegnącą przez chwasty. Dziewczyna pędziła w stronę śmigłowca, trzymając w rękach małą siatkę. Kurd zwany „Osmanem” przyglądał się scenie z oddali. Aria pomachała mu i wymówiła słowa podziękowania. Skinął głową i zniknął w ciemności. Następnie wyciągnęła rękę ku siostrze i zawołała ją po imieniu. Dziewczyna wspięła się do ciemnej maszyny, z wyrazem przerażenia w oczach. Aria przytuliła ją do siebie. Upadły na podłogę, podczas gdy śmigłowiec wzniósł się w powietrze. Jeden z żołnierzy zamknął drzwi. Maszyna skręciła na południe.

Aria Cutter siedziała razem ze swoją siostrą i trzymała ją w ramionach. Ich twarze błyszcząły w świetle księżyca; sływały po nich łzy.

Z tyłu, Charlie McKay kołysał się w rytm ruchów śmigłowca obok ciała Alexa Benнета. Po jego twarzy także płynęły łzy. Nie ocierał ich.

# Epilog

Baza Sił Powietrznych Andrews, Waszyngton, USA  
09.10 czasu miejscowego

Olbryzi, czterosilnikowy transportowiec C-141 zniżył się ku betonowemu pasowi lotniska. Koła dotknęły pasa, pisnęły opony. Samolot szybko zwolnił i potoczył się powoli w stronę terminalu, gdzie czekały rodziny zabitych i żywych.

Nie było żadnej orkiestry, kolorowej parady, przepychających się dziennikarzy. Mimo że ciała pozbierano z piasku pustyni, nikt nigdy się nie dowie - nawet najbliższe rodziny - w jaki sposób zginęli ich mężowie, synowie, ojcowie. Szczegóły misji do Iraku na zawsze pozostaną tajemnicą. Rodzinom powiedziano, że śmigłowce zderzyły się podczas rutynowego lotu treningowego.

Z rozkazu prezydenta cały incydent miał pozostać w tajemnicy. Opinia publiczna była przerażona atakiem na bazę Prince Sultan. Amerykanie zrozumieli do jakiego stopnia są bezbronni wobec niekonwencjonalnego uderzenia. Zamieszanie polityczne wokół sprawy mogło nawet doprowadzić do obalenia prezydenta Brooksa. Nie chciał dolewać oliwy do ognia.

Dlatego nigdy nie ogłosi, jak niewiele brakowało do straszliwej katastrofy. Pozostanie to tajemnicą. Miał przynajmniej taką nadzieję.

Wielki transportowiec zbliżył się do hangaru, zatrzymał na wyznaczonym miejscu i wyłączył silniki. Pierwszy po schodkach dla załogi zszedł Charlie McKay. Miał na sobie błękitny, galowy mundur, a z jego piersi zwiisał rząd medali. Zaraz za nim pojawiła się Aria. Podeszła do niego. Stał i patrzył w stronę słońca, mrugając oczami. Kapitan obserwował ogon samolotu, gdzie opuszczała się właśnie ogromna rampa. Spojrzał na Arię, która położyła mu dłoń na ramieniu.

Shannon podeszła do siostry. Charlie przyjrzał im się uważnie. Były uderzająco podobne do siebie. Miały te same kruczoczarne włosy, takie same, wyraziste kości policzkowe, identyczne uśmiechy. Shannon trzymała się kurczowo ręki Arii.

Kapitan ruszył w kierunku ogona transportowca. Po otwartej rampie wmaszerował oddział żołnierzy gwardii honorowej, ubranych w błękitno-szare mundury. Mieli poważne miny. Ich zadaniem było wyniesienie ciał poległych towarzyszy broni.

Podnosili pokryte gwiazdzistymi sztandarami trumny i znosili je po pochyłej rampie. Czekala już na nie kolejka czarnych limuzyn. Delikatnie umieszczono identyczne trumny w każdej z nich. Pograżone w bólu rodziny przyglądały się temu z boku.

Charlie czekał, aż zniesiono trumny pułkownika Wisnera i kapitana Bennetta. Stał na baczność i patrzył z kamienną twarzą, salutując zmarłym przyjaciółom.

Kawalkada pojazdów ruszyła na Narodowy Cmentarz Arlington, gdzie chowano zasłużonych dla kraju. Na Charliego i dwie młode kobiety czekał samochód z wypożyczalni. McKay wrzucił bieg i ruszył za szeregiem karawanów.

Cztery godziny później McKay jechał starą szosą, prowadzącą z Waszyngtonu na południe przez miasteczka rybackie i stare plantacje. Po obu stronach drogi rosły wysokie sosny i białe brzozy. Charlie prowadził z prędkością zaledwie siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie spieszyło mu się wcale. Był już gotów zwolnić tempo swojego życia.

Obok niego siedziała Aria, ubrana w niebieską bawełnianą sukienkę. Shannon spała niespokojnie na tylnym siedzeniu. Szyby w drzwiach były opuszczone. Nadlatująca znad oceanu bryza chłodziła wnętrze samochodu. W powietrzu unosił się wszechobecny zapach soli zmieszany z aromatyczną wonią sosen, charakterystyczny dla południowo-wschodniej Wirginii.

Uroczystości pogrzebowe zakończyły się i Charlie uczył wreszcie tak długo oczekiwaną ulgę. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin bał się, co będzie się z nim działo po pogrzebie. Okazało się jednak, że dał mu on poczucie nieoczekiwanej ulgi. Najważniejsze że dostrzegł, iż jego życie potoczy się dalej.

Aria przekrzywiła głowę i odgarnęła z oczu pasmo czarnych włosów.

- Chcesz posłuchać muzyki? - zagadnęła. Charlie skinął głową. Wyciągnęła rękę do odbiornika i odnalazła stację nadającą klasyczny rock. Z głośników rozległa się znana piosenka z lat sześćdziesiątych.

McKay zerknął na dziewczynę. Uśmiechnął się, po raz pierwszy od wielu dni.

- Wiesz, że Eric Clapton napisał tę piosenkę na papierowej torbie na zakupy? - skłamał.

Aria zachichotała.

- Pewnie. Każde dziecko o tym wie!

Shannon obudziła się i wychyliła do przodu, wtykając głowę pomiędzy przednie siedzenia.

- Przepraszam - odezwała się łamaną angielszczyzną. - Nie chcę wam przeszkadzać, ale robi się późno, a ja jestem bardzo głodna. Moglibyśmy tu gdzieś dostać coś do jedzenia?

- Dojeżdżamy do McDonalda - powiedział Charlie. - Może być, czy chcesz poszukać czegoś elegantszego?

Shannon popatrzyła na wielką restaurację o błyszczących szybach. Nachyliła się do ucha Arii i powiedziała ścisłym głosem:

- Nigdy nie słyszałam o McDonalddie - powiedziała. - Odpowiada ci? Wygląda ładnie. Czy myślisz, że stać nas na to?

Aria roześmiała się i wzięła młodszą siostrę za rękę.

- Wiesz co, Shannon, nauczysz się tutaj tylu nowych rzeczy! Witamy w Ameryce. To będzie wspaniała zabawa!

# Podziękowania

Dziękuję podpułkownikowi Jamesowi „Docowi” Stewartowi - dowódcy 366 Dywizjonu Medycyny Lotniczej, kapitanowi Johnowi „Snajperowi” Hicksowi z 391 Dywizjonu Myśliwskiego oraz Robertowi - mojemu przyjacielowi z wywiadu. Wasza pomoc była nieoceniona. Tylko ja ponoszę odpowiedzialność za wszelkie błędy, jakie pojawiły się w tekście.